

EDDIE FLYNN MA 48 GODZIN, ABY WYGRAĆ TĘ SPRAWĘ.
W PRZECIWNYM RAZIE JEGO CÓRKA STRACI ŻYCIE.

„Ta powieść to gotowy
scenariusz kasowego hicia
z gwiazdorską obsadą.
Dawno nie czytałem
tak dobrej sensacji”.
Mariusz Zielke

„Akcja gna, czas goni,
rozprawa trwa, a ty
prawdopodobnie zarwiesz noc”.
Remigiusz Mróz

STEVE
CAVANAGH

OBRONA

FILIA
MROCZNA
STRONA

STEVE
CAVANAGH

OBRONA

Przełożył
Jan S. Zaus

FILIA

Dla Bridie i Sama

Najpierw kara, potem werdykt
– Królowa Kier

Lewis Carroll, *Alicja w Krainie Czarów*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Zrobisz dokładnie to, co ci powiem, albo wpakuję ci kulkę w kręgosłup.

W głosie mężczyzny wyczuwało się akcent z Europy Wschodniej. Nie dosłyszałem w nim drżenia ani śladu obawy. Brzmiał równo, miarowo. Nie jak groźba, ale jak stwierdzenie faktu, ostrzeżenie. Jeżeli nie zechcę współpracować, koniec ze mną.

Wyraźnie czułem lufę wciskającą się w plecy. W pierwszym instynktownym odruchu zamierzałem naprzeć mocno na lufę i szybko szarpnąć w lewo, aby kula mnie ominęła. Facet prawdopodobnie był praworęczny, co oznaczało, że ma skłonność do odsłaniania lewej flanki. Wykorzystując lukę, mogłem uderzyć go łokciem w twarz, a odwracając się, miałbym dość czasu, żeby zadać cios w przegub ręki i wytrącić mu broń, a potem wymierzyć ją w jego czoło. Ale tego, kto mógłby to wszystko zrobić, już nie było. Nie istniał. Dawno go pogrzebałem. Teraz zamiast niego był tu jakiś słaby, rozlazły mięczak. Jak zawsze, gdy stajesz się uczciwy i idziesz prostą drogą.

Z kranu do porcelanowej miski płynął strumień wody. Czułem drżenie palców, podnosząc mokre ręce w geście poddania.

– Nie musi pan tego robić, Flynn.

A więc zna moje nazwisko. Trzymając się umywalki, uniosłem głowę i spojrzałem w lustro. Nigdy przedtem nie widziałem tego faceta. Wysoki, szczupły, na szarym garniturze nosił brązowy płaszcz. Miał ogoloną głowę, twarz przecinała blizna biegnąca pionowo od lewego oka do szczęki. Przyciskając mocno lufę do mojego kręgosłupa, powiedział:

– Teraz wyjdziemy z łazienki. Włożysz płaszcz. Zapłacisz za śniadanie i wyjdziemy razem. Musimy porozmawiać. Jeżeli zrobisz to, co ci powiem, wszystko będzie dobrze i nic ci się nie stanie. Jeżeli nie – jesteś trupem.

Dobry kontakt wzrokowy. Żadnego zaczerwienienia twarzy ani szyi, żadnego mimowolnego ruchu, ani jednego zbędnego słowa. Natychmiast poznam cwaniaka albo kanciarza. Ale to nie był cwaniak, tylko zawodowy zabójca. Nie był pierwszym zabójcą, który mi groził, i pamiętałem, że ostatnim razem przyjmowałem to spokojnie, myśli miałem jasne, nie panikowałem.

– Idziemy – rzucił.

Cofnął się o krok i uniosł broń, żebym widział ją w lustrze. Wyglądała na prawdziwą. Srebrny rewolwer z krótką lufą. Od pierwszej chwili wiedziałem, że groźba jest prawdziwa, lecz teraz przeniknęła mnie dreszcz strachu. Poczulem ucisk w piersi, gdy serce zaczęło bić szybciej. Byłem zbyt długo

wyłączony z gry. Musiałem jasno myśleć i nie panikować. Rewolwer zniknął w kieszeni płaszcza. Mężczyzna wskazał mi ręką drzwi. Koniec dyskusji.

– Okej – powiedziałem.

Dwa lata studiów prawniczych, dwa i pół roku na stanowisku asystenta sędziego i niemal dziewięć lat jako praktykujący obrońca, a teraz miałem do powiedzenia tylko „okej”. Wytarłem namydlone ręce o spodnie i przeczesalem palcami ciemnoblonde włosy. Wyszedł za mną z łazienki i przeszliśmy przez pustą teraz restaurację do miejsca, gdzie powiesiłem płaszcz. Włożyłem go, rzuciłem pięć dolców za kawę i skierowałem się do drzwi wyjściowych. Człowiek z blizną szedł tuż za mną.

Knajpa Teda zawsze była moim ulubionym miejscem rozmyślań. Już nie pamiętam, ile w tych boksach obmyśliłem strategii procesowych, pokrywając stoliki notatkami z medycznych oględzin, fotografiami ran postrzałowych i poplamionymi kawą aktami spraw. W dawnych czasach nie jadałem śniadań codziennie w tym samym miejscu. To byłoby zbyt ryzykowne. Teraz w nowym życiu cieszyły mnie śniadania u Teda. Tu czułem się wyluzowany, nie oglądałem się ciągle za siebie przez ramię. A to źle. Gdybym tego ranka był czujny, pewnie bym dostrzegł, jak ten facet się do mnie zbliża.

Wychodząc z knajpy na ulicę w samym sercu miasta, czułem się, jakbym wstępował w bezpieczny świat. Chodniki wypełniali ludzie spieszący do pracy – i to dodawało mi otuchy; facet nie odważy się zastrzelić mnie w centrum Nowego Jorku, na Chambers Street, o ósmej rano, w obecności trzydziestu świadków.

Skrecając w lewo od wyjścia z knajpy, zatrzymałem się przed opuszczonym sklepem z artykułami żelaznymi. Zastanawiając się, czego ten człowiek ode mnie chce, czułem, jak moja twarz zaczyna się czerwienić pod wpływem listopadowego wiatru. Może przed laty miał jakąś sprawę, której już nie pamiętam? Mężczyzna z blizną podszedł do mnie. Teraz staliśmy przed zasłoniętym deskami oknem wystawowym starego sklepu. Stał bardzo blisko mnie, żeby nie mogli nas rozdzielić przechodnie. Na jego twarzy malował się uśmiech wyginający w łuk bliznę na policzku.

– Rozepnij płaszcz i zajrzyj pod niego, Flynn.

Przeszukując niezdarnie zeszytwniałymi palcami kieszenie, nic nie znalazłem. Rozpiąłem płaszcz. Od razu zauważyłem niby rozdarcie, jakby jedwabną podszewkę oderwano wzdłuż ścięgu. Ale nie było to rozdarcie. Po dłuższej chwili zorientowałem się, że pod płaszczem znajdowała się cienka, czarna kamizelka, jakby druga podszewka. Przedtem jej tam nie było. Ten facet musiał wsunąć ją pod płaszcz, gdy byłem w łazience. Przesunąłem palcami po plecach i wyczułem rzep zamykający kieszeń schodzącą w dół do talii. Rozdarłem rzep i wsunąłem rękę do środka. Poczułem luźną nitkę.

Wyciągnąłem ją z ukrytej kieszeni.

Ale to nie była zwykła nitka; to był giętki drucik.

Czerwony drucik.

Przesunąłem palcami wzdłuż drutu i wyczułem cienkie, plastikowe pudełko i jakąś gmatwaninę drucików, a później dwa prostokątne wybrzuszenia po obu stronach pleców.

Zaparło mi dech w piersiach.

Miałem na sobie bombę.

Nie musiał do mnie strzelać na Chambers Street na oczach trzydziestu świadków. On mógł mnie wysadzić w powietrze z Bóg wie iloma jeszcze innymi ofiarami.

– Nie próbuj uciekać, bo zdetonuję to. Nie próbuj zdjąć tego z siebie. Nie próbuj zwracać na siebie uwagi. Nazywam się Arturas. – Wymówił to słowo jak Ar-toras, ciągle się uśmiechając.

Zaczerpnąłem łyk powietrza, z trudem zmuszając się do oddychania.

– Spokojnie – powiedział Arturas.

– Czego chcesz? – spytałem.

– Mój pracodawca zamierza wynająć twoją firmę, aby go reprezentowała. Mamy do załatwienia niedokończony interes.

Ulżyło mi; nie chodziło o mnie. Chodziło o moją starą firmę prawniczą. Od razu pomyślałem, że mogę tego faceta wcisnąć Jackowi Halloranowi.

– Przykro mi, kolego, ale to nie jest już moja firma. Rozmawiasz z niewłaściwym facetem. A tak przy okazji, dla kogo pracujesz?

– Myślę, że znasz to nazwisko – dla pana Wołczeka.

O, cholera! Miał rację. Znam to nazwisko. Oleg Wołczek był bossem rosyjskiej mafii. Mój były wspólnik, Jack Halloran, zgodził się go reprezentować na miesiąc przed naszym rozstaniem. Wtedy Wołczeka czekał proces o morderstwo – chodziło o porachunki gangsterskie. Nigdy się nie zapoznałem z aktami sprawy, nawet nie spotkałem Wołczeka. W tym czasie zajmowałem się tylko obroną Teda Berkeleya, maklera giełdowego, który rzekomo brał udział w porwaniu, i zawałem sprawę. Kompletnie się załamałem, a potem, gdy już jakoś się otrząsałem, okazało się, że straciłem rodzinę, więc topiłem smutki w morzu whiskey. Prawie rok temu porzuciłem zawód prawnika, a Jack z przyjemnością przejął po mnie firmę. Nie byłem w sali sądowej, odkąd ława przysięgłych wydała wyrok w sprawie Berkeleya – i nie miałem zamiaru na razie wracać do zawodu.

Jack to inna historia, on miał problemy z hazardem. Ostatnio słyszałem, że chce sprzedać firmę i wyjechać z miasta. Pewnie wziął już zaliczkę od Wołczeka. Prawdopodobnie ruscy mafiosi nie mogli znaleźć Jacka, dlatego zaczęli szukać mnie – w sprawie zwrotu ich forsy, stosując stare jak świat metody. Czy to może oznaczać, że już jestem bankrutem? Będę musiał im zwrócić tę cholerną forszę. Jak zwrócę, wszystko będzie okej. Zapłacę temu facetowi, i dobrze... Nie był terrorystą. Był gangsterem. A gangsterzy nie detonują ładunków wybuchowych na plecach facetów, którzy są im winni pieniądze. Oni chcą tylko, żeby im zapłacili.

– Posłuchaj, ty chcesz Jacka Hallorana. Ja nigdy nie spotkałem pana

Wołczeka. Jack i ja nie jesteśmy już współnikami. Ale w porządku, jeżeli chcesz zwrotu zaliczki, mogę ci zaraz wypisać czek.

Inna sprawa, czy ten czek będzie miał pokrycie. Właściwie miałem na koncie nieco ponad sześćset dolarów, zalegałem z czynszem, z rachunkami za rehabilitację i nie miałem żadnych dochodów. Głównym problemem była opłata za leczenie odwykowe, ale po odstawieniu takich ilości whiskey bez terapii z pewnością byłbym już trupem. Musiałem sięgnąć po pomoc u specjalistów. Stwierdziłem jednak, że nie wyprodukowano na świecie tyle Jacka Danielsa, ile pomogłoby mi usunąć z pamięci to, co się stało w sprawie Berkeleya. Ostatecznie uwolniłem się od alkoholu i w końcu doszedłem do porozumienia z moimi wierzycielami. Stało się to po dwóch tygodniach od rozpoczęcia wszystkiego od nowa. Jeżeli Rosjanie zechcą więcej niż kilkaset dolarów, jestem załatwiony na cacy.

– Pan Wołczek nie chce twojej forsy. Zatrzymaj ją sobie. Możesz nawet na tym zarobić – oznajmił Arturas.

– Co masz na myśli, mówiąc „zarobić”? Posłuchaj, wypadłem z obiegu. Prawie rok temu pożegnałem się z zawodem prawnika. Nie mogę ci pomóc, ale mogę zwrócić panu Wołczekowi zaliczkę. Tylko proszę, zdejmij to ze mnie – powiedziałem i chwyciłem płaszcz, gotów go zdjąć.

– Nie – odparł. – Ty, adwokat, nic nie rozumiesz. Pan Wołczek chce, żebyś coś dla niego zrobił. Masz *zostać* jego adwokatem i on ci za to zapłaci. Musisz to zrobić. Albo w tym życiu nic już więcej nie zrobisz.

Czułem, jak w panice głos mi więźnie w ściśniętym gardle. To nie miało żadnego sensu. Byłem przekonany, że Jack uświadomił Wołczeka, że odszedłem z zawodu, że już nie poradzę sobie z żadną trudną sprawą.

Przy krawężniku zatrzymała się długa, wypasiona biała limuzyna. Na wywoskowanej karoserii zobaczyłem swoje zniekształcone odbicie. Siedzący na tylnej kanapie pasażer otworzył drzwi, mój wizerunek wykrzywił się i zniknął. Arturas stanął obok otwartych drzwi i skinął na mnie, wskazując ręką, żebym wsiadł. Próbowałem się opanować; pogłębiłem oddech, starałem się zwolnić rytm serca i rozpaczliwie tłumiliłem chęć wymiotowania. Dzięki przyciemnionym szybom w limuzynie panował mrok. Czułem, że za chwilę pogrążę się w czarnej toni.

Przez moment jakimś cudem wszystko znieruchomiało – tak jak ja i te szeroko otwarte drzwi auta. Gdybym chciał uciec, nie dobiegłbym daleko. Ale gdybym wsiadł do limuzyny, znalazłbym się blisko Arturasa. Wiedziałem, że wtedy nie odważy się odpalić bomby. Cały czas przeklinałem siebie, że nie jestem już tak bystry i zręczny jak dawniej. Nim skończyłem studia prawnicze, zgarniałem miliony dolarów. Byłem wtedy na tyle bystry i zręczny, że z pewnością dostrzegłbym tego faceta, zanim zbliżył się do mnie na odległość trzech metrów.

Wybrałem – wszedłem do króliczej nory.

ROZDZIAŁ DRUGI

Siadając i opierając się, poczułem na plecach ucisk bomby.

Z tyłu siedziało czterech mężczyzn. Arturas wsiadł za mną i zamknął drzwi. Usiadł po mojej lewej stronie, z twarzy nie schodził mu ten niepokojący uśmiezek. Słyszałem pomruk silnika, ale auto cały czas parkowało przy krawężniku. Poczułem zapach tłętego się cygara i nowej skóry na kanapach. Od kierowcy oddzielała nas zaciemniona szyba.

Na podłodze stała biała, skórzana, sportowa torba treningowa. Po mojej prawej stronie dwóch mężczyzn w czarnych płaszczach zajmowało miejsca na kanapce dla sześciu pasażerów. Byli tak dziwacznie ogromni jak jakieś postaci z bajki. Pierwszy miał długie blond włosy związane na karku w koński ogon. Drugi, z krótkimi, brązowymi włosami, wydawał się ogromny – jego głowa była wielkości piłki do koszykówki – jednak z łatwością mógłby uchodzić za karzełka w porównaniu z gigantycznym blondynem, ale to właśnie on zrobił na mnie najgorsze wrażenie. Wydawało się, że jego twarz nie odzwierciedla żadnych emocji, żadnych uczuć, lodowato groźne spojrzenie na pół martwej duszy. Jeśli jesteś bystrym kanciarzem, polegasz na swoich umiejętnościach i zawsze wiesz, co *powiedzieć*. Potrafisz manipulować czyimiś emocjami i panować nad naturalnymi ludzkimi odruchami, ale istnieje pewien rodzaj ludzi nieczułych na zwykłe odruchy, a każdy normalny facet z miejsca ich rozpozna i będzie się starał trzymać od nich z daleka – bo to są psychopaci. Olbrzym z brązowymi włosami wyglądał jak podręcznikowy psychol.

Naprzeciwko mnie siedział Oleg Wołczek. Miał na sobie czarny garnitur i białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Nieogoloną twarz okalała siwiejąca szczecina. Jego włosy również były przyprószone siwizną. Mógłby uchodzić za przystojnego mężczyznę, gdyby nie wrogość, jaka wyraźnie biła z jego oczu, zdecydowanie niszcząca korzystny wygląd. Rozpoznałem go ze zdjęć w gazetach i z telewizji; był bossem mafii, zabójcą, dilerem narkotykowym.

Ale było też pewne jak diabli, że nie zostanie moim klientem.

Przez całe życie miałem do czynienia z takimi ludźmi jak Wołczek – byli moimi przyjaciółmi, wrogami, a nawet klientami. Bez względu na to, skąd pochodzili – z Bronksu, Compton, Miami albo z Małej Odessy, szanowali tylko jedno – siłę. I teraz nie mogłem im pokazać, jak cholernie się boję, bo natychmiast byłbym trupem.

– Nie pracuję dla ludzi, którzy mi grożą – oświadczyłem.

– Nie masz wyboru, Flynn. Już jestem twoim nowym klientem – odparł

Wołczek. Mówił nieco łamaną angielszczyzną, z silnym rosyjskim akcentem. – Czasem, jak to mówicie wy, Amerykanie, trzeba wdepnąć w gówno. Jeżeli chcesz, możesz za to winić Jacka Hallorana – ciągnął.

– Owszem, winię go za wiele rzeczy. Dlaczego to nie on ciebie reprezentuje? Gdzie jest?

Wołczek spojrział na Arturasa i przez chwilę kopiował jego niezmywalny uśmiezek. Potem skierował wzrok na mnie i oświadczył:

– Jack Halloran, zgadzając się wziąć moją sprawę, stwierdził, że jest z góry przegrana. Wiedziałem o tym, bo przed Jackiem zwróciłem się do czterech innych firm prawniczych. A jednak Jack podjął się zrobić to, czego inni zrobić by nie mogli. Więc zapłaciłem mu i dostał tę robotę. Niestety, nie dotrzymał umowy.

– To źle. Jednak to mnie nie dotyczy – odparłem, starając się opanować drżenie głosu.

– I tu się mylisz – powiedział Wołczek.

Wyjął z leżącego obok niego złotego pudełka małe cygaro w kolorze czekolady, obciął je, zapalił i kontynuował:

– Dwa lata temu rozkazałem załatwić mężczyznę nazwiskiem Mario Geraldo. Poprosiłem o to Małego Benny'ego. Po wszystkim dał się złapać i wygadał się FBI. Dostarczył dowody, że to ja zleciłem zabójstwo. Wszyscy adwokaci, z którymi się kontaktowałem, mówili, że Benny będzie gwiazdą wśród świadków oskarżenia i że dzięki dostarczonym przez niego dowodom zostaną skazani. Co do tego nie mieli wątpliwości.

Tak mocno zaciskałem szczękę, że już zaczynała mnie boleć.

– Benny siedzi w areszcie FBI i jest dobrze chroniony. Moi ludzie nie mogą go znaleźć. Jako mój adwokat będziesz miał okazję się do niego dostać. – Ściszył głos i dodał: – Przed przesłuchaniem Benny'ego zdejmiesz kamizelkę i kiedy sąd będzie jeszcze pusty, przyczepimy bombę w boksie dla świadków. Benny zajmie miejsce, a my zdetonujemy bombę. Nie ma Benny'ego, nie ma sprawy, nie ma problemu. Ty jesteś zamachowcem, Flynn. Idziesz do więzienia. Ale prokurator nie zdobędzie dowodów twojej winy, odbędzie się rewizja procesu i wychodzisz na wolność.

– Zwariowałeś, sukinsynu – skwitowałem.

Z początku Wołczek nie zareagował. Nie wściekł się i nie groził. Przez chwilę siedział nieruchomo, potem pochylił głowę, jakby rozważając jakieś opcje. Gdyby nie dudnienie mojego serca, w aucie panowałaby niczym niezmacona cisza. Zastanawiałem się, czy czasem nie zapracowałem na kulkę. Nie mogłem oderwać wzroku od Wołczeka, ale równocześnie czułem, że wszyscy gapią się na mnie niemal z ciekawością, tak jak się patrzy na kogoś, kto właśnie wetknął rękę w gniazdo jadowitej żmii.

– Zanim podejmiesz decyzję, chciałbym, żebyś sobie na coś popatrzył – powiedział Wołczek i kiwnął na Arturasa.

Arturas podniósł torbę sportową i ją otworzył.

W środku leżała głowa Jacka. Poczułem, jak mi się wywraca żołądek – do ust napłynęła ślina. Zwymiotowałem, zakryłem usta i zacząłem się krztusić. Wypłułem. Walcząc, aby nie zemdleć, chwyciłem siedzenie, zaciskając palce tak mocno, że paznokcie wbiły się w skórzaną tapicerkę. Cały spokój zniknął bez śladu.

– Sądziłeś, że Jack to zrobi. Myliliśmy się. Ale z tobą już nie chcieliśmy ryzykować, Flynn – mówił Wołczek, pochylając się ku mnie. – Mamy twoją córkę.

Czas, oddech, krew, ruch – wszystko zamarło.

– Jeśli ją tylko tkniesz...

Z kieszeni spodni wyjął telefon komórkowy i podsunął mi tak, żebym mógł zobaczyć ekran. Amy stała na ciemnym rogu ulicy przed kioskiem z gazetami. Moja mała dziewczynka. Miała tylko dziesięć lat. Stała gdzieś tam, na jednej z ulic Nowego Jorku, obejmując się rączkami z zimna, patrząc ze strachem w obiektyw. Za nią na ekranie widniał nagłówek o statku handlowym, który w sobotnią noc zatonął na rzece Hudson.

Czułem, że moja koszula jest mokra od potu. Pot na twarzy i we włosach. Ale już nie czułem strachu – nic mnie nie obchodziła bomba na plecach, rewolwer i dwóch niemych olbrzymów wlepiających we mnie martwe oczy.

– Zwróć mi ją, a pozwolę ci żyć – warknąłem.

To wywołało śmiech Wołczeka i jego ludzi. Oni mnie znali jako Eddiego Flynna, adwokata; nie znali dawnego Eddiego Flynna – cwaniaka, łobuza i oszusta. Tak naprawdę ja też już zupełnie o nim zapomniałem.

Wołczek pochylił głowę i zaczął mówić; wydawało się, że bardzo starannie dobiera słowa:

– W twojej sytuacji nie powinieneś tak mówić. Nie bądź głupi. Twojej córce nic nie grozi, pod warunkiem że zrobisz to, co ci powiem.

– Wypuść ją. Nie zrobię nic, póki nie będę miał pewności, że jest bezpieczna. Zabij mnie, jeżeli chcesz. Jeśli zaraz jej nie wypuścisz, to nawet lepiej, żebyś mnie zabił, wtedy może uda mi się zabrać cię do grobu z kciukami wbitymi w twoje gały.

Wołczek zaciągnął się cygarem, otworzył usta i przez chwilę nie wypuszczał dymu, delektując się aromatem.

– Twoja córka jest bezpieczna. Wczoraj odebraliśmy ją przed szkołą, gdy czekała na szkolny autobus, i zabraliśmy na wycieczkę. Jest przekonana, że ludzie, którzy się nią zajęli, to ochrona pracująca dla ciebie. Kiedyś już grożono ci śmiercią i ona o tym wie. Twoja była żona myśli, że Amy pojechała ze szkolną wycieczką na Long Island. A szkoła jest przekonana, że córka jest z tobą. Wróci za dzień, dwa. Ale jeżeli nam odmówisz, zabiję ją. To jednak nie będzie najbardziej przykre. Postaramy się, żeby przed śmiercią cierpiała. Niektórzy z moich ludzi...

Celowo przerwał, jakby szukając właściwych słów, i pozwolił, aby moja wyobraźnia dostarczyła mi koszmarnych wizji, co się może stać z córką.

Czułem napięcie w każdym mięśniu. Adrenalina spotęgowała wściekłość.

– No, niektórzy z moich ludzi mają *niezwykły apetyt* na ładne małe dziewczynki.

Rzuciłem się na Wołczeka. Zerwałem się z siedzenia, zanim doszło do mnie, co robię. Nie mogłem tego tolerować; pochyliłem głowę i wymierzyłem cios prosto w lewy policzek. Z jego ohydnej gęby wyleciało cygaro, a ja, łapiąc równowagę, cofnąłem lewą rękę, chcąc go wyrzucić pięścią w gardło.

Zanim zdążyłem zadać drugi cios, ogromna łapa chwyciła mnie za kark i cisnęła na podłogę. Odwróciłem się i ujrzałem nad sobą tego psychola z głową jak dynia. Już chciał mnie chwycić za tyłek, jak niegrzeczne dziecko, gdy wróciły moje dawne nawyki. Prawą ręką chwyciłem go za twarz, i z całej siły wbiłem paznokcie w gąbczaste czoło. To natychmiast wywołało u niego dekoncentrację i zanik świadomości. Lewą rękę wsunąłem do kieszeni jego kurtki i wyciągnąłem portfel. Trwało to ułamek sekundy. Szybko i gładko. No, przynajmniej nie straciłem przez te lata sprawności i szybkości. Klasyczne podwędzenie portfela. Duży nawet tego nie zauważył; był zbyt zajęty odpychaniem mojej głowy. Wsuwając portfel do kieszeni, ujrzałem nad sobą pięść wielkości talerza obiadowego. Odwracając się, aby uniknąć ciosu w twarz, poczułem piekący ból z tyłu czaszki. Padłem, uderzając głową o podłogę limuzyny.

Leżąc na podłodze, czułem niesamowity ból głowy. To była moja pierwsza robota kieszonkowa od piętnastu lat. Instynktowna, bo taki właśnie byłem.

Nie... bo taki właśnie *jestem*.

Umiejętności, które wykorzystywałem i udoskonalałem – nie byłem zwykłym kanciarzem, ale artystą w tym fachu – to: rozkojarzanie, sugestia, perswazja, ogłupianie i ostatecznie atak. Tę metodę stosowałem także, przez dziewięć lat pracując w sądzie. Zmienił się tylko sposób ogłupiania i nabierania.

Moje oczy i umysł okryła gęsta ciemność.

ROZDZIAŁ TRZECI

Ocknąłem się na skórzanym siedzeniu. Bolała mnie potylicca. Jeden z goryli – duży blondyn, sprawiający wrażenie, jakby właśnie stracił miejsce w szwedzkim zespole heavymetalowym – trzymał na moim karku woreczek z lodem. Słodki, gryzący zapach cygara Wołczeka sprawiał, że zaczęło mi się zbierać na wymioty. Pewnie podnieśli mnie z podłogi limuzyny i rzucili na siedzenie. Oczy piekły mnie od dymu, ale szybko się zorientowałem, że tego olbrzymiego psychola, który mnie rąbnął, nie ma już w aucie. Chwyciłem lód i rzuciłem go na podłogę.

– Jesteśmy niedaleko gmachu sądu – oznajmił Arturas.

Usiadłem.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Ponieważ proces pana Wołczeka zaczyna się dziś rano – wyjaśnił Arturas.

– Dziś rano? – zdziwiłem się. Przywołałem w myślach widziany w telefonie Wołczeka wizerunek mojej córki i poczułem gniew potęgujący ból w karku i napięcie w mięśniach.

– Proces ma się zacząć za godzinę. Ale zanim tam pójdziesz, musimy mieć pewność, że zrobisz to, o co cię prosimy. W przeciwnym razie najpierw zabijemy ciebie, a potem twoją rodzinę – powiedział Arturas. Wyjął rewolwer i położył go na kolanie.

Arturas podał mi drogi kieliszek napełniony płynem koloru uryny. Pachniał jak bourbon. Wychyliłem go i poczułem znajome cierpkie ciepło. Był to mój pierwszy drink od odwyku. Przez sekundę pomyślałem, ile jestem winien klinice, lecz szybko pozbyłem się podobnych myśli – nie było na to czasu, ani nie było to miejsce do roztrząsania problemu nadużywania alkoholu, czy też w ogóle do zastanawiania się nad czymkolwiek.

Wyciągnąłem rękę po następny i Arturas nalał z karafki od kompletu. Szybko przełknąłem, ciesząc się palącym ogniem. Wstrząsnął mną dreszcz i próbując zebrać rozproszone myśli, potrząsnąłem głową, jak potrząsa się shakerem, mieszając *Magic 8-Ball*, jednak nie udzieliłem żadnej odpowiedzi.

– Gdzie jest moja córka?

– Na razie bezpieczna i szczęśliwa – odparł Arturas. Nalał mi kolejny kieliszek. Odsunąłem go i próbowałem zebrać myśli.

– Dlaczego zabiłeś Jacka? – zapytałem.

Wołczek skinął na Arturasa; był uszczęśliwiony możliwością przedstawienia szczegółów.

– Wszyscy prawnicy mówili, że po zeznaniach Benny'ego Wołczek zostanie

skazany za morderstwo. Zatem zabicie Benny'ego ma sens; jest najprostszym rozwiązaniem, jednak nie mogliśmy go znaleźć. *Nakłanialiśmy* Jacka, żeby włożył kamizelkę, abyśmy mogli zabić Benny'ego, gdy wejdzie do sądu. Ale on nie chciał tego zrobić.

Zastanawiałem się, w jaki sposób go nakłaniali. Niewątpliwie był torturowany. Jack był dupkiem uzależnionym od hazardu, ale nie był już moim współnikiem i moje uczucia dla niego nieco osłabły. Jack z pewnością nie zgodziłby się nosić na sobie bomby. On nie miał nawet ochoty nosić swojej teczki. Musieli nad nim ciężko pracować.

– Dlaczego Jack? – zapytałem.

– Bo był nietypowym prawnikiem. Wiedzieliśmy, że założyliście firmę za pożyczoną u lichwiarza forszę. Jack miał opinię krętacza i nie spłacał długów. Potrzebował forsy; po twoim odejściu klienci zaczęli unikać firmy, a my potrzebowaliśmy kogoś, kto przemyci bombę niezauważony przez ochronę. A sąd ma dobrą ochronę i dziś będą się jeszcze bardziej starać. My nie możemy tam przemycić bomby. Przeszukują wszystkich wchodzących, skanują, a potem znowu przeszukują – wszystkich, z wyjątkiem ciebie i Jacka. Wiemy o tym. Od miesiący obserwowaliśmy, jak wchodzicie do gmachu sądu. Nigdy was nie przeszukiwano. Ochrona pozwalała wam przejść – jak starym znajomym. Powiedzieliśmy Jackowi to samo co tobie: włóż kamizelkę z bombą i ruszaj do sądu.

Arturas rzucił szybkie spojrzenie Wołczekowi. Byli zgranym tandemem: Arturas prosto i klarownie wyłożył karty i wydawał się zadowolony, że teraz szef będzie musiał poradzić sobie z zastraszeniem mnie.

– Jack siedział na twoim miejscu, Flynn, zaledwie przed trzema dniami. Nosił tę samą kamizelkę, z tą samą bombą. Powiedzieliśmy mu to samo co tobie. Potem otworzyłem drzwi tego auta i powiedziałem, żeby poszedł i wykonał to, co do niego należy – dodał Wołczek i spuścił wzrok, wpatrując się w podłogę.

Po chwili z szarego dymu cygara wyłoniła się jego głowa.

– Jack zastygł w bezruchu – kontynuował. – Zaczął się trząść jak... jak to nazywacie... jak epileptyk? ...gdy mu to zakładano. Po nodze spłynął strumyk moczu. Zatrzasnęliśmy drzwi auta i zawieźliśmy go do nas.

Ssąc cygaro, Wołczek obserwował żarzący się czubek.

– Przywiązałem go do krzesła. Powiedziałem, że zabijemy jego siostrę, jeśli nie zrobi tego, o co go proszę. Ten tu, Wiktor – wskazał blondyna – przyprowadził do nas jego siostrę. Wyjąłem nóż i przeciągnąłem nim po jej twarzy. *Zrobisz to teraz?* – zapytałem go. Nic. Ciąłem drugi raz, a on tylko siedział.

Czułem, jakby mi ktoś założył klamrę na piersi. Ten potwór miał moją córeczkę. Ten odgłos nieco mnie zaskoczył – to z napięcia stawy palców strzeliły, gdy zacisnąłem dłoń; w drugiej ręce trzymałem pusty kieliszek i myślałem o ciśnięciu nim w Wołczeka. Jednak powstrzymałem się.

Poprzedni atak zakończył się dla mnie źle, nie chciałem zarobić drugiego ciosu w głowę.

Jeszcze nie teraz.

– Wtedy zorientowałem się, że nie mogę polegać na Jacku. Zanim go zabiłem, dałem jego siostrze możliwość wyrównania rachunków. Podałem jej nóż. Pomogłem go pociąć, brzydko pociąć...

Jego oczy płonęły ogniem. Zdawał się rozkoszować tymi wspomnieniami.

– Jack podpisał na siebie wyrok. Odciałem mu głowę i podałem siostrze. Potem ją zabiłem. Była dzielna. Nie tak jak jej brat.

Spojrzałem na torbę leżącą na podłodze, teraz była wielkodusznie zamknięta, i pomyślałem o Jacku. Przypomniałem sobie, jak bardzo go nienawidziłem. Gdybym mógł, jednym kopnięciem wysłałbym tę odciętą głowę wprost do rzeki Hudson. Jack zasłużył sobie na to, żeby jego głowa spoczęła na dnie rzeki obok zatopionego statku.

– Nie mamy czasu na czczą gadaninę – kontynuował Arturas. – Nie zdejmuj kamizelki z bombą, Flynn, uspokój się, przemyć ją i pamiętaj o córce, wtedy ją uratujesz. Jeżeli cię złapią, pójdiesz do więzienia za próbę wysadzenia w powietrze budynku publicznego. Możesz dostać dożywocie, bez warunkowego zwolnienia. Co o tym myślisz?

Myślałem, że ma rację. Ludzie próbujący wysadzać budynki w tym mieście zwykle nie mogą się spodziewać łagodnego wyroku. Niewątpliwie zostałbym skazany na spędzenie reszty życia w więzieniu. Jedyne, co mogłoby przemawiać na moją korzyść, to fakt, że zmuszono mnie do przemycenia bomby i byłem szantażowany, że zabiją moją córkę. Jednak nawet skrajny przymus nie jest wystarczającą obroną, chociaż być może ta okoliczność pozwoliłaby mi uniknąć dożywocia.

Na twarzy Arturasa znowu ukazał się ten jego obrzydliwy uśmieszek. Odniosłem wrażenie, że odgaduje moje myśli. Wołczek zgasił cygaro i gapił się na mnie przez rzedniejący dym. Pomyślałem, że obaj są bezwzględnyimi bandziorami, a każdy z nich był na swój sposób inteligentny. Arturas był mózgiem całej akcji – doradcą Wołczeka. Jego szef z kolei był powolny, poruszał się niczym kot czający się w wysokiej trawie na ofiarę; jego inteligencja należała do wyższego rzędu – była niemal intuicyjnie zwierzęca. Instynkt podpowiadał mi, że ci ludzie nie wypuszczą mnie żywego, bo istniało ryzyko, że bym wszystko wygadał, bez względu na to, co się stanie.

– Od dawna nie byłem w sądzie. Skąd wiecie, że będę mógł tam wejść bez przeszukania?

– Znasz tych ochroniarzy i – co ważniejsze – oni znają ciebie – powiedział Arturas. Mówił coraz głośniejszym głosem, akcentując każde słowo. – Długo obserwowaliśmy ten budynek. Spędziłem prawie dwa lata na planowaniu tego do najmniejszego szczegółu. Temu, kto ma przemyścić bombę, musi ufać ochrona, to musi być ktoś, kogo się nie sprawdza. Innego sposobu na wniesienie bomby do sądu nie ma. Obserwowałem ciebie, jak spóźniony

wbiegasz do sądu; kiwałeś strażnikowi przy biurku i przechodząc przez bramkę, uruchamiałeś alarm. Oni ignorowali to i odpowiadali kiwnięciem ręki. Coś mówiłeś do strażników. Oni ciebie dobrze znali. Znali nawet numer twojego telefonu komórkowego.

Pozbyłem się wszystkich telefonów komórkowych – dostałem je od Jacka. Nie znosiłem myśli, że ktoś może mnie zlokalizować dzięki najbliższej wieży komunikacyjnej telefonii komórkowej. To był kac z przeszłości, z której nigdy się nie otrząsałem. W czasach, gdy praktykowałem, przez większość dnia przebywałem w sądzie. Jeżeli ktoś pilnie mnie potrzebował, dzwonił na telefon stacjonarny w lobby. Zwykle ktoś z ochrony wiedział, w którym sądzie jestem, i tam mnie łapali. Sprawę załatwiało kilka butelek whiskey dla chłopców z ochrony na Boże Narodzenie i koszt dla każdego na Dzień Dziękczynienia, jako drobny upominek za tego rodzaju przysługi.

Trochę mi się rozjaśniło w głowie.

– Dlaczego nie załatwicie tego faceta w inny sposób? Może snajper, kiedy będzie w drodze do sądu?

Arturas skinął głową.

– Myślałem o tym. Zbadałem każdą możliwość. Ale my nie wiemy, gdzie on jest i w jaki sposób przewiozą go do sądu. To jest jedyny sposób. Wszystkie poważne firmy prawnicze działające w tym mieście badały tę sprawę. Ty i Jack większość spraw prowadziliście tu, przy Chambers Street. Znasz cały personel. Tamci prawnicy żądali dziewięciuset dolarów za godzinę. Myślisz, że mieliby czas gadać z ochroną? Nie. Już od pierwszej chwili wiedziałem, co robić, kiedy zobaczyłem ciebie i Jacka jak przechodzicie przez kontrolę, uruchamiając alarm, i nikt nawet nie mrugnął okiem. To ty podsunąłeś mi rozwiązanie.

Teraz Arturas był w swoim żywiole. Wyraźnie to był jego plan. Wydawał się w jakimś sensie zdystansowany, racjonalny i wyobrażałem sobie, że zachowałby się identycznie w chwili pociągania za spust. Inaczej Wołczek. Nawet jeśli sprawiał wrażenie spokojnego, po tym, jak go uderzyłem, czułem, że za tym pozornym spokojem czai się bestia, gotowa w każdej chwili skoczyć.

Skryłem twarz w dłoniach i oddychałem wolno, głęboko.

– Jest jeszcze coś, Flynn – rzucił Wołczek. – Musisz wiedzieć, że należymy do bojowników. Jesteśmy dumni, twardzi. Jesteśmy *Bractwem*, to znaczy *Braterstwem*. Ufam temu człowiekowi. – Położył rękę na ramieniu Arturasa. – Musisz wnieść kamizelkę do środka. Ale jeżeli coś pójdzie nie tak, jeden telefon i twoja córka umrze. Jednak wiem, że wejdiesz. Jestem pewny. W tobie też widzę bojownika. Lubisz walczyć... byle nie ze mną.

Przerwał, żeby zapalić następne cygaro.

– Ja i Arturas przybyliśmy tu przed dwudziestoma laty z niczym. Aby znaleźć się w tym miejscu, w którym teraz jesteśmy, rozlaliśmy morze krwi i do celu nie dotarliśmy bez walki. Nie jesteśmy głupi. Proces został zaplanowany na trzy dni. Tobie dajemy dwa. Więcej nie możemy ryzykować.

Dwa dni na wystawienie Małego Benny'ego, żebyśmy mogli go zabić. Jeżeli nie umrze jutro przed godziną 16, nie będę miał wyboru, będę musiał uciekać. Im dłużej sprawa będzie się wlokła, tym bardziej prawdopodobne, że oskarżyciel spróbuje uchylić moje zwolnienie za kaucją. Tak mi powiedział ten dziewięćset-dolarowy-za-godzinę prawnik. Jesteś dość mądry, żeby wiedzieć, że miał rację.

Miewałem już z czymś takim do czynienia. Większość oskarżycieli na początku, kiedy oskarżony ubiega się o zwolnienie za kaucją, nie dysponuje przytłaczającymi dowodami winy. Badania DNA, przygotowanie ekspertyz biegłych, to wszystko trwa. W tym czasie sprawa trafia do sądu i zaczyna się proces. Jeżeli oskarżenie zgromadzi wystarczające dowody, a oskarżyciel dobrze je zaprezentuje i uzasadni, wtedy może złożyć do sądu wniosek, aby cofnął pozwanemu zgodę na zwolnienie za kaucją. To zwykle pieczętuje los oskarżonego. Ale to jeszcze nic, całe to odwlekanie pozwala wtedy funkcjonariuszowi więzienia założyć podsądnemu kajdanki, tak aby widzieli to sędziowie przysięgli. Drugi rzut oka na te bransoletki – i załatwione. Za każdym razem sędziowie przysięgli wydają wyrok skazujący.

Potaknąłem Wołczekowi głową. Wiedział, że byłem wystarczająco doświadczony, aby znać taktyki postępowania oskarżenia, dlatego nie miałem żadnych punktów zaczepienia, aby zaprzeczyć.

Wołczek, przedstawiając mi swoje ultimatum, starał się ukryć w głosie prawdziwą, brutalną naturę.

– Sąd ma mój paszport, to jeden z warunków udzielenia zwolnienia za kaucją. Trzy razy w roku otrzymuję z Rosji towar. Przylatuje prywatnym samolotem na leżący niedaleko stąd pas komercyjny. Ten samolot będzie jutro o 15.00 i zostaje do 18.00. Jeżeli Benny o 16.00 będzie jeszcze żył, tobie zabraknie czasu. Ja o 16.00 muszę opuścić sąd, żeby zdążyć na samolot. To jest moja ostatnia szansa opuszczenia Stanów Zjednoczonych. Ale ja chcę tu zostać. Chcę walczyć. Mały Benny musi umrzeć jutro przed 16.00, albo zabiję ciebie i twoją córkę. To mogę ci uroczyście przyrzec.

Szklanka z whiskey drżała mi w ręce.

Czułem się, jakbym spadał. Moje ciało stało się ciężkie, bezwładne, szczęka drżała i musiałem mocno zacisnąć zęby, żeby nie dzwoniły. Z przeciętej dłoni kapłała krew, ale nie czułem bólu. Nie mogłem się ruszyć. Oddech stał się urywany.

Jeżeli coś się stanie Amy, ból mnie zabije. Na samą tylko myśl o tym czułem, jak płonie mi mózg, mięśnie i serce. Moja żona, Christine, dużo wycierpiała z mojego powodu – długie godziny w biurze; telefony o trzeciej w nocy z posterunków dzielnicowych całego miasta, gdy gliniarze aresztowali któregoś z moich klientów; spóźnienia na kolacje i to ciągle przepraszanie, że robię to wszystko dla niej i dla Amy. Kiedy rok temu sięgnąłem po butelkę, Christie mnie rzuciła. Straciłem coś, co było dla mnie najcenniejsze. Czy teraz mam stracić córkę? Nawet nie mogłem dopuścić myśli o podobnym horrorze.

Nagle usłyszałem dochodzący skądś głos mojego ojca, człowieka, który nauczył mnie, jak wyłudzać forszę, człowieka, który powiedział mi, co robić, gdy wpadnę jako naciągacz – *Musisz przetrwać, bez względu na wszystko.*

Zamknąłem oczy i cicho się modliłem.

Drogi Boże, pomóż mi. Pomóż, proszę, mojej dziewczynce. Tak bardzo ją kocham.

Otarłem oczy, zanim zaczęły płynąć łzy, pociągnąłem nosem i przewinałem menu na zegarku cyfrowym, ustawiając stoper na odliczanie.

– Musisz podjąć decyzję, prawniku – powiedział Arturas, dotykając rewolweru.

– Zrobię to. Tylko zostawcie w spokoju Amy. Ona ma zaledwie dziesięć lat – powiedziałem.

Wołczek i Arturas spojrzeli po sobie.

– Dobrze – rzucił Arturas. – Zatem teraz już idź i po przejściu przez kontrolę zaczekaj na mnie w lobby.

– Chciałeś powiedzieć: *jeżeli* przejdę przez kontrolę.

– Czy mam powiedzieć twojej córce... żeby się za ciebie modliła? – zapytał Arturas.

Nie odpowiedziałem. Arturas przyglądał mi się, jak wychodziłem z auta na chodnik.

– Pamiętaj. Obserwujemy cię, a nasi ludzie mają twoją córkę – rzucił przez okno limuzyny.

Skinąłem głową i powiedziałem:

– Z tobą na pewno nie będę walczyć.

Kłamałem.

Tak jak oni okłamywali mnie. Nieważne, co mówili, nieważne, co mi obiecywali. Jutro o 16.00, nawet jeżeli Benny będzie już plamą na suficie sali sądowej, oni i tak nie wypuszczą Amy. Będą chcieli zabić mnie i moją małą córeczkę.

Miałem tylko trzydzieści jeden godzin.

Trzydzieści jeden godzin na przechytrzenie rosyjskiej mafii i odzyskanie córki. I nie miałem pojęcia, jak się do tego zabrać. Otuliłem się ciasno płaszczem i zapiąłem go. Położyłem kołnierz. Skręciłem do sądu. W uszach ciągle brzmiał mi głos ojca: *Musisz przetrwać...* Dłoń przestała krwawić. Czuję, że jest mi zimniej; wydawało się, że mój oddech zamarza i spada przede mną na chodnik. Kiedy ta lodowata mgła przerzedziła się, zobaczyłem coś, czego w ciągu dwudziestu lat codziennej praktyki nie oglądałem w tym sądzie – kolejkę, może z czterdziestu ludzi, złożoną z reporterów, prawników, świadków, oskarżonych i ekip telewizyjnych – wszyscy czekali na przejście przez kontrolę ochrony.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Na początku każdego ważnego procesu doznaje się dziwnie elektryzującego uczucia. Kiedy stanąłem na końcu kolejki, poczułem, że tłum oczekujących jest coraz bardziej podekscytowany, niczym drgające, gorące powietrze nad odległymi teksańskimi asfaltami. Niektórzy z czekających mieli przy sobie wczesne wydanie „New York Timesa”. Gość stojący przede mną trzymał gazetę. Na pierwszej stronie publikowano fotografię Wołczeka i nagłówek: „Zaczyna się proces rosyjskiej mafii”. Facet przede mną wyglądał jak reporter specjalizujący się w sprawach kryminalnych. Pewnie był wolnym strzelcem, albo pracował dla jakiegoś szmatławca. Takiego to można wyczuć na kilometr; źle ubrany, źle ostrzyżony, plamy od nikotyny na palcach, wskazujące, że pali jak lokomotywa. Schowałem głowę w kołnierz płaszcza i próbowałem na niego nie patrzeć.

Gmach nowojorskiego sądu przy Chambers Street był starym, masywnym budynkiem w stylu neogotyckim. Przypominał wiktoriański dwór. Na dziewiętnastu piętrach mieściło się dwadzieścia jeden sądów.

W kolejce przede mną naliczyłem dwudziestu ludzi.

Budynek witał gości szeroką na około siedemnaście metrów kamienną klatką schodową z dwoma rzędami kolumn korynckich, które wydzielały hol wejściowy, ostatnio odrestaurowany w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Za mną zgromadziło się jeszcze wielu ludzi, kiedy wolno, noga za nogą, zbliżaliśmy się do schodów. Uniosłem wzrok i spojrzałem na elewację budynku sądu. Na gzymsach i we wnękach stały posągi i popiersia nowojorskich przewodniczących i pierwszych sędziów. Lecz czas i warunki atmosferyczne odcisnęły piętno na tym miejscu.

Gdy wspiałem się na ostatni stopień, poczułem, jak pot spływa mi po policzku. Koszula przylepiła mi się do pleców, jeszcze bardziej uświadamiając obecność bomby; czułem jej ciepło i obcość. Naliczyłem przed sobą tylko dwudziestu ludzi.

Wejście do sądu bez przeszukania zdawało się teraz bardziej niemożliwe niż przedtem, w limuzynie. Nieświadomie wyjąłem coś z kieszeni i nagle stwierdziłem, że trzymam w palcach prawej ręki pióro. Wlokąc się wolno do wejścia, bezwiednie rolowałem pióro w palcach. Często tak robiłem, to pomagało mi się skupić. Pióro było prezentem od Amy.

Czasem wydawało mi się, że był to podarunek na rozstanie. Kiedy piłem, rzadko bywałem w domu. Mniej więcej na tydzień przed Dniem Ojca Christine zdecydowała, że powinienem się wyprowadzić i że Amy ma prawo

o tym wiedzieć. Christine powiedziała, że jestem dla niej coraz bardziej obcy i że lepiej, aby Amy nie była świadkiem staczenia się ojca.

Dzieci są mądre, a Amy była mądrzejsza od większości rówieśniczek. Wiedziała, że coś się święci, gdy ujrzała nas stojących w drzwiach jej sypialni. Upięła wysoko długie blond włosy, aby nie wchodziły do oczu, jak to zwykle robiła, siedząc przy swoim komputerze. Na piżamę miała zarzuconą dzinsową kurtkę z przypiętymi do niej szpilkami znaczkami z uśmiechniętymi twarzami i logotypami zespołów rockowych. Cały miesiąc oszczędzała tygodniówki, aby ją kupić w sklepie z tanią odzieżą i potem ozdobić.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę. Zanim zdążyliśmy coś powiedzieć, odepchnęła laptopa i zaczęła płakać. Nie musieliśmy nic mówić. Amy przeczuwała to już od dawna. Zadawała zwykłe, proste pytania: Jak długo mnie nie będzie? Czy na zawsze? Dlaczego nie możemy żyć w zgodzie?

Nie miałem na nie odpowiedzi. Po prostu usiadłem obok niej na łóżku, objąłem ją i próbowałem zebrać myśli. Zamiast tego czułem wstyd. Spojrzałem na laptopa i zobaczyłem, że przeglądała stronę oferującą sprzedaż grawerowanych piór i że wybrała jedno z napisem „Najlepsze na świecie Ojcu”.

Przestałem obracać pióro w palcach. Spojrzałem tylko na jedno słowo wygrawerowane na wypolerowanym aluminiowym trzonku – „Ojciec”. Tym jednym słowem omal nie złamała mi serca.

Wepchnąłem pióro do kieszeni i sprawdziłem, ilu jeszcze ludzi stoi przede mną.

Dziesięciu.

Moją uwagę przyciągnął warkot jakiejś maszyny. To burmistrz zlecił rozległy remont elewacji budynku sądu i cztery kondygnacje od szczytu z dachu zwisała ogromna platforma z kamieniarzami. Z dołu widać było, jak platforma łagodnie się kołysze od podmuchów wiatru. Te podmuchy wzbudzały też chmury pyłu kamiennego z restaurowanych ornamentów. Inwestorzy początkowo chcieli rozebrać budynek, a sądy przenieść do tańszych pomieszczeń. Burmistrz, także prawnik, sprzeciwił się i w efekcie budynek ocalał. Tak więc odnawiano elewację, pozostawiając wewnątrz nietknięte. Nowy Jork czasem właśnie taki był – z zadowoleniem pokazywał wypielęgnowane oblicze, ukrywając gnijące wnętrze.

Historyczny gmach przy Chambers Street, w którym mieściły się sądy, był pierwszym nocnym sądem w Stanach Zjednoczonych. Nocny sąd jest najważniejszym sądem w mieście. Każdy pozwany mógł zostać zaprowadzony przed sędziego w ciągu dwudziestu czterech godzin od postawienia go w stan oskarżenia. Zważywszy, że na samym tylko Manhattanie codziennie aresztowano trzysta osób, oznacza to posiedzenia dodatkowego sądu od piątej po południu do pierwszej w nocy. W czasie recesji w mieście wzrosła przestępczość. Obecnie przy Chambers Street sąd pracował przez całą dobę. W tym gmachu sędziowie nie zasypiali i przez ostatnie dwa lata drzwi się tu

nie zamykały.

Gdy kolejka wolno posuwała się do przodu, od czasu do czasu mogłem słyszeć sygnał urządzenia sprawdzającego mijających wejście. Na szczęście znałem strażników po imieniu. Jednym z sekretów odniesienia sukcesu w każdej sprawie było zaznajomienie się z personelem sądu – z każdym, bez wyjątku. Nigdy nie wiadomo, kiedy będziesz ich potrzebował – na przykład do wysłania pilnego faksu, uspokojenia krnąbrnego klienta, zdobycia bilonu do automatu z kawą, albo przywołania do płatnego telefonu w lobby.

Ośmiu przede mną.

Zajrzałem przez ramię reportera, aby lepiej widzieć wejście do bramek kontrolnych w holu. Drzwi pilnowali Barry i Edgar.

Nad bezpieczeństwem większości sądów w Nowym Jorku czuwają oficerowie bezpieczeństwa, którzy są zwykłymi policjantami. Noszą broń i mundury. Mają prawo cię aresztować, potem przetrzymać, a nawet użyć broni.

Barry stał za skanerem bagażu, trzymając tacki z telefonami komórkowymi, kluczami i torbami. Przesuwał poszczególne przedmioty przez promienie Roentgena, w czasie gdy ludzie przechodzili pod łukiem wykrywacza metali, zawsze mając nadzieję, że nie odezwie się sygnał.

Edgar klepięciami i poszturchiwaniem wyłuskiwał niedozwolone rzeczy i do skutku prznosił je przez szary łuk.

Za Barrym i Edgarem ujrzałem młodego, jasnowłosego strażnika, którego nie znałem. Za nim, kilka metrów za bramką stał czwarty strażnik z wydatnym brzuchem i kciukami wetkniętymi za pasek. Taka dodatkowa ochrona nie była czymś niezwykłym w lobby. Nie kojarzyłem tego faceta z wąsami i małymi świńskimi czarnymi oczkami. Doszedłem jednak do wniosku, że musiałem go już kiedyś spotkać, bo on najwyraźniej mnie poznał. Barry, Edgar i ten nowy chłopak, wszyscy byli zajęci sprawdzaniem ludzi znajdujących się w kolejce przede mną. Grubas nie spuszczał ze mnie wzroku.

Sześciu ludzi przede mną i... kontrola.

Otarłem pot z oczu.

Gdybym dalej czekał posłusznie w kolejce, z pewnością zostałbym poddany takiej procedurze jak wszyscy. Próbowałem sobie przypomnieć, co zwykle w takich sytuacjach robiłem. Dla mnie wejście do tego budynku było jak bułka z masłem; robiłem to co rano, ale teraz nie mogłem sobie przypomnieć, jak to się odbywało. Czy wchodziłem, po prostu omijając punkt kontrolny? A może czekałem, tak jak inni, a potem przechodziłem, kiwnąwszy ręką strażnikom? Teraz, stojąc w kolejce z drżącymi rękoma i wyschniętymi ustami, byłem już bliski paniki.

Czterech przede mną.

Bomba z każdym krokiem stawała się coraz cięższa.

Gruby nadal nie spuszczał ze mnie oczu. Może wysyłałem tym facetom te wszystkie ostrzegawcze sygnały, o których mówiono im na szkoleniach. Od jedenastego września każdy w najmniejszym stopniu związany z pilnowaniem

przestrzegania prawa był szkolony, jak rozpoznawać potencjalne zagrożenie terrorystyczne.

Przyszła mi na myśl płacząca Amy, jej łzy zraszające piżamkę, kiedy błagała, żebym jej nie zostawiał.

Nie. Nie zawiodę mojej córeczki. Natychmiast skupiłem myśli. Terrorysty nie porzucają kolejki. Oni cierpliwie czekają. Oni chcą się wtopić w otoczenie i sprawiać wrażenie niewidocznych. Ja postanowiłem być zuchwałym, aroganckim kutasem, tak hałaśliwym i odrażającym jak to tylko możliwe, w nadziei, że ten tłusty strażnik pomyśli, iż jestem tylko zwykłym palantem, a nie potencjalnym bomberem.

Ludzie wołali za mną, gdy ich wyprzedzałem. Usłyszałem, jak reporter mruczy: „Dupek”. Serce znowu zaczęło mi mocniej bić; kiedy zbliżałem się do początku kolejki, myślałem, że wszyscy je słyszą...

– Hej, Barry! Puść mnie szybko przez ten brzęczyk. Jestem już spóźniony na mój wielki powrót – rzuciłem, mijając detektor metali i pobudzając niesamowicie głośny sygnał. Był zapewne tak samo głośny u każdego, ale mnie niemal ogłuszył. Rzuciłem okiem na tłustego strażnika. Nie drgnął. Tylko się gapił. Natomiast Edgar skupił się na przeszukiwaniu mężczyzny na początku kolejki.

– Eddie! – zawołał Barry. Wstał zza skanera i wolno obszedł urządzenie. – Muszę z tobą sekundę pogadać.

Przyspieszyłem kroku i szedłem już przez hol, lecz młody strażnik rozłożył ręce niczym zagradzający mi drogę szlaban. Trzymał tak rozłożone ramiona i dopiero po chwili zorientowałem się, że chce, żebym skopiował tę pozycję – on zamierzał mnie przeszukać! Trzymałem ręce opuszczone wzdłuż boków.

Tłuścioch ruszył ku mnie. Czy to już mój koniec?

Pomyślałem o ucieczce. Odepchnąć wszystkich z drogi i przebić się przez tłum. Za mną stał jakiś potężnie zbudowany, brodaty facet, blokując drzwi i dzienne światło. Nie sposób go wyminąć. Zwalczyłem pokusę ucieczki i zaczęły mi się trząść nogi.

– Hej, chłopie, bez ślubu nie daję! – oznajmiłem.

– Proszę podnieść ręce. Szybko pana przeszukam.

– Posłuchaj no, chłopie, muszę już iść. Nigdy przedtem nie spotkaliśmy się, ale zaufaj mi, ja tu praktycznie mieszkam od około dziesięciu lat. Jestem prawnikiem. Zapytaj Barry’ego – mówiłem, próbując go minąć i iść dalej.

Rozpostarta dłoń zawisała prawie dwa centymetry nad kolbą beretty. Palce zatrzępotały jak u kiegoś aktora w starym westernie.

Stałem jak wryty.

– Co? Wyzywasz mnie na pojedynek, kowboju?

Słyszałem, jak za mną przechodzą ludzie. Wszystko poszłoby szybko, jak kupno pączka w cukierni, gdyby nie ten jeden, pieprzony facet, który chciał zrobić to, co do niego należy.

– Hank, przepuść Eddiego – usłyszałem głos Barry’ego przychodzącego mi

na ratunek.

Hank opuścił ręce, przewrócił oczami i odstąpił na bok. Grubas zatrzymał się i splótł ręce na brzuchu.

Barry kiwnął na mnie palcem, zachichotał i powiedział:

– To ten sukinsyn święty Krzysztof. Któregoś dnia może się walnie przyczynić do poważnej luki w twoich zarobkach.

Jak, u diabła, mogłem o nim zapomnieć? – pomyślałem. Odpiąłem guzik koszuli i wyciągnąłem srebrny łańcuszek. Śmiejąc się nerwowo, podałem Barry'emu srebrno-złoty medalik z wizerunkiem świętego Krzysztofa.

Wtedy tamto do mnie wróciło.

Kiedy rozpoczynałem praktykę prawniczą i po raz pierwszy reprezentowałem moich klientów w tym sądzie, wchodząc, codziennie uruchamiałem alarm. Barry, Edgar i inni przeszukiwali mnie, niczego nie znajdowali i przepuszczali, a potem znowu przepuszczali przez skaner i znowu rozlegał się sygnał. Ten medalik miałem na szyi, odkąd skończyłem dziesięć lat. Nigdy go nie zdejmowałem; wrósł we mnie jak jakaś dodatkowa część ciała. W ogóle o nim nie myślałem. Czasem strażnicy pytali mnie, czy mam w nodze stalową płytkę, wtedy rozbierałem się, oni macali, drapali się z niedowierzaniem w głowę, nie mając pojęcia, dlaczego alarm ciągle się włącza. I w końcu, pewnego środowego deszczowego poranka Barry znalazł łańcuszek. Opowiedział o tym wszystkim kolegom. I jak sięgnę pamięcią, od tego czasu zawsze mnie przepuszczano mimo sygnału. Gdy rozlegał się ten charakterystyczny pisk, szedłem spokojnie dalej i jeśli nawet strażnik zdecydował się podnieść tyłek z krzesła, żeby mnie przeszukać, wystarczyło, żebym wyciągnął spod koszuli łańcuszek, pokazał mu – i mogłem iść dalej. Nawet po jedenastym wrześniu nie byłem przeszukiwany. Poza tym dobrze mnie tu znano; prawie nie wychodziłem z sądu. Przeszukiwanie mnie było jak przeszukiwanie sędziów. Ochroniarze zaś zaczęli mnie traktować jak przyjaciela. A przyjaciół się nie przeszukuje. Na skutek nadmiaru adrenaliny albo szoku, zamroczenia alkoholowego, czy też ciosu w głowę od tego olbrzymiego Rosjanina – czy może z jakiegoś innego powodu – zapomniałem o łańcuszku i dopiero Barry mi o nim przypomniał.

– Wiecie, kim jest ten facet? – powiedział Barry. – To pan Eddie Flynn... Już o nim zapomniałem, tak długo go u nas nie było. To najlepszy prawnik w Nowym Jorku. Zgłoś się do niego, on się na pewno tobą zajmie.

Hank niechętnie skinął głową i zajął się następnym w kolejce, wprowadzając go pod detektor metali. Zapewne Barry na każdej zmianie stale trzymał tego chłopaka za jaja.

Obserwowałem, jak tłusty strażnik odwraca się i odchodzi na bok.

Było już tak blisko.

– Barry, ja naprawdę muszę już iść, chłopie. Jestem już spóźniony, dziś rano startuję na procesie gangu i nawet nie mam pojęcia, jaka może być obsada sędziowska.

– Nie wiedziałem, że reprezentujesz takie szumowiny. Ale jak zawsze masz szczęście; sprawę prowadzi pani sędzia Pike. Jest jeszcze na śniadaniu. Edgar i ja mamy się do niej zgłosić za piętnaście minut. Przepraszam za tego dzieciaka. Próbowałem go czegoś nauczyć, ale jest na to za głupi. Chodź. To zabierze nam sekundę.

Rozglądając się, widziałem tylko ludzi Wołczeka w kolejce. Nie patrzyli na mnie, ale nie mogłem dostrzec, kogo obserwują. W uszach słyszałem przyspieszone bicie serca. Nie wiedziałem, czego Barry ode mnie chce. *Może dostał od Jacka jakiś cynk? Co będzie, jeśli Rosjanie zauważą, że szepczę coś konfidencjonalnie z Barrym?*

No cóż, muszę z nim pogadać, może wie coś, o czym ja nie wiem?

– Dobra – odparłem, kręcąc głową na wszystkie strony, gdy szliśmy w ustronne miejsce w lobby.

Barry kiwnął na mnie ręką.

– Chodzi o Terry’ego – wyszeptał. – On chce z tobą porozmawiać na temat swojej sprawy RSI[1].

Dziękowałem Bogu. Barry chciał załatwić prezent dla kumpla. Lubiłem Barry’ego. Skończył już sześćdziesiąt lat i wkrótce miał odejść na emeryturę; były policjant, który tylko chciał do końca zmiany siedzieć za urządzeniem prześwietlającym promieniami rentgenowskimi, a potem skoczyć do baru.

– Terry teraz jest z Hollingerem i Dunnem, a oni niemiłosiernie drą z niego skórę. Powiedziałem mu, żeby się z tobą skontaktował i pogadał, ale on chciał prawnika związkowego. Nie mogłem mu tego wyperswadować. Ograbili go już z sześćdziesięciu kawałków, a on odwiedził tylko jednego lekarza. Możesz rzucić okiem na akta jego sprawy?

W tym momencie chętnie ucałowałbym Terry’ego i zafundował mu siedmiodaniowy obiad u Ritza, jeżeli to pozwoli mi przejść przez kontrolę, chociaż nigdy nie myślałem, że będę nieformalnie i darmowo brał udział w sprawie dotyczącej urazu na skutek długotrwanie powtarzanych czynności.

– Powiedz mu, że będę go reprezentował za darmo – odparłem.

Barry uśmiechnął się.

– W porządku, powiem mu. Zaraz do niego zadzwonię. Teraz jest na dwunastym.

– Barry, ale ja już naprawdę muszę lecieć!

– Nie ma sprawy. I wielkie dzięki, zadzwonię do niego. Pewnie nie uwierzy.

Uwolniłem się od Barry’ego szybciej, niż sądziłem. Tymczasem Barry wskoczył z powrotem na swój fotel za skanerem.

Byłem *w środku!*

Skręcając, przytknąłem plecy do zimnego marmuru, czując ciągle bombę na plecach.

Zegarek wskazywał dziewiątą trzydzieści. Do rozpoczęcia procesu pozostało trzydzieści minut.

Arturas przeszedł kontrolę bezpieczeństwa i właśnie ściągał z taśmy dużą

walizkę marki Samsonite, prześwietlił ją promieniami rentgenowskimi w skanerze, a następnie postawił na posadzce i pociągnął za sobą, kierując się w moją stronę.

– Dobra robota – powiedział.

Milczałem. Sięgnął za mną i przywołał windę.

Drzwi windy otworzyły się i nacisnąłem przycisk czternastego piętra, gdzie mieścił się szesnasty sąd. Arturas nacisnął przycisk najwyższego, dziewiętnastego, piętra.

– Nasz sąd to sąd szesnasty. Znajduje się na czternastym piętrze – sprostowałem.

– Na górze, mamy swój pokój. Musisz się przebrać do rozprawy – oznajmił Arturas.

Drzwi się zamknęły i usłyszałem, jak przeciwwaga rusza w dół, gdy winda zaczęła sunąć w górę.

[1] RSI (*respective strain injury*) – urazy powstałe na skutek długotrwałego powtarzania tych samych czynności. Przypadki dotyczące pracowników pozostających nieustannie w tej samej pozycji ciała albo wykonujących te same czynności (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jadąc windą na najwyższe piętro, nie mogłem się pozbyć myśli o tym starym gmachu sądowym, który miał tak wielki wpływ na moje życie. Sądy przy Chambers Street najpierw mnie stworzyły, a potem zniszczyły. Weterani, którzy prowadzili tu ugody obrończe polegające na układach między prokuratorem i oskarżonym lub jego adwokatem, zakładając, że oskarżony przyzna się do winy, albo zezna na niekorzyść innych osób, w zamian uzyskując obniżenie wyroku, albo nawet zwolnienie, nazywali go „Hotel Dracula”, chociaż nikt nie był pewien, skąd się ta nazwa wzięła. Niektórzy mówili, że długo tu pracował sędzia uderzająco podobny do Beli Lugosiego. Dla mnie ten gmach przez sześć ostatnich miesięcy mojej praktyki prawniczej był właśnie hotelem. Razem z Jackiem Halloranem próbowałem rozpaczliwie walczyć z recesją i zbijać kapitał na rosnącej w mieście przestępczości. To mogła być kopalnia złota dla dobrego zespołu adwokatów zajmujących się sprawami kryminalnymi. Prowadziliśmy je w dzień, na krótko zawieszaliśmy działalność, aby potem zająć się nowo aresztowanymi i przywożonymi do sądów nocnych. Wielu oskarżonych w nocy nie mogło wybrać obrońców, ponieważ większość biur adwokackich była zamknięta, a poza tym sprawami kryminalnymi zajmowała się tylko ograniczona liczba prawników, na których można było polegać, i takich, którzy pełnili służbę w nagłych przypadkach.

Pracowaliśmy od dziewiątej do piątej po południu, a jeśli chodzi o resztę dnia, dzieliliśmy się dyżurami; w poniedziałek przychodziłem na pierwszą sesję sądu o piątej trzydzieści i dyżurowałem do trzynastej; potem Jack podejmował swoją zmianę. Następnego dnia zmienialiśmy się i tak dalej. Sprawy finalizowaliśmy około trzeciej, a czasem nawet piątej rano i już nie było warto wracać do domu, zatem odpoczywałem w pokoju konferencyjnym, albo – jak to czasem też bywało – kiedy inni prawnicy prowadzili pierwsze przesłuchanie klientów, czy też sami chcieli zmrużyć oczy – pozwalali mi się zdrzemnąć w ich biurach. Bywało, że szedłem na drinka z sędzią Harrym Fordem, a potem kładłem się spać na kanapie w jego gabinecie. Jediną dobrą rzeczą w Hotelu Dracula było to, że tu wszystko było za friko.

Po sprawdzeniu stanu technicznego budynku, Ratusz przeznaczył pieniądze na odnowienie elewacji, co uznano za trwonienie miejskich funduszy. Najwyższe kondygnacje były niezagospodarowane albo służyły jako graciarnie, wypełnione szafami z aktami starych spraw i meblami nadającymi się tylko na śmietnik. Wiele osób z personelu pomocniczego przeniesiono do nowych biur po drugiej stronie ulicy, co stanowiło następny argument

przeciwko kampanii ratowania budynku.

Drzwi windy otworzyły się na dziewiętnastym piętrze, gdzie mieściły się nieużywane pomieszczenia biurowe. Do rozmów z klientami wykorzystywałem stare biura. Rzadko kto tutaj przychodził, jedynie czasami zaglądali inni prawnicy ze swoimi klientami albo ucinali sobie drzemkę jak ja.

Ściany były przesiąknięte zapachem pleśni. Już od dłuższego czasu nikt tu nie sprzątał. Po wyjściu z windy skręciliśmy w prawo, poszliśmy szerokim korytarzem i zatrzymaliśmy się przed drugimi drzwiami na prawo. Arturas wyjął z kieszeni płaszcz pęk kluczy, wybrał jeden i wsunął do zamka, który wyglądał na zupełnie nowy. Jak widać, Arturas miał wszystko zaplanowane. Otworzył drzwi i wlokąc za sobą walizę, wszedł do środka. Zamknął za mną drzwi na klucz. Znalazłem się w ogromnym pomieszczeniu recepcyjnym obsługującym niegdyś kilka gabinetów sędziowskich. Stało tu poplamione biurko, trzy zielone skórzane kanapy i wiekowa fotokopiarka.

Nad biurkiem wisiała poźółkła, oprawiona kopia *Mony Lisy*.

Za kanapami ujrzałem wewnętrzne drzwi prowadzące do gabinetów. Otworzyłem jedno z nich – na wprost było duże okno. Po lewej, wzdłuż całej ściany stały półki wypełnione sprawozdaniami sądowymi i starymi, nieaktualnymi już podręcznikami. Przed półką stało małe biurko i krzesło. Na przeciwległej ścianie, na złuszczonej kwiecistej tapecie wisiały dwa kiczowate obrazki przedstawiające jałowe krajobrazy irlandzkie. Pod nimi stała smętna kanapa. Cuchnęło tu starymi gazetami i wszystko było pokryte grubymi pokładami kurzu.

Wróciłem do pokoju recepcyjnego, gdzie zastałem Arturasa wyjmującego z dużej walizki marki Samsonite pokrowiec z garniturem. Otworzył go i podał mi starannie złożone czarne spodnie od garnituru. Marynarkę powiesił na krześle. Następnie wyjął białą koszulę – ciągle jeszcze zapakowaną w folię – i nowy, czerwony krawat.

Pod płaszczem miałem na sobie lekkie chinosy i granatowy blezer zarzucony na niebieską koszulę.

– Zdejmij płaszcz – polecił Arturas.

Posłuchałem i razem z płaszczem zsunęła się cienka kamizelka z bombą. Spadając, jej śmiertelna zawartość gruchnęła o podłogę. Dałem nura do gabinetu sędziego i zakryłem rękoma głowę.

Nic.

Potem śmiech.

Czułem się jak idiota, wstałem i wróciłem do pokoju. Kamizelka leżała stłamszona na podłodze. Arturas się śmiał.

– Nie panikuj. Bomba nie jest uzbrojona. Możesz nią walić o ścianę i nie wybuchnie. Musi mieć detonator. – Wyjął z kieszeni brązowego płaszcz mały, czarny przedmiot. Przypominał klucz do centralnego zamka w samochodzie – mały, owalny plastik wielkości pudełka zapalek. Miał dwa przyciski – zielony i czerwony.

– Jeden służy do uzbrojenia bomby, drugi to detonator – wyjaśnił Arturas. – Bomba nie jest duża. Jej pole rażenia wynosi około półtora metra.

Chwycił kamizelkę i rozłożył na biurku w recepcji.

Ktoś zapukał do drzwi. Arturas otworzył i wpuścił do środka wysokiego blondyna. Był to ten sam Rosjanin, którego spotkałem w limuzynie i którego Wołczek nazywał Wiktorem. Olbrzym zamknął drzwi i wlepił we mnie wzrok.

Arturas wrócił do biurka, rozpiął rzep w kamizelce i wyjął zawartość, która tak mnie uciskała w plecy – dwie cienkie prostokątne tabliczki z twardego kitu z czymś na górze, co przypominało płytkę montażową. Wychodziły z niej druciki. Pewnie jakiś wewnętrzny pager, czy coś w tym rodzaju. Stamtąd wychodziły następne druty do poblakłego materiału wybuchowego niewiadomego pochodzenia. Całość nie ważyła dużo i wielkością przypominała mały notes. Arturas chwycił zostawioną na krześle marynarkę. Wywrócił ją na drugą stronę i zaczął wodzić dłońmi po podszewce. Wiedział, że będę potrzebował garnituru na rozprawę. Marynarka wyglądała, jakby ją uszyto z zamiarem ulokowania jakiegoś przyrządu w ukrytej kieszeni na plecach. Po ukryciu bomby złączył na rzep podszewkę i podniósł marynarkę. Nie rzucała się w oczy – nikt by nie pomyślał, co w niej ukryto.

– Przebieraj się – polecił Arturas.

Chwyciłem spodnie, koszulę, krawat i mój płaszcz i ruszyłem do gabinetu sędziego.

– Nie masz nic przeciwko? – spytałem.

Potrząsnął głową.

Spodnie pasowały. Biała koszula miała za szeroki kołnierzyk, ale po zapięciu jego guziczków można ją nosić bez krawata. Zostawiłem moje ubranie razem z krawatem w gabinecie i wróciłem do recepcji, żeby przymierzyć marynarkę. Arturas podał mi ją jak ekspedient w sklepie, a potem zaczął wokół mnie krążyć, wyglądać, sprawdzać i dopasowywać. Kręcił się, unosił moje ręce we wszystkie strony, obciągał rękawy, chcąc się upewnić, że wszystko wygląda normalnie. Pomyślałem, że marynarka jest zbyt obszerna, podobnie jak koszula.

– Wygląda dobrze. Koszula jest za duża? – zapytał.

– Tak. Za szeroka w kołnierzyku.

Skinął głową.

Bez słowa wróciłem do gabinetu sędziego i postawiłem kołnierzyk, żeby zawiązać krawat. Kątem oka widziałem Rosjanina. Arturas był przy dużej walizie, która ciągle wyglądała na wypchaną. Wiktor obserwował Arturasa. Zanim zdążyli zauważyć, szybko chwyciłem płaszcz i wyjąłem z kieszeni portfel, który ukradłem Rosjaninowi w limuzynie. Gdyby marynarka idealnie pasowała, albo była za ciasna, miałbym problem z wetknięciem portfela do wewnętrznej kieszeni. Ale teraz nikt go nie zauważy. Nie mogłem jednak ryzykować i zajrzeć do portfela – to musiało zaczekać. Pewnie nie znajdę w nim nic ciekawego, byłem jednak piekielnie zadowolony, że go zdobyłem.

Już to, że udało mi się go niepostrzeżenie wyjąć z kieszeni, dodawało mi otuchy. Jak widać, nie zapomniałem dawno temu zdobytych umiejętności.

Próbowałem się uspokoić, rozwierając i zaciskając pięści, rozmasowując ramiona, i pozwolić myślom skupić się na terażniejszości.

W rogu stało brudne lustro. Przetarłem kurz i upewniłem się, czy prosto zawiązałem krawat.

Lustro nie kłamało – za każdym razem, gdy wkładałem garnitur i przeglądałem się w lustrze, nie widziałem w nim prawnika, tylko kanciarza.

Takiego człowieka jak mój ojciec.

Dyskretna kradzież portfela nie jest łatwym zadaniem. Wymaga wielu ćwiczeń, aby sprawnie i skutecznie wyłowić go z kieszeni. Musisz być szybki i mieć zręczne palce, żelazne nerwy i umiejętność usuwania śladów. Nauczyłem się tego od jednego z najlepszych spryciarzy w tym zawodzie, od kieszonkowca artysty – od mojego ojca, Pata Flynna. Większość kieszonkowców nie lubi, żeby ich nazywać na przykład doliniarzami, oni w swoim gronie chętnie mówią o sobie, że są artystami, cwaniakami, albo po prostu zręcznymi złodziejami. Ciągle mam przed oczami mojego ojca, jak siedzi w swoim fotelu przed telewizorem, z półprzymkniętymi oczami, wolno oddycha i sprawia wrażenie, jakby był w letargu albo jakby spał; jednak w tym czasie mógł obracać monetą w palcach, manewrując nią jak kroplami rtęci między zębami widelca.

Jak na masywnie zbudowanego mężczyznę miał niezwykle delikatne, smukłe dłonie; każdy palec poruszał się jak tancerz – szybko, płynnie, bezbłędnie. Ku wielkiej dezaprobachie mojej matki ojciec wymykał się na zaplecze baru McGonagalla na Brooklynie, gdzie uprawiał nielegalnie hazard. W Dublinie, będąc bardzo zręcznym oszustem i przemytnikiem, udało mu się oszczędzić tyle, żeby kupić bilet na statek do Ameryki. Po zejściu na ląd poszedł do pierwszej lepszej knajpy i zamówił hamburgera. Nie dał napiwku dziewiętnastoletniej kelnerce. Gonila go przez cztery przecznice, zanim go dopadła. Dał jej suty napiwek i używając danego mu przez Boga czaru umówił się na randkę. Ta kelnerka pochodziła z drugiego pokolenia włoskich imigrantów i miała na imię Izabella. Moi rodzice, Pat i Izabella, rok później wzięli w tajemnicy ślub.

Lubiłem po szkole chodzić do baru i popijając wodę sodową, obserwować, jak mój ojciec dyryguje swoimi ludźmi. W najlepszym okresie do jego bandy należało prawie czterdziestu cwaniaków, którzy działali na wyścigach psów albo koni, czy też na meczach bokserskich lub futbolowych. Któregoś razu, kiedy grał ze swoimi ludźmi w bilard, posadził mnie na stołku barowym, położył obok mocno sfatygowaną książkę w czerwonej okładce i uczył mnie, jak chować w dłoni kartę do gry, dziesięciocentówkę, srebrnego dolara, zegarek – tak, żeby znikają bez śladu – i jak udając niewiniątko, skraść portfel. Uczył mnie, jak składać banknot dziesięciodolarowy, żeby wyglądał na studolarowy; jak dawać sygnały naganiaczowi, że ma odwrócić czyjaś

uwagę, w chwili gdy szykujesz się do gwizdnięcia czegoś z kieszeni frajera; jak ukrywać pieniądze w ubraniu, żeby nikt ich nie mógł znaleźć – i jeszcze dużo więcej. Ciągłe czułem smak napoju bezalkoholowego dr Peppera, zapach cytrusowej wody po goleniu, gładkość wypolerowanego baru z drewna różanego, a ponad wszystko nieustannie miałem w oczach zręczne dłonie ojca, gdy wykonywał swoje sztuczki.

Na początku nie chciał mnie niczego uczyć, ale później, gdy miałem osiem lat, zmienił zdanie. Zgodził się uczyć mnie pod dwoma warunkami. Po pierwsze, nasze lekcje muszą pozostać w tajemnicy – mama nie może się o nich dowiedzieć. Po drugie, ucząc, nie będzie mógł mnie powstrzymać przed doskonaleniem nabytych umiejętności na ulicach, zatem musi mieć pewność, że jeżeli powinie mi się noga, będę w stanie sam sobie poradzić. Po kilku godzinach spędzonych w barze zabrał mnie na salę gimnastyczną, żeby nauczyć boksowania. Mama o niczym nie miała zielonego pojęcia. Pracowała do późna jako kelnerka w restauracji oddalonej o dziesięć przecznic. To była nasza tajemnica, moja i ojca. Kiedy mama wracała do domu, ojciec zawsze przygotowywał dla niej ciepły posiłek. Potem kuliła się na kanapie z tanim romanssem w ręce i czytając, zasypiała. Kiedy skończyłem czternaście lat, potrafiłem pokonać każdego zabijakę w naszej dzielnicy, a nawet dzieciaki dwa, trzy lata starsze ode mnie. Byłem szybki, biłem mocno i łatwo się nie poddawałem. Jednak ojciec chciał więcej, zatem po sesji w barze wsiadaliśmy do pociągu E jadącego na Lexington Avenue i tam odbywałem sparing w sali Mickeya Hooleya przy 54th Street z najlepszymi młodymi pięściami, jakich mogła zaoferować ta „Piekielna Kuchnia”. Tam też spotkałem większość facetów, którzy później dołączyli do mojej grupy. Jeden z nich, przysadzisty, mały chłopak z doskonałym prawym sierpem, bijący z siłą młota, o nazwisku Jimmy Fellini, szybko został moim najlepszym kumplem. Jimmy był obiecującym pięścierzem amatorem, a ja obserwowałem wszystkie jego walki. Wkrótce byliśmy jak bracia. Jednak Jimmy potem odpuścił boks.

Miał problemy rodzinne.

Dwa lata później mój ojciec zachorował. Nie byliśmy biedni, ojciec zawsze wykupywał polisę na życie dla całej rodziny i nie spóźniał się z tym nawet o minutę. Okazało się, że ma rodzaj nowotworu, którego nie uwzględniono w polisie. Ojciec zatrudnił prawnika, najtańszego, jakiego udało mu się znaleźć. Towarzystwo ubezpieczeniowe zatrudniło największą w mieście firmę prawniczą i sprawa trafiła do sądu. Byłem świadkiem, jak prawnik ojca został znokautowany i rozłożony na łopatki. To nie była jego wina; został beznadziejnie wmanewrowany i sprawę przegraliśmy. Nawet z pomocą finansową przyjaciół i rodziny Jimmy’ego nie mieliśmy wystarczających funduszy, żeby opłacić szpital. Bez właściwej opieki medycznej ojciec zmarł po sześciu miesiącach.

Nie było mnie przy jego śmierci. W pokoju szpitalnym przez jedenaście godzin trzymałem jego wychudłą, przypominającą szkielet dłoń. Wyszedłem

do automatu po wodę sodową. Kiedy wróciłem, zobaczyłem, że matka czeka na mnie przed pokojem ojca. Wiedziałem, że umarł. Nic nie powiedziała. Podała mi tylko medalik ze Świętym Krzysztofem i się rozplakała. Później byłem tylko ja i mama, a mama troszczyła się o mnie tak, jak potrafiła. Nie miała nawet nic przeciwko boksowaniu. Aż zostałem w swojej klasie mistrzem, dotrzymując danego ojcu przyrzeczenia.

Zawsze pilnowałem, żeby na mamę czekał makaron z serem, czyli – jak to mówią – *comfort food* – albo talerz z jajecznicą, gdy wracała do domu z restauracji. Przez wiele wieczorów nie chciała jeść, ale zawsze dziękowała mi, że niejako pełniłem rolę „pana domu”, przejmując obowiązki ojca. Przestała czytać romanse. Zamiast tego przed snem trochę ze mną oglądała telewizję.

Po ukończeniu szkoły przez rok brałem udział w nielegalnych walkach i na boku zrobiłem kilka przekrętów. Nie minął rok, a już miałem dość forsy, żeby włączyć się do gry na ulicach. Miałem wtedy osiemnaście lat – byłem w pełni gotów, doskonale wyszkolony; mogłem do centa złupić ludzi, którzy *de facto* zabili mojego ojca – ludzi z towarzystwa ubezpieczeniowego i tych nadzianych prawników, którzy ich bronili.

Nie mieli żadnych szans.

– Prawniku – usłyszałem głos Arturasa dobiegający z pokoju recepcyjnego. – Już czas. Musimy iść. Zaraz zacznie się rozprawa.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zostawiłem płaszcz i spodnie w gabinecie sędziego i przy drzwiach dołączyłem w nowym garniturze do Rosjan. Arturas włożył za sobą walizkę.

- Co jest w tej walizce? – zapytałem.
- Akta Wołczeka – cała dokumentacja, jaką Jack przygotował na rozprawę.
- Jest tam lista świadków oskarżenia?
- Tak... i ostatnim jest Benny.

Tak myślałem. Prokurator zawsze zostawia sobie najważniejszego świadka na koniec.

Zjechaliśmy windą na czternaste piętro do szesnastego sądu. Drzwi windy rozsunęły się i ujrzałem szeroki hol. Białe kamienne ściany pokrywały cztery ogromne tablice z nazwiskami adwokatów i sędziów, którzy walczyli i zginęli w czasie drugiej wojny światowej. W rogach mieściły się toalety i stały automaty do kawy, papierosów i napojów. Na lewo od windy znajdowały się marmurowe schody wiodące na wyższe piętro.

Otwarte podwójne dębowe drzwi przed nami wiodły do zatłoczonej sali rozpraw.

Sąd szesnasty miał największą salę rozpraw. Cztery wysokie, sklepione łukami okna po lewej od wejścia ukazywały znajomą panoramę miasta. Marmurowa posadzka zdawała się połykać blade poranne słońce. Galerię dla publiczności tworzyły rzędy nowo zainstalowanych sosnowych ławek. Dwóch sędziów groziło odejściem, jeżeli nie zainstalują nowych ławek, ponieważ stare, ustawione na wzór siedzeń teatralnych, były od lat zapchłone – niewątpliwie ze względu na publiczność, jaką ściągał atrakcyjny dla niej sąd kryminalny. Kiedy ta zaraza dotarła do ław sędziowskich, szybka wymiana miejsc siedzących dla publiczności stała się priorytetem.

Dwadzieścia pięć rzędów ławek rozdzielono na dwie sekcje centralnym przejściem. Galerię od stołów prawników: oskarżyciela po lewej i obrońcy po prawej oddzielała barierka. Oba stoły stały frontem do sędziego. Stół oskarżyciela był pusty. Za stołem obrońcy kilka miejsc na galerii zarezerwowano dla świty Wołczeka. Kierując się do stołu obrońcy, usłyszałem, jak kilka osób wymawia moje nazwisko.

Na przodzie sali sądowej, za mahoniową ławą, czekał na sędziego obity skórą fotel. Około pięć metrów przed stołem oskarżyciela znajdowało się miejsce wyznaczone dla świadków. Prowadziły do niego trzy stopnie i małe, podwójne, drzwiczki zainstalowane w dość solidnej dębowej obudowie, w której mieściło się proste stalowe krzesło z oparciem i wytartą na siedzeniu

tapicerką. Naprzeciwko miejsca dla świadków, około trzy metry w prawo od stołu obrońcy, wyznaczono miejsca dla sędziów przysięgłych: dwanaście (teraz pustych) krzeseł. Siedzieli zwróceni twarzami zarówno do świadków, jak i do wznoszących się za nim wysokich okien.

To wszystko dotarło do mojej świadomości, gdy zajmowałem swoje miejsce.

– Wybrano już skład sędziów przysięgłych? – zapytałem Arturasa.

– Tak, ale...

Zanim zdążył dokończyć, do sali weszła Miriam O’Sullivan pełniąca obowiązki prokuratora okręgowego hrabstwa Nowy Jork, w towarzystwie świty złożonej z asystenta prokuratora okręgowego i praktykantów adwokackich, do których po chwili dołączyło trzech facetów w czarnych garniturach. Ze sposobu poruszania się i wyglądu domyśliłem się, że ci maruderzy są z FBI.

Sprawę śledziłem w gazetach, jak prawie każdy nowojorczyk. Przed dwoma laty w mieszkaniu znaleziono zwłoki czterdziestoletniego, powiązanego z włoską mafijną rodziną mężczyzny. Na miejscu zbrodni aresztowano pewnego człowieka – teraz już wiedziałem, że był to Mały Benny. Benny został ujęty na gorącym uczynku przy zwłokach z bronią w ręku. Wszyscy podejrzewali, że zabił na zlecenie Wołczeka. Domyślałem się, że FBI odkryło, że zawarł układ z Bennym. Chcieli prześwietlić rewolwerowca, aby nakryć zleceniodawcę. Wołczeka aresztowano, a „Times” podał informację, że sędzia w ciągu pół godziny zwolnił go za kaucją w wysokości pięciu milionów dolarów. Nie było to morderstwo przekraczające jurysdykcją granicę stanu i o ile wiedziałem, nie było powiązane z narkotykami, dlatego sprawę prowadził Wydział Nowojorskiej Policji (NYPD) i biuro prokuratora okręgowego. Federalni chcieli czuwać nad przebiegiem procesu. Pamiętałem niezwykle przebieg sprawy, coś, co od pierwszej chwili działało mi na nerwy. Postawiono mu tylko jeden zarzut – morderstwo. Nie wspomniano o handlu narkotykami lub oszustwach, ani o kierowaniu organizacją przestępczą. Stał przed sądem pod pojedynczym zarzutem popełnienia morderstwa pierwszego stopnia.

Zespół oskarżycielski złożył na stole ciężkie segregatory pełne akt, przysunięto dodatkowe krzesła i wzniesiono na biurku papierową twierdzą. Takie psychologiczne zagranie przed sędziami przysięgłymi – *Spójrzcie, ile mamy dowodów przeciwko temu facetowi*. Stan Nowy Jork dysponował całą armią wybitnych prokuratorów, a oni mieli wiele miesięcy na przygotowanie niepodważalnych dowodów i... nieograniczony budżet.

Miriam była spokojna, lodowato obojętna, w każdym calu profesjonalna jak wytrawny oskarżyciel sądowy. Nosila czarną garsonkę ze spódnicą. Nie była klasyczną pięknoscią i slyszalem, ze opisywano ja jako nieciekawą, o pospolitej urodzie. Lecz calkowicie sie zmieniala, gdy stawalaa przed sadem; jej oczy stawalaa sie tak przenikliwe, niemal hipnotyczne. Stanowila atrakcyjny widok dla calego zespolu sedyzow przysieglch. Nie potrzebowała

tego wykorzystywać do uzyskania przewagi; mogłaby wyglądać jak Danny De Vito i nie robiłoby to żadnej różnicy. Miriam była prawniczką siejącą prawdziwe spustoszenie – zanim przeszła do zbrodni na tle seksualnym, była specjalistką w zakresie ścigania przestępstw narkotykowych i prostytucji. Przez pięć lat Miriam wносиła oskarżenia za przestępstwa na tle seksualnym, szczególnie ostro występując przeciwko gwałtom i doprowadzając do skazywania na wysokie kary. Dyplom uzyskała w dziedzinie zabójstw i obecnie kandydowała na stanowisko prokuratora okręgowego.

Arturas położył walizkę na posadzce pod stołem obrońcy i zajął miejsce na końcu rzędu za mną. Od strony galerii dla publiczności usłyszałem gwar rozmów i szuranie ciężkich butów. Nie musiałem się odwracać, żeby domyślić się, że Wołczek właśnie wchodzi na salę rozpraw. Otworzyłem walizkę i zajrzałem do środka. Siedem teczek zawierających w sumie pewnie ze sześć, siedem tysięcy stron.

Hałas od strony publiczności wzmógł się. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak Wołczek idzie samotnie głównym przejściem między nawami. Nagle w tłumie wstał jakiś Hiszpan. Miał na sobie czerwono-błękitną bandanę, białą koszulę i kurtkę Adidasa. Od szyi po szczękę ciągnął się tatuaż, miejscami zachodząc nawet na twarz. Moją uwagę ściągnęło nie tylko to, że wstał, ale przede wszystkim to, co zrobił: zaczął rytmicznie wolno klaskać. Za nim wstał jakiś Azjata w czarnym ubraniu, przyłączył się do tego aplauzu, a za nim jeszcze jedna osoba. Ten trzeci też był Hiszpanem. Nosił bordową koszulkę bez rękawów i też paradował z czarnymi, rzucającymi się w oczy tatuażami na nagich rękach i szyi.

Wołczek, mijając ich, uprzejmie skinął głową trzem mężczyznom i usiadł obok mnie przy stole obrony.

– Twoi przyjaciele? – zapytałem.

– Nie. Nie są moimi przyjaciółmi. To moi wrogowie. Przyszli obejrzeć mój upadek.

Wolno cichło *staccato* aplauzu dla Wołczeka.

– A kim dokładnie są ci wrogowie? – pytałem.

– Portorykańczycy i Meksykanie działający w Nowym Jorku jako łącznicy południowoamerykańskich karteli. Ten trzeci jest z jakuzy. Są żeby mi pokazać, że jeżeli pójdę do więzienia, oni mnie tu zastąpią i przejmą moje udziały. Ale rozczarują się – zakończył.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W drzwiach prowadzących do gabinetów sędziowskich ukazała się Jean Denver, jedna z niewielu urzędniczek w zespole sądowym. Lubiłem Jean; była miła, mądra i lubiła flirtować. Pchała ciężki wózek, na którym leżało pięć segregatorów pękających w szwach od dokumentów. Sędziowskie akta sprawy. Sędzia Pike pewnie jest już gotowa, co znaczyło, że wkrótce będę mógł zobaczyć sędziów przysięgłych. Możesz być najsprawniejszym i najzdolniejszym prawnikiem na świecie i zdumiewająco sprytnym przesłuchującym strony, ale jeśli nie wiesz, jak dyskutować z sędziami przysięgłymi, to masz poważne kłopoty. Zanim zaczniesz, najpierw musisz ich zrozumieć. Większość sędziów przysięgłych nie chce pełnić tej funkcji. Mniejszości z nich – tej, która z kolei bardzo chce być sędziami przysięgłymi – należy za wszelką cenę unikać.

Czułem, jak mi z każdą minutą sztywnieje kark, jakby zaczęła go dławić instalacja oplatająca bombę.

Miriam podeszła do mojego stołu i stanęła przy mnie. Wpatrując się w przestrzeń, czułem, jakbym pędził dwieście kilometrów na godzinę. Palił mnie jej uśmiech. Miriam wyciągnęła rękę i położyła na stole żółtą samoprzylepną karteczkę. Widniała na niej odręczna notatka:

TWÓJ KLIENT IDZIE NA DNO.
DO GODZINY 17.00 UNIEWAŻNIĘ JEGO KAUCJĘ.

Zaschło mi w ustach. Ta notatka była wyrokiem śmierci dla Amy. Jeżeli Miriam uda się unieważnić kaucję Wołczeka, Amy i ja będziemy martwi, zanim kajdanki zagrzeją się na przegubach Wołczeka. Uzmysłowiłem sobie, że szuram piętami po marmurowej posadzce, że klnę w duszy i rozpaczliwie walczę o spokój i zebranie rozproszonych myśli.

Miriam przeważnie nie występowała tak osobiście. Jak większość doskonałych prawników, zwykle starała się pozostawać bezstronna. Wiedziałem o tym, bo walczyliśmy już ze sobą.

W przeszłości kilka razy stawaliśmy naprzeciwko siebie, ale w sumie wychodził remis. W pierwszej sprawie źle oceniłem Miriam. Wdeptała mnie w posadzkę. Mój klient został złapany na handlu amfą przed szkołą. Nie było mowy o przyznaniu się do winy, więc stoczyliśmy walkę i moja kanalia przeżywała ciężkie chwile. Jej wystąpienia przed sędziami przysięgłymi były bezbłędne: opanowana, powściągliwa, wywierająca na sędziach silne wrażenie, prezentując tylko fakty i nie próbując grać na ich emocjach. Mniej

więcej miesiąc po procesie ktoś mi powiedział, że syn Miriam chodził do tej szkoły i że mój klient właśnie jemu sprzedawał narkotyki. Mnie nic o tym nie wspominała i odnosząc beznamietne zwycięstwo, ominęła gładko ten temat. Chociaż zapadł właściwy i łatwy dla sędziów przysięgłych wyrok, sposób, w jaki wygrała, zrobił na mnie wrażenie.

Notatka, którą mi teraz wręczyła, miała na celu rozdrażnić obronę. A to znaczyło, że Miriam jest zaniepokojona. To nie było zwykłe morderstwo. Dziś zaczyna się sprawa, od której zależy kariera Miriam. Jeżeli przegra, może się pożegnać z pracą. W takich sprawach oskarżyciele często doświadczenia dużej presji, bowiem wszyscy spodziewają się ich wygranej. Gdyby teraz Miriam doprowadziła do skazania oskarżonego, gdy jej najważniejszego świadka dostarczają federalni – stanie się sławna. Podałem notatkę Wołczekowi. Po pierwsze, dlatego, żeby nie myślał, iż wymieniam z oskarżycielem informacje dotyczące bomby, i po drugie, chciałem go trochę przestraszyć. Ludzie w strachu często podejmują alternatywne decyzje. W takim przypadku w biblji cwaniaka można przeczytać na pierwszej stronie dokładnie taki sam zapis, jak na pierwszej stronie podręcznika dla prawników procesowych: „Daj ludziom to, czego chcą”.

– Ona dąży do unieważnienia twojej kaucji – oświadczyłem.

Arturas, słuchając, przechylił się przez barierkę. Obserwował, jak Wołczek zaczyna blednąć.

– Nie spodziewałeś się tego – zwrócił się do Arturasa.

– Nie może tego zrobić. Tamci prawnicy powiedzieli nam, że oskarżyciel może próbować, ale byli przekonani, że się jej nie uda – odparł Arturas.

– Może przedstawiali to tak optymistycznie, bo chcieli od ciebie zaliczki? – zapytałem.

Uważnie obserwowałem twarz Arturasa, jak się napina, krzywi, jak mu się zwężają oczy.

– Pewnie jest przekonana, że ma murowanego świadka; kogoś, kto zmieni zasady gry. Dobry oskarżyciel procesowy zawsze zaczyna sprawę od najważniejszego świadka. Miriam Sullivan jest znakomitym prokuratorem. Ona jest przekonana, że jej pierwszy świadek wystarczy, żeby cię skazać.

Wołczek wyszczerzył zęby i warknął:

– Arturas, mówiłeś, że wszystko wzięłeś pod uwagę. Miałeś dwa lata na planowanie. Tymczasem... Po pierwsze, Jackowi nawet się nie udało wyjść z limuzyny z bombą na plecach i nie wyobrażał sobie, że może ją przenieść przez ochronę. A teraz... – Wyciągnął rękę, jakby z zamiarem uderzenia Arturasa w twarz, jednak w ostatniej chwili zrezygnował. – Jeżeli teraz znowu mnie zawiedziesz... – Potrząsnął głową.

Arturas podrapał bliznę na policzku. Zobaczył, że go obserwuję, i cofnął rękę. Po bliższym przyjrzeniu się zauważyłem, że blizna jeszcze nie całkiem się zagoiła. Pokrywała ją jakaś półprzezroczysta ciecz wydostająca się z czerwonej szramy, marszcząc fragment rany tuż pod okiem. Faceci

w rodzaju Arturasa w przypadku takiego potraktowania nie zgłaszają się na pogotowie, ale ten, kto mu zaszył ranę, nie wykonał zbyt dobrze roboty. Szemrani lekarze, głównie potrzebni do wypisywania recept, nie są znani ze zbytniego przestrzegania higieny, ani też z umiejętności manewrowania igłą. Ta rana wyglądała jak przerośnięta, stwardniała zainfekowana tkanka, która nigdy się w pełni nie zabiłżni.

Zacząłem się zastanawiać, skąd ją ma. Może była to kara Wołczeka za jakiś błąd z przeszłości.

Arturas skupił gniew na mnie.

– Nie możesz pozwolić, żeby unieważniła kaucję. Od tego zależy życie twojej córki. Jeden telefon wystarczy, żeby podciąć jej małe gardziółko – powiedział.

Odpowiedziałem wściekły:

– Uspokój się. Nie pozwolę na to. Musiałaby mieć coś wyjątkowego, żeby już w pierwszym dniu unieważnić kaucję Wołczeka. Jednak cokolwiek to mogłoby być, dam sobie radę – stwierdziłem.

Usłyszałem, jak otwierają się drzwi do gabinetu sędziów. Zaczynała się rozprawa, o której nic nie wiedziałem. Co Miriam trzyma w rękawie – dowiedziałem się z jej wstępnego oświadczenia przed sądem. Poprawiłem krawat, wygładziłem marynarkę i poczułem ciężar bomby na plecach.

– Cisza! Proszę wstać, sędzia Gabriella Pike, sprawa numer 552192 o morderstwo pierwszego stopnia, Stan Nowy Jork przeciwko Olegowi Wołczekowi.

Urzędnik sądowy, niski, nierzucający się w oczy brunet w czarnej todze, nim skończył, usiadł, zanim większa część publiczności uniosła tyłki z ławek. Sędzia Pike robiła wszystko gorliwie – szybko mówiła, szybko chodziła i szybko jadła. Jako adwokatka była budzącym grozę obrońcą, ponieważ – tak jak wszystko inne – umiała też zdumiewająco szybko myśleć. Czyniło to z niej niezwykle skuteczną prawniczkę, jeśli chodzi o przesłuchania świadków strony przeciwnej. Niebywale ambitna, w krótkim czasie Gabriella została najmłodszą sędzią w historii stanu i ponieważ poprzednio była adwokatką, sprawiała innym obrońcom naprawdę wiele kłopotu.

– Za pozwoleniem pani sędzi, proszę siadać! – zawołał urzędnik i publiczność usiadła.

Sędzia Pike spojrzała na mnie.

– Panie Flynn, myślałam, że do tej sprawy został wyznaczony pański partner – powiedziała.

Mówiła, nieco przeciągając słowa z brooklyńskim akcentem, lecz jej energia dodawała temu akcentowaniu impetu.

Czułem w głowie pulsujący ból.

– Na czas tego procesu zająłem miejsce mojego przyjaciela, chyba że wysoki sąd ma jakąś obiekcję? – powiedziałem z nadzieją, że nie ma, bo wiedziałem, że nic nie ryzykuję.

Często następuje zmiana prawnika. Klienci w sprawach kryminalnych lubią

zmieniać swoich adwokatów. Niektórzy zmieniają ich pięć, sześć razy w czasie trwania procesu – zwykle dlatego, że nie podobają im się udzielane przez nich rady, albo adwokat przysyła im za duży, chociaż zgodny z przepisami, rachunek.

– Mamy już skompletowany zespół sędziów przysięgłych? – zapytała sędzia, nie zwracając się do kogoś konkretnego, ale urzędnik ławy przysięgłych zareagował na ten sygnał i wyszedł bocznymi drzwiami, po chwili wprowadzając dwunastu sędziów.

Modliłem się o krótką przerwę. Sędzia zwykle powinien się dobrze przyjrzeć przysięgłym. Gdyby główny świadek oskarżenia był naprawdę kartą atutową Miriam, a ława przysięgłych nastawiona przeciwko Wołczekowi, wtedy sędzia Pike miałaby wystarczający powód, aby w odpowiedniej chwili cofnąć kaucję. Głowa bolała mnie coraz bardziej. Było mi słabo. Nie miałem wyboru, musiałem czekać i obserwować, co się wydarzy.

Jack był dobrym prawnikiem. On z pewnością postarałby się wybrać dobrych sędziów przysięgłych.

Sędziowie zajęli miejsca – sześciu w pierwszym rzędzie i sześciu na podium za nimi.

Wątpię, czy wybrałbym któregokolwiek z nich.

Pierwszy sędzia był białym facetem po czterdziestce. Miał na sobie zwykłą koszulę i nosił okulary. Wyglądał na umiarkowanie inteligentnego i prawdopodobnie był najgorszym wyborem ze wszystkich. Reszta sędziów nie sprawiała wrażenia przychylnych Wołczekowi – pięć niskich, czarnych kobiet między pięćdziesiątką i sześćdziesiątką, noszących kwieciste stroje; kobiet silnych, w pewnym sensie atrakcyjnych, lecz z pewnością nieusposobionych przyjaźnie do rosyjskiej mafii. Następnie cztery kobiety w wieku około trzydziestu i czterdziestu lat – dwie białe, jedna pochodzenia hiszpańskiego i jedna chińskiego. Widziałem też czarnego faceta w białej koszuli i czerwonej muszce. Taki facet zawsze oznacza niebezpieczeństwo dla prawnika procesowego; nie ma bardziej upierdliwych sędziów przysięgłych od tych, którzy noszą muszki. Ostatni facet był Hiszpanem i miał doskonale wyprasowaną koszulę z wyraźnie zaprasowanymi kantami rękawów. Wyglądał schludnie, dobrze się prezentował i ogólnie sprawiał wrażenie dość inteligentnego. Mimo że pewnie nie był najdoskonalszym kandydatem do ławy przysięgłych, to z pewnością najlepszym z całej paczki. W końcu to on pewnie będzie uważnie słuchał, a to jest niezwykle cenne, by mieć w składzie ławy przysięgłych kogoś, kto zechce słuchać. Mimika twarzy takich sędziów może być barometrem sukcesu – dopóki widać na nich skupienie, kalkulowanie, zastanawianie się i od czasu do czasu uśmiech, a także w pewnych momentach potakujące ruchy głowy, tak długo jest nadzieja. Inni mogą go posłuchać i przyłączyć się do niego.

– Pani Sullivan, proszę wygłosić wstępne oświadczenie – oznajmiła sędzia Pike.

Na sali zapadła wyczekująca cisza. Arturas sięgnął do teczki, wyciągnął notatnik z ołówkiem i podał mi, żebym notował. Pomyślał o wszystkim. Otworzyłem notatnik, ale odłożyłem ołówek, wyjąłem pióro od mojej córki i przygotowałem się do zapisywania.

Na pierwszym miejscu zawsze zapisywałem nazwę sprawy i nazwiska sędziego oraz oskarżyciela. Ale teraz, gdy spojrzałem na kartkę z notesu, napisałem tylko *Amy*.

Zachowałem w pamięci pewną niedzielę sprzed roku. Nieważne, w jakiej brałem udział sprawie albo jak byłem zapracowany, tamtej niedzieli zrobiłem na śniadanie dla Amy i siebie naleśniki, a po południu poszliśmy do Prospect Park. To był nasz dzień. Amy uczyła się jeździć rowerem na ścieżkach wiodących do Nethermead Arches Bridge i nie mogła się doczekać powrotu do domu, żeby opowiedzieć o tym Christie; zasnęła w moich ramionach w drodze powrotnej z ogrodu zoologicznego i zaśliniła mi koszulę; nad jeziorem jedliśmy lody w rożkach, obserwując gęsi latające nad przystanią, i rozmawialiśmy o jej najlepszych przyjaciółkach i dzieciakach, które dokuczały jej, bo trochę się od nich różniła. Amy nie lubiła zespołów młodzieżowych, ani hip-hopu i nie oglądała dużo telewizji. Lubiła czytać i słuchać starego rocka – takich zespołów jak The Who, Rolling Stones i Beatlesi. Gdy padało, kupowaliśmy wiaderka popcornu i szliśmy na stare filmy. Zawsze z niecierpliwością czekałem na te niedziele. Potem już nie było naszych niedziel; od naszego rozstania Christine chciała, żeby Amy przygotowała się do powrotu do szkoły, więc zmieniliśmy to na soboty. Pod koniec każdego sobotniego popołudnia zęgnąłem ją, całując na do widzenia, i wracałem do mojego pustego mieszkania.

Rozejrzałem się po sali i zobaczyłem, że wszyscy czekają na mowę oskarżyciela.

Miriam oparła łokcie na stole, trzymając ręce tuż pod twarzą. Widziałem, jak robiła to przedtem. Wszystkie oczy były skierowane na nią. Z tą godną zaufania twarzą i kruchymi rękoma, ściągnęła na siebie całą uwagę publiczności. Wstała z krzesła, podeszła do ławy przysięgłych i zaczęła – pewna siebie – kolejno patrząc w oczy każdemu sędziemu. Taki miała sposób nawiązywania z nimi kontaktu i oni doskonale to przyjmowali. Gdyby w tym momencie powiedziała im wprost, że Wołczek jest winny, zgodziliby się z nią z pełnym przekonaniem.

– Panie i panowie sędziowie przysięgli, nazywam się Miriam Sullivan i oskarżam pana Wołczeka o popełnienie morderstwa. Za chwilę to udowodnię. Zaprezentuję wam całą prawdę o tym morderstwie. Ta prawda ukaże wam drogę, którą podążaliśmy, i na tej podstawie będziecie mogli orzec, że pan Wołczek jest winny. W telewizji widzieliście sprawozdania z tego procesu – wielu dowiedziało się z nich, że pan Wołczek jest bossem rosyjskiej mafii. Nasz główny świadek opowie wam o życiu na łonie Bractwa, jak Rosjanie nazywają tę organizację przestępczą. W rzeczywistości, panie

i panowie, przekonacie się, że prokuratura zgromadziła przeciwko oskarżonemu całą górę dowodów.

Tak jak się spodziewałem, demonstracyjnie położyła wypielęgowaną dłoń na stole oskarżyciela. Prawdopodobnie leżały tam dwie albo trzy kopie dowodów, które – również prawdopodobnie – nie tak bardzo dowodziły winy Wołczeka. Ale liczyło się wrażenie.

– Tu leży coś, co będziecie mogli ocenić – dowód – kontynuowała. – Nie są to żadne doniesienia prasowe. Teraz chcę wam powiedzieć coś o naszej sprawie i o specjalnym świadku – biegłym, który zezna, że pan Geraldo został zabity na rozkaz pana Wołczeka. Człowiek, który zastrzelił pana Geraldo, jest obecnie pod opieką FBI. Jego dawna i obecna tożsamość będzie w tym postępowaniu chroniona, ponieważ jako były członek Bractwa żyje pod ciągłą groźbą utraty życia. W tym procesie będziemy go nazywać „Świadkiem X”.

Miriam przerwała dla efektu, dając mi czas przeczytać właśnie zapisane zdanie. Brzmiało ono: *Ten człowiek żyje pod ciągłą groźbą utraty życia.* Podkreśliłem je. Dwa razy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Miriam przez godzinę mówiła na temat obciążającego Wołczeka dowodu. Wyjaśniła sędziom przysięgłym, że muszą być przekonani ponad wszelką wątpliwość o winie Wołczeka. Sędziowie kiwali głowami potakująco i Miriam przeszła do wyjaśnienia, jakie części dowodu składają się na to obciążenie.

– Panie i panowie sędziowie przysięgli, pierwszym świadkiem oskarżenia jest doktor Irwing Goldstein, wybitny specjalista w zakresie sądowego badania dokumentów. Bada dokumenty pisane odręcznie, aby określić, kto jest ich autorem. Doktor Goldstein zbadał pismo oskarżonego w dokumentach publicznych znajdujących się w posiadaniu prokuratury. Potem zbadał inne dostarczone mu próbki odręcznego pisma i ustalił z całą pewnością, czy oskarżony napisał to, czy nie.

Miriam w eleganckich butach na wysokim obcasie skierowała się do stołu oskarżyciela. Wzięła do ręki leżący na nim banknot w zapieczętowanej plastikowej torebce służącej do przechowywania dowodów.

– Mamy tu dowód oskarżenia numer dwanaście. Jest to używany jednorublowy banknot przedarty na pół. Jedna połówka jest bez skazy, na drugiej markerem zapisano imię i nazwisko ofiary: *Mario Geraldo*. Świadek X zezna nam, że otrzymał połówkę tego banknotu – tę bez skazy – od swojego bossa, czyli od oskarżonego Olega Wołczeka, a kiedy później otrzymał drugą połówkę tego banknotu z nazwiskiem ofiary, był to *modus operandi* oznaczający rozkaz jej zlikwidowania. Skąd wiem, że to właśnie oskarżony napisał na banknocie nazwisko ofiary? Doktor Goldstein może wam powiedzieć, że pismo na banknocie odpowiada dokładnie pismu oskarżonego.

Miriam przerwała, ciągle trzymając banknot w wysoko uniesionej dłoni. Była to pewnego rodzaju gra, dowód mogący anulować kaucję. Kilku sędziów spojrzało surowo na Wołczeka.

Rozparłem się w krzesło i założyłem ręce na piersiach. Spojrzałem na siedzącego obok Wołczeka.

– Oprzyj się wygodnie. Uśmiechaj się. Patrzą na ciebie sędziowie. Udawaj, że jesteś rozluźniony. Niech sędziowie widzą, że się nie przejmujemy tym dowodem i że możemy go obalić.

Uśmiechaliśmy się.

– Robisz ze mnie głupka? Jak ci się udało dostać zwolnienie za kaucją?

– Prokurator nie miał dowodu, żeby mnie postawić w stan oskarżenia. Oni na początku roku przedstawili tylko opinię eksperta – grafologa, jak go nazywali – wyjaśnił Wołczek.

Zamyśliłem się.

– Po jaką cholere wydałeś ten rozkaz na piśmie? To najgłupsza rzecz, o jakiej kiedykolwiek słyszałem. Powiedz mi, że ona łyże, i zaraz znajdę coś, co pozwoli nam to zakwestionować – oświadczyłem.

Uśmiech znikł z twarzy Wołczeka. Zmarszczył brwi i ściszył głos.

– Nic nie wiesz o mnie – ani co robię, ani jak kieruję moim biznesem. To stara historia. Jeszcze z czasów Związku Sowieckiego. Wtedy gangi były dzikie, lecz zawsze lojalne bossowi. Ta lojalność nie zawsze sięgała głęboko w dół do worów, czyli, w nomenklaturze gangów amerykańskich i mafii – do tych, których wy nazywacie żołnierzami. Jeśli żołnierz chce wejść wyżej, dostać się do szeregów Bractwa, najłatwiejsza droga wiedzie przez eliminację najgroźniejszego rywala. Jednak nie może tego zrobić sam. Wykorzystuje innych żołnierzy. Mówi im, że boss, *pachan*, rozkazał mu usunąć rywala. Żołnierze są absolutnie posłuszni, ale *pachan* nic o tym nie wie, a potem jest już za późno. Widziałem, jak całe Bractwo wybiło się w ten sposób do nogi. Dlatego stosuję stare metody, aby mieć pewność, że nic takiego się nie zdarzy. A tą starą metodą jest to. – Wskazał na banknot, który Miriam trzymała w ręku, wolno wracając do stołu oskarżyciela.

Po chwili ciągnął dalej:

– W mojej organizacji jedynym człowiekiem, który ma prawo wydać rozkaz zabicia – jestem ja. Ja kontroluję wszystkie zabójstwa. Jest to metoda zapobiegająca wojnom z innymi gangami i daje mi pewność, że wzajemnie się nie pozabijamy. W tym celu mam człowieka, którego nazywam moją torpedą.

– Wymówił to jak tor-pe-dą. – To stare, sowieckie określenie zabójcy. Przychodzi do mnie człowiek. Na jego oczach przedzieram banknot na pół. Daję mu czystą połówkę. W ten sposób staje się torpedą. Kiedy chcę kogoś zabić, wypisuję jego nazwisko na mojej połowce i posyłam ją torpedzie. On sprawdza, czy ta połowka pasuje do jego. Jeżeli pasuje – wie, że to rozkaz ode mnie, i że wymagam od niego całkowitej lojalności.

– I ten Świadek X, Mały Benny, był właśnie twoim torpedą? Więc dlaczego, u diabła, zachował tę połówkę? – zapytałem.

– W Związku Sowieckim taki jednorublowy banknot nazywaliśmy *całkowy*, co znaczyło „cały jeden”. A to z kolei znaczy, że taki torpedo posiadał całe moje serce, pełne zaufanie i lojalność na wieki. Po wykonanej robocie torpedo powinien banknot spalić, ale większość z nich tego nie robi. Oni zatrzymują te ruble. W dzisiejszych czasach stare banknoty rublowe są rzadkością i trudno je zdobyć. Są jak medal zasługi. Niektórzy nawet noszą wytatuowany banknot jednorublowy na plecach. Ja na to nie pozwalałam. My nosimy honor i zasługi w sobie, a nie na zewnątrz, na skórze.

Nie mogłem na to reagować w obecności sędziów przysięgłych, ale miałem wielką ochotę objąć dłońmi głowę i krzyczeć. Teraz ta sala sądowa nie wydawała mi się już taka ogromna; gwałtownie zmalała. Zastanawiałem się, gdzie mogą trzymać Amy. Czy też czuła się taka osaczona, w pułapce

i przestraszona? Pewnie bym zwariował, gdybym się dłużej zastanawiał, co się jej mogło stać i co z nią będzie.

Skupiłem myśli na sprawie.

– Podaj mi akta sprawy – zwróciłem się do Wołczeka.

Zajrzał do walizki. Wydawało się, że szuka jakiejś szczególnej teczki. Znalazł i podał mi. Na grzbiecie było napisane, że zawiera dokumentację z przesłuchań. Zacząłem kartkować. Wołczek zwracał się prawie do wszystkich znaczących obrońców w sprawach kryminalnych w tym stanie i zebrał wiele raportów z przesłuchań, dostarczonych przez ich biegłych kryminalnych. Spis dokumentów wykazywał jedenaście takich raportów. Wyraźnie był zdesperowany. Przejrzałem wnioski ze wszystkich raportów. Wszystkie mówiły to samo – Wołczek jest autorem nazwiska wypisanego na banknocie rublowym.

Miriam kontynuowała mowę wstępną.

– Panie i panowie sędziowie przysięgli, będziecie też mogli usłyszeć zeznania członka rodziny ofiary. Posłuchacie Tony’ego Geraldo, kuzyna ofiary. Opowie wam o groźbach, jakie Mario Geraldo słyszał od oskarżonego, jak oskarżony straszył, że go zabije, albo że to zorganizuje.

To nazwisko, Tony Geraldo, zdawało się pobudzać coś w mojej pamięci, coś tak silnego, że nie mogłem zebrać myśli. Miriam nabrała rozpędu.

– Usłyszycie oficera policji, który aresztował i przesłuchiwał oskarżonego. Usłyszycie, jak opisuje swoje śledztwo...

Moje zainteresowanie jej wywodami osłabło. Znalazłem listę świadków. W sumie mieliśmy wysłuchać pięciu. Mała, zwarta, dobrze przygotowana grupka. Miriam, formułując oskarżenie, unikała zwykłego ataku ostrą amunicją. Jej metoda polegała na uderzaniu na chybił trafił, stale przechodząc od świadka do świadka, póki gdzieś coś z tego nie wyniknie. Ona doskonale wiedziała, że to najlepszy sposób. I właśnie pierwszym świadkiem miał być ekspert od badania dokumentów, doktor Irwing Goldstein. To dobra strategia, pomyślałem. A jednak widziałem w tym też moją wielką szansę. Wołczek musiał wydać fortunę, aby uzyskać wszystkie raporty, i płacąc tym wszystkim prawnikom, aby za każdym razem uzyskiwać taki sam rezultat – „To jest twoje pismo”. Na tyle, na ile się orientował, ten świadek to sprawa beznadziejna. Nie mógł znaleźć innego eksperta, który podważyłby dowód Goldsteina. Każdy prawnik, któremu Wołczek płacił, mówił mu, że ekspertyzy Goldsteina są niepodważalne.

Nie miałem wyboru. Jeżeli doktor Goldstein jest tak dobry, jak się tego Miriam po nim spodziewa, to Wołczek może za kilka godzin stracić prawo do zwolnienia za kaucją i Amy przyplaci to życiem. Musiałem zniszczyć dowód Goldsteina. Gdybym mógł to zrobić, osiągnąłbym dwie rzeczy: pierwsza – miałbym do dyspozycji pozostałe dwadzieścia osiem godzin na zaplanowanie wydostania się z tej matni; druga – Rosjanie zaczęliby mi ufać. Gdyby Wołczek doszedł do przekonania, że będę miał tyle odwagi i sprytu, aby go

uchronić od więzienia na tyle długo, żeby załatwić Benny'ego, wtedy nie będzie żądał, abym przy pierwszej okazji umieścił bombę pod jego tyłkiem. Jednak przedtem musiałem zyskać jego pełne zaufanie.

W naszej tajnej grze takie działanie nazywamy *perswazją*.

Miriam zakończyła mowę wstępną.

– Panie i panowie, jeśli uznacie, że te proste twierdzenia są słuszne, wtedy *musicie* też uznać oskarżonego winnym. Udowodnimy wam jego winę, a wy *musicie* go skazać.

Miriam usiadła.

Sędziowie przysięgli sprawiali wrażenie zmęczonych.

– Flynn, czy chce pan teraz wygłosić mowę do sędziów przysięgłych, czy też ustosunkować się do dowodu przedstawionego przez oskarżenie? – zapytała sędzia Pike.

Wstałem wolno i oznajmiłem:

– Wysoki Sądzie, sędziowie przysięgli powinni mieć czas na przyswojenie sobie tego, co usłyszeli od pani prokurator Sullivan. Ja zaś, przed zwróceniem się do ławy przysięgłych, pragnę uzyskać wskazówki od mojego klienta.

To była moja zwykła taktyka i często stosowali ją inni obrońcy. Po wysłuchaniu mowy wstępnej prokuratora zawsze chciałem porozmawiać z klientem. Przede wszystkim dlatego, że obrona wiedziała już, jakiego rodzaju dowody pragnie przedstawić prokuratura, i należało powtórnie przedyskutować je z oskarżonym, a także sprawdzić, czy to, co zostało przedstawione, było prawdziwe. Chciałem też, żeby sędziowie przysięgli zaczęli mnie darzyć sympatią. Siedzieli prawie dwie godziny, słuchając Miriam. Teraz zamierzałem być ich wybawicielem. Chciałem, żeby zobaczyli, jak wstaję, coś szybko wygłaszam i wtedy proponuję im przerwę na kawę z ciastem. Troszczę się o nich – oni przecież potrzebują przerwy; jestem opiekuńczy, kontaktowy, słucham ich. Wkrótce odbędzie się tu największy show w mieście!

Miriam szybko spostrzegła moje zapasy z ławą przysięgłych zmierzające do uwolnienia ich spod jej uroku i spróbowała zyskać ich przychylność.

– Szanowni sędziowie przysięgli, obawiam się, że dzisiejszego ranka zabrałam wam zbyt dużo czasu. Może zamiast przerwy na kawę zrobimy sobie dłuższą przerwę na lunch?

– Ogłaszam przerwę – oznajmiła sędzia Pike. – Spotkamy się tu za godzinę.

Sala sądowa zaczęła się opróżniać. Poczulem czyjąś silną rękę na swoim ramieniu.

– Idziemy porozmawiać na górę – powiedział Arturas.

Nie miałem czasu na gadaninę. Miałem tylko godzinę, żeby przeczytać osiem tysięcy stron, przygotować się do najważniejszego wystąpienia wstępnego, a także do najważniejszego w moim życiu przesłuchania. Obróciłem się na krześle i spojrzałem na niego.

– Porozmawiamy później. Mam robotę. I potrzebuję twojej pomocy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wiktor zamknął na klucz drzwi pokoju recepcyjnego, który zajmowaliśmy przedtem, na dziewiętnastym piętrze. Arturas stał z założonymi rękoma. Był zdenerwowany i zły. Jego boss po prostu ułożył się na kanapie i obserwował mnie.

– Potrzebuję laptopa albo smartfona z dostępem do Internetu – powiedziałem.

– Po co? – zapytał Arturas.

Zignorowałem Arturasa i zwróciłem się wprost do Wołczeka – on był moim klientem; on potrzebował odpowiedzi i on dyktował warunki.

– Twoi prawnicy próbowali znaleźć eksperta, który zeznałby przeciwko orzeczeniu doktora Goldsteina. Chcieli zatrudnić innego eksperta od pisma, który oświadczyłby, że to nie ty napisałeś te słowa na banknocie. Przejrzałem w aktach całą masę raportów w tej sprawie, ale nie znalazłem żadnego, który by o tym mówił. Dlatego, że taka opinia po prostu nie istnieje. A w każdym razie nie istnieje legalnie. Zapewne udałoby ci się znaleźć jakiegoś eksperta, który wydałby orzeczenie, że to nie jest twoje pismo, jednak oni nie mają tak dobrych referencji jak Goldstein.

Wołczek skinął głową. Wydawało się, że to kupił – ale nie Arturas.

– Co chcesz zrobić? Inne firmy miały do dyspozycji wiele miesięcy, aby zdobyć dowód. A ty? Co zamierzasz zrobić w godzinę? – pytał Arturas.

– No cóż, coś jednak mogę zrobić. Jeżeli pozwolimy, żeby ten dowód nadal funkcjonował w niezmienionej postaci, Miriam Sullivan unieważni kaucję i założą ci kajdanki, zanim Goldstein wyniesie swoją dupę z boks dla świadków. A to oznacza też, że jeśli to gówno nadal będzie działać, nie dostąpisz tego luksusu i jutro nie wskoczysz do samolotu.

Słyszałem, jak Arturas zgrzyta zębami. Krzywił się, przestępując z nogi na nogę. Planował to wszystko od dawna i teraz nie podobały mu się takie nieprzewidziane przeszkody. Lecz takie są prawa procesu. Wejście na salę sądową jest jak podróż do Vegas i rzucenie kośćmi do gry – wszystko się może zdarzyć. Wołczek nadal słuchał.

Tu stawką była jego wolność.

– Nie musisz mi mówić, co będzie, jeżeli oskarżony pójdzie do więzienia i coś się stanie stanowemu świadkowi. Nie możesz utracić prawa do kaucji przed zakończeniem dochodzenia, zanim zostaniesz oczyszczony z winy. Ile to może trwać? Dwa, może trzy lata? Wymiar sprawiedliwości może nie skojarzyć mojej bomby bezpośrednio z tobą, co jednak nie oznacza, że nie mogą cię

wsadzić do celi razem z jakimś dwustukilowym kanibalem. Pewnie nie unikniesz tam żołnierzy kartelu. Tak... twoi kumple, ci z sali sądowej, mogą cię łatwo dopaść. Dla mnie to nie problem, o ile będzie to oznaczało bezpieczeństwo Amy. Będę mógł z tym żyć. Ale jeżeli pójdziesz do więzienia – przegrałeś.

Wołczek wymienił spojrzenia z Arturasem. Wyglądził spodnie i próbował przełknąć porozumiewawczy uśmiezek. Mimo tego, co właśnie mu powiedziałem, wiedziałem, że bez względu na finał całej sprawy ani Amy, ani ja nie zostaniemy przy życiu. Zechcą mnie uciszyć, zanim opowiem FBI, że moja córka została przez nich uprowadzona, a mnie zmuszono do wniesienia bomby do sali sądowej. Musiałem jednak pozwolić Wołczekowi i Arturasowi myśleć, że kupiłem tę ich głównianą historyjkę.

– Nadal chcę wiedzieć, co możesz zrobić z tym, z czym inni prawnicy nie potrafili sobie poradzić – powiedział Arturas.

Na to proste pytanie udzieliłem prostej odpowiedzi:

– Tamci prawnicy próbowali obalić dowody. To złe podejście. Tak jak w futbolu – mówią, że jesteś słaby, że się nie liczysz, że twoja drużyna jest bankrutem, a ty występujesz przeciwko gigantowi, który ma genialnego rozgrywającego. Nie masz szans w bezpośredniej walce. Jednak ja się nie zawaham. Wiem, że jeśli mam przed sobą kogoś utalentowanego, niezwykle bystrego, z którym nie mam szans rywalizować – co się często zdarza – wówczas staram się go eliminować z gry. Twardo i bezwzględnie go blokuję. Na przykład tak go kalecząc, żeby nie „obudził się” do końca sezonu. Weterani mówią: czasami grasz człowiekiem zamiast piłką. Tak się też ma sprawa w sporze sądowym – jeżeli nie mogę obalić dowodu, muszę zniszczyć świadka, który dostarcza ten dowód. Jeżeli sędziowie przysięgli uznają, że Goldstein nie jest wiarygodny, to nie ma znaczenia, co zezna. Muszę mieć dostęp do Internetu, aby go skompromitować. Posłuchajcie, nie mamy wyboru. Albo mi pomożecie, albo zobaczymy, jak funkcjonariusz ochrony sądu zakłada ci kajdanki. To proste.

Wołczek i Arturas zgodnie skinęli głowami.

– Co możesz znaleźć w godzinę? – zapytał Arturas.

– Tego nie będę wiedział, póki tego nie znajdę. – Miałem pewien pomysł. Widziałem ironiczny uśmiezek Wołczeka, ale wyraźnie był zaintrygowany.

– Okej – powiedział Arturas i wyjął iPhone’a. – Powiedz, czego szukasz.

– On jest związany z Uniwersytetem Wisconsin. Zaczniij od jego uniwersyteckiego biogramu i wyświetl listę jego prac. Muszę przejrzeć artykuły, które opublikował w latach 2000, 2004 i 2008.

– Dlaczego? – zapytał Arturas.

– Jeżeli przesłuchujesz jakiegoś świadka związanego ze środowiskiem akademickim, musisz przejrzeć jego publikacje z czasów pracy na uniwersytecie. Wszystko można prześledzić dzięki ARAE – czyli *American Research Assesement Exercise* (Wykorzystywanie Amerykańskich Badań

Naukowych). W ARAE publikują przeważnie akademicy, większość funduszy wpływa do ich uniwersytetu, ale sporo pieniędzy trafia potem bezpośrednio do tych mądrali. W wymienionych przeze mnie latach wszyscy pisali artykuły jak szaleni i nawet całkiem rozsądni naukowcy pisali takie gówna, których nie ośmieliliby publikować gdzie indziej. Nie ogłaszali jakichś twórczych, poważnych teorii, zapisując hektary stron papieru różnego rodzaju bzdurnymi wróżbami albo doniesieniami o UFO. Jednak tego rodzaju twórczość dawała kasę. Może więc znajdziemy tam też coś na Goldsteina.

Przed laty przesłuchiwałem kilku naukowców i dowiedziałem się wszystkiego o ARAE. To nigdy mnie nie zawiodło, zawsze dostarczało ostrej amunicji. Tak jak wszystko w życiu – śledź przepływu pieniądza, a zawsze doprowadzi cię to do celu.

Podczas gdy Arturas przeglądał Internet, ja przekopywałem się przez raport ekspercki Goldsteina. Kiedyś reprezentowałem przed sądem Archiego Mailora oskarżonego o fałszerstwa czeków i musiałem przejrzeć podobne raporty. Archie pracował dla mnie, kiedy zajmowałem się przekrętami ubezpieczeniowymi. Chłopak miał talent. Podczas jego rozprawy miałem dostęp do ekspertyzy biegłego sądowego do spraw dokumentów pisanych odręcznie, który badał pismo Archiego i sfałszowane чеки. Nie wiedziałem dokładnie, na czym się ten facet skupia w swoich badaniach, i długo się nad tym nie zastanawiałem. Pamiętam tylko, że eksperci głównie zajmowali się dużymi literami, stawianymi na początku słów. Śledząc raport Goldsteina, stwierdziłem, że robił to samo, skupił się na dużej literze G w imieniu „Geraldo”, które Wołczek wypisał na banknocie markerem. Poza raportem Goldsteina znalazłem też oświadczenie grupy CSI (*Crime Scene Investigation*), funkcjonariuszy badających miejsce zbrodni. Sprawdzali odciski palców na banknocie i potwierdzono odciski Benny’ego z informacją, że pozostałe są niemożliwe do zidentyfikowania.

Znalezienie właściwej strony zajęło Arturasowi siedem minut. Była to: „Lista publikacji 2008” – i nic. Sprawdziliśmy rok 2004 – i znowu nic się nie pojawiło.

Rok 2000 – bingo! To, czego szukaliśmy, błysnęło jak złoto w płucce. Goldstein, jak większość akademików, był pazerny na zielone. Napisał z pół tuzina głupawych artykułów zapychających grube tomisko, aby zdobyć pozycję i gotówkę!

Jeden z nich był szczególnie paskudny. I nasunął mi wspaniały pomysł.

– Chcę ten artykuł wydrukować. Poza tym muszę mieć kserokopiarkę, papier, gorącą kawę i chcę być sam! – oznajmiłem.

Arturas nie odstępował mnie na krok. Wezwałem przez jego iPhone’a urzędniczkę sądową Jean i poprosiłem ją słodziutko, żeby dla mnie wydrukowała ten artykuł. Powiedziałem, że będę jej dłużny karton paczków, i podałem, gdzie może znaleźć ten artykuł online. Pomyślałem, że Miriam pewnie nawet nie zna imienia Jean. Większość utalentowanych i bystrych

prawników ignoruje personel sądowy, osoby, które nazywają pogardliwie „pionkami”. Ale nie zdają sobie sprawy, ile ich to może kosztować. A te „pionki” w rzeczywistości przeważnie są najlepszymi kumplami.

W końcu miałem w gabinetach sędziowskich spokój. Wiktor został w pokoju recepcyjnym, próbując uruchomić kserokopiarkę. W końcu udało mu się, a ja właśnie potrzebowałem kserokopii kilku stron i powiększenia ich na tyle, żeby sędziowie przysięgli mogli je lepiej widzieć. Rozpostarłem na biurku pewne dokumenty i zamyśliłem się – układałem sobie w głowie plan działania. Głowa ciągle mnie bolała od uderzenia w limuzynie. Gdybym chciał spróbować wystawić Rosjan do wiatru, musiałbym uśpić ich czujność i wzbudzić w nich zaufanie – żeby przestali mi zaglądać przez ramię. Ojciec zawsze mówił, że trudno oszukać uczciwego, ale najtrudniej zdobyć zaufanie nieuczciwego. Dobre oszustwo zawsze opiera się na zdobyciu zaufania.

– Wołczek – powiedziałem. Skinął na mnie, żebym usiadł obok niego na jednej z kanap. – Wszyscy twoi poprzedni prawnicy byli wspaniali, utalentowani i kompetentni. Tego nie musiałeś mi mówić, prawda? Wiedziałeś, że ci faceci byli najlepsi w swoim fachu. I oni ci mówili, że grafolog może obalić twoją obronę.

Zdawało się, że Wołczek zamarł w bezruchu, że coś rozważa, planuje, jakby się starał ukryć emocje, maskując prawdziwą naturę. Obmyślając odpowiedź, zapalił cygaro i pozwolił, żeby się tliło. W końcu powiedział:

– Mówili mi to z własnej inicjatywy. Ale nie byłem przekonany.

– Dobrze. Ale nie powiedzieli ci, że to może wystarczyć, żeby unieważnić twoją kaucję i spowodować rewizję procesu przez oskarżenie, nawet gdyby Benny został zabity.

Milczał.

– A ci twoi prawnicy mieli wiele miesięcy, aby rozpracować dowód tego faceta, zgadza się? – naciskałem.

– Zgadza się.

– I nie mogli go podważyć, zgadza się?

Wołczek westchnął.

– Zgadza się. O co ci chodzi?

– Chcę zniszczyć dowód tego eksperta, a wtedy sprawę wygramy bez zmieniania Małego Benny’ego w plamę na suficie.

Poleciłem Arturasowi, żeby dał Wołczekowi do przeczytania dokumenty Goldsteina. Kiedy kartkował artykuł na iPhone Arturasa, popiół z cygara spadł na ekran.

– To nic nie jest. Jak mi to może pomóc?

– Zostaw to mnie. Jeśli wetrę tego faceta w posadzkę, ty musisz mi dać szansę zajęcia się Bennym. Zrobię wszystko, żeby ocalić moją córkę. Ona jest całym moim życiem i mogę iść do więzienia, żeby ją ocalić. Ale nie zachwyca mnie perspektywa spędzenia reszty życia w celi dwa na trzy metry. Daj mi szansę i pozwól, że sam go przesłucham, a jeżeli to się nie uda, to sam nacisnę

guzik i wysłał go do piekła.

Pierwsza zasada w biblii cwaniaka: „Daj ludziom to, czego chcą”.

Zanim zdążył odwrócić głowę do Arturasa, zobaczyłem w oczach Wołczeka błysk. On nie chciał, żeby na sali sądowej podczas procesu bomba rozerwała na kawałki świadka. Ryzyko było zbyt wielkie. Ucieczka też była zbyt dużym szaleństwem. On już dawno stracił nadzieję na wygranie procesu. A teraz dawałem mu nową szansę, nową nadzieję.

– Nie masz szans wygrać tej sprawy, prawniku. Lepsi, mądrzejsi prawnicy zajmowali się tym przed tobą – stwierdził Arturas.

– Co ci szkodzi, żebym spróbował? Przynajmniej z Goldsteinem nie mam wyboru. Muszę rozpracować ten jego dowód, albo twój boss straci prawo do kaucji.

W pokoju zapadła cisza. Słyszałem ciężki oddech Wołczeka. Szumiał wentylator fotokopiarki. Na zewnątrz zatrząbił samochód. Byłem przekonany, że Wołczek tego chciał. Byłem odpowiedzią na jego modlitwy.

– Jest jeszcze coś – powiedziałem.

Wołczek, strzepując popiół z cygara, zwrócił się do Wiktora:

– Wiktor, zrób panu Flynnowi kawę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Lunch trwał już godzinę i piętnaście minut.

Zerknąłem na zegarek, wskazywał, że zostało mi dwadzieścia sześć godzin. Był to zegarek cyfrowy za dwadzieścia dolarów z wyświetlaczem LCD. Tani, paskudny, ale dla mnie nie było piękniejszego. Amy i ja obchodziliśmy urodziny tego samego dnia – pierwszego września. Od końca czerwca byłem w separacji z Christine. Czułem się niezręcznie, idąc do domu w Queens, który kiedyś dzieliłem z rodziną, więc wybrałem się z Amy na zakupy. Nie miałem pojęcia, co kupić dziesięciolatce, więc pomyślałem, że sama powinna sobie coś wybrać. Kiedy mijaliśmy mały sklepik jubilerski na Broadwayu, poczułem, że Amy pociąga mnie za rękaw. Zobaczyła na wystawie zegarki cyfrowe. Weszliśmy do środka i Amy powiedziała, że chce dwa dokładnie takie same – jeden dla mnie, drugi dla siebie. Odpowiedziałem, że ja już mam zegarek, który podarowała mi jej mama. Zarzucając jasnoblond grzywkę na szklaną płytę kontuaru, oglądała wybrany zegarek. Christine często niepokoiła się zbytnią powagą córki; ale nie ja. Uważałem tylko, że Amy jest bardziej dorosła niż inne dziewczynki w jej wieku i że cechuje ją ciekawość dojrzałej inteligencji.

Amy objęła małymi paluszkami zegarek i powiedziała:

– Tatusiu, jak będziesz tam z tymi lekarzami, będzie ci z tym lepiej, prawda? – Miała na myśli klinikę odwykową, gdzie się zgłosiłem na życzenie Christine. Sprzedawca wycofał się na zaplecze, dając nam większą swobodę.

Resztę swojego planu przedstawiła mi szeptem, jakby to był nasz sekret.

– No, ja myślę, że oboje powinniśmy mieć takie same zegarki, aby ustawić na nich alarmy na godzinę ósmą wieczorem. Wtedy będziesz pamiętał, żeby zadzwonić do mnie i porozmawiać, albo tak jak lubisz, coś mi poczytać, czy coś innego.

Była taka szczerą, taka poważną. I chociaż była na swój wiek wysoka i niemożliwie wprost sprytna, a nawet czasem psotna, piękno płynące wprost z serca promieniowało z niej na wszystko, co robiła. I ta jej szczerą życzliwość tego dnia ocaliła mi życie; gdybym nie kupił tych zegarków w tym naszym ostatnim dniu urodzin, nie poddałbym się leczeniu odwykowemu. Co wieczór o ósmej równocześnie odzywały się nasze alarmy i telefonowałem do niej. Dzwoniłem z kliniki i czytałem jej przez telefon *Alicję w krainie czarów*. Ona o wiele bardziej była córką niż ja jej ojcem.

Siedząc przy stole obrony, starałem się nie bawić piórem, bowiem mogło to sprawiać wrażenie, że jestem zdenerwowany. Na moim krześle Jean

zostawiła artykuły autorstwa Goldsteina z ARAE.

Sędzia przedłużała czas przerwy rekreacyjnej. Ona mogła sobie na to pozwolić. Salę sądową w większości wypełnili reporterzy. Z uwagi na zagrożenie życia Świadka X nie była obecna telewizja, tylko dziennikarze, którzy mogli pisemnie notować przebieg procesu. Sędziowie zawsze są nerwowi i przewrażliwieni, gdy w sali sądowej znajdują się kamery. Większość z nich nie lubi być filmowana. Nie była obecna nawet CCTV. Żaden z sędziów nie chciał, aby go nagrywano, w obawie, że może powiedzieć coś głupiego, gdy straci nad sobą kontrolę.

Wyczułem na sali zniecierpliwienie. Każdy, kto wysłuchał mowy wstępnej Miriam, odniósł wrażenie, że sprawa jest dla obrony beznadziejna. Szef gangu azjatyckiego, którego zauważyłem wcześniej, już potrząsał głową, dziwiąc się, że na Wołczeka do tej pory nie zapadł wyrok skazujący.

Nie powinienem już dłużej myśleć o Amy, to może doprowadzić mnie do szaleństwa... Wołczek usiadł obok mnie przy stole obrony. Za nami usadowili się Arturas i Wiktor.

Stłumiłem emocje, strach, wątpliwości i odwróciłem się, aby spojrzeć na groźną twarz mojego klienta.

– Gdzie jest moja córka?

– Blisko i czuje się dobrze. Od czasu do czasu sprawdzam. Zjadła chipsy ziemniaczane i oglądała telewizję. Nie denerwuj się, rób swoje, a ja może pozwolę ci obejrzeć następne jej zdjęcie – powiedział Wołczek.

Minęły dalsze minuty – ciągle czekaliśmy na sędzię. Nie obawiałem się o moją mowę wstępną, ale martwiło mnie przesłuchanie doktora Goldsteina. Analizowałem to przesłuchanie w myślach – pytanie, odpowiedź, pytanie, odpowiedź i tak dalej, próbując udoskonalić treść i styl.

– Słuchaj no – powiedział Wołczek – przypuszczam, że ta zwłoka cię nie martwi. – Spojrzał na mnie agresywnie. Prowadzenie z nim dyskusji i przekonywanie byłoby trudniejsze, niż mogłem to sobie nawet wyobrazić.

– Wiesz co... mój ojciec był bohaterem wojennym – kontynuował Wołczek. Wspominając rodziców, wpatrywał się w zdobiony sufit. – Zabił cały oddział snajperów w bitwie o Stalingrad. Stalin osobiście go odznaczył. Moja matka była polską Żydówką uwolnioną z obozu. Zakochała się w moim ojcu bohaterze. – Rysy jego twarzy złagodniały, gdy myślał o matce; wraz ze wspomnieniami głos zaczął cichnąć i brzmiał coraz łagodniej. – Ona nadała mi polskie imię „Olek”, co znaczy *Opiekun*^[2]. Krótco po wojnie zmarła.

– Wielka szkoda. W Rosji ciężko, co? – zauważyłem.

Tak naprawdę chciałbym mu powiedzieć, że jeżeli nie zwróci mi córki, to i on długo nie pożyje.

– Mój ojciec po śmierci matki zaczął pić i stracił obie nogi, chorując na cukrzycę. Wozilem go po barach we wschodniej Moskwie, z medalami dumnie błyszczącymi na piersi, gdy wlewał w siebie wódkę. Miałem wtedy ledwo dwanaście lat, niewiele więcej niż twoja córka. Byłem dumny z ojca.

Kiedy to mówił, jego oczy nabrały tego charakterystycznego zgorzkniałego, prawie drapieżnego wyrazu.

– Jednak ta duma nikła, gdy ojciec był naprawdę pijany. Bo wtedy wszczywał bójkę. Budził się w nim lew, zapominał, że nie ma nóg. Sprawiał kłopoty; potem uświadamiał sobie, że nie może wstać, i mówił: „Mój syn będzie się bił za mnie”. Musiałem toczyć bójkę z każdym pijakiem albo obrażonym przez niego sutenerem. Może w ten sposób chciał sprawdzić słusność nadanego mi przez matkę imienia; może szukał przez to jakiejś części mojej matki żyjącej we mnie dla niego. Kiedy skończyłem szesnaście lat, zabiłem go, sprzedałem medale i kupiłem pierwszy rewolwer. Ale kochałem go. Zawsze go kochałem. Kiedy przegrywałem, bił mnie; ale jego odejście było jeszcze gorsze. Jeżeli mnie zawiedziesz, prawniku, twoja córka będzie walczyć za ciebie.

Miałem wielką ochotę urwać mu głowę. Stłumiłem wściekłość i wlepiłem w niego wzrok.

– Obserwowałeś mnie i dużo o mnie wiesz. Zapewne orientujesz się, gdzie mieszkam i co robiłem przez minione kilka miesięcy, ale nie masz pojęcia, do czego jestem zdolny na sali sądowej. Ci wszyscy prawnicy, którzy dla ciebie pracowali, nie wiedzieli, jak postępować ze świadkami. Nie wiedzieli, jak prowokować oskarżycieli do popełniania błędów. Nie wiedzieli, jak pozyskiwać dla sprawy przychylność sędziów przysięgłych. Ja to wiem. – Wstałem. Pochyliłem się nad nim. – Ten świadek jest bardziej niż zdolny rozsądzić twoją sprawę. Ale mogę go powstrzymać, a ty musisz dać mi szansę z Małym Bennym. Musisz to zrozumieć – nie potrzebujesz bomby, żeby wygrać. Masz już swoją bombę – *ja jestem tą bombą!*

Gdy ciskałem tymi słowami Wołczekowi w twarz, czułem, jak dreszcz unosi mi włosy na karku; czułem, jak mi sztywnieją ramiona; czułem to, co przedtem, gdy tamtego ranka wychodziłem z łazienki z lufą rewolweru Arturasa przyciśniętą do pleców. Zabawa w cwaniaka nie jest wcale zabawna. Rozwijasz w sobie instynkt ostrzegający przed niebezpieczeństwem, szósty zmysł, który zatrzymuje cię o krok przed punktem krytycznym, przed klęską. Jeżeli tego głosu nie posłuchasz, albo już nie żyjesz, albo trafiasz do pudła. Każdy z nas ma w sobie głos tego instynktu, ale nie każdy go słyszy. Wszyscy potrafimy wyczuć, że jesteśmy obserwowani – siedzimy w barze i wiemy, że ktoś wbija wzrok w tył naszej głowy. To instynkt, który potrafią wykorzystywać kanciarze. Oni wyostrzyli swoje zmysły i nauczyli się im ufać. Nagle głośno zadzwonił mój wewnętrzny alarm. Mój system wczesnego ostrzegania zwykle zwracał mi uwagę, czego mam się wystrzegać i kiedy kończy się czas. A w tym momencie dał mi znać, że patrzy na mnie nie tylko Wołczek.

Natychmiast uniosłem głowę i spojrzałem na salę. Tłum dyskutował i śmiał się, oczekując nadchodzącej bitwy, jak zwykle węsząc zapach pierwszej krwi w jaskini niedźwiedzia. Spojrzałem w głąb sali, skupiając wzrok na

siedzących z tyłu. I wtedy go zobaczyłem. Mężczyzna niepodobny do innych; nie zachowywał się nerwowo; nie rozmawiał. Siedział nieruchomo – posąg w morzu ruchu.

Jak tylko go zobaczyłem, natychmiast uświadomiłem sobie, dlaczego poczułem akurat jego obecność w tym tłumie. Pośród setki ludzi w ławkach tylko on siedział nieruchomo, intensywnie się we mnie wpatrując.

Wiedziałem, dlaczego to robił.

Nazywał się Arnold Nowosielicz. Natknąłem się na niego mniej więcej cztery lata temu i zapadł mi w pamięć. Tego się nie spodziewałem, jako że rzadkie i niedoceniane przymioty charakteru Arnolda absolutnie nie rzucały się w oczy, był nikim wśród nic nie znaczących, niezauważalny w mieście pełnym wyobcowanych ludzi. Granica włosów rzedła nad tłustym karkiem. Nosił ten sam brązowy garnitur, koszulę koloru kości słoniowej i duże okulary w czarnych oprawkach – tak samo wyglądał, gdy spotkałem go po raz pierwszy; chociaż nie sama tylko powierzchowność sprawiała, że tak łatwo go zapamiętałem. Arnold w istocie wkładał wiele wysiłku w swój wygląd, starając się ze wszystkich sił być tak niepozorny i nierzucający się w oczy, jak to tylko możliwe. Jego wygląd i niepozorność, a także niewzbudzanie zainteresowania u innych, były jego kryjówkami, jego pancerzem.

Wiedziałem, że Arnold ma wyjątkowy dar obserwacji. Jako urodzony podglądacz zawsze uważnie się rozglądał, nie zwracając na siebie uwagi. Miał dar niezwykle mu przydatny jako jednemu z najlepszych specjalistów od ławy przysięgłych. Wiedział, jak każdy sędzia przysięgły będzie głosował, jak wśród tych sędziów układają się stosunki społeczne, kto może być liderem grupy i kto będzie mu wtórował w głosowaniu. Dokonywał tego, badając skład ławy przysięgłych, analizując statystykę, profile rasowe. Pomocna była także pewna szczególna zdolność, którą Arnold skrzętnie skrywał.

Spotkałem go przed czterema laty, gdy był przepytany jako kandydat na konsultanta ławy przysięgłych w sprawie, którą prowadziłem przeciwko firmie farmaceutycznej. W pierwszej chwili nie zwróciłem wtedy uwagi na Arnolda Nowosielicza. Według papierów Arnold był wybitnym konsultantem. Zawsze potrafił przewidzieć werdykt sędziów przysięgłych. Najbardziej jednak niepokoiło mnie to, że w czterech sprawach, które konsultował, przewidział werdykt każdego sędziego, zanim ten zagłosował. A to oznaczało, że osiągał stuprocentową dokładność – cztery trafienia na cztery sprawy. A przecież decyzji, jakie ogłaszała ława przysięgłych, nie sposób było przewidzieć ze stuprocentową dokładnością. Zatem kiedyś go zapytałem w swoim biurze, na czym polega ten jego sekret.

Arnold wyjawiał mi go. Podczas gdy inni konsultanci ławy przysięgłych po prostu tylko zastanawiali się i analizowali, jakie może być zdanie sędziów, Arnold dokładnie wiedział, o czym rozmawiają, ponieważ posiadał niezwykłą zdolność czytania z ruchu warg.

Sędziowie zapewne nie rozmawiali o sprawie jedynie w zamkniętym pokoju

sędziów. Niemal nieustannie dyskutowali. Szeptali komentarze na temat świadków, a nawet na temat istotnych aspektów sprawy, mówili o tematach objętych przysięgą milczenia. Arnold patrzył i czytał. A potem to wykorzystywał.

Zwracając się do Wołczeka, skupiłem wzrok na Arnoldzie siedzącym w odległości kilku metrów. Chociaż potrafił się skutecznie kryć przed wzrokiem publiczności, ja wiedziałem, co zamierza. Strach niemal kapał mu z tłustego, małego nosa. Wiedziałem, że odczytał z ruchu moich warg, co mówiłem do Wołczeka. Z pewnością wiedział już o bombie. Jednak ja nie wiedziałem, dlaczego Arnold tu przyszedł, ani jak mógłby wykorzystać tę informację.

Skierowałem wzrok na Wołczeka i powiedziałem:

– Zaczekaj chwilę. Jest tu ktoś, z kim muszę porozmawiać... – Nie dokończyłem, wszyscy na sali wstali. Wróciła sędzia Pike.

[2] Olek – zdrobnienie Aleksandra, gr. *Aleksandros*: *alekso* – bronię się, odpieram atak, *andros* – męczyzna, mąż (przyp. red.).

ROZDZIAŁ JEDENASTY

– Panie Flynn, jeśli pan chce wygłosić swoje wstępne oświadczenie, to bardzo proszę – powiedziała sędzia Pike.

Pike była dziś w dobrym nastroju. Zawsze pragnęła rozgłosu, pragnęła uznania mediów, a sprawa znanego rosyjskiego gangstera dawała jej tę szansę i okazję do zrobienia kariery.

Wstępne oświadczenie jest zawsze ważne. Masz szansę przedstawić sędziom przysięgłym zarys sprawy z twojego punktu widzenia. Miriam zaatakowała sędziów mnóstwem informacji. Mówiła, że dowody zbrodni są oczywiste. Przemawiała do nich jak zwykły człowiek, a nie jak pracownik wymiaru sprawiedliwości. Musiałem to zmienić.

Wstałem i poprawiłem kamizelkę z bombą. Ciężyła mi i jakoś dziwnie grzała. Plecy ociekały mi potem, mimo że nie było mi gorąco. Kiedy przechylałem dzbanek, aby nalać wody do szklanki, drżały mi ręce. Pociągnąłem długi łyk chłodnej wody i byłem gotów. A Miriam była gotowa do notatek z oświadczenia obrony. Jej główny świadek, doktor Goldstein, siedział trzy rzędy za nią. Miał być przesłuchiwany późnym popołudniem albo jutro rano. Rozpoznałem go na podstawie fotografii zamieszczonej na internetowej stronie uniwersytetu. Wyglądał jak jakiś jajogłowy mądrala.

Zwróciłem się z uśmiechem do sędziów przysięgłych:

– Panie i panowie sędziowie przysięgli, miło mi was widzieć. Pani Sullivan przemawiała dziś do was około dwóch godzin. Ja moją mowę skrócę do około dwóch minut. – Szmer śmiechu od strony sędziów przysięgłych. – Ta sprawa dotyczy potwornej zbrodni i oskarżenie usiłowało wam udowodnić, że popełnił ją Oleg Wołczek. Jeżeli pod koniec tej sprawy będziecie mieć jakiegokolwiek wątpliwości, to waszym świętym obowiązkiem jest uznać go niewinnym. Ale to wasza i tylko wasza decyzja. Pani Sullivan *powiedziała* wam, żebyście uznali pana Wołczeka winnym. My nie powiemy wam, co macie zrobić. My tylko prosimy, abyście rozważyli przedłożony dowód; my tylko *prosimy*, abyście zastanowili się nad naszym poglądem na sprawę, pozostawiając *wam* wyciągnięcie wniosków i uczciwe osądzenie. To wszystko, co mam wam do powiedzenia na ten temat.

Usiadłem.

W sprawie kryminalnej sąd przysięgłych ma tylko dwie drogi do wyboru: winien albo nie winien. Miriam próbowała sprowadzić sędziów na swoją drogę. Ja otworzyłem przed nimi moją drogę i zaprosiłem ich na nią. Sędziowie przysięgli zachowują się jak każdy zwykły człowiek – nie lubią,

żeby ich ktoś prowadził za rękę, oni chcą mieć wybór.

Doktor Goldstein nerwowo przeglądał swoje papiery. Teraz był bardziej wyprowadzony z równowagi i zaskoczony, co było mi na rękę. Miałem do wyboru – nie ryzykować albo zastawić pułapkę na Miriam. Pułapka była ryzykowna i mogła odnieść skutek odwrotny do zamierzonego. Z drugiej strony, gdyby poskutkowała, mogłem wygrać przychylność sędziów.

Zaryzykowałem.

Zwróciłem się do Miriam, a Arturas nadstawił uszu. Nie chciałem, żeby myślał, że mówię Miriam o bombie.

– Goldstein... grafolog. Nie określaj go w ten sposób, bo pożałujesz – powiedziałem do Miriam.

– A kimże, u diabła, jest właściwie grafolog? – zapytała tak, jak się tego spodziewałem. Miałem już przygotowaną odpowiedź.

– Goldstein jest sądowym ekspertem od badania dokumentów. Jego zadaniem jest ustalanie autorstwa na podstawie próbki odręcznego pisma; to analiza naukowa. Natomiast grafolog próbuje zinterpretować osobowość, charakter autora na podstawie jego pisma; a to jest kupa gówna. Tak jakby archeolog biblijny, który odkopuje kości dinozaura wysnuwał na podstawie tego wniosku, że świat liczy sobie tylko pięć tysięcy lat. Nie można tkwić jednocześnie w dwóch szkołach – to hipokryzja. Więc go tak nie nazywaj.

Usiadłem.

Jej twarz wykrzywił gniew. Sędziowie spojrzeli na nią. Skończyłem mowę wstępną.

Czas na przedstawienie dowodu przez oskarżyciela. Udało mi się rozkojarzyć Miriam. Wyglądało teraz, jakby Goldstein był jedynym poważnym świadkiem oskarżenia. Miriam wstała.

– Wysoki Sądzie, wzywam na świadka doktora Irwinga Goldsteina.

Zaskoczony tak wczesnym wezwaniem, Goldstein szybko złożył papiery, zapiął marynarkę i wstał. Ironiczny uśmiezek, jaki dotąd gościł na jego twarzy, pokryła teraz maska zdenerwowania. Była to bowiem najważniejsza i największa sprawa w jego karierze. Kierując się na miejsca dla świadków, kurczowo trzymając papiery, potknął się o nogę krzesła. Miał prawo czuć się pewny, że jego raport jest precyzyjny, dobrze napisany i prawdziwy i że nie zdołam podważyć ani jednego zawartego w nim słowa.

Byłem przekonany, że Miriam będzie starała się być tak błyskotliwa jak dotąd. Jednak cały czas traktowałem ją jak doskonałą prawniczkę; ona robiła dokładnie to, co ja bym robił na jej miejscu. Zająłbym się najważniejszym punktem przeciwnika i wykorzystałbym go. Poprosiłbym o dokument grafologiczny. Prośbę mogłem tak wyrazić, aby mój głos brzmiał normalnie, a nawet sprawiał wrażenie, że jestem już znudzony. Mogłem dać mu czas, czas całego świata, aby w pełni objął swoją odpowiedź i odrzucił najlepszy punkt mojego oponenta jak brudną szmatę. Miriam zrobiłaby to samo.

Liczyłem na to.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Goldstein był po pięćdziesiątce i sprawiał na mnie takie wrażenie, jakby tę pięćdziesiątkę skończył już przed trzydziestoma laty. Garnitur czynił go starszym niż był w rzeczywistości, a na dodatek zamiast krawata nosił muszkę.

Stał gotów do złożenia przysięgi. Czytając z karty, poprawiał okulary, starannie wymawiał słowa. Nalał sobie dwie szklanki wody i usadowił się wygodnie na krześle, szykując się na maraton. Miriam zamierzała krótko załatwić sprawę z Goldsteinem. Dobry prawnik winien szybko poradzić sobie ze świadkiem ekspertem, bowiem większość potwornie przynudza. Chociaż prezentowany dowód jest istotny, oni za wszelką cenę chcą objaśniać jak najobszerniej to, co mogliby uczynić w dwóch, trzech zdaniach – *Kim jesteś? Dlaczego jesteś mądrzejszy od innych facetów w twojej specjalności? Powiedz to, co musimy wiedzieć, i zamknij jadaczkę!*

Miriam zapewne poinformowała go, że może być przesłuchiwany przez cały dzień.

Teraz trzymała przed sobą raport Goldsteina, jakby tylko sam papier mógł wystarczyć do skazania Wołczeka.

– Doktorze Goldstein, proszę naszkicować sędziom przysięgłym stopień pańskiej wiedzy i posiadane istotne kwalifikacje – powiedziała Miriam.

Jej zadaniem było nakierowanie doktora – *Powiedz tym ludziom na ławie przysięgłych, dlaczego jesteś taki mądry.* Co ułatwiłoby mu rozpoczęcie zeznań.

– Jestem sądowym ekspertem od badania dokumentów. Analizuję pismo, ustalając jego autorstwo. Ukończyłem studia na... – i tak przez pięć minut o błyskotliwym umyśle doktora. Niech sobie gada, ile chce. Im dłużej będzie przekonywał sędziów, jaki jest mądry, tym bardziej wyjdzie na głupka. Doktor zaczął sprawiać wrażenie trochę nerwowego i pewnie pomyślał, że głądzi już zbyt długo. Zaczął się bawić muszką. Miriam odczytała te sygnały i pospieszyła mu na ratunek.

– Dziękuję, doktorze. To résumé robi duże wrażenie. Proszę wyjaśnić sędziom, dlaczego został pan zaangażowany do tej sprawy przez oskarżenie.

– Oczywiście. Jeżeli sędziowie zajrzą do dokumentów – plik D, strona 287, zobaczą tam kopię banknotu. Są tam dwie połówki banknotu jednorublowego z nazwiskiem ofiary, wypisanym na jednej połówce. Poinformowano mnie, że ten banknot znaleziono w samochodzie prowadzonym przez Świadka X. Otrzymałem też informację, że Świadek X zeznał, że wskazuje on ofiarę

morderstwa. Tego nie mogę komentować. Ja zostałem zatrudniony przez oskarżyciela w celu ustalenia, czy to pismo pozwanego.

Miriam przerwała, żeby sędziowie mogli odszukać odpowiednią stronę, a potem żeby mieli czas ją przeczytać i obejrzeć pismo.

Mario Geraldo

– Panie doktorze, proszę nam opowiedzieć, na czym polega pańska praca. – Miriam starannie wymawiała słowo „doktor”, używając go tak często, jak to było możliwe bez denerwowania sędziów. Powtarzanie oficjalnego tytułu eksperta pomaga budować zaufanie sędziów.

– To pismo stanowi właśnie przedmiot dyskusji. Oskarżony nie przyznaje się do tego, że jest jego autorem. W celu ustalenia, czy to pismo oskarżonego, przeprowadziłem analizę dostępnych nam przykładów jego pisma, w celu dokonania porównania sądowego.

– Skąd pan miał próbki pisma oskarżonego, doktorze? – zapytała Miriam.

– Z blankietów podatkowych, zapisów ubezpieczeniowych, wniosku paszportowego, podań i tym podobnych pism z podpisem oskarżonego, albo jego odręcznym pismem.

– I co pan wywnioskował z tej analizy porównawczej?

– Wywnioskowałem i ustaliłem, że mam przed sobą jedyne w swoim rodzaju znaki, inaczej mówiąc: litery, i że ten szczególny i wyraźny sposób, w jaki oskarżony pisał poszczególne litery, wystarczy do zidentyfikowania i zdefiniowania próbki pisma. W wyniku tego mogę powiedzieć ze znacznym stopniem pewności, że pan Wołczek jest autorem pisma na banknocie, który macie przed sobą.

Punkt dla niego. Miriam, jako dobry prawnik, w tym miejscu przerwała mu i spojrzała na sędziów, pozwalając im przyswoić tę prawdę.

– Może pan nam podać przykład, doktorze? – poprosiła.

– Oczywiście – odparł Goldstein i zajął się literą G jak „Geraldo”. Pokazał też kilka innych przykładów podobnie wyglądającej litery G, które znalazł w różnych próbkach pisma oskarżonego. Wszystkie, powiększone, ustawił na sztaludze tak, aby sędziowie mogli dobrze widzieć.

– Proszę przyjrzeć się literze G w słowie „Geraldo”. Można w niej wyraźnie dostrzec, że została napisana jedną ciągłą linią, od szczytu krzywizny. Ta litera została zakończona poziomą kreską biegnącą do środka linii zakrzywionej, kierując się od prawej do lewej, z lekkim spadkiem. Ta litera została napisana w identyczny sposób jak pozostałe próbki. Dlatego mogę orzec, z dużym stopniem pewności, że nazwisko ofiary na banknocie jednorublowym zostało napisane przez oskarżonego.

– Jak pan określa ten stopień pewności, doktorze?

– Określam go na dziewięćdziesiąt pięć, dziewięćdziesiąt osiem procent.

– Skąd ma pan taką pewność? – spytała Miriam.

– To pismo jest charakterystyczne i identyczne z innymi przykładami badanego przeze mnie pisma oskarżonego. Napis na tym banknocie mógł sporządzić tylko oskarżony.

– Doktorze, co to jest grafologia? – zapytała.

Miriam mogła się bawić z dowodem Goldsteina przez resztę dnia, jednak nie stać jej było na to, biorąc pod uwagę, ile czasu zajęło jej wstępne oświadczenie. Musiała działać przed sędziami szybko. Poza tym niewątpliwie była przekonana, że będę przez wiele godzin maglował świadka. Wlokące się w nieskończoność przepytywanie eksperta – jak sądzą niektórzy prawnicy – jest najlepszym sposobem, aby go zmiękczyć, złamać i zniszczyć. Recytowanie wielu teorii, zbijanie z tropu, zamazywanie obrazu zeznań, prowadzenie z ekspertem długich, wyczerpujących dyskusji, doprowadza w końcu do tego, że dowód staje się niezrozumiały i bezsensowny. Ja jednak nie miałem takiego luksusu – brakowało mi na to czasu. Tak jak Amy.

Doktor Goldstein był zaskoczony pytaniem Miriam, ale mimo wyraźnego zakłopotania zmusił się do uśmiechu. Poprawił się na krześle, skrzyżował nogi i oblizał wargi. Grafologia zapewne bliska była jego sercu i wyraźnie był świadom, że może to być linia ataku.

– Co to jest grafologia? No, jest to termin, którego się używa do opisanego analizy pisma i tego, co ono ujawnia o autorze w zakresie jego osobowości, stanu zdrowia albo psychiki. Nie dotyczy orzeczenia, kto napisał konkretny dokument. Bardziej zajmuje się interpretacją osobowości autora.

Dalej, Miriam. Pytaj go. Chcesz tego, pomyślałem.

– Doktorze, niektórzy uważają, że ta sama osoba, która praktykuje zarówno sądowe badanie dokumentów, jak i grafologię może przypominać archeologa, który jako nawrócony chrześcijanin na podstawie swoich odkryć uważa, że świat ma tylko pięć tysięcy lat. Innymi słowy, jest to wyraźna sprzeczność.

Bingo.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie. – Zerwałem się na równe nogi i mimo radości ze złapania Miriam w pułapkę, udałem, że jestem wkurzony jak diabli.

– Na jakiej podstawie? – zapytała sędzia.

– Na podstawie religii i wiary, Wysoki Sądzie, ja wierzę w Boga i nie chcę, żeby moje przekonania kwestionował oskarżyciel; nie sądzę też, że to w porządku, iż nasz Pan Jezus Chrystus jest wciągany przez prokuraturę do prawniczych sporów. Ta wypowiedź dyskryminuje chrześcijan, bowiem implikuje przekonania ateistyczne i wykorzystuje je na rzecz oskarżenia, co jest wymierzone przeciwko konstytucyjnemu prawu do wolności wyznaniowej. Nieważne, w co oskarżyciel wierzy, ale nie może narzucać tej wiary, lub tych wierzeń innym, czy też ośmieszać moich przekonania religijnych w celu przeprowadzenia dowodu.

Miriam sprawiała takie wrażenie, jakby chciała mnie zabić. Nie winiłem jej za to. To było obrzydliwe i dała się na to nabrać.

Sędziowie przysięgli patrzyli na mnie z taką radością, jakby chcieli mnie

zanieść do domu na własnych ramionach. Liczyłem na chrześcijańskich sędziów przysięgłych w tej części miasta i się nie pomyliłem. Czterech sędziów nosiło krzyżyki. Znalezienie autorytetu sędziów i przedstawienie im go, to najlepszy sposób przeciągnięcia ich na swoją stronę. Musisz tylko odszukać, kto jest tym autorytetem. Gdybym był w Vegas, byłby to Elvis, albo Sammy Davis junior; w oczadziałym futbolem Teksasie – Sammy Baugh; w Oklahomie – Mickey Mantle. W tej części Nowego Jorku zawsze skutkuje coś liberalnego i chrześcijańskiego. Większość sędziów uśmiechała się do mnie, a ci, którzy tego nie robili, spoglądali na Miriam z oburzeniem.

Punkt dla mnie.

Jednak sędzia Pike nie była pod takim wrażeniem. Wydawała się tym mało zainteresowana.

– Pani Sullivan, proszę rozważyć możliwość innego sformułowania ostatniej wypowiedzi – powiedziała.

Miriam miała już dość.

– Nie mam nic do dodania, Wysoki Sądzie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Za stołem obrońcy, na mojej stopie leżała już przygotowana ściąga, gotowa do wyciągnięcia w odpowiedniej chwili, jak królik z cylindra kiepskiego magika. Nagle uświadomiłem sobie, że nie jestem dostatecznie przygotowany i że w każdej chwili mogę sromotnie polec. Powiedziałem do siebie: *Tylko spokojnie, tylko powoli*. Zamknąłem oczy, głęboko odetchnąłem, a jednak byłem pewny, że widzę ją w ciemności. Hanna Tublowska. Widywałem ją przedtem przez wiele wieczorów przed zaśnięciem. I ten sam wizerunek budził mnie co rano. Próbowałem się go pozbyć, wlewając w siebie bourbon z zimnym piwem. Wiedziałem, odkąd ją ujrzałem, że od tej chwili w moim sercu na zawsze pozostanie blizna i odejdę z zawodu. Wydawało się, że moje życie rozpadło się na dwie części – to, które prowadziłem, zanim podjąłem się sprawy Teda Berkleya, i to, które wiodłem potem.

Kiedy otworzyłem oczy i rozjaśniło mi się w głowie, spojrzałem na Goldsteina i wiedziałem już, o co mam go spytać.

– Doktorze Goldstein – usłyszałem swój własny głos – czy to prawda, że najlepszą metodą jest porównywanie dwóch podobnych dokumentów? Na przykład: dwa życiorysy, dwa wnioski paszportowe, dwa wnioski o wydanie prawa jazdy.

– Tak, ale nie zawsze jest to możliwe. Chyba że klient napisze dwa różne rozkazy zabicia kogoś i będę je mógł porównać – odparł Goldstein, spoglądając na mnie znad oprawek okularów.

Wśród zebranej publiczności rozległ się nerwowy śmiech. Doktor wyglądał na zadowolonego z odpowiedzi. Musiałem bardziej uważać.

– Powiedział pan, że wyrobił sobie opinię na temat nieznanego autora pisma na banknocie i znanego autora dokumentów stanowiących próbki pisma i że mój klient oraz ten nieznanany autor w istocie są tą samą osobą. Czy doszedł pan do tego wniosku na podstawie badania sposobu tworzenia i wyglądu pojedynczej litery?

– Tak – odparł Goldstein. Najwyraźniej otrzymał instrukcje, żeby nie wdawać się ze mną w dyskusje i odpowiadać krótko. Przewodnik idioty: w czasie przesłuchania – nie gadaj za dużo, to nie zrobią ci krzywdy.

– Ale tak się nie postępuje w badaniach grafologicznych? To co pan robił, to tylko interpretacja kształtu litery i tworzenia słowa?

– Tak.

– Czy wobec tego obie te analizy nie są do siebie podobne?

– Do pewnego stopnia.

– Czy obie te analizy są do siebie bardzo podobne? – powtórzyłem bardzo wolno, tak jak przemawia się do niegrzecznego dziecka, żeby zrozumiało pytanie.

Musiał podać bardziej konkretną odpowiedź, albo ryzykować, że zostanie uznany przez sędziów przysięgłych za kłamcę lub debila. Moja metoda powtarzania pytania sprawiła, że był zmuszony szukać uników.

– Tak. Te analizy są do siebie w znacznym stopniu podobne.

Wspaniale, pomyślałem.

– Oskarżenie zadało panu pytanie o grafologię. Myślę, że pani prokurator próbowała dowiedzieć się, czy to zgodny z prawem sposób przeprowadzania analiz pisma. A zatem, czy jest to prawem usankcjonowany sposób, czy nie?

– Oczywiście, że tak.

– Czy to prawda, że grafolog interpretujący kleks na podpisie Johna Wayne'a mógłby wywnioskować, iż miał raka płuc? Zgadza się czy nie?

Rzuciłem sędziom przysięgłym pełne niedowierzania spojrzenie, jakby to była najidiotyczniejsza rzecz, o jakiej słyszałem, lecz równocześnie odwróciłem się plecami do świadka, żeby nie widział wyrazu mojej twarzy. W istocie zapytałem go, czy grafolog może w ten sposób zinterpretować pismo Johna Wayne'a i on oczywiście wiedział, że może. Ale ponieważ dałem sędziom wyraźny sygnał wizualny, oni usłyszeli odpowiedź, ale jakby na inne pytanie.

– Tak – potwierdził.

Odpowiedział poprawnie, że grafolog rzeczywiście mógłby tak to zinterpretować, ale ponieważ moja twarz wykrzywiła się ironicznie, oni przyjęli tę odpowiedź, tak jakby zgadzał się z jakąś kretyńską teorią, a nie z istnieniem takiej możliwości.

– Czy jednak nie jest to wróżenie z fusów?

– Nie. To powszechnie przyjęta i praktykowana metoda interpretacji analiz.

– Nie wiem, co to oznacza, doktorze. – Odwróciłem się do sędziów i uniosłem rękę, dając im znak, że nawet dobrze opłacany prawnik może nie wiedzieć, o czym ten facet mówi. Uśmiechnęli się.

– Możemy to wyjaśnić na przykładzie.

Nadeszła chwila, żeby uruchomić moje zasoby, coś, o czym doktor nie wiedział. Wyciągnąłem więc kartkę z powiększoną literą G i pokazałem ławie przysięgłych. Tak odwróciłem kartkę, żeby widział ją też doktor, a następnie umieściłem ją na sztaludze obok litery G z banknotu jednorublowego. Oba powiększenia leżące obok siebie wyglądały identycznie. W tym momencie większość oskarżycieli zgłosiłaby sprzeciw i zaczęlibyśmy dyskusję, czy mam prawo testować to, co ustalił ekspert. Zwykle sędziowie przysięgli dają mało swobody działania w czasie przesłuchań. Miriam nie zaprotestowała, wiedziała, jaką prowadzę grę, i bała się, że sędziowie mogą nabrać przez to przekonania, że to ona chce osłaniać swojego świadka. Kiedy tylko mogła, zawsze pozwalała świadkom bronić się samodzielnie.

– Doktorze, to G wygląda podobnie jak G ze spornego banknotu i z próbek podpisów mojego klienta, zgadza się? – Miałem nadzieję, że się zgodzi.

Sędziowie przysięgli i doktor przez minutę gapili się na obie litery. Goldstein, w skupieniu badając litery, krzywił się.

Ponagliłem go.

– Ta powiększona litera G jest podobna do litery G z banknotu, czy nie jest?

– Być może... tak, jest.

– Podobna czy nie?

– Podobna.

– A ta litera? – uniosłem następny arkusz papieru. Litera G wyglądała też podobnie, ale wzięto ją z zupełnie innej próbki pisma. Goldstein wpatrywał się w kartkę.

– Tak. Też jest podobna.

– Grafolodzy ferują wyroki, opierając się na tym, jak dana osoba pisze literę G – zgadza się?

– Zgadza się.

– Ale nie można się zgodzić z tym, że grafolog może orzec, iż osoba, która jest autorem litery G, jest na przykład *dewiantem seksualnym*.

Podkreśliłem z zdaniu ostatnie dwa słowa, wymawiając je tak głośno, żeby wszyscy na sali je usłyszeli. To skuteczny sposób postawienia na nogi znudzonych. Dyskusja nad charakterem pisma jest nudna, ale seks jest interesujący, a dewiacje seksualne piekielnie atrakcyjne.

– Tak – powiedział. – Ktokolwiek napisał tę literę G, mógł wykazywać skłonności do dewiacji seksualnych.

Milczałem. Chciałem, żeby sędziowie przysięgli dobrze to przetrawili.

– Czy pan zna pełniącą tu obowiązki prokurator okręgowej panią Miriam Sullivan?

Nagle stał się nerwowy.

– Tak, oczywiście.

– Czy Miriam Sullivan jest seksualną dewiantką?

– Co? Oczywiście, że nie!

– Wysoki Sądzie...! – krzyknęła Miriam.

– Tak, w porządku, pani Sullivan – odparła sędzia Pike. – Panie Flynn, proszę się właściwie zachowywać.

– Proszę mi wybaczyć, Wysoki Sądzie, ale chciałbym Wysoki Sąd zapytać, czy oddaje się pani jakimś dewiacyjnym praktykom seksualnym?

Przekroczyłem granicę i mogłem przez to stracić wszystkie wypracowane atuty u sędziów przysięgłych. Za obrazę sądu mogłem zostać aresztowany.

Sędzia Pike zsunęła okulary na czubek wypielęgowanego nosa i patrzyła na mnie znad oprawek z groźną miną.

– Flynn, ma pan dziesięć sekund, a potem odeślę pański tyłek do aresztu.

Sędziowie przysięgli wyglądali na zaszokowanych.

Poczułem dwa uderzenia w plecy. Arturas uzbroidł bombę – pamiętałem, co

mówił wcześniej o zdalnym detonatorze – dwa przyciski, jeden uzbrajający, drugi detonujący. Pomyślałem, że teraz bomba jest gotowa do zdetonowania.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Arturas patrzył na mnie, jakbym przyłożył ostrze noża do gardła jego matki. Byłem pewien, że uzbrojenie bomby było ostrzeżeniem – jeśli sędzia wyśle mnie do aresztu, Arturas naciśnie przycisk detonujący bombę.

Zdawało się, że sędzia Pike podnosi się z fotela, jakby napędzana wściekłością.

– Szanowni sędziowie przysięgli, proszę sięgnąć do pliku B, strona siódma – poleciłem.

Nigdy nie widziałem, żeby ktoś w taką gwałtownością przewracał strony. Sędzia Pike otworzyła swój plik na odpowiedniej stronie i znowu spojrzała na mnie z wściekłością.

Sędziowie przysięgli sprawiali wrażenie zakłopotanych.

Stałem za sztalugami.

– Wysoki Sądzie, litera, którą tu umieściłem, jest pierwszą literą G z podpisu na dyplomie wymienionym na stronie siódmej – Gabriella Pike. Zgadza się?

– Tak – odparła, ciągle wściekła, ale jednocześnie zaintrygowana.

– Doktorze Goldstein, zgodnie z pańskimi ustaleniami sędzia Pike też mogła wykonać ten napis na banknocie.

– Nie.

Wyjąłem z kieszeni spodni żółtą kartkę z notesika i wręczyłem dobrze ubranemu sędziemu przysięgiemu – Hiszpanowi.

– Pani prokurator wręczyła mi to dziś rano. Proszę puścić w obieg wśród kolegów sędziów.

TWÓJ KLIENT IDZIE NA DNO.
DO GODZINY 17.00 UNIEWAŻNIĘ JEGO KAUCJĘ.

– Sędziowie mogą zobaczyć, że litera G w słowie „GODZINY” jest podobna do litery, którą umieściłem na sztalugach. Została napisana w ten sam sposób, jak to zrobił autor spornego napisu. Mam rację, doktorze?

– Już mówiłem, że jest podobna.

– Z pańskiego zeznania wynika, że ten banknot mógł podpisać oskarżony albo sędzia, czy też oskarżyciel?

– Nie. Pan wszystko przekręca.

– Pozwólmę więc, żeby sędziowie przysięgli przyjrżeli się napisowi na banknocie. Niech sami zdecydują.

Banknot zaczął wędrować od sędziego do sędziego. Każdy oglądał go

uważnie. Potem porównywali z G w słowie GODZINY i spojrzeli na Miriam. Były takie same – Miriam miała minę jak mała dziewczynka przyłapana z ręką w słoiku z cukierkami. Ukryła głowę w dłoniach. Sędziowie z pewnością wspominali jej poprzednią arogancję, nonszalancję. Z pewnością niejeden z nich o tym teraz myślał.

– Powiedzmy sobie jasno, doktorze. Niektórzy grafolodzy twierdzą, że osoba, która napisze wyraźnie ogonek w literze G wykazuje tendencje do dewiacji seksualnych, ale nie wszyscy grafolodzy zgadzają się z tą opinią? Racja?

Pomyślał, że rzucam mu koło ratunkowe, więc je chwycił.

– Tak, zgadza się.

– Panie doktorze, czy zgadza się też, że my wszyscy piszemy, albo jak pan chce: tworzymy litery alfabetu według tego, jak nas w młodości uczono w domu albo w szkole?

– To ważny czynnik, ale nie jedyny. Niektórzy ludzie zmieniają charakter pisma z wiekiem, jednak przyznaję, że czynią to nieznacznie.

– Zatem zakonnice, które uczyły mnie pisać w szkole katolickiej, stawiając ogonek w literze G na tablicy i pozwalając, żebym ją przepisywał do zeszytu, w ten sposób wykazywały skłonności do dewiacji seksualnych?

Wydawało się, że sędziowie ławy przysięgłych noszący krzyżyki nieco się wyprostowali.

– Nie wykazywały.

– I nie oznaczało to, że sędzia, albo prokurator, mają też inklinacje dewiacyjne, albo w istocie ten, kto to napisał na jednorublowym banknocie, też je wykazuje. Jest wysoce prawdopodobne, że uczynił to w taki sposób, w jaki nauczył się je pisać, i większość normalnych ludzi pisze tę literę dokładnie w ten sam sposób. Zgadza się?

– Ma pan rację.

– I że to jest powszechnie praktykowany sposób pisania tej litery?

– Tak.

– Na sali sądowej jest około dwustu osób. Ile z nich napisze tę literę alfabetu w taki sposób? Jedna czwarta, jedna trzecia z nich?

– Wielu pisze ją w ten sposób – odparł. Nagle zaczął się wycofywać. Kiedy podnosił szklankę z wodą, wyraźnie drżała mu ręka. Zapędziłem go w narożnik – i Goldstein teraz chciał się jak najszybciej z niego wydostać.

Sędziowie obejrzeliby notatkę Miriam i urzędnik sądowy przekazał ją Pike. Była bardziej – jeśli to w ogóle możliwe – wściekła na Miriam niż na mnie. Już prawie skończyłem z Goldsteinem; zamykam wieko jego trumny i teraz pozostało tylko wbić w nie gwoździe.

– Czy na podstawie charakteru pisma można orzec z całą pewnością, czy ktoś jest zboczony?

– Mógłbym powiedzieć, że to możliwe. Jednak po głębszym zastanowieniu powiem, że to niemożliwe – odparł, szybko dystansując się wobec grafologii. To był koniec doktora Goldsteina.

– Teraz pan mówi, że to niemożliwe, a jednak w roku 2000 napisał pan artykuł zatytułowany *Rozpoznawanie seryjnych przestępców seksualnych na podstawie ich pisma*. W tym artykule twierdzi pan, że może rozpoznać i zidentyfikować gwałcicieli, pedofilów i dewiantów tylko na podstawie pisma z zeznań podatkowych. Pan jest autorem tego artykułu, prawda? – Uniosłem wydruk artykułu, aby mogli go widzieć sędziowie przysięgli.

Goldstein patrzył prosto przed siebie, poruszając bezgłośnie ustami. W końcu skinął głową.

– Przyjmuję ten gest jako potwierdzenie. Zatem, doktorze, dziś pod przysięgą zeznał pan, że nie jest możliwe rozpoznanie predylekcji seksualnych na podstawie pisma, ale w roku 2000 w swoim artykule stwierdzał pan, że nie tylko można zidentyfikować dewiantów seksualnych na podstawie analizy ich pisma, ale że może pan nawet określić, jakiego rodzaju są to dewiacje... – przerwałem. Nie chciałem jeszcze zadawać pytania, ale ta przerwa pozwoliła mi obserwować przysięgłych, jakbym oczekiwał od nich zadania pytania. – Ława przysięgłych zechce z pewnością usłyszeć od pana, doktorze, odpowiedź na następujące pytanie: „Kłamał pan wtedy, w roku 2000, w swoim artykule, czy kłamię pan teraz?”

Najwyraźniej najlepsze jest pytanie pozostawione bez odpowiedzi. Nieważne, co odpowie; teraz nikt mu już nie uwierzy w żadne słowo. Nic nie odpowiedział. Opuścił głowę i milczał. Dwie czarne kobiety wyraźnie wzdrygnęły się i odsunęły od Goldsteina z wyrazem obrzydzenia na twarzy. Pozostali sędziowie przysięgli patrzyli na doktora ze złością albo opuszczali wzrok, oglądając z zainteresowaniem buty.

Żadnego powtórnego przesłuchania przez Miriam. Jej notatka podsunęła mi pomysł. Litera G została w niej napisana w podobny sposób jak G, na którym Goldstein skupił się w swoim raporcie, i wkrótce podobnie napisaną literę znaleziono w dokumentach procesowych, na szczęście właśnie w dokumentach dotyczących sędzi Pike. Doktor Goldstein, zmieszany, opuścił miejsce dla świadków i usiadł z tyłu sali.

– Na dziś musimy skończyć – oznajmiła sędzia Pike.

Na salę sądową wszedł uzbrojony strażnik, aby eskortować sędziów przysięgłych do pomieszczeń, w których przebywali w ciągu dnia.

– Proszę wstać – polecił funkcjonariusz ochrony.

Pike gwałtownie pchnęła drzwi do swojego gabinetu. Sala zaczynała się opróżniać. Była szesnasta trzydzieści. Miriam podeszła do swoich współpracowników. Poczulem ciężar kamizelki na plecach. Przedstawiłem moje przekonujące argumenty, najlepiej jak tylko potrafiłem; jeśli poskutkują, Wołczek może zatańczyć gigę. Spojrzałem na niego. Uśmiechał się, jednak Arturas pozostawał poważny.

Gdy reporterzy ruszyli do wyjścia, zauważyłem wśród wychodzących mężczyznę – był to Arnold Nowosielicz. Zapiął płaszcz i przesuwiał się wzdłuż ławek, jakby zamierzał utorować sobie drogę do stołu oskarżyciela

i nieustannie wpatrywał się we mnie.

Potrząsnąłem przecząco głową, jednak nie odrywał ode mnie wzroku. W jego oczach widać było determinację. Wiedziałem, że Arnold nie przybył tu tylko w roli obserwatora – on tu był jako pomocnik oskarżenia.

Miriam, ignorując swoich współpracowników, zauważyła przybycie Arnolda. Podeszła do niego, zanim dotarł do jej stołu, i razem usiedli na pustej ławce. Spojrzałem na Wołczeka i zobaczyłem, że nadal siedzi z założonymi rękoma. Kiedy znowu zwróciłem wzrok na ławkę z Miriam i Arnoldem, stwierdziłem, że już nie patrzą na mnie – Arnold pewnie informował Miriam o bombie.

Wstali i ruszyli do drzwi. Współpracownicy Miriam szybko spakowali akta i podążyli w ślad za nią. Miriam przed otwarciem drzwi odwróciła się i spojrzała na mnie z zagadkowym wyrazem twarzy. Pomyślałem, że to pewnie zły objaw. Po tym laniu, jakie jej sprawiłem, patrzyła na mnie tak, jakbym właśnie stuknął jej auto. Potem obrzuciła wzrokiem prawie już pustą salę sądową i dostrzegła trzech mężczyzn w garniturach, których brałem za federalnych. Arnold i Miriam zaczekali przy drzwiach i zobaczyłem, że Miriam przedstawia specjalistę od ławy przysięgłych funkcjonariuszom FBI, a potem razem wychodzą. Opuściłem głowę i cicho zakląłem. Byłem w moim działaniu bardzo przekonujący i miałem wielką nadzieję, że udało mi się kupić dość zaufania Bractwa, chociaż w każdej chwili wszystko mogło się zmienić. Z wyrazu twarzy Miriam, gdy opuszczała salę, wywnioskowałem, że mam pięćdziesiąt procent szans, iż nie zostanę aresztowany, gdy wyjdę z sali sądowej, a zaraz potem Amy umrze.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Ludzie wychodzili z sali, a ja czułem się coraz bardziej nieswojo. Rosjanie nie ruszali się z miejsc. Po chwili zostaliśmy tylko my.

– Wiktor, stań przy drzwiach – rozkazał Wołczek.

Wielki Wiktor wyglądał, jakby mógł zasłonić wszystkie wyjścia. Szerokie ramiona, kark jak opona Michelina. Chwycił barierkę i wstał. Zauważyłem, że kostki jego pięści są zniekształcone i pokryte bliznami. Nos wyglądał, jakby go niewłaściwie osadzono po skomplikowanym złamaniu w walce. W moim bloku kiedyś mieszkał piekielnie twardy dzieciak. Wkrótce zasłynął na Brooklynie jako zdolny pięściarz. Ja natomiast, gdy zacząłem treningi u Mickeya Hooleya, szybko się zorientowałem, że nie mam zacięcia na zawodowca. Mimo to lubiłem te treningi. Do chwili ukończenia osiemnastki, kiedy nie krążyłem po ulicach, przebywałem w sali gimnastycznej, gdzie często dostawałem potężne lanie. To było dawno temu i chociaż nie brakowało mi talentu, raczej nie miałbym dziś szans z Wiktorem.

Wiktor wolno podszedł do wyjścia. Odwrócił się szerokimi plecami do podwójnych drzwi, całkowicie je blokując. Wyglądało na to, że szykuje się mała pogawędka.

– Chcę rozmawiać z córką – oznajmiłem.

– Zgwałcę i zabiję twoją córkę, jeżeli znowu o to poprosisz – powiedział Arturas.

Nie wiedziałem, dlaczego tak go to ubodło. Przecież powinien być zadowolony, że wszystko idzie dobrze. Zamilkłem i obiecałem sobie, że jeśli z tego wyjdę, zemszczę się na Arturasiu. Natomiast Wołczek wydawał się bardzo zadowolony.

– Dobrze ci idzie, prawniku. Jeżeli zrobisz to, co ci każemy, twojej córce nie spadnie włos z głowy – powiedział, próbując naśladować charakterystyczny uśmiezek Arturasa.

– Nie chcemy ryzykować powtórnego sprawdzania przez ochronę. Sala sądowa i sąd będą otwarte przez całą noc i w budynku są ludzie obsługujący sąd nocny. Zostaniesz w biurze na górze. Nie martw się. Wkrótce wróci Gregor. Będziesz miał towarzystwo – Wiktor i Arturas też tu zostaną, żeby mieć na ciebie oko – powiedział Wołczek.

Pomyślałem, że Gregor to pewnie ten potwór, który ogłuszył mnie w limuzynie.

W tej sali rozpraw spędziłem więcej niż jedną noc i potem zawsze tego żałowałem.

Christine kiedyś powiedziała, że czuje się w naszym małżeństwie samotna. W ostatnim roku naszego związku rzeczywiście nie sypiałem często w domu. Jack i ja spędzaliśmy w sądzie całą dobę, i w efekcie straciłem rodzinę. Wmawiałem sobie, że robię to dla nich, aby miały lepsze życie. Ale Christine i Amy naprawdę chciały, żebym był z nimi. Nawet przy całej tej dodatkowej pracy i tak pieniądze nie płynęły do mnie szerokim strumieniem. Christine pytała, czy ja naprawdę tyle pracuję, czy może mam jakiś romans, chociaż tak naprawdę nie podejrzewała, żebym miał romans; była po prostu wściekła. To nie było życie, jakiego oczekiwała. W następstwie sprawy Berkleya i zawieszenia moich praw wykonywania zawodu na pół roku, zamiast zostawać w domu, chodziłem do baru i więcej czasu spędzałem z dala od ludzi, których najbardziej kochałem. Zdałem sobie sprawę, że boję się stanąć przed Christine i powiedzieć jej, że zmarnowałem te wszystkie noce, które spędziłem w Hotelu Dracula; że opuszczałem szkolne występy i dni sportowe Amy, zamieniając je na bezowocne przepychanki w sądzie; że poświęciłem nasze małżeństwo. Byliśmy dobrym małżeństwem. Mieliśmy ładny dom w Queens, mądrą córkę i chociaż nie zarabiałem dużo i zbyt wiele godzin pracowałem, byliśmy dość szczęśliwi. Albo tak mi się wydawało.

Christine poznałem w szkole prawniczej. Przez pierwszy miesiąc nie rozmawiałem z nią. Po prostu nie miałem na to odwagi. W mojej klasie było mnóstwo ładnych, bogatych dziewcząt i niezbyt wielu chłopców takich jak ja, którzy chodzili na wykłady w pomiętych dzinsach, z plamami na T-shirtach i dyszących odorem piwa po nocnych eskapadach. Zatem, kiedy wspominam tamte czasy, widzę, że nie różniłem się zbyt wiele od moich kolegów i nie brakowało mi zainteresowania dziewcząt, z którymi chętnie spędziłbym noc. Ale ja pragnąłem Christine. Pierwszy raz spotkaliśmy się w dzień po Dniu Świętego Patryka. O dziewiątej rano natknąłem się na ciągle jeszcze podchmielonego Flannery'ego, i wsiadłem do taksówki, żeby podwiózł mnie do szkoły. Zanim kierowca ruszył, jakaś dziewczyna otworzyła drzwi, wskoczyła do auta i usiadła obok mnie.

To była Christine.

– Jedziesz w moim kierunku, prawda? – zapytała.

– Tak – odparłem.

Taksówka ruszyła i Christine zaczęła ściągać z siebie ubranie. Zaczęła od góry, a potem zeszła do dzinsów. Rzuciła je na podłogę taksówki, sięgnęła do torby, wyciągnęła jakiś dezodorant, świeżą parę majtek i stanik. Ona też całą noc brała udział w jakiejś popijawie. Podczas tego spektaklu nie powiedziała ani słowa. Kierowca i ja tylko się gapiliśmy z otwartymi ustami. Opuściliśmy taksówkę i przed wejściem do szkoły zapłaciła za kurs, założyła długie, brązowe włosy za uszy i zapytała:

– Przepraszam. Jesteś zaszokowany?

– Nie – odparłem. – Zachwycony.

Taki był początek naszej znajomości. Tego samego dnia wieczorem znowu

się spotkaliśmy przy kuflu piwa i talerzu krewetek – za co nie zapłaciłem.

Była swobodna, bezpruderyjna – kochałem to w niej. Ale bardziej kochałem ją, kiedy się pobraliśmy i kiedy dała mi do potrzymania małą Amy. Mała odziedziczyła po niej tę samą niezależną duszę.

Znowu poczułem wibracje w kręgosłupie, takie same, jakie czułem wcześniej na sali sądowej. Odgadłem, że Arturas rozbroił bombę.

– Wiesz, co dzisiaj sprawiło mi największą przyjemność? – zapytał Wołczek.
– Nie wzdrygnąłeś się, gdy bomba została uzbrojona. Widziałem, kiedy Arturas to zrobił. Zrozumiałeś, jak masz działać, żeby uwolnić córkę. – Wskazał stanowisko dla świadków. – Jeżeli pozwolę ci przepytac Benny’ego, to o co będziesz go pytał?

– Jeszcze nie wiem. Pytania same się nasuną – przecież to on wciągnął ciebie w to bagno, żeby ocalić własną skórę. To on zawarł układ z oskarżeniem, żeby uniknąć dożywocia, i to on nie jest bardziej wiarygodny od zwykłego kapusia więziennego.

Moje myśli krążyły wokół kwestii, która niepokoiła mnie w tej sprawie, odkąd pierwszy raz przeczytałem o niej w gazecie.

Wołczek został oskarżony o morderstwo, stanął przed sądem tylko za zabicie Mario Geraldo. A przecież był bossem wielkiej, bajecznie bogatej organizacji. Jeżeli Benny został złapany na gorącym uczynku, to dlaczego nie miałyby zawrzeć korzystniejszego układu? Dlaczego nie miałyby opowiedzieć FBI o grzeszkach mafii Wołczeka i stanąć na miejscu dla chronionego świadka zamiast na miejscu dla oskarżonego o morderstwo, aby potem trafić na długo do więzienia?

– Problem w zaatakowaniu Małego Benny’ego polega na tym, że on tylko rzucił nikły cień na ciebie i zeznał jedynie w sprawie morderstwa. Nie przekazał federalnym informacji o twoich operacjach. Dzięki temu był wiarygodny jako świadek. Nie mógł im wszystkiego powiedzieć, prawda? – zadałem na koniec pytanie.

Wołczek i Arturas milczeli. Uznałem to za potwierdzenie, że nie mógł.

– Został już skazany, prawda? Czytałem w „Timesie”, że anonimowy świadek, który będzie zeznawał w nadchodzącym procesie rosyjskiej mafii, otrzymał wyrok skazujący. Każdy, kto to czytał, wiedział, że chodzi o twoją sprawę. Ile dostał? Dziesięć lat?

– Dwanaście – odparł Arturas.

– Co więc przeszkodziło mu narobić im tego pasztetu? Przecież to nie ma sensu. Dlaczego nie ujawnił wszystkich twoich operacji i nie wyszedł z sądu wolny z nową tożsamością dzięki uprzejmości FBI?

Wołczek splunął na podłogę i chociaż miał twarz zwróconą ku mnie, odpowiadając, cały czas śledził wzrokiem Arturasa.

– Może Mały Benny w jakimś stopniu chciał być wobec mnie lojalny.

Przeniósł posępny, wrogi wzrok na mnie.

– To bez znaczenia. Nie sądzę, żebyś mógł wygrać tę sprawę, Flynn. Jednak

możesz spróbować. Ja ci na to pozwolę, ale mimo wszystko jutro umieścimy bombę pod krzesłem. Nie będziemy ryzykować nocą, bo mogłyby ją odkryć ekipy sprzątające. Zrobimy to jutro, tak jak zaplanował Arturas – powiedział Wołczek. Kiedy wymawiał nazwisko swojego porucznika, na jego twarzy malowało się okrucieństwo, jakby morderstwa, których przedtem dokonał, ciągle sprawiały Wołczekowi sadystyczną przyjemność. On był szefem, a osobiście uczestniczył w torturowaniu Jacka i jego siostry. Arturas zajmował się biznesem, natomiast Wołczek rozkoszował się mokrą robotą.

Wszystko, co mi Wołczek opowiedział o Bractwie, o lojalności i zaufaniu, nie miało znaczenia, bo kiedy jego człowiek zostaje złapany na gorącym uczynku, zaraz palcem wskazuje bossa, swojego *pachana*, który z *całym* zaufaniem daje mu banknot rublowy, ten *całkowy*.

W dużej organizacji przestępczej zawsze musisz zachować zasadę ograniczonego zaufania. Żądasz lojalności, otrzymujesz ją, albo nie zostajesz długo w tym biznesie. Oceniałem, że Wołczek ma około pięćdziesiątki. Niewielu gangsterów dożywa takiego wieku. To świadczyłoby, że w szeregach Bractwa obowiązuje zasada lojalności. Lojalności wyraźnie wynikającej z wysokich oczekiwań, ale jeśli się ich nie spełnia, to konsekwencje bywają nieuchronne. Blizna na policzku Arturasa powstała prawdopodobnie na skutek niespełnionych oczekiwań. Wołczek gardził Małym Bennym. Wiadomość o wysadzeniu kogoś w powietrze szybko się rozchodzi: „Możemy cię dorwać wszędzie. Zdradzisz rosyjską mafię i umrzesz”. Wiedzą o tym nie tylko członkowie Bractwa, ale także instytucje odpowiedzialne za przestrzeganie prawa na całym świecie oraz konkurencyjne gangi.

Ciemności spadły na budynek niczym ogromna deszczowa chmura dławiąca światło dnia.

Usłyszałem hałas, głośny, natarczywy. Ktoś łomotał do drzwi sali sądowej.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Obserwowałem, jak Wiktor i Arturas pochylają się i coś wyjmują z butów. W obcasach ukryli krótkie, zakrzywione noże. Były wykonane z tego samego materiału; nie miały nieporęcznych rękojeści, tylko cienkie, szare ostrza. Domyślałem się, że są ceramiczne. Ten materiał jest niewykrywalny przez detektor metali. Te ostrza zapewne były bardzo drogie. Przyzwoity nóż można kupić za jakieś siedemdziesiąt pięć dolarów. Te noże prawdopodobnie kosztowały siedemset pięćdziesiąt dolarów każdy.

To było ich zabezpieczenie. Gdyby Arturas chciał użyć przeciwko mnie jakiejś broni, z pewnością byłby to nóż. Prócz bomby na pewno nie przemycili żadnej broni palnej.

Wiktor nasłuchiwał przy drzwiach, w lewej ręce opuszczonej wzdłuż tułowia trzymał nóż ostrzem skierowany ku górze. Arturas okazał się bardziej doświadczony we władaniu nożem – po wyjęciu z buta ostrze skierował w dół w doskonałym, godnym wojownika uchwycie, pozwalającym przecinać, kłuć i ciąć. Tak chwytając nóż, unika się wytrącenia broni z ręki. Ponadto zadanie ciosu z góry w dół zawsze jest silniejsze i dużo szybsze od zadawania ciosów z dołu w górę. Kiedyś miałem okazję się o tym przekonać, działając w samoobronie.

Arturas dołączył do Wiktora przy drzwiach.

Nasłuchiwali.

Nic.

BANG! BANG!

Arturas kiwnął, żebym podszedł.

– Otworzymy drzwi. Porozmawiasz z tym, kto się dobija, i załatwisz sprawę.

Wiktor chwycił lewą klamkę drzwi. Arturas podszedł do prawej, trzymając detonator w lewej ręce. Bomba znowu zaczęła wibrować i po raz pierwszy dostrzegłem czerwone światełko na detonatorze, co – jak się domyślałem – oznaczało, że była uzbrojona.

W sali cicho pobrzmiwały echem nasze przyspieszone oddechy.

– A jeżeli to federalni? – zapytałem.

– Dlaczego federalni mieliby ochotę z tobą rozmawiać? – odpowiedział Arturas.

– Prokuratora zatrudniła biegłego specjalistę od sędziów przysięgłych. Widziałem go dziś w sądzie. Nazywa się Arnold Nowosielicz. Słynie z umiejętności czytania z ruchu warg. Obawiam się, że mógł odczytać z ruchu

moich warg, albo któregoś z twoich ludzi, że rozmawialiśmy o bombie.

Wołczek potrząsnął głową.

– To niemożliwe. Zobacz, kto tam jest za drzwiami.

Arturas i Wiktor chwycili klamkę i spojrzeli na siebie.

Po otwarciu drzwi zalała nas powódź światła.

Ustawili się jak pluton egzekucyjny, lecz zamiast błysku luf uderzył we mnie gwałtowny ogień tuzina fleszy. Instynktownie osłoniłem twarz ręką, chroniąc oczy przed oślepiającym, fluorescencyjnym błyskiem.

Kiedy zaczynaliśmy naszą prawniczą działalność, Jack nalegał na robienie sobie reklamowych zdjęć. Ja miałem siedzieć w jasno oświetlonym pomieszczeniu pod dużą rośliną i przez czterdzieści minut uśmiechać się nad kubkiem kawy, jak na jakimś posterze reklamowym, podczas gdy przepłacony fotograf pstrykał zdjęcia. Okazało się, że wszystko było okej, poza tym kubkiem kawy. Żaden klient nie lubi widzieć swojego adwokata z twarzą głupawo uśmiechniętą nad kubkiem kawy. To tylko mogło im przypominać, że mają w perspektywie do zapłacenia rachunek za usługę. Uśmiechnąłem się na wspomnienie sesji z fotografem. Ale wtedy dałem sobie z nimi radę. Zabrałem ze sobą pudełko kart, zagrałem z nimi i stuknąłem tego fotografa i jego asystenta, każdego na piętnaście setek. I tyle. W tamtych dniach brakowało nam forsy na zapłacenie gazu, nie mówiąc już o sesjach fotograficznych. Myśląc o Jacku, w co mnie wrobił, czułem, że zgrzytam zębami.

Zasłaniając twarz rękami, ruszyłem ostro do przodu, wprost na fotografów. Nie spodziewali się tego. Wysoki facet, który permanentnie błyskał mi w oczy światłem z kamery telewizyjnej, prawie upadł, gdy natarłem na niego. Jestem pewien, że każdy z nich zrobił mi przedtem zdjęcie z głupim uśmiechem na twarzy, kiedy obejmowałem jakąś szumowinę. To było celowe działanie – im potworniejsza zbrodnia, którą klient rzekomo popełnił, tym bliżej byłem niego, gdy nas fotografowano. Zgodnie z tym powinienem teraz stanąć obok Wołczeka, poklepując go po dupie. Jeśli jesteś w miarę dobrym specjalistą od prawa karnego, jest szansa, że zobaczysz swoje zdjęcie w gazecie i poznasz niektórych reporterów.

Za kamerzystami czaiły się prawdziwe rekiny – reporterzy. Faceci od kamer rozstąpili się, natychmiast otoczyły mnie mikrofony i wyciągnięte ręce. Poza zatonięciem przed paroma dniami statku na rzece Hudson, ta sprawa sądowa była największą sensacją w mieście. Każdy reporter chciał ugryźć swój kawałek. Wołczek był bossem jednej z największych organizacji przestępczych, a ponieważ nie wpuszczano na salę rozpraw kamer, wszyscy czekali, aż wyjdzie, aby móc go sfotografować i coś od niego usłyszeć, zanim zniknie w windzie.

Eddie, jak zamierzasz bronić Wołczeka?

Eddie, dziś dałeś wielkie przedstawienie. A co szykujesz na jutro?

Flynn, czy twój klient będzie zeznawał?

Natychmiast zalał mnie potok pytań. Poszedłem przez hol do windy i odwróciłem się do tłumu reporterów. Wołczek niezauważony, szedł za Wiktorem, który posuwał się jak ruchoma ściana. Drzwi windy się otwały. Wiktor, który ciągnął walizkę z aktami za reporterami, teraz wyminął ich z lewej strony, gdy nadal skupiali uwagę na mnie. Prześliznął się przed nimi i wskoczył do windy, kiwając, żebym wszedł za nim. Wołczek ukrył się w rogu windy, zasłaniany przez Arturasa i Wiktora. Reporterzy zorientowali się, kogo tamci osłaniają, i wezwali kamerzystów i fotografów. Ale było już za późno.

Drzwi powoli się zamykały. Arturas i Wiktor wetknęli ręce w kieszenie płaszczy, niewątpliwie zaciskając w dłoniach noże. Ci faceci byli bardzo niebezpieczni – adrenalina i strach to u każdego groźna kombinacja, ale u takich ludzi jak Arturas, wręcz śmiertelna. Nagle czyjaś ręka z całą siłą powstrzymała zasuwające się drzwi windy i ponownie je rozsunęła. Miałem tylko nadzieję, że nie zrobił tego jakiś rozentuzjzmowany reporter.

To był Barry z ochrony. Sprawiał wrażenie człowieka, który szukał mnie przez cały dzień i gdy drzwi windy rozsunęły się do końca, wszedł i zaraz zwrócił się do mnie:

– Eddie, chciałem ci jeszcze raz podziękować za to, co zamierzasz zrobić dla Terry’ego. Powiedziałem mu, że będziesz go reprezentował za darmo, i omal nie skoczył do sufitu ze szczęścia. Zadzwoił do żony – zapraszają cię na kolację.

Barry dużo czasu spędzał, stojąc. Kiedy robisz to zbyt długo, musisz często zmieniać pozycję, inaczej ścierpniesz, albo wszystko zacznie cię boleć. Teraz przeniósł ciężar ciała na prawą nogę i czekał na moją odpowiedź z prawą ręką niedbale opartą na kolbie beretty .45.

Wiktor powtórnie nacisnął przycisk ostatniego piętra.

Spoglądając nad ramieniem Barry’ego, ujrzałem Miriam stojącą w odległości około siedmiu metrów i rozmawiającą z federalnymi. Najwyższy z nich miał na sobie granatowy garnitur, białą koszulę i błękitny krawat. Jego włosy były tak czarne, że pomyślałem, iż z pewnością je farbuje. Miriam wskazała na mnie; federalny spojrział w tym kierunku, a potem w górę, jakby chciał też pojechać windą. Wiedział, że i tak nie zdoła nas dopaść, zanim drzwi się zamkną, i sprawdził elektroniczny wskaźnik pięter nad drzwiami windy. Musiał zaczekać, aż wskaźnik zatrzyma się na wybranym przez nas piętrze.

Drzwi windy zamknęły się.

Jezu Chryste, Barry! Co, u diabła, robisz?! Przecież mam na sobie bombę – chciałem powiedzieć.

Ale oczywiście nie powiedziałem.

Barry czekał, aż przyjmę zaproszenie jego przyjaciela na kawał mięsa z piwem, ale ja nie mogłem na niego patrzeć. Głównie dlatego, że teraz był tu ze mną, właśnie w tej windzie. Gdybym nie zgodził się pomóc Terry’emu,

gdybym grzecznie odmówił, pewnie by go tutaj nie było. Arturas zagryzł wargi.

Twarz Barry'ego widziałem tylko kątem oka. Żuł gumę. Dostrzegłem ruch mięśni gdzieś w okolicy skroni. Rozległo się ciche, mokre mlaśnięcie, gdy przesuwiał gumę w ustach. Winda zwolniła na dziewiętnastym piętrze.

– Dziewiętnaste piętro? – zapytał Barry, stukając palcem w oświetloną cyfrę na panelu windy. – Zostajesz tu na noc?

– Tak. To duża sprawa. Mamy tam spokój i dużo miejsca do dyspozycji. Pokoje konferencyjne na dole są za ciasne. Będę tu przez większość nocy. Może będę miał okazję zjechać nocą do sądu. Który z sędziów wziął tę cmentarną szychcę?

– Sędzia Ford – odparł Barry.

– Powiedz Terry'emu, że może później skorzystam z zaproszenia na kolację. Powiedz, że mam tu dużo roboty, dobrze? Nie mogę opuścić sądu ani na chwilę.

– Dobrze. Tak bywa. Jutro znajdę dla ciebie w pokoju konferencyjnym na dziesiątym poduszkę, szczoteczkę do zębów i przyrząd do golenia. Możesz tu być tak długo, jak zechcesz. Poza tym to publiczny budynek, nigdy go nie zamykamy, więc bądź moim gościem. Mam tu teraz podwójną zmianę, więc możesz być pewny, że nikt ci nie przeszkodzi. Niektórzy zamawiają pizzę. Chcesz, to mogę ci na górę przysłać kilka kawałków?

– Nie, dziękuję, Barry. Jestem ci wdzięczny.

Drzwi windy rozsunęły się na dziewiętnastym piętrze. Barry odsunął się na bok i prześlizgnęliśmy się obok niego.

– Mogę ci powiedzieć w zaufaniu, że nawet sprzątaczkę tu nie zagląda – poinformował mnie Barry z drwiącym uśmiechem.

Winda ruszyła w dół z Barrym w środku. Wróciliśmy do zajmowanych poprzednio pomieszczeń. Arturas otworzył drzwi i weszliśmy. Kiedy znaleźliśmy się w środku, Arturas chciał wsunąć klucz do zamka.

– Nie zamykaj – powiedziałem. – Agenci FBI jadą na górę. – Znalazłem się między Wołczkiem i Arturasem. – Widziałem, jak prokurator wskazywała na mnie federalnemu w granatowym garniturze. Biegły specjalista od ławy przysięgłych zapewne powiedział jej o bombie, a ona z kolei doniosła o tym federalnym. Teraz tu jadą. Widziałem jednego z nich, nim drzwi windy zatrzasnęły się na czternastym. Spoglądał na wskaźnik pięter nad drzwiami windy. Chciał wiedzieć, na które piętro jedziemy.

– Wiktor, wyjdź i obserwuj windę. Mów mi, gdzie się zatrzyma i dokąd potem pojedzie – rzucił Wołczek.

Staliśmy w milczeniu, czekając na Wiktora.

– Minęła siedemnaste piętro, jadąc w dół! – zawołał Wiktor z holu.

– Jeżeli zatrzyma się na czternastym, to oni wsiądą i zaczną wjeżdżać na górę – zauważyłem.

– Minęła szesnaste.

Wołczek i Arturas gapili się na mnie, ale ja ich nie widziałem, stałem ze wzrokiem wbitym w podłogę i modliłem się, żeby winda minęła czternaste piętro.

– Zatrzymała się na czternastym – doniósł Wiktor.

Arturas przytknął ostrze noża do mojego policzka.

Wołczek wyjął komórkę i wystukał numer.

Trzęsły mi się nogi; w skroniach czułem tępe pulsowanie.

Wołczek szybko się połączył.

– Tu Oleg. Może będziemy musieli zabić dziewczynkę. Nie rozłączaj się i czekaj na rozkaz.

Opuścił rękę z telefonem wzdłuż boku. Słuchał, czekał na wiadomość od Wiktora.

Moim ciałem zaczynały wstrząsać dreszcze; trzęsły mi się ręce. Zacisnąłem zęby i czekałem.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Walczyłem rozpaczliwie, aby zachować spokój i nie spanikować. Arturas mocniej przycisnął nóż do mojego policzka.

– Zaczekaj – powiedziałem. – Odpreź się. Federalni mnie nie aresztują. Nie mogą ryzykować zerwania procesu. Ten specjalista od przysięgłych rozmawiał z oskarżycielem, a ona potem rozmawiała z federalnymi. Można powiedzieć, że Miriam marzyła o takiej sprawie jak ta przeciwko bossowi rosyjskiej mafii. Niemożliwe, żeby mogła zezwolić federalnym aresztować mnie, bo wtedy pozostawiłaby oskarżonego bez obrońcy. A to oznacza zagrożenie dla toku rozprawy. Jeżeli tu przyjdą, to i tak nic nie znaczy. Oni tylko sprawdzają, przeszukują. Spławię ich i pójdą sobie. Nie rób krzywdy Amy, proszę. – Ostatnie słowa uwieźli mi w gardle.

– Winda minęła piętnaste piętro i jedzie w górę – informował Wiktor z holu.

– No, to już koniec – stwierdził Wołczek. – Arturas zabijesz go i wiejemy!

Czułem, jak zamiera mi serce w piersi, gdy Wołczek podniósł telefon do ucha.

– Nie! Nie możesz! Federalni będą tu w jednej chwili. Nie masz czasu. Pozwól mi z nimi pogadać. Spławię ich. Mogę to zrobić! – krzychałem.

– Oleg, on ma rację. Nie mamy czasu – stwierdził Arturas; zbladł ze strachu. Jego plan walił się w gruzy.

– Szesnaste piętro! – zawołał Wiktor.

– Pozwól mi. Zrobię to. Tylko ja to mogę zrobić – błagałem.

Wołczek wahał się. Zwiesił głowę, odwrócił się, jakby chciał mnie kopnąć, jednak zrezygnował i tylko zaklął. Przygotowałem się, rozstawiłem nogi i rozpostarłem ręce. Potrzebowałem tylko ułamka sekundy, aby chwycić przegub ręki Arturasa, przyciągnąć do piersi, przytrzymać, a potem w następnej części sekundy drugą ręką chwycić go za łokieć i podrywając w górę, złamać rękę i wybić ze stawu barkowego. Jednak i tak nie miałbym dość czasu, by wyrwać Wołczekowi telefon, zanim zdoła wydać rozkaz zabicia mojej córki.

– Siedemnaste – usłyszeliśmy głos Wiktora.

Wrócił do recepcji.

– Wszyscy siadać. Arturas, podaj mi akta. Zebraliśmy się tu, żeby pracować nad sprawą. Wszyscy mają się uspokoić... Zrobię to. Mogę to zrobić – mówiłem, ledwo panując nad głosem.

Arturas wycofał nóż i schował go.

– Jeżeli tylko czegoś spróbujesz, albo zobaczę, że choćby unosisz się

z krzesła, zaraz wydam rozkaz podcięcia gardła twojej córeczce. Słyszysz? – warknął Wołczek.

– Słyszę – odparłem.

Podniósł telefon.

– Wyłączam się. Jeżeli w ciągu pięciu minut otrzymasz ode mnie SMS-a, zabij dziewczynę.

Obserwowałem, jak coś wystukuje na klawiaturze telefonu, a potem wyciąga go ku mnie.

Zabij ją, przeczytałem – pod SMS-em widniały dwie opcje: „wysłać”, „skasować”.

– Mój telefon będzie leżał na stole. Jeżeli nacisnę ten przycisk – ona umrze. Pamiętaj o tym – powiedział Wołczek.

Usłyszałem dzwonek i szmer rozsuwanych drzwi windy. Chwyciliśmy krzesła. Wołczek i ja usiedliśmy przy biurku. Arturas przysunął do mnie akta wyjęte z walizki. Otworzyłem teczkę na przypadkowej stronie. Arturas i Wiktor usiedli na kanapie.

Nie minęła sekunda, gdy zobaczyłem w drzwiach mężczyznę w garniturze. Odwrócił się i dał znak komuś za sobą, a potem szybko wszedł do pokoju. Za nim wszedł wysoki mężczyzna w białej koszuli i granatowym garniturze – ten sam, z czarnymi włosami zaczesanymi do tyłu, który niedawno rozmawiał z Miriam. Zatrzymał się przy drzwiach, dał znak pierwszemu mężczyźnie i też wszedł do środka.

– Jestem Bill Kennedy, FBI – oznajmił ten wysoki w granatowym garniturze i pokazał swój identyfikator. Miałem rację – federalnego wyczuję na kilometr. – Pan nazywa się Eddie Flynn? – zapytał.

– Tak, Eddie Flynn. Właśnie jestem w trakcie spotkania. Mój klient oskarżony jest o morderstwo, o czym pana informuję, na wypadek gdyby pan nie wiedział. Więc jeśli pan nam wybaczy...

Odwróciłem się od Kennedy’ego i spotkałem wzrok Wołczeka. Telefon leżał na ladzie recepcji. SMS czekał na wysłanie albo skasowanie. Ukryłem dłonie. W podobnej sytuacji, jeśli tylko możesz, kryj dłonie. One mogą cię zdradzić. Trzęsą się, albo tak mocno zaciskasz pięści, że bieleją kostki, czy też zaczynają zmieniać kolor – jednym słowem należy ukryć dłonie, aby nie zdradziły twojego zdenerwowania.

– Obawiam się, że będzie pan musiał pójść ze mną – oznajmił Kennedy.

– *A ja się obawiam*, że nie będę miał czasu na zabawę z FBI. Wychodząc, proszę zamknąć za sobą drzwi.

– Panie Flynn – mówił dalej Kennedy – jeżeli nie pójdzie pan ze mną, nie będę miał wyboru i będę musiał pana aresztować.

– Ma pan prokuratorski nakaz aresztowania? – zapytałem.

– Zostałem poinformowany o możliwym zagrożeniu bombą. W takich wypadkach otrzymałem wyraźne instrukcje, jednak mam nadzieję, że uda się nam uniknąć aresztowania, jeżeli wyjdzie pan ze mną i porozmawiamy.

Zajmie nam to tylko chwilę.

Nieznaczone, prawie niezauważalne potrząśnięcie głowy Wołczeka. Położył palec na telefonie.

– Nigdzie nie pójde – oświadczyłem.

– Panie Flynn, niech pan wstanie.

– Nie – odparłem stanowczo. Zacząłem nerwowo błdzić rękoma pod stołem.

Kennedy sięgnął pod marynarkę, wyciągnął glocka .19 i trzymał na wysokości uda.

– Panie Flynn, to ostatnie ostrzeżenie...

Przerwałem mu:

– Jest pan najgłupszym agentem, jakiego spotkałem.

– Czy mam to panu przeliterować – jeżeli nie wstanie pan w ciągu dziesięciu sekund, aresztuję pana – zagroził Kennedy, podnosząc głos i przybierając agresywny ton.

Do holu za Kennedym weszło jeszcze dwóch mężczyzn; jeden z lewej, drugi z prawej. Agenci, których widziałem na czternastym piętrze. Pewnie razem wyszli z windy i ci dwaj sprawdzali piętro, w czasie gdy Kennedy rozmawiał ze mną. Nosili ciemne garnitury i białe koszule. Ten z lewej wyglądał na Włocha. Miał gładką, ładną cerę i czyste, młodzieńcze oczy. Drugi był przysadzisty, silny, miał rude włosy i niechlujnego wąsa.

Nie wiem, czy dostrzegłem, czy tylko wyczułem ruch Wołczeka. To jednak było bez znaczenia. Sięgnąłem po jego telefon, aby go powstrzymać, ale uprzedził mnie i położył rękę obok aparatu. Przekrzywiając kark, zobaczyłem SMS-a i dwie opcje „wysłać” albo „skasować”. Nic nie mogłem odczytać z wyrazu twarzy Wołczeka, słyszałem tylko jego przyspieszony oddech.

– Piętro czyste – oznajmił młody, wysoki agent.

Obaj agenci zauważyli, że Kennedy wyciągnął broń.

– O co chodzi, Bill? – zapytał rudy agent.

Kennedy zignorował go. Przez chwilę badałem wzrokiem agenta Kennedy’ego. Teraz trzymał glocka w obu rękach, stabilizując cel. Jego kciuk lewej ręki był spuchnięty, jakby miał uszkodzony paznokieć. Niewątpliwie należał do ludzi nerwowych, a zarazem ostrożnych. FBI trzymało Małego Benny’ego w odosobnieniu i Kennedy najwyraźniej piekielnie się martwił, żeby nie stracić cennego świadka. I miał powód, żeby być nerwowy.

W takich chwilach jak ta zwykle bywałem opanowany. A znajdowałem się już w podobnych sytuacjach, jednak nigdy na szali nie było życia mojej córki. Dlatego właśnie poczułem gwałtowną złość. Podobnie jak w limuzynie. Przypomniałem sobie Arnolda Nowosielicza, gdy rozmawiał z Miriam, i wtedy przyszedł mi na myśl sposób wybrnięcia z tej sytuacji.

– Chcę znać przyczynę pańskiego postępowania – oznajmiłem.

Kennedy nie odpowiedział. Jednak nie powtórzył groźby. Tylko stał. Wtedy zorientowałem się, że gdyby Kennedy naprawdę zamierzał mnie aresztować, to już dwie minuty temu leżałbym twarzą do podłogi z jego kolanem na

plecach przy karku. Kennedy nie był tak całkiem pewien, co robić.

– No więc, agencie Kennedy – naciskałem. – Co jest powodem pańskiego zachowania? Chcę znać przyczynę pańskiego działania, które narusza moje prawa konstytucyjne. O co chodzi?

Nie odpowiedział. Broń zakołysała się w jego rękach.

– Mamy z pewnego źródła informację, że rozmawiał pan w sali sądowej z pewną osobą o materiałach wybuchowych – oznajmił Kennedy.

– Myślę, że to jakieś nieporozumienie. Po rozprawie wszystko możemy wyjaśnić. Ja nikogo nie zamierzam narażać na szwank.

Zaczekałem, aż to sobie przyswoi. Chciałem, żeby zaczął się nad moim słowami zastanawiać, mieć wątpliwości.

– Agencie Kennedy, prawdopodobnie tę rozmowę o materiałach wybuchowych według pana prowadziłem w sądzie. A tak przy okazji, czy prowadziłem ją z panem Wołczkiem?

– Sądzę, że tak – odparł Kennedy.

Oddychałem wolno, starając się uspokoić przed podjęciem ostatecznej rozgrywki.

– Kogo Miriam Sullivan zatrudniła, żeby analizował zachowania sędziów przysięgłych i wnioskował, jak mogą zagłosować? Czy przypadkiem nie był to Arnie Nowosielicz? – zapytałem.

Kennedy wyglądał na zaskoczzonego, chociaż rozpaczliwie starał się to ukryć.

– Omówimy to później. Wstawać, Flynn.

Pominał „pan” i wiedziałem, że trafiłem w jakieś jego czułe miejsce. Kennedy z rosnącym niepokojem przestąpił z nogi na nogę, zapewne zastanawiając się, czy przypadkiem nie popełnia największej pomyłki w życiu. Rozparłem się wygodnie w krześle i wystrzeliłem najcięższy pocisk.

– Agencie Kennedy, jeżeli mnie pan aresztuje, zaskarżę rząd federalny o odszkodowanie w wysokości dziesięciu milionów dolarów. I z pewnością wygram. Straci pan pracę, straci ją pański przełożony. Dla mnie wisienką na torcie będzie pozostawienie procesu bez rozstrzygnięcia. Jeżeli mnie pan teraz aresztuje, dla mojego klienta będzie to oznaczać unieważnienie procesu. Oskarżenie zostanie odroczone, aby mój klient mógł znaleźć nowego obrońcę. Jeśli proces przeciwko mafii zostanie odroczone na rok, aby nowy adwokat pana Wołczka mógł się włączyć do sprawy, pani sędzia Pike nie pozwoli sędziom przysięgłym ciągle tkwić w tym samym składzie. Na to nie ma mocnych. Unieważni proces i gdy za rok adwokat pana Wołczka będzie już gotów, zgłosi potrzebę zaprzysiężenia nowego składu ławy przysięgłych.

Kennedy nagle się uspokoił. Ustąpiły nerwowe odruchy. Czułem, że nadszedł czas zadania ostatecznego ciosu.

– Prokuratorzy działają w tym mieście w ramach ściśle ustalonego budżetu. Jak to zostanie przyjęte, gdy wyjdzie na jaw, że prokurator okręgowy płacił ogromne sumy takiemu podejrzanemu typowi jak Arnold? Agencie Kennedy, ten pański prokursorski biegły specjalista od ławy przysięgłych nielegalnie

analizuje zachowanie sędziów. Nie mam pojęcia, czy Miriam była w pełni zorientowana, jak działa Arnold, wykorzystując swoją umiejętność czytania z ruchu warg. Zapewne przekazała panu to, co odczytał z ruchu moich. I mogę pana zapewnić, że nie wspomniałem w rozmowie o bombie, a on nie może panu powiedzieć, że *słyszał*, jak o niej mówię, prawda? Jeżeli czytał z ruchu moich warg, to również może czytać, albo próbuje to robić, jeśli chodzi o sędziów przysięgłych. A to oznacza łamanie nakazu sądu. To oznacza manipulowanie ławą przysięgłych. Ten człowiek podpatrywał mnie, gdy rozmawiałem z moim klientem. Wszystko, o czym w sądzie rozmawiałem z panem Wołczkiem, dotyczy jego sprawy. Inaczej nie może pan tego przedstawić sędziemu. A wszystko, o czym dyskutujemy, jest poufne, chronione przywilejem relacji adwokat–klient i gwałcenie tego przywileju, zgodnie z orzeczeniem Sądu Najwyższego, jest nielegalne. – Pochyliłem się, by wbić ostatni gwóźdź do jego trumny. – Więc niech pan pozwoli, że skorzystam z tego prawa. Polega pan na dowodzie przedstawionym przez pozbawionego skrupułów jegomościa wciągniętego w nielegalne czynności w sądzie, faceta, który gwałcąc przywilej mojego klienta dotyczący poufności rozmów z adwokatem, opowiada panu jakieś brednie. A czyż nie robi tego po to, by wypaść korzystnie w oczach federalnych jako ekspert? A teraz chce mnie pan za to aresztować, robiąc z siebie głupca, nie mówiąc już o groźbie utraty pracy i trwonieniu federalnych pieniędzy. Więc dalej – aresztuj mnie. Daj mi szansę wygrania sprawy i wzbogacenia się.

Wyciągnąłem ręce, aby założył mi kajdanki. Byłem pewny siebie, brzmiałem przekonująco, ale w istocie czułem, jak mi się przewracają bebecchy, a serce wali tak szybko, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

Kennedy się nie poruszył.

– Bill, nie rób tego – powiedział rudy agent stojący za nim.

Kennedy skrzywił się, z trudem zbierał myśli. Po prostu nie wiedział, co robić – ja zaś nie wiedziałem, czy to był objaw braku zdecydowania, czy też chęć zwymyślenia mnie. Jednak ostatecznie poddał się.

– To jeszcze nie koniec, panie Flynn – powiedział, chowając pistolet do kabury.

Mimo wysiłków ukrycia strachu, nie mogłem się powstrzymać od westchnienia ulgi. Jego ręce opadły do ud i wtedy znowu zobaczyłem to zadrapanie na kciuku.

Odwrócił się do wyjścia. Opuściłem ręce i wtedy nagle się zatrzymał, odwrócił i spojrzał na mnie.

Wydawało się, że opuścił go gniew i niezdecydowanie. Wyraźnie odprężony powiedział:

– Jeszcze sobie pogadamy.

Federalni wyszli tak szybko, jak przyszli.

Słyszałem ich głosy na korytarzu, a potem metaliczny dźwięk, gdy jeden z nich kopnął drzwi windy. Pot spłynął mi z czoła na brwi. Wytarłem twarz,

czując na policzku ukłucie. Zobaczyłem ślad krwi na dłoni. Arturas ukłuł mnie czubkiem noża. Koszula też była okrwawiona – pewnie ją pobrudziłem, gdy skruszyłem szklankę z bourbonem.

To wszystko było bez znaczenia. Udało mi się przez to przebrnąć. I to się liczyło. Prawą rękę przycisnąłem do piersi, chcąc uspokoić serce. Czubkami palców namacałem małe wybrzuszenie, jakie tworzył portfel, przez który omal nie straciłem głowy. Musiałem zajrzeć do środka. Musiałem wiedzieć, kogo mam za przeciwnika. Ale nie mogłem ryzykować, dopóki się nie upewnię, że nikt mnie nie obserwuje. Jeszcze nie teraz, ale wkrótce.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Przez większość życia nękały mnie dokuczliwe bóle głowy. Trwało to bardzo długo, aż w końcu nauczyłem się je leczyć. Ale co to była za kuracja! Zanim zostałem adwokatem, w czasach, kiedy zajmowałem się oszustwami ubezpieczeniowymi, wysoka na prawie dwa metry prostytutka imieniem Boo podawała się za terapeutkę. Boo przestała oszukiwać, gdy zaczęliśmy zarabiać prawdziwe pieniądze, wyciągając je od towarzyszt ubezpieczeniowych na przekrętach z urazami kręgosłupa. Później jednak naprawdę weszła w swoją rolę, przestała nosić spódniczki mini i dekolty do pasa pod białym kitem, a zaczęła się ubierać odpowiednio do roli.

Bywało, że przez większość nocy byłem na nogach, zajmując się naprawianiem starych aut. Ta praca wywoływała palące bóle w karku od ciągłego leżenia pod autami. W tych czasach Boo przesiadywała w biurze, studiując anatomię. Nauczyła mnie, jak rozluźniać mięśnie i jak prawidłowo oddychać. Jej techniki nigdy nie zawodziły – kręć rozluźniająco głową, przez dwie sekundy prostuj plecy aż do bólu, a potem odpręż całe ciało. Adaptując jej rady dotyczące relaksacji, przenosiłem je na salę sądową – co pozwalało mi osiągać stan większej swobody, relaksu, a przy okazji byłem bardziej naturalny.

Wykręcając na boki, w górę i w dół ramiona, wykonując zalecane przez nią rozciąganie mięśni i stawów, usłyszałem dzwonek przy drzwiach windy, co oznaczało, że zabiera federalnych.

Na twarz Arturasa powrócił jego etatowy uśmiezek. Wołczek roześmiał się.
– Działałeś bezbłędnie – pochwalił Wołczek, chwytając telefon i kasując SMS.

Dobrze prosperujący oszust artysta jest zależny od różnych umiejętności. Jednak każda z nich jest guzik warta, jeśli nie możesz zdobyć zaufania ludzi, z którymi masz do czynienia. Budowanie zaufania potencjalnej ofiary niczym się nie różni od budowania zaufania sędziów przysięgłych – tu i tam ma zastosowanie ten sam sposób. Byłem doskonale przekonujący w niszczeniu Goldsteina; teraz wyrzuciłem za drzwi agentów FBI. Czułem, że zapracowałem na zaufanie Wołczeka. Pozostało tylko jedno – wykorzystać to zaufanie.

– Skąd mam wiedzieć, czy moja córka jeszcze żyje? – zapytałem.
Uśmiech wolno spelzł z twarzy Arturasa, mocno zacisnął usta.
– Możesz z nią porozmawiać. Zapracowałeś na to. Tylko nie próbuj dawać jej jakichś sygnałów. Ona jest teraz spokojna. Pamiętaj, twoja córka myśli, że

ludzie, którzy są tam razem z nią, to ochroniarze, których wynająłeś, by ją chronić.

Arturas wybrał numer, nacisnął tryb głośnomówiący i powiedział coś po rosyjsku do mikrofonu w telefonie komórkowym. Wyglądało na to, że wszystko jest OK. Po drugiej stronie nikt nie podnosił głosu. Słyszałem tylko jakieś kobiety. Rysy twarzy Arturasa złagodniały. Pomyślałem, że kobieta, która odebrała telefon, pewnie jest jego przyjaciółką. Arturas zamilkł i podał mi telefon. Trzymałem go jakieś pięć centymetrów od twarzy.

– Amy, jesteś tam? – zapytałem.

Nic.

– Tata?

Rozpaczliwie próbowałem tłumić emocje w głosie.

– Tak, to ja. Dobrze się czujesz?

– Dobrze. Co się dzieje? Gdzie jesteś... i mama? Elena powiedziała, że nie mogę... że ja... nie mogę wyjść.

Jej głos drżał. W głośniku usłyszałem szybki oddech Amy. Była przestraszona. Domyślałem się, że Elena to ta kobieta, z którą Arturas rozmawiał, i że to pewnie jego dziewczyna. To miało sens; kobieta zawsze jest bardziej przekonująca dla małej dziewczynki.

– Rób wszystko, co ci ta pani powie, kochanie.

1-646-695-8875

– Dlaczego ciebie tu nie ma? To znaczy... przecież powinniśmy być razem, prawda? – mówiła, podnosząc głos niemal do krzyku przy ostatnim słowie.

Taka właśnie jest Amy – bystra, dociekliwa i ostatnio wyposażona w doskonale wyskalowany cholerny czujnik, który – jak się wydaje – z wiekiem rozwijają i udoskonalają w sobie wszystkie dzieciaki. Ona wiedziała. Wiedziała, że coś jest nie w porządku, i to ją przerażało.

Odchrząknąłem, zakryłem dłonią mikrofon i wydałem policzki. Nie mogłem dopuścić, żeby wyczuła, że się boję, i z trudem przełknąłem cierpką kluchę w gardle.

– Bardzo cię kocham, skarbie. Wkrótce się zobaczymy. Tylko się nie bój. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało. Jesteś moim aniołkiem, pamiętasz?

– Tato...?

1-646-695-8875

– Tak?

– Czy mama jest z tobą? Mogę... och, proszę... chcę z nią rozmawiać. Chcę, żebyś ty i... żebyście ty i mama tu przyszli, proszę. Kocham cię. Proszę, przyjdź tu, tatusiu... proszę... – Całkiem się załamała. Każdy następny spazm płaczu stawał się piskliwy i histeryczny. Potem płacz cichł w miarę odsuwania od niej aparatu.

Otarłszy łzę, próbowałem mówić dalej, lecz słowa więzły mi w gardle. Arturas pokazał na swojej szyi gest imitujący podrzynanie gardła.

– Kochanie, wszystko będzie dobrze. Nie płacz. Kocham cię – wreszcie

wyduśnięm z siebie, podnosząc głos, w którym już zaczynał pobrzmiwać strach i gniew.

Arturas rozłączył rozmowę.

Miałem ochotę go zabić. Nie tylko za to. Za wszystko. Za to, co przedtem, i za to, co teraz. Musiałem się powstrzymać. Nie mogłem sobie na to pozwolić. Jeszcze nie teraz. W pokoju było trzech zbirów. Nawet przy mojej szybkości i zręczności przynajmniej jeden z nich zdążyłby zatelefonować i wydać rozkaz. Rozkaz kończący życie Amy. Próbowałem coś wymyślić.

– Gdzie jest moja żona?

– O ile się orientujemy, ona nie wie, że Amy zniknęła – odparł Wołczek. – W szkole sądzą, że opiekujemy się nią, aby zapewnić jej bezpieczeństwo. Szkoła nie zadawała pytań po pokazaniu fałszywych dokumentów firmy ochroniarskiej. Twoja żona nie spodziewa się powrotu Amy do domu wcześniej niż jutro wieczorem. Nie musisz się martwić o żonę. Ja też się o nią nie martwię – ale... jeżeli zacznie nam sprawiać kłopoty, dołączy do córki.

Ostrożnie pokręciłem głową w prawo i w lewo, aby usunąć ból rozprzestrzeniający się od ramion do mózgu. Amy wiedziała, że dzieje się coś złego. Nie ufała porywaczom. Nie kupiła ich bajeczki. Nigdy nie słyszałem jej tak przestraszonej. Ostatnio tak bardzo bała się półtora roku temu. Jej klasa języka angielskiego miała stanąć do publicznego konkursu przemówień. Amy, jako rozgarnięta, wesola uczennica została wybrana do wygłoszenia trzyminutowego przemówienia przed całą szkołą. Siedziała w jadalni naszego domu, cicho popłakując nad tekstem. Przeczytałem go – był całkiem dobry. Problem tkwił w tym, że miała stanąć przed setkami dzieciaków. Po wielu namowach i zachętach odczytała tekst przede mną, ale nawet go nie dokończyła – zająknęła się, zamarła i rozplakała.

– Nie mogę, nie mogę. Będę musiała zmienić szkołę, wyrzucą mnie. Nic na to nie poradzę.

W tej sytuacji zdradziłem jej tajemnicę zostania najlepszym publicznym mówcą – przecież byłem prawnikiem i znałem się na tym.

– Poruszaj palcami u nóg.

– Po co? – zdziwiła się.

– Po to. Nasze umysły działają jakoś lepiej, gdy ciała są czymś zajęte. To dlatego tak wielu ludzi rozwiązuje problemy, albo wymyśla wielkie idee, w czasie gdy jadą samochodem, albo podczas gotowania, czy też po prostu siedząc na ustępie. Nikt nie będzie patrzył na twoje stopy, a ty nie będziesz myśleć o tym, że się denerwujesz – bo wtedy myślisz o palcach u nóg.

Zaczęła poruszać palcami u stóp i powtórnie przeczytała tekst – tym razem bezbłędnie, do końca.

Tamtego wieczoru było wesoło i bardzo miło, gdy tak razem siedzieliśmy przy stole w jadalni. Nigdy nie zapomnę, jak mnie uściskała. Następnego dnia nie wysłuchałem jej przemówienia. Jack i ja prowadziliśmy wtedy sprawę rabunku z użyciem broni. Po powrocie do domu późną nocą Christine

powiedziała mi, że Amy wypadła wspaniale, ale całą drogę ze szkoły do domu płakała, ponieważ nie przyszedłem jej zobaczyć.

Długo uspokajałem moją małą dziewczynkę.

A teraz ciągle powtarzałem sobie ten numer: 1-646-695-8875. Pozwoliłem, żeby rozbrzmiewał echem w mojej głowie. Nie wolno mi go zapomnieć. Widziałem, jak błyszczał wyświetlony na białym ekranie, w czasie gdy rozmawiałem przez komórkę. Na co może mi się przydać? W tym momencie nie miałem pojęcia.

Ale miałem ten numer.

Tam była Amy, w jakimś mieszkaniu, albo domu, może w biurze – gdzieś na drugim końcu połączenia telefonicznego. Ja nie miałem komórki, więc uczyłem się na pamięć tych numerów, które były mi potrzebne. Wiedziałem, że 646 to numer kierunkowy Manhattanu. A to już zawężyło miejsce pobytu Amy. Wyspa Manhattan ma ponad dwadzieścia jeden kilometrów długości i mniej niż cztery kilometry szerokości. Mieszka na niej około dwóch milionów ludzi i może ze dwa do trzech milionów codziennie dojeżdża. Zawęziłem jej miejsce pobytu, w porządku... Aby jednak móc znaleźć Amy i wyciągnąć ją stamtąd, potrzebowałem pomocy w dokładnym zlokalizowaniu numeru telefonu komórkowego. Swego czasu dwóm ludziom powierzyłem swój los z pełnym zaufaniem; pierwszym był mój najlepszy przyjaciel z dzieciństwa Jimmy Fellini. Teraz był kimś, kogo należy się bać. Drugą osobą był sędzia Harry Ford – człowiek, który dwukrotnie kierował moim losem i przy obu okazjach zmieniłem swoje życie. W ciągu trzydziestu sześciu lat przebywania na tej planecie tkwiłem w dwóch światach – w świecie oszustw i w świecie prawa – i wykorzystywałem umiejętności, jakich nauczył mnie ojciec, co pozwoliło mi odnosić sukcesy w obu tych światach, dlatego że w istocie niewiele się od siebie różniły.

Potrzebowałem pomocy obu tych mężczyzn. Jednak nie miałem pojęcia, jak się z nimi skontaktować i ile mogę im powiedzieć.

Mój zegarek wskazywał, że pozostały mi jeszcze dwadzieścia dwie godziny. Dwadzieścia dwie godziny do uwolnienia Amy i wystawienia do wiatru mafii. Na wyświetlaczu LCD wyświetlała się godzina 18.00. Zaczynała się pierwsza sesja nocnego sądu. Barry powiedział, że sędzia Ford będzie przewodniczył zmianie „cementarnej”, zasiadając na drugiej rozprawie sądu nocnego. To znaczyło, że Harry zapewne był już w budynku i przygotowywał się do rozprawy, ślęcząc nad aktami. Moje życie często zmieniał się na skutek nieprzewidzianych okoliczności albo jakiegoś przypadku lub szczęścia. Czy taki był mój los? Jednak teraz wiedziałem z całą pewnością, że mam do dyspozycji siedem godzin, aby złapać Harry'ego, zanim wyjdzie do sali sądowej. Jeżeli go nie złapię przed pierwszą w nocy, to nie będę miał już szansy się z nim skontaktować.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Siedziałem w gabinecie sędziowskim nad otwartą teczką akt sprawy. Powiedziałem Wołczekowi, że muszę je przestudiować, żeby się upewnić, iż nie zaskoczy mnie coś, co mogłoby unieważnić jego zwolnienie za kaucją. W pokoju recepcyjnym Arturas coś szeptał z Wołczkiem. Próbowałem podsłuchać, ale bez powodzenia. Minęła dziewiętnasta, na zewnątrz zrobiło się kompletnie ciemno i padał deszcz. Wiktor odpoczywał, leżąc na zielonej kanapie w sąsiednim gabinecie. Myślałem o Harrym i ogromnym ryzyku wciągania go w ten pasztet. A poza tym Harry był sędzią. Ale dla mnie był kimś więcej – przyjacielem. Gdyby nie Harry, nadal byłbym kanciarzem.

Oszukiwanie wciąga jak kokaina – bierze się przez kilka lat i jeśli się od niej nie uzależnisz, to szybciej uzależnisz się od pieniędzy. Obiektami moich zainteresowań były przeważnie towarzystwa ubezpieczeniowe. Takie jak to, które odmówiło wypłaty odszkodowania z tytułu utraty zdrowia mojego ojca, a potem nie wypłaciło premii za jego śmierć. Jednak oszustwa zdrowotne odgrywały małą rolę w moich działaniach; głównie skupiałem się na oszustwach komunikacyjnych – na sfingowanych wypadkach samochodowych: grach wysokiego ryzyka o wysokie odszkodowania. Przekręty z towarzystwem ubezpieczeniowym to jak gra w pokera z szatanem – jego dom, jego reguły. Ale ja zawsze wygrywałem. Czasem odpuszczałem sobie, zdając się na swoje fenomenalne wyczucie.

Oszukiwanie w tym stylu nie było jakimś szczególnym wyczynem – natomiast sztuką było tak je zaaranżować, aby towarzystwo ubezpieczeniowe było przekonane, że to oni robią z ciebie głupka.

Cała filozofia polega na rozpoczęciu działalności w fałszywej firmie prawniczej. Można by pomyśleć, że to trudna sprawa, ale założenie takiej firmy to właśnie najłatwiejszy element gry. Śledzisz kolumny nekrologów i ogłoszeń o zmarłych. Zwykle raz na miesiąc trafiasz na śmierć jakiegoś mało ważnego prawnika. Tego rodzaju prawnicy to zwykle ludzie o podwyższonym cholesterolu, alkoholicy i zestresowani nałogowi palacze. Wszyscy, którym kradłem tożsamość, umierali na zawał serca.

Na szczęście dla mnie pijaństwo i stres co roku zabijają setki prawników. Tak więc znajduję odpowiedniego kandydata, który właśnie zmarł, i składam wizytę opłakującej go wdowie. Moją bronią są kwiaty i plik docłów. Mówię wdowie, że jej mąż reprezentował mnie na procesie i wygrał sprawę, dlatego dostałem fortunę. Ponieważ zachował się jak dżentelmen, nigdy nie przyjmując ode mnie prezentów, teraz pragnę dać wdowie kilka tysięcy

dolarów jako wyraz wdzięczności. Wręczając jej gotówkę, proszę o jakąś pamiątkę po moim wielkim bohaterze wymiaru sprawiedliwości – zwykle chodzi o jego pozwolenie na prowadzenie praktyki prawniczej – którą chcę oprawić i powiesić na ścianie, aby ciągle mi przypominała drogiego nieobecnego.

Tak naprawdę chodziło mi tylko o to pozwolenie. Stowarzyszenie Adwokatów Stanu Nowy Jork zwykle jako ostatnie dowiaduje się, że któryś z ich wielu członków odszedł na wieki. Prawnicy nie chodzą na pogrzeby kolegów. A jeśli chodzą, to nie mają czasu chodzić do sądu. Więc jeszcze tylko fałszywy dowód osobisty i rozpoczynam praktykę pod nazwiskiem zmarłego prawnika.

Moja kancelaria zajmowała się głównie odszkodowaniami za mechaniczne lub blacharskie wypadkowe naprawy samochodów, a nie niuansami spraw typowo prawniczych. Wszystko zaczyna się od kolizji drogowej. Tani i łatwy do naprawy samochód zbliża się do ulicznych świateł tuż przed ich zmianą na czerwone i zamiast szybko przejechać, nagle tak hamuje, aby jadący za nim pojazd nie wyrobił i wjechał mu w kufer. Nie jest to takie łatwe, jak się wydaje, i wymaga najwyższych umiejętności, dlatego musiałem zatrudnić dwóch doskonałych kierowców, którzy umieli też znakomicie udawać poszkodowanych.

Zasady ruchu drogowego mówią, że należy zachowywać na drodze bezpieczną odległość między pojazdami, aby na przykład w wypadku zmiany świateł na czerwone można było skutecznie zahamować. Dla ubezpieczyciela nie ma nic prostszego – wystarczy wysłać swojego agenta. Oni zechcą sprawę załatwić szybko i jak najtaniej. Wtedy włącza się prawnik reprezentujący głupiego powoda. Moja fałszywa firma wysyła list z żądaniami do kierowcy, który spowodował wypadek, a ten z kolei przesyła go swojemu ubezpieczycielowi. Zaraz po nawiązaniu komunikacji należy rzucić towarzystwu ubezpieczeniowemu przynętę. Tą przynętą jest następny list skierowany do towarzystwa ubezpieczeniowego albo do ich adwokata, który zajmuje się wypadkiem. Jednak tym razem umieszczamy go w kopercie z innym listem. Ten ekstra list jest pomięty i pobrudzony atramentem, tak jakby wypluła go drukarka i nie miał być załączony do listu skierowanego do towarzystwa ubezpieczeniowego i do koperty dostał się zupełnie przypadkowo. Ten pomięty i poplamiony list pochodził od fałszywej firmy prawniczej i był adresowany do fałszywego klienta, donosząc mu, że mając na uwadze operację jego matki/wypadek dziecka/pęknięcie rury wodociągowej itd., otrzymuje wcześniej nieuregulowany rachunek wskazujący, iż jego sprawa kosztuje go powiedzmy dwieście tysięcy dolców.

Do tego oczywiście zostaje podłączone na przykład sfałszowane badanie lekarskie. I to właśnie była najwyższa kwota na rachunku, jako że my z tego tytułu ponieśliśmy najwyższe koszty. Musieliśmy podnająć lokal i uruchomić całą fałszywą praktykę medyczną, gdzie Boo, znajoma oszustka prostytutka,

stosowała terapię masażem. Do tej fałszywej praktyki zatrudniała mężczyznę, który przez kilka tygodni odbierał telefony i dawał mi znać o śledczych z ubezpieczeń, którzy z należytą skrupulatnością sprawdzali nasz ośrodek medyczny. Było to łatwe do ustalenia, gdyż jedynymi zwykłymi ludźmi odwiedzającymi to miejsce byli tylko śledczy, bowiem w rzeczywistości ośrodek nie miał prawdziwych pacjentów, tylko na papierze.

Jednak prowokujący strój Boo kiedyś przyczynił się do pewnego wypadku. Po popijawie z okazji dziewiętnastki spotkałem ją na ulicy. Wychodziłem z baru McGonagalla około północy i natknąłem się na dwóch groźnie wyglądających facetów zaczepiających piękną kobietę w białej sukni, o ustach w kolorze keczupu. Stała na ulicy w najwyższych szpilkach, jakie widziałem. Jeden z tych typów trzymał w ręku metalową rurkę, drugi wymachiwał paskiem. Zbliżyłem się do nich. Oczywiście byłem nieźle podпиты. Temu z paskiem mocno dołożyłem i upadł na ziemię, ale ten drugi zdążył rąbnąć mnie rurką w głowę. Kiedy trochę mi się przejaśniło ujrzałem Boo stojącą przy mnie. Była wyraźnie znudzona i paliła papierosa. Obaj faceci leżeli na ziemi. Jeden z nich jęczał i miał pasek owinięty wokół szyi i spętane stopy, a w jego kolanie tkwił wbity sztylet. Drugi nie odzywał się wcale i zobaczyłem leżącą obok niego zakrwawioną rurkę. Boo była cała. Zabrała mnie do swojego mieszkania, umyła i położyła na kanapie.

Zwykle w ciągu tygodnia, od czasu gdy – albo towarzystwo ubezpieczeniowe, albo reprezentująca je firma prawnicza – otrzymywali fałszywe listy, ich śledczy składali wizytę w fałszywym ośrodku medycznym Boo i przeprowadzali tam kontrolę. Po kilku dniach nadchodziły oferty na kwoty od dwudziestu do pięćdziesięciu tysięcy dolarów – pod warunkiem że porozumienie zostanie zawarte w ciągu dwóch tygodni.

Rzecz jasna wszyscy nasi fałszywi klienci akceptowali te oferty i czek trafiał do firmy na pokrycie kosztów działalności prawniczej. Banki z radością przyjmowały gotówkę od młodego prawnika próbującego wskrzesić starą firmę swojego mentora. Tak oto toczyło się moje życie. Byłem szczęśliwy, że jako adwokat mogłem się zemścić na ubezpieczycielach za pozbawienie mojego ojca godności i życia. Jednak przeznaczenie, czy też może szczęście, jak kto woli, zadziało, gdy źle oceniłem sytuację – i pięciokilowy młot i ułamek sekundy na zawsze zmieniły moje życie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Próbowałem się skupić nad aktami. Ta sprawa sprowadziła mnie tutaj i musiałem się wszystkiego o niej dowiedzieć. Częścią mojego planu było znalezienie sposobu pewnego rodzaju nacisku na Rosjan i czułem, że mogę ją znaleźć w tych teczkach. Czułem, jak pali mnie skóra; nie mogłem dłużej skupić wzroku. Spanikowałem. Przez chwilę skoncentrowałem się na oddychaniu.

Trzy te czki były bezużyteczne. Zawierały raport ekspertów, skompilowany przez cztery różne firmy prawnicze; opinie prawne i eksperckie streszczenia sprawy – nic, co mogłoby mi pomóc. Niektórzy biegli twierdzili, że Wołczek był najgorszym świadkiem, jakiego spotkali w swojej karierze. Pomyślałem, że to dość trafna ocena. Wszystkie raporty i opinie biegłych dochodziły do tego samego wniosku – Wołczek jest winny.

Następne cztery te czki zawierały materiały procesowe. Pierwsza te czka kryła zarzuty i zapisy z rozmów Wołczeka w NYPD. Wołczek w żadnej z tych rozmów nie odpowiadał na pytania. Interesujący okazał się tylko jeden dokument – kopia pierwszej strony „New York Timesa” datowanego na piątego kwietnia przed dwoma laty. Informacja o tym, że pospolity bandyta strzela do Mario Geraldo, potem zostaje szybko aresztowany – i poniżej fotografia Wołczeka wyprowadzanego z sądu. Artykuł skupiał się na opisie morderstwa i późniejszym aresztowaniu bossa rosyjskiej mafii.

Druga te czka zawierała głównie fotografie i mapy. Przeważały zdjęcia z miejsca zbrodni. Widać było na nich bałagan w mieszkaniu i tęgiego mężczyznę leżącego na podłodze. Poniżej lewego oka i kawałek od nosa widać było otwór po kuli. Skutecznie precyzyjny strzał. Gdzieś dalej pewnie załączono świadectwo lekarza badającego zwłoki, nie mogłem go znaleźć, ale i tak nie zamierzałem czytać. Ten facet przyczynę śmierci miał wypisaną na twarzy. Przez moment zmniejszył się ból w karku i przeciągnąłem się, aby przedłużyć tę ulgę.

Tłuścioch na podłodze miał na sobie niechlujny, poplamiony podkoszulek i ciemne spodnie. Był boso. Mario Geraldo, ofiara. Z wyglądu nie sprawiał wrażenia typowej ofiary, raczej jakby właśnie wstał prosto z kanapy na castingu do jednego z najlepszych filmów Scorsese. W Nowym Jorku mieszkały cztery włoskie rodziny przestępcze. Ale nie mogłem sobie przypomnieć, żeby któraś nosiła nazwisko Geraldo, chociaż chodziło mi ono po głowie i obilo się o uszy – tylko jeszcze nie wiedziałem gdzie.

Przesunąłem zdjęcie pod lampę na biurku i przyjrzałem się dokładniej

grubasowi leżącemu na środku pokoju. Próbowałem rozpoznać jego tatuaże, miałem nadzieję, że znajdę na nich symbol jakiegoś starego gangu. Jednak żaden atrament tatuażu nie pochodził stąd. Wokół wlotu kuli ujrzałem okrągły opalony ślad od prochu, co oznaczało, że został zastrzelony z bliska – lufę niemal przytknięto do jego twarzy, ale nie dotykała skóry. Gdyby lufa dotknęła jego głowy, proch nie mógłby osmalić tak rozległego pola, opalenie byłoby mniejsze i głębsze od gorącego wylotu lufy.

Wyjąłem wszystkie fotografie z teczki, rozłożyłem na biurku, starając się odtworzyć scenę morderstwa. Był tam też raport CSI oraz oświadczenie faceta nazwiskiem Martinez. Nie miałem zamiaru czytać tych dokumentów przed zbadaniem zdjęć i wyrobieniem sobie własnej opinii. Gdybym teraz je przeczytał, mógłbym ulec sugestii w interpretacji sceny morderstwa. I nie dlatego, żeby istniało wiele tych interpretacji. Policjanci złapali Małego Benny'ego w mieszkaniu z jeszcze dymiącą bronią na podłodze. W dzień po podpisaniu ugody przyznał się do popełnienia morderstwa. Dostał dwanaście lat, z możliwością wyjścia po siedmiu.

Nie widziałem śladów krwi na podłodze przy głowie ofiary. Obejrzałem jeszcze trzy zdjęcia – zbliżenia głowy pod różnymi kątami. Mario został zastrzelony albo w pozycji siedzącej albo gdy klęczał pochylony, ale na pewno nie wtedy, gdy leżał, dlatego że dywan nie był *spryskany* krwią. Ślady krwi na dywanie świadczyły o wycieku *post mortem*.

Zajęty analizowaniem zdjęć słyszałem rozmowę Wołczeka i Arturasa w sąsiednim pokoju.

Ściany mieszkania ofiary były w kolorze kremowym – w oczy rzucały się rozpryski krwi. Bliższe oględziny fotografii ujawniły czerwone plamy na środku ściany, bezpośrednio za ciałem Mario. W środku jednej z plam widniał mały otwór pochodzący od kuli wbitej w ścianę; kilka centymetrów nad tym otworem widać było gwóźdź, na którym wisiał jakiś obrazek. Byłem całkowicie pewien, że Mały Benny, oddając śmiertelny strzał, siedział przy małym stoliku, który stał dokładnie przed ciałem Mario, a obrotowy fotel nie był zbyt oddalony. Zanim Mały Benny strzelił, siedział ze swoją ofiarą przy stoliku.

Wołczek nie podał powodu tej egzekucji, ale stał się on dla mnie jaśniejszy, gdy spojrzałem na fotografię numer pięćdziesiąt dwa. Stolik pokrywała szklana płyta. Na podłodze zobaczyłem połamaną ramkę. Zdjęcie w zbliżeniu ukazywało czarno-białą fotografię przystojnego mężczyzny z małym dzieckiem. Wypadła z rozbitej ramki. Ofiara nie mogła się szczycić swym wyglądem. Mario nie golił się od wielu dni i na jego podkoszulku widniały ślady jedzenia. Jego mieszkanie było zaniedbane, ale nawet brudas i niechluj uprzątnąłby z podłogi stłuczone szkło, aby nie poranić stóp. Mario nie miał innych ran poza tą od kuli. Poza strąconą ze ściany ramką i fotografią, żaden mebel nie został uszkodzony; ani jedna szuflada nie była wysunięta, żadnych śladów przeszukiwania i buszowania po mieszkaniu. Przyszło mi na myśl, że

ta oprawiona w ramkę fotografia wisiała na gwoździu, który widziałem nad otworem po kuli powyżej śladów krwi. Ale ani na fotografii, ani na ramce nie było śladów krwi czy kuli. To znaczyło, że Mario przed zastrzeleniem z jakiegoś powodu zdjął fotografię ze ściany.

Rozłożyłem pozostałe fotografie na biurku i moją uwagę przyciągnęły zdjęcia zlewozmywaka. Fotografie dokumentujące morderstwo nie były takie wyraźne, ale to ukazywało czarny osad i papier na dnie zlewu. Ostatnie zdjęcie w tym zestawie pokazywało zbliżenie. Nie był to osad, ale fragmenty jednej lub dwóch fotografii z polaroidu, wyglądające, jakby je podpalamo, a potem ktoś puścił wodę i próbował zmyć to, co jeszcze zostało. Narożnik jednej z fotografii ocalał i mogłem na nim dojrzeć ramię i rękę. I to było właśnie to.

Rozparłem się wygodnie w fotelu, ale szybko się odchyliłem, czując na plecach bombę. Próbowałem zebrać w jedną całość to, co się wydarzyło w tym mieszkaniu. Mario nie został zastrzelony w drzwiach frontowych. Mały Benny wszedł do mieszkania i mogłem sobie wyobrazić, jak zasiada przy stole naprzeciwko ofiary. Dlaczego nie usiadł na kanapie? Dlaczego przy tym stoliku? Mario zdjął oprawioną fotografię ze ściany; otwór po kuli i plamy krwi ułożyły się na ścianie w regularny prostokąt, a oprawiona fotografia pozostawiła na pokrytej brudem i kurzem ścianie jaśniejszy ślad. Ramka zdjęcia leżała na podłodze obok stołu, a stłuczone szkło pokrywało jego blat. Fotografię wyjęto z ramki, a te znajdujące się pod nią próbowano spalić w zlewie. Domyślałem się, że jakaś transakcja poszła źle, Mały Benny zjawił się w mieszkaniu pod pozorem załatwienia sprawy. Dlatego razem usiedli przy stoliku. Mario zdjął z gwoźdźca oprawioną fotografię, potem wyjęli ją, łamiąc ramkę, ponieważ coś było tam ukryte, i wtedy przyszło mi na myśl, że za widocznym na zewnątrz szablonowym zdjęciem mężczyzny z dzieckiem mogły być ukryte te fotografie, które spalono w zlewie.

I to miało sens.

Krótkie oświadczenie funkcjonariuszki policji nazwiskiem Tasketh, która aresztowała Benny'ego, potwierdzało, że policja odebrała od sąsiada telefon o awanturze w mieszkaniu Mario. Samochód patrolowy NYPD stał właśnie niedaleko i policjanci dotarli do mieszkania Mario krótko po strzale. Wyważyli drzwi, znaleźli martwego Mario i Benny'ego siedzącego cierpliwie przy stoliku i broń leżącą na podłodze. Tasketh stwierdziła, że gdy wyważali drzwi frontowe, odezwał się alarm uruchamiany przez czujniki dymu. Zauważyłem, że oświadczenie Tasketh zostało uzgodnione z obroną, zatem nie mogła już zeznawać przed sądem.

Założyłem więc, że Mały Benny został wysłany, aby zabić Mario i zabrać fotografie, jednak został zaskoczony przez policję i pewnie myślał, że uda mu się je zniszczyć. Spalił więc zdjęcia w zlewie. Jednak tego właśnie nie byłem całkiem pewien. Miriam z pewnością musiała się nad tym zastanawiać i pomyślałem, że zapewne doszła do tej samej konkluzji, ale odrzuciła ją jako

motyw, ponieważ brakowało dowodu. Dla mnie było to jedynie przecucie, impuls, który się rodzi gdzieś w trzewiach.

W pierwszej części mojego życia kwestia przetrwania na ulicach zależała od wsłuchiwania się w głos intuicji. Jednak prokurator nie może prezentować sędziom przysięgłym swoich przecuć, czy też tego, co dyktują instynkty. Musi mieć dowód.

W swoim wstępnym wystąpieniu Miriam nie mówiła dużo o motywie zabicia Mario. Prokuratorzy, tak samo jak sędziowie przysięgli, kochają motywy. Jediną przyczyną nieprzedstawiania tego sędziom był fakt, że *nie dysponowała* dostatecznie przekonującym motywem. Gdyby Mały Benny powiedział jej, dlaczego otrzymał rozkaz zabicia Mario – z pewnością byłaby to pierwsza rzecz, jaką Miriam zaprezentowałyby sędziom. Ale ona zamiast tego pozwoliła, żeby sędziowie sami znaleźli motyw. Dla każdego prokuratora była to ważna, choć ryzykowna gra.

Co było na tych spalonych fotografiach?

Dlaczego Mario trzymał je u siebie? Dlaczego został zabity?

Coś się tu nie zgadzało. Jeszcze nie. Jednak ten trop wydawał się znaczący. Morderstwo Mario było iskrą zapalającą całą późniejszą akcję. Mały Benny uruchomił zapłon, miał wykonać wyrok za swojego szefa, a potem siedzieć cicho przez resztę operacji – tylko dlaczego? Czy złamano jakieś reguły lojalności względem kumpla, wora? Coś w motywie działania Małego Benny'ego nie miało sensu.

Czułem się jak ktoś, kto wetknął palce w czarną kałużę; za tym morderstwem kryje się coś więcej – nie miałem pojęcia, co skrywa, i nie wiedziałem, jak głęboka jest ta czarna kałuża.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Zainteresowałem się następną teczką, w której znalazłem różne zeznania i oświadczenia. Jednak brakowało zeznań i oświadczeń Małego Benny'ego. To miało sens. Prokuratorzy muszą tak przesłuchiwać świadków, żeby obrona wiedziała, kiedy i gdzie przesłuchują. A to oznaczałoby ujawnienie miejsca pobytu Małego Benny'ego prawnikom Wołczeka. FBI prawdopodobnie wydało fortunę, trzymając Benny'ego w ukryciu, zatem nie byli chętni do zapraszania każdego mordercy z rosyjskiej mafii, wyznaczając im czas i miejsce spotkania z Bennym. Jeśli nawet Benny nie zostałby wtedy zabity, to mogli być pewni, że potem będą go śledzić. Wszystkie zasady wyrzuca się przez okno, gdy życie świadka jest w niebezpieczeństwie.

Oświadczenie oficera śledczego brzmiało dobrze. Raphael Martinez zapewne był w tym mistrzem. Podał fakty, bez żadnych teorii dotyczących morderstwa – tak jak go uczono w akademii – niczego nie wnioskował na podstawie oględzin miejsca zbrodni i nie upiększał faktów. Tak naprawdę zrobił wszystko, czego go uczono, i przez to stał się bardzo ważnym świadkiem. Tego faceta trudno było przesłuchiwać.

Na chwilę zamknąłem teczkę. Paliły mnie oczy, wyszło w gardle.

– Arturas, chcę się czegoś napić! – zawołałem.

– Za chwilę.

Jeżeli miałem tu pracować i być na nogach całą noc, potrzebowałem czegoś, co by mnie zatrzymywało.

Mój umysł zalała powódź wizerunków Amy, gdy w uszach zabrzmiał mi jej drżący głos i płacz ze strachu. Była mądrą dziewczynką, uczyła się dobrze, lubiła czytać. Gdy była młodsza, matka czytała jej bajki o księżniczkach. W moim zegarku o ósmej wieczór od pierwszego wieczoru rozpoczęcia kuracji odwykowej odzywał się alarm, i ona wiedziała, że ten sam alarm u niej miał nas łączyć uczuciowo. Rozmawialiśmy, a potem czytałem jej rozdział z *Alicji w Krainie Czarów*. Mogła go sama przeczytać, ale powiedziała, że lubi słuchać mojego głosu – a to było takie miłe, takie kojące. Na początku mojej kuracji sam czułem się jak Alicja – to ja błąkałem się w dziwnym świecie, pijąc, aby się z niego wydostać, aby zapomnieć, że jestem prawnikiem, i odmienić to, co się wokół mnie działo. Pod koniec kuracji doszedłem do wniosku, że topienie smutków w butelce niczego nie rozwiązuje. Po zakończeniu odwyku byłem pewien, że nigdy już nie wrócę do prawniczej praktyki. Christine i Amy przyszły mnie odebrać, gdy opuszczałem centrum leczenia uzależnień. Zjedliśmy hamburgery z frytkami w małym lokaliku za rogiem. Czułem się

świetnie. Jak za dawnych czasów. Moja żona zawsze była tam, gdzie i kiedy jej potrzebowałem, nawet wtedy, gdy na mnie nie mogła liczyć. Panowało między nami napięcie, jednak zwykle zmniejszało się ono, gdy była z nami Amy. Moja córka i ja łączyliśmy się psychicznie we wspólnym czytaniu i rozmowach o książkach, chociaż nie uważałem za konieczne informować Christine, jakiego rodzaju książki Amy lubi naprawdę. W moim mieszkaniu miałem małą biblioteczkę. Stożące w niej książki dotyczyły technik zręczności, sztuczek magicznych, pokera i wielu innych, szczególnie dotyczących mojego idola – Harry’ego Houdiniego.

Kiedy Amy drugi raz przyjechała do mnie na noc, wyszedłem do kuchni, żeby przygotować kolację, i po powrocie zastałem Amy czytającą biografię Houdiniego. Christine wszystko wiedziała o mojej przeszłości i nie pozwalała, żeby Amy czytała takie książki; uważała, że mają na nią zły wpływ. Nie powiedziałem Christine o apetycie Amy na Houdiniego. Nie mówiłem jej też, że nauczyłem Amy kilku sztuczek z monetami, aby mogła się pochwalić przed koleżankami. W wieku dziesięciu lat była w tym magicznym okresie swojej młodości, kiedy byłem dla niej najważniejszą mężczyzną w życiu. Mój kolega, sędzia Harry Ford, mówił mi o tym, żeby sprawić mi przyjemność, bowiem za rok, dwa, miałem się zmienić w kogoś bez znaczenia, w tego, kto tylko prowadzi serwis samochodowy.

Czułem, jak mi zaczynają drżeć wargi. Amy miała przed sobą całe życie.

Westchnąłem, przetarłem dłonią twarz i wróciłem do teczek.

Poza policjantką i wszechobecnym Bennym było jeszcze dwóch świadków. Pierwszym była dziewczyna, Nikki Blundell, dwudziestosześcioletnia tancerka z klubu nocnego. Widziała, jak Wołczek bił się z Mario w klubie Sirocco przy East Seventh Street, w wieczór przed jego zabiciem. Miriam wiedziała tak samo dobrze jak ja, że podczas bijatyki w barze nie dokonuje się zabójstwa na zlecenie, ale w każdym razie był to jednak cholernie dobry dowód. Drugim świadkiem był kuzyn ofiary, Tony Geraldo. Nagle przypomniałem sobie – Tony G. pracował dla Jimmy’ego „Kapelusznika” Felliniego, mojego kumpla z czasów chłopięcych. Kariera Jimmy’ego jako boksera amatora zakończyła się, gdy wszedł do rodzinnego interesu – a tym interesem była organizacja przestępcza. Tony’ego G. spotkałem przed laty u Jimmy’ego. Pracował dla niego jako kasjer; chociaż nie mogłem sobie przypomnieć, jak Tony dokładnie wyglądał, jednak gdybym tylko spojrzął na jego buty, wiedziałbym, że to ten sam facet. Tacy kasjerzy spędzali dużo czasu w samochodzie. Często musieli długo tkwić w jednym miejscu; wiele czasu zajmowało im zbieranie, pilnowanie i czekanie na pieniądze. Zatrudniani jako osoby szczególnego zaufania zwykle mieli już swoje lata. Po spędzeniu tygodnia w aucie, potem paru dni na zbieraniu i jeszcze dnia na pobiciu kogoś prawie na śmierć, ci faceci nie dbali już o swój wygląd. Z wyjątkiem jednej ważnej rzeczy – nosili kosztowne, miękkie, lekkie buty w starym stylu, takie jak ich dziadkowie. Nie dla nich jakieś tam modne

włoskie obuwie; dostaliby potwornego bólu jeszcze przed pierwszym wypadem. Osiemdziesięciolatekowie i poważni ludzie mafii, prowadząc swoje interesy, preferowali wygodne buty produkcji amerykańskiej.

Zeznanie Tony'ego skupiało się na jego kuzynie i niechęci do Wołczeka. Zaczął od wczesnej młodości Mario, potem opowiedział o wyjściu z federalnego więzienia, gdy odwrócił nową kartę swego życia i rozpoczął ciągnący się długo okres nieporozumień z Wołczkiem w sprawie długu. Następnie Tony wspomniał o kłótni z Wołczkiem w klubie nocnym. Mogła to być ta sama kłótnia i bijatyka, której świadkiem była Nikki Blundell. Zeznanie Tony'ego nie było korzystne dla Wołczeka. Pomagało ustalić motyw. Określało też chronologię popełnienia morderstwa i potwierdzało zeznanie Nikki Blundell. Niedobrze.

Powtórnie przejrzałem listę świadków.

Ten Martinez to największy problem, ale jego zeznanie nie było specjalnie kontrowersyjne.

Policjantka, która aresztowała Małego Benny'ego na miejscu zbrodni, nie zeznawała, bowiem nie miałyby nic do powiedzenia w sprawie winy Wołczeka.

Dziewczyna z nocnego klubu – to mogło być interesujące.

Członek rodziny, Tony G. – to kłopot. Miriam prawdopodobnie widziała w Tony'm Geraldo swojego asa. Coś, czego ja jeszcze nie dostrzegałem.

No i ten ostatni świadek – gwiazda świadków. Świadek X. Taki pseudonim służący tylko dla ukrycia tożsamości przed prasą. Wołczek znał jego tożsamość – tak pewnie jak znał swoją twarz – tożsamość człowieka, który go zdradził.

Tony Geraldo i Mały Benny pogrążali Wołczeka. Obaj siali spustoszenie. Czułem pewność, że mam dość problemów z oskarżeniem, wystarczająco dużo, aby zająć Wołczeka, żeby się nie martwił o mnie.

Jeżeli Tony G. był Tonym Geraldo, to znalazłem środek nacisku.

Obróciłem się nieco w krześle. Arturas i Wołczek nadal szeptali. Poruszyłem się znowu. Wołczek spojrzał na mnie. Zamknął drzwi łączące nasze pokoje. Potrzebował więcej prywatności i nie chciał, żebym wiedział, o czym rozmawiają. Nie mogłem ich słyszeć, ale zobaczyli mnie słuchającego, dlatego zamknął drzwi. Zatem będę ich obserwował z ukrycia.

Pod klamką starych, płycinowych dębowych drzwi zobaczyłem dziurkę od klucza.

Spojrzałem przez nią, jednak w zamku tkwił klucz. Klucz zawsze zawęży pole widzenia. Słyszałem, jak Wołczek coś mówi do Wiktora. Potem zobaczyłem, jak odwraca się, obejmuje Arturasa i wychodzi. Arturas siada i zaczyna rozmawiać z Wiktorem po rosyjsku. Teraz to ja miałem pewną prywatność. Ukląknę, czując, jak przytłacza mnie bomba na plecach. Omal już zapomniałem o tym cholernym garbie.

Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem portfel wyłuskany z kieszeni tego osiłka,

który mnie rąbnął w limuzynie. W skórzanej przegródce znalazłem sześćset dolarów w studolarowych banknotach oraz dwa pliki banknotów spięte mosiężnymi spinaczami – każdy po tysiąc dolarów, znowu w studolarowych nominałach. Wśród kart kredytowych na nazwisko „Gregor Oblowskon” znalazłem coś, co wywołało w moim umyśle lawinę pytań: była to wizytówka z nabazgranym z tyłu numerem telefonu. Numer zapisano niebieskim atramentem. Był to numer komórki. Nie mogłem znaleźć na wizytówce nazwiska, ale to co było na niej wydrukowane wystarczająco mnie zaniepokoiło. Na wizytówce widniał adres: „Federal Plaza 26, 23-cie piętro, Nowy Jork” – który był mi dobrze znany. To na Broadwayu, południowa Canal Street, północny City Hall – miejsce, gdzie znajdowała się siedziba Federalnego Biura Śledczego.

Teraz już wiedziałem, że nikomu nie mogę ufać, żadnemu gliniarzowi, a już szczególnie federalnym.

W moim zegarku odezwał się sygnał alarmu – godzina 20.00. W zegarku Amy też odezwał się taki sygnał. To nasza godzina. Nie mogłem przestać o niej myśleć. Byłem napięty i zły. Omal nie oszalałem z bezsilności, wiedząc, że nie mogę pomóc córce.

Dopiero za godzinę Harry zacznie pełnić swoje sądowe obowiązki.

Istniał tylko jeden sposób dostania się do jego gabinetu bez wiedzy Rosjan, ale myśl o tym przerażała mnie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Słyszając kroki pod drzwiami szybko, schowałem portfel do kieszeni, usiadłem na krześle, chwyciłem teczkę z aktami i pochyliłem nad nią głowę.

Otworzyły się drzwi i obok mnie stanął Arturas. Rzucił butelkę wody w róg pokoju.

– Oleg poszedł na noc do domu, więc zostanę tu z tobą. Wiktor i ja musimy trochę odpocząć. Ty też się prześpij. Jeżeli spróbujesz uciec...

– Dokąd miałbym pójść? – zapytałem. – Czy przynajmniej mogę zdjąć bombę?

– Nie. Mimo to spróbuj się przespać. Zajrzę tu do ciebie o świcie.

– Bardzo proszę. – Wstałem i rzucając mu błagalne spojrzenie, chwyciłem go za prawe przedramię. Zaczął się wyrywać, więc szybko się odwróciłem i cofając się, przerzuciłem go przez lewe biodro. Kiedy padał na podłogę, prawą ręką szybko sięgnąłem do kieszeni jego płaszcza – i to była druga kradzież kieszonkowa tego dnia. Wylądował na tyłku z przekleństwem. Podkurczając pięty, podskoczył i rzucił się na mnie. Przytrzymałem go za przegub i odepchnąłem.

– Jezu, och, przepraszam, człowieku! To był przypadek – rzuciłem, wyciągając ręce w geście obronnym.

Trzymałem dłonie skierowane ku Arturasowi z rozczapierzonymi palcami, kryjąc zdobycz w zagięciu prawego nadgarstka, między grzbietem ręki i przedramieniem. Taka sztuczka – ćwiczyłem ją przez wiele lat. W zagięciu przegubu ręki mogłem, rozgrywając partię pokera, ukryć srebrnego dolara. Udawałem przestraszonego – ale w rzeczywistości cały byłem niemal sparaliżowany ze złości. Chociaż trochę przesadziłem, Arturas dał się nabrać. Uśmiechnął się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Z drugiego pokoju dobiegł mnie głośny śmiech Wiktora.

– Kiciuś – powiedział Wiktor ironicznie.

Słyszałem, jak przekręca klucz w zamku. Zaczekałem kilka sekund, wyciągnąłem przegub ręki do sufitu i pozwoliłem wysunąć się małemu, czarnemu urządzeniu. Chwyciłem detonator prawą ręką, zastanawiając się, ile czasu zajmie Arturasowi odkrycie, że zniknął. Ten detonator był mi potrzebny. Nie chciałem, żeby go włączył po otwarciu drzwi i przekonaniu się, że nie ma mnie w pokoju. Musiałem się zobaczyć z Harrym, ale musiałem też zabrać ze sobą bombę. Jeśli ktoś wiedział, jak ją unieszkodliwić, to tylko sędzia Sądu Najwyższego i były kapitan Armii Stanów Zjednoczonych, Harry Ford.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Przed zrobieniem czegokolwiek musiałem mieć pewność, że moja niańka nie zajrzy do mnie w najbliższym czasie. Wołczeka już nie było i po jego wyjściu usłyszałem szepty, potem otworzyły się drzwi do holu i doszły mnie odgłosy kroków zmierzających do windy. Drzwi zamknęły się, usłyszałem brzęk kluczy w zamku i przez dziurkę od klucza zobaczyłem leżącego na kanapie z zamkniętymi oczami Wiktora. Arturas właśnie wyszedł.

Wiktor został sam.

Obserwowałem Wiktora ponad godzinę. Słyszałem, jak ciężko oddycha, leżąc z rękoma splecionymi na brzuchu. Mój pokój poza małą lampką rozjaśniały światła padające z ulicznych billboardów. Czerwień, błękit i biel tańczyły rytmicznie, tworząc jakieś dziwne kształty na ścianach, wlewając się i wylewając z pokoju co kilka sekund.

Wydawało mi się, że słyszę, jak Wiktor chrapie, teraz głośniejsze niż przedtem.

Obracając wizytówkę FBI w palcach, myślałem o mojej rozmowie z Wołczkiem tego ranka w limuzynie.

Benny jest dobrze strzeżony i dobrze ukryty. Nie mogły go znaleźć nawet moje wtyki.

No tak, określenie „moje wtyki” teraz nabierało sensu.

Wołczek miał jakiegoś skundlonego agenta FBI w kieszeni. I kimkolwiek był ten agent, nie mógł zlokalizować Benny’ego. Nie mogłem nikomu ufać. Jeżeli gang mógł kupić agenta federalnego, mógł też kupić stu nowojorskich gliniarzy. Znowu zaglądając przez dziurkę od klucza, upewniłem się, że Wiktor nadal śpi na kanapie. Nie sądziłem, żeby Arturas miał tej nocy wrócić; powiedział, że zajrzy do mnie rano. Włożyłem płaszcz.

Była 21.10.

Czas ruszać na wycieczkę.

Cicho podszedłem do okna. Szyba zaszła mgłą od mojego oddechu, gdy odsuwałem zasuwki blokujące ramę u dołu. Chwyciłem okno, pochyliłem się i pociągnąłem w górę.

Nie drgnęło.

Nawet na milimetr.

Sprawdziłem, czy inne zasuwki i zatrzaski są otwarte, i spróbowałem znowu. Okno nie drgnęło. Nie pomagało mi słabe światło, więc zacząłem wodzić wokół ramy czubkami palców, jednak nie wyczułem styku ramy z futryną. Zapewne mniej więcej dwadzieścia lat temu pomalowano zamknięte okno i od tego czasu nikt go nie otwierał. Klepiąc się po

kieszeniach, miałem nadzieję usłyszeć metaliczny dźwięk moich kluczy, ale nic takiego się nie stało. Chciałem użyć ostrego końca klucza, aby przeciąć lakier. Sprawdzając kieszenie, stwierdziłem, że klucze zniknęły. W tym momencie nie miałem pojęcia, czy je zgubiłem, czy też zabrał je Arturas, jednak nie miałem czasu, żeby się nad tym dłużej zastanawiać. Wyjąłem więc pióro i końcówką przeciągnąłem wzdłuż linii styku ramy okna z futryną. Kiedy przesuwalem nim po lakierowanej ramie, twarda kulka ryła rowek, tworząc opadające na parapet serpentyny.

Wspiąłem się na ten szeroki parapet i usiłowałem podciągnąć okno. Nie obyło się bez hałasu, ale nic na to nie mogłem poradzić. Rozdzierana farba wydawała trzaski i chrzęsty, a potem rama zaskrzypiała i oddzieliła się od futryny, wpuszczając do pokoju kakofonię, na którą składały się odgłosy ruchu ulicznego, muzyki i cały szum Nowego Jorku. Przestało padać. Zaczynały się nocne rozprawy i widziałem rząd taksówek zajeżdżających przed budynek i zatrzymujących się przed wejściem frontowym. W poniedziałkowe wieczory jest niewielki ruch, ale wokół gmachu sądu nigdy nie ustaje. Każdy, kto do dwudziestej pierwszej traci prawo do kaucji, musi się tu zameldować.

Przymknąłem okno, aby stłumić hałas. Nie chciałem zbudzić Wiktora. Przykucnąłem na piętach i precyzyjnie się przez okno na gzyms, przyciskając głowę do piersi. Kiedy moja głowa była już na zewnątrz, bezwiednie zamknąłem oczy, ale zaraz zmusiłem się do ich otwarcia, czego natychmiast pożałowałem. Klęczałem na gzymsie szerokości kilkudziesięciu centymetrów, dziewiętnaście piętér nad ulicą. Poraził mnie zastarzały smród pleśni i ptasich odchodów zgromadzonych na kamiennym gzymsie. Było ślisko. Po mojej prawej stronie – ślepa uliczka, brak przejścia, odsłonięta kabina windy. Pozostała tylko lewa strona. Musiałem się dostać piętro niżej, do właściwego okna, mając nadzieję, że Harry nie zmienił swoich zwyczajów.

Znowu zamknąłem oczy i zacząłem z pamięci odtwarzać plan budynku, próbując nanieść na niego trasę prowadzącą tam z zewnątrz. Budynek sądu stał samotnie – otoczony od południa i zachodu małym parkiem. Znajdowałem się teraz na wschodniej ścianie. Poniżej leżała Little Portland Street, łącząca się z Chambers Street i frontowym wejściem po północnej stronie budynku. Gabinet Harry'ego znajdował się we wschodniej części, jednak nie na tym piętrze. Ale nie to było największym problemem. Na tej elewacji budynku było coś, co blokowało mi drogę, coś, co prawdopodobnie miało wysokość dziesięciu metrów. Przeszkoda ta swoim szczytem sięgała mojego poziomu. Głowa, ramiona, miecz – trudno to będzie obejść, lecz nie jest niemożliwe.

Przed osiągnięciem celu mojej wyprawy będę musiał zejść poniżej szarej damy.

Powoli obiema rękoma chwyciłem ceglany łuk wnęki okna i podciągnąłem się do pozycji stojącej. W podobnych sytuacjach zawsze doświadczałem dziwnego uczucia związanego z wysokością – i nie było ważne, czy byłem

dziesięć, czy dwadzieścia metrów nad ziemią – zawsze czułem się gorzej wtedy, gdy głową sięgałem sufitu. Jeżeli na przykład stałem na balkonie położonym zaledwie trzy metry nad ziemią i mogłem widzieć nad głową sufit, zaczynałem świrować. To mi ograniczało perspektywę – ale jeśli miałem nad głową rozpościerające się w nieskończoność niebo – wszystko było okej! Nigdy nie rozumiałem, dlaczego tak się działo.

Kiedy stałem pod łukiem wnęki okiennej, moja głowa znajdowała się kilka centymetrów od jej granitowego sklepienia. Czułem się tak, jakbym za chwilę miał stracić równowagę. Całym ciałem przyłgnałem do ściany, drapiąc ją paznokciami i starając się wbić je między cegły. Walczyłem o wyrównanie oddechu. Przeszywające zimno nie pomagało i wiatr owiewał wokół mnie poły płaszcza. Z ulicy biły we mnie dźwięki klaksonów, zalewał szum motorów, pisk hamulców autobusów i trzaskanie drzwi aut – uświadamiając mi, że tam, w dole, dziewiętnaście pięter pode mną, ciągle toczy się życie, a ja, będąc tak blisko, a zarazem tak daleko, nie jestem tu bezpieczny.

Uspokoilem rozstrojone nerwy serią szybkich, głębokich oddechów i postąpiłem krok do przodu. Wtedy usłyszałem w myślach krzyk: *Co ty, u diabła, robisz?!* Nie zwracałem na to uwagi. Ciągle miałem przed oczami Amy; jej włosy, które przytrzymałem, gdy zdmuchiwała wszystkie świece urodzinowe w dniu, w którym kupiliśmy sobie identyczne zegarki.

Gzyms zwiężał się za okienną wnęką. Teraz być może miał szerokość około pół metra. Wpatrywałem się ze zdumieniem w moją prawą stopę, jak miarowo przesuwiała się do przodu, gotowa na przyłączenie się do niej stopy lewej. Wysunąłem lewą stopę do przodu, palcami zwalniając kurczowy uchwyt cegieł ściany.

Po dziesięciu minutach stałem w odległości półtora metra od posągu Iustitii albo Temidy. Była to dobrze znana dama. Większość ludzi potrafi ją rozpoznać. Kobieta z przepaską na oczach, w todze, z mieczem w jednej ręce i wagą w drugiej. Obie ręce rozpostarte, ważą łaskę i karę. Przepaska na oczach symbolizuje jej obojętność, jej brak względu na rasę, kolor skóry lub wyznanie.

No i dobrze.

Ta dama, znana jako Iustitia – to rzymska bogini sprawiedliwości, w starożytnej Grecji nazywana Temidą – nie zawsze przedstawiana jest jako ślepa. Na przykład postać stojąca na szczycie budynku Old Bailey w Londynie nie nosi przepaski. Niektórzy uczeni twierdzą, że ta przepaska jest zbyteczna, bowiem figura jest rodzaju żeńskiego i dlatego musi być bezstronna. Ci mądrze oczywiście nigdy nie stawali w sądzie przed sędzią Pike.

Znowu przesunąłem stopy do przodu, ale tym razem prawie niezauważalnie. To było męcząco powolne.

Zmarszczyłem brwi, czułem rosnącą temperaturę w głowie i piersiach. „Witaj, gniewie, witaj, adrenalino!” To pozwoliło mi przesunąć się jeszcze o dwie stopy. Wyciągnąłem rękę, żeby chwycić rękojeść miecza. Jednak nie

mogłem jej dosięgnąć. Nie mogłem się też dalej posunąć do przodu – bowiem w tym miejscu kończył się gzyms. Wszystko we mnie krzychało: „Trzymaj się ściany!”, a ja nie mogłem dosięgnąć miecza... dla Amy. Cały ciężar ciała przenieśliem na prawą nogę, dla równowagi unosząc drugą stopę.

Usłyszałem pod sobą tępy, głuchy łomot i trzask. Przykucnąłem i skoczyłem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Prawą ręką chwyciłem miecz, lewą objąłem ramię figury, zaś stopy oparłem na granitowej fałdzie togi, starając się znaleźć dogodne oparcie.

– W porządku... – powtarzałem – ...wszystko okej!

Czułem, jak trzęsą mi się ręce, i zerkając nad barkiem figury, widziałem na niższym piętrze, za plecami posągu, szeroką wnękę. Mogłem spróbować przejść za rękami damy i ześliznąć się tam. Znalazłszy solidne oparcie dla stóp, sprawdziłem uchwyt lewej ręki, gotów przenieść na nią cały ciężar ciała. Wbrew wszystkim moim instyngtom pozwoliłem, żeby moje ciało przechyliło się, zanim nogi znalazły się pod ramieniem posągu, ale zaledwie stopami zmacałem twarde oparcie, puściłem uchwyt.

Wylądowałem na gzymsie wnęki osiemnastego piętra. Powitał mnie dziki łomot skrzydeł i skrzeczenie rozgniewanych ptaków. Chwyciłem posąg, zbliżając twarz do granitu, gdy miejskie wrony oprotowały moje wtargnięcie do ich domu.

Zwykle nie przeszkadza mi nagły napływ adrenaliny. Przywykłem do tego. Kiedy stoisz w sali przed setkami ludzi, a oczy wszystkich są na ciebie zwrócone, wtedy czujesz potężny zastrzyk adrenaliny. Jeśli tego nie czujesz, nie jesteś normalny. Wszystko spowolnione. Sekundy rozciągnięte w trzyminutowy koszmar, gdy ten sok przepływa przez twoje żyły. I tak właśnie było teraz – moment spowolnienia akcji dający czas na podjęcie walki, albo ucieczki. Przyspieszenie reakcji i kompletne zniekształcenie poczucia czasu i przestrzeni. Każdy zmysł w najwyższej gotowości, każda reakcja tak ostra jak brzytwa.

Przerzuciłem cały mój organizm na niższy bieg, pozwoliłem mu ochłonąć i obejrzałem dalszą drogę. Gzyms, z którego skoczyłem, zniknął niemal w całości. Cegły załamały się i runęły na ulicę. Spojrzałem w dół, na ulicy nie było widać, żeby ktoś leżał i nikt nie gapił się w górę – na mnie. Cegły musiały spaść na chodnik. Ale nikomu nic się nie stało. To na szczęście był przecież Nowy Jork, a prawdziwi nowojorczyacy nigdy nie patrzą w górę. Przyłgnałem do zimnej elewacji i spojrzałem w górę, na plecy damy. Tej, która stanowiła część gry. Często pyta się obrońców, jak mogą kogoś reprezentować, wiedząc, że jest winny popełnionego czynu. Mnie takie pytanie zadawano często i zawsze dawałem taką samą odpowiedź – my się o to nie pytamy. W rzeczywistości działamy tak jak Armia Stanów Zjednoczonych działała przez wiele lat w relacji z personelem gejowskim – nie pytaj, nie mów. Nigdy nie reprezentowałem kogoś, wiedząc, że jest winny,

ponieważ nigdy nie pytałem żadnego klienta, czy jest winny. Nie pytałem dlatego, że zawsze istniała ta straszna możliwość, iż mogą mi powiedzieć prawdę. A na prawdę nie ma miejsca w sali sądowej. Tu ważne jest tylko to, co oskarżenie może udowodnić. Jeżeli trafiam na klientów oskarżonych o przestępstwa kryminalne, informuję ich o tym, co policja albo prokurator myślą na ten temat i w jaki sposób chcą im udowodnić winę, a resztę pozostawiam im do przemyślenia. To może ich skłonić do własnego, małego przedstawienia i gdyby zdecydowali się przyznać policji rację, to oznaczałoby, że się przyznają do winy, że dali się złapać i z pokorą przyjmują karę. Ale jeżeli zechcą potańczyć – zawsze będą mi wmawiać, iż są niewinni. Jednak każdy rozumie, że jeśli powie mi, iż jest winny, i zechce walczyć, wtedy ja dłużej nie będę ich reprezentował. Na tym polega ta gra.

Nie pytaj, nie mów.

Jedenaście miesięcy temu przekonałem się, że ta gra może kosztować czyjeś życie, i postanowiłem już nigdy w nią nie grać.

Znowu udało mi się opanować żywsze bicie serca i spojrzałem na moją dalszą drogę – na gzyms, tak samo wąski, jak zdradliwy.

Ciągle docierały do mnie dźwięki miasta i w tym momencie usłyszałem znajomy dźwięk. Zerknąłem w dół, na ulicę, i zobaczyłem kilka szybko jadących aut. Nie widziałem zbyt wielu ludzi. Zbliżyłem się do gzymsu i niepewnie sprawdziłem stopą, naciskając coraz mocniej, aż w końcu upewniłem się, że mam bezpieczne oparcie. Wszedłem na gzyms i znowu to usłyszałem – perkusja, głos; znałem to jak własne imię. To Rolling Stones – piosenka *Satisfaction*. Dochodziło gdzieś z daleka, stłumione, ale wyraźne.

Znałem tę piosenkę, ten zespół i wiedziałem, kto ją tu odtwarza. Dźwięki muzyki sprawiły, że poczułem się tak, jakby ktoś dał mi zastrzyk nowych sił. Rozpaczliwie tego potrzebowałem i uczepiony ściany budynku, posuwałem się coraz dalej i dalej. Gitara Keitha Richardsa brzmiała coraz wyraźniej. Po chwili ujrzałem światło w oknie. Może dwa metry przede mną.

Przyspieszyłem.

Dotarłem do okna, przykucnąłem i próbowałem je podnieść. Zamknięte na zatrask. Za oknem widziałem niemal przytulny pokój. Moją piosenkę wyśpiewywał gramofon stojący w kącie pokoju. Lampka nad biurkiem wysyłała ciepły słup światła, prześwietlając stojącą obok butelkę whiskey, która z kolei rzucała złote pobłyski na deski podłogi. Przy biurku siedział z brodą zwieszoną na piersi starszy, czarny mężczyzna w czerwonym pulowerze; był albo pijany, albo spał, a może jedno i drugie. Jego siwe włosy stały na baczność, jakby próbując, niczym anteny, wychwycić z muzyki linię basów, zanim magicznie dostąpi zaszczytu przedostania się do świadomości słuchającego.

Zapukałem w okno.

Nic.

Znowu, głośniej.

Najwyraźniej podpity spał.

Zapukałem po raz trzeci, omal nie wypychając okna do środka i Wielce Szanowny Sędzia Sądu Najwyższego Harry Ford ocknął się, rozejrzał nerwowo po pokoju, a potem opuścił głowę i znowu zachrapał.

Jeszcze raz zastukałem w okno i tym razem zorientowałem się, skąd dochodzi hałas. Spojrzał prosto w moim kierunku, otworzył usta, usłyszałem stłumiony okrzyk i zanim zdecydował się wstać, zwałił się z fotela na podłogę. Wstał wściekły, z twarzą wykrzywioną dziką furią. Pewnie pomyślał, że zjawiam się tu po jakimś pijackim wypadzie. Otworzył okno.

– Mam cholerną ochotę wezwać policję, albo wywalić cię z tego pieprzonego budynku, ty pomylony sukinsynie.

Szybko się opanowałem – musiałem z nim spokojnie porozmawiać. Ku mojemu zadowoleniu całe jego zamroczenie alkoholowe minęło, tymczasem ja znów poczułem wagę mojego kłopotliwego położenia... oraz materiału wybuchowego, który dźwigałem na plecach.

– Harry, mam kłopoty. Poważne kłopoty. Oni mają Amy.

– Kto ma Amy?

– Rosyjska mafia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Zamknąłem okno, aby nie wpuszczać zimnego powietrza. Harry przesunął igłę gramofonu, przerywając nagle strumień dźwięków utworu Micka. Odwracając się od okna, spojrzałem na Harry'ego, ciągle czując przyływ adrenaliny. Jego gniew zdawał się maleć i teraz patrzył na mnie ze współczuciem i troską.

– Musimy się napić... – powiedzieliśmy to niemal jednocześnie.

Nalał mi na trzy palce do brudnej szklanki i podał. Tak, to była ta moja dawna szklanka, której nie używałem od ostatniej tu bytności w wieczór poprzedzający dzień, w którym udałem się na odwyk. Wypity alkohol wlał we mnie kojące ciepło, a tego właśnie bardzo potrzebowałem. Nie był to powrót do nałogu, ale służył uspokojeniu całego organizmu. Harry odnalazł swoją szklankę pod fotelem. Nalał sobie potężną dawkę i łyknął, trzymając szklankę w obu rękach, potem przekręcił swój stary fotel obrotowy i usiadł z westchnieniem.

– Co się, u diabła, dzieje, Eddie?

Po wstępnym łyku bourbona wyłożyłem mu wszystko. Wszystko, co się wydarzyło tego dnia od chwili, gdy Arturas wbił mi w łazience knajpy Teda lufę rewolweru w kręgosłup.

Harry tylko słuchał. Nie przerywał; dobrze wiedział, co jest grane.

– Zaczekaj, aż wszystko opowiem – potem skomentuj.

Kiedy skończyłem, spojrzał na mnie jak na idiotę.

– Ale co, na Boga, tu robisz? Dzwonię po policję.

Chwycił telefon i nacisnął dziewiątkę. Przerwałem mu połączenie.

– Nie mogę zawiadomiać policji. Ci Rosjanie przekupili federalnego, co znaczy, że jest cholernie pewne, iż mają też w kieszeni kupę gliniarzy. Gdybym tam zadzwonił, nie byłbym pewny, czy rozmawiam z właściwym człowiekiem.

– Ja mam takiego gliniarza – połączę się z Philem Jeffersonem.

– My tu mówimy o życiu mojej córki, Harry. Nie będę ryzykował nawet z najuczciwszym gliniarzem. Nic mnie nie obchodzi, kto go zna... nawet ty. Ten system nie działa – i ty dobrze o tym wiesz. Ja nie mam dowodu, tylko to, że noszę na plecach bombę; jeżeli nawet znajdę uczciwego gliniarza, to i tak będzie musiał aresztować mnie zamiast Rosjan. I nawet jeżeli policja albo FBI mi uwierzy, w co wątpię, to Wołczek potrzebuje tylko kilku minut, żeby zatelefonować i moja córka umrze. Jednego się dziś nauczyłem: nie powinienem ignorować moich instynktów. Instynktowne odczucia

podpowiedziały mi, że mam sobie radzić sam – przynajmniej na razie.

Harry odłożył telefon. Rozejrzał się po pokoju i zauważyłem, jak napina mu się skóra na twarzy, jak pierś unosi się i opada coraz szybciej.

– Z Amy wszystko okej?

– Wmówili jej, że są ochroniarzami i pracują dla mnie. Że otrzymałem wiadomość o śmiertelnym zagrożeniu i że muszę być ostrożny. Myślę, że na początku to kupiła. Ale, gdy z nią rozmawiałem przez telefon, byłem całkiem pewny, że już nie wierzy w tę bajkę. Ona już wie, Harry. Wie, że została porwana. Muszę ją stamtąd wyciągnąć.

Harry osuszył swoją szklankę i skrzywił się. Drewniane nogi jego starego fotela obrotowego zatrzeszczały, gdy sięgał po butelkę.

– A co z Christine? – zapytał.

– Ona jest przekonana, że Amy jest na Long Island na trzydniowej wycieczce. Myślę, że to ona o niczym nie wie. Ale znam Christine. Nie chcę jej w to mieszać, wzywając policję. Nie chcę jej o niczym informować.

– Musisz wezwać policję.

– Jeżeli to zrobię, oni zabiją Amy. Już ci mówiłem, nie mogę zawiadomić policji; oni kupili federalnego. Jeżeli mogli to zrobić, to mogą sobie kupić całą dzielnicę.

– Skąd wiesz, że wciągnęli federalnego na listę płac?

– Znalazłem w jednym z ich portfeli wizytówkę. Ten portfel zwędziłem jednemu z nich w limuzynie. To wizytówka FBI. Wygląda na prawdziwą. Na odwrocie wypisano numer telefonu.

– Ukradłeś portfel?

– Nie mów, że jesteś zaskoczony. Przecież wiesz, kim byłem i skąd się wywodzę.

– Dziwi mnie, że jeszcze się od tego nie uwolniłeś.

Pochylił głowę i westchnął. Pewnie miał rację; nie uwolniłem się i nie wyzbyłem starych nawyków. Ciągle byłem tym dawnym kanciarzem, ale zamiast nabierać towarzystwa ubezpieczeniowe, teraz oszukiwałem ławę przysięgłych.

Wziąłem następny łyk bourbona i przeciągnąłem się. Manewry na gzymsie sprawiły, że miałem powtarzające się skurcze mięśni w okolicy karku i górnej części kręgosłupa. Alkohol mógł pomóc – ale tylko na chwilę.

– Jest tam jakieś nazwisko na wizytówce? – zapytał sędzia Ford. – Może należeć też do jakiegoś rosyjskiego świra. A może dostał tę wizytówkę, żeby mieć kontakt z FBI.

– Nie. Ten facet nie wygląda mi na zwykłego świra – to gangster, najpodlejszy sukinsyn, jakiego widziałem. Chwycił i podniósł mnie jak lalkę. Nie, to nie miałoby sensu, żeby miał taką wizytówkę, gdyby był kapusiem. Nie nosiłby tak otwarcie przy sobie tego rodzaju wizytówki. Chyba że jest najgłupszym informatorem na tej planecie, który obnosi się wszędzie z wizytówką z numerem kontaktowym z FBI. Nie rozumiem tego. Nie krył

się z tym. Ten numer na wizytówce jest numerem do kogoś tam pracującego. Zapewne zatrudnionego w FBI. Inaczej nie potrafię sobie wytłumaczyć, jak znalazł się na wizytówce, ale jestem otwarty na wszelkie propozycje.

Harry nie wysunął żadnej.

– Chciałbym, żebyś obejrzał to urządzenie i zobaczył, czy możesz rozbroić bombę.

– Od bardzo dawna nie miałem do czynienia z czymś takim, Eddie – odparł.

Gdy mówił, pomyślałem, że widzę na jego twarzy coś w rodzaju smutku. Zasnuł ją jakiś cień, ale może to była tylko gra świateł. Harry był jednym z pierwszych Afroamerykanów w Wietnamie i tam doszedł do rangi kapitana. Dowodził oddziałem tunelowych szczurów, facetami, którzy w ciemnościach, pod ziemią walczyli z Wietkongiem. Był tam trzy razy, ale nigdy nie opowiadał, czego tam doświadczył, i chociaż dosłużył się całego pęku medali, żadnego nigdy nikomu nie pokazał. Taki był Harry.

Zdjąłem kamizelkę, położyłem na biurku Harry'ego. Nie miałem zielonego pojęcia o materiałach wybuchowych.

Harry podszedł ostrożnie do bomby, z rękoma wspartymi na biodrach. Pochylił się. Przez chwilę myślałem, że chce się bliżej przyjrzeć, ale zauważyłem, że ją obwąchuje.

– To jest C4. Kiedy zostanie zamknięty obwód, detonator inicjuje eksplozję – oświadczył.

– Wiesz to wszystko po zapachu?

– Nie bądź głupi, po zapachu wiem, że to C4. Powąchaj.

Plastik wybuchowy wydzieliał zapach, ale w pierwszej chwili nie wiedziałem, co mi przypomina.

– Benzyna? – spytałem.

– Blisko. Olej silnikowy. C4 to materiał wybuchowy wykonany z wielu różnych chemikaliów. W trakcie produkcji z jakichś powodów dodają też olej silnikowy. Dlatego tak bardzo był przydatny w Wietnamie. Mieliliśmy tam tego bardzo dużo. Do blokowania tuneli Wietkongu. Ale przeważnie używaliśmy C4 jako podpałki do gotowania racji żywnościowych.

– Do gotowania?

– Tak. Śmierdzi, ale pali się doskonale w deszczu. Nawet czując smród, lepiej jeść ciepłe niż zimne. No widzisz, żeby wykurzyć z nor tych frajerów, i tak nie musieliśmy zużywać wiele tego C4, więc mieliśmy dużo do palenia, a bez działania detonatora możesz to tłuc młotkiem, palić i jest bezpieczny jak zabawka. Te cylinderki – przypominające jednopensówki – to właśnie detonatory. Jednak tu mamy bardziej zawiły obwód. Boję się nawet zacząć majstrować przy tym, to jak mina-pułapka. Mówiłeś, że podwędziłeś mu detonator?

– Tak. – Wyjąłem go z kieszeni i położyłem na fotelu Harry'ego.

– Najprościej będzie wyjąć z niego baterie. Mam tu gdzieś śrubokręt...

Harry przez chwilę grzebał w kartonowych pudłach i przeszukiwał regał na

książki. Wrócił z zestawem śrubokrętów. Ten zdalnie sterowany detonator przypominał zwykłego pilota uruchamiającego drzwi garażowe, albo otwierającego samochód. Miał około pięciu centymetrów długości, ze dwa szerokości i około centymetra grubości. Na wierzchu widniały dwa przyciski. Po drugiej stronie były trzy śrubki łączące obie połówki pilota. Wybrałem najmniejszy śrubokręt i spróbowałem, czy pasuje do wycięcia w główce śrubki. Nie pasował. Był za gruby.

Harry zaczął otwierać i zamykać szuflady, mrużąc coś, trzaskał drzwiczkami kredensu. Po chwili wrócił ze skrzynką przecinaków. Ostrze jednego z nich pasowało do wycięcia w łebku śrubki. Musiałem uważać, żeby ostrze mi się nie wysmyknęło, byłbym wtedy trupem.

Trzymając pilota w lewej ręce, na tyle ostrożnie, żeby nie dotknąć przycisków, zacząłem powoli, delikatnie odkręcać pierwszą śrubkę. Moje oczy z trudnością przystosowywały się do panującego w pokoju mroku pomieszanego z rażącym blaskiem padającym z lampki nad biurkiem. Harry zaglądał mi przez ramię. Czułem jego zniecierpliwienie.

W pokoju czuło się rosnący chłód, mimo ciepła bijącego od lampki i grzejnika. Harry podkręcił grzejnik i nalał sobie i mnie whiskey. Zaczynało mi już szumieć w głowie od nadmiaru alkoholu i z głodu. Wyłuskałem pierwszą śrubkę na dłoń i ostrożnie położyłem na biurku.

Harry pochylił się i zaczął pocierać głowę – na przemian to jedną, to drugą dłonią, od karku ku niesfornym, siwym włosom. Byliśmy na tyle długo przyjaciółmi, żebym wiedział, co przez to chce powiedzieć. Kiedy był zaniepokojony, albo rozgryzał jakiś problem, zwykle gładził się po głowie. Zadziwiające, jak wielu ludzi robi to samo. Jakby w ten sposób próbowali fizycznie pobudzić mózg do żywszej pracy.

– Wypluj to – powiedziałem.

– Czy Wołczek dał ci akta sprawy?

– Tak. Większość przeczytałem, a przynajmniej te, które były tego warte.

– Było tam coś o świadku i jakiego rodzaju zawarł układ?

Wiedziałem, do czego Harry zmierza.

– Jesteś ciekaw, dlaczego zrobił Wołczeka w zabicie Mario? Ja też jestem ciekaw, też o tym myślałem. Próbowałem o to pytać Wołczeka. Mówił coś o Małym Bennym, że nadal jest w jakiś sposób lojalny. Odniosłem wrażenie, że Mały Benny nie chce w to mieszać swoich kumpli, żołnierzy. Że jest nadal lojalny wobec swoich towarzyszy, nawet za cenę wrabiania swego bossa. Jednak dla mnie to nie ma sensu. Mały Benny powiedział FBI tylko tyle, by nie skazać siebie na śmierć, ale nie dosyć, żeby uniknąć więzienia.

Harry skinął głową i wypił resztę whiskey. Schował butelkę do szuflady i zaczął przygotowywać kawę. Ta rutynowa czynność pozwalała mu lepiej myśleć. Wiedziałem, że teraz nie wolno mu przeszkadzać, musiałem czekać, aż powie mi, że jest gotów.

– Słyszałeś kiedyś o *penditi* [3]?

Moja matka była Włoszką; mój najstarszy przyjaciel był bossem nowojorskiej mafii. Oczywiście, słyszałem o nich.

– Pewnie. Policja sycylijska nazywała ich „tymi, co pożałowali”. Byli zabójcami, bandytami i złodziejami, ale gdy ich złapano zeznawali przeciwko mafii. O co ci chodzi, Harry?

– O ile wiem, to ci *penditi* są jednymi z najtwardszych ludzi na świecie. Bezwzględni mordercy. Mimo że porzucają swoje organizacje. Uważam, że mam cholerną rację, twierdząc, iż ten Mały Benny słusznie trzyma gębę na kłódkę, nic nie mówiąc o reszcie swojego gangu.

Kawiarka zaczęła bulgotać i Harry nalał dwa pękate kubki kawy. Pomyślałem, że dobrze mieć przyjaciela w Harrym i jakie ogromne szczęście mieli ci wszyscy, którzy pod nim służyli w Wietnamie. To mądry człowiek, przywódca i nawet teraz – kiedy miał ponad sześćdziesiąt lat – wydawało się, że nic go nie zaskoczy i nie przestraszy.

– Możesz mi zdradzić swój plan? – zapytał.

– Muszę dotrzeć do pewnego mojego przyjaciela, który pomoże mi znaleźć Amy, a potem ją stamtąd wydostać. Lepiej, żebyś nie znał zbyt wielu szczegółów. Muszę się z nim skontaktować, zanim się spotkamy. Ponieważ może się to skończyć kłopotami, nie chcę, żeby jakikolwiek ślad prowadził do ciebie. To tego rodzaju facet, którego telefon jest na podsłuchu, i nie mogę do niego stąd dzwonić. Ale jest coś, co możesz dla mnie zrobić. Potrzebuję trochę sprzętu. Możesz go dla mnie zgromadzić i podrzucić gdzieś tu, w budynku. W jakimś nieuczęszczanym miejscu na tym piętrze. Ukryj tam, gdzie nikt nie zagląda. Na dziewiętnastym nie ma łazienki, dlatego muszę schodzić, żeby skorzystać z którejś na tym piętrze. Jest tu taka, jedno pomieszczenie bez przegród. Bardzo dobra. Zamyka się od środka i Rosjanie czekają na zewnątrz. Jeżeli nie ma tam przegród, nie będą wchodzić za mną do środka. Sporządzę listę tego, co potrzebuję i skąd to możesz wziąć. Harry, najlepiej, żebyś był w to zaangażowany w ograniczonym zakresie. Uwolnienie Amy z pewnością nie obędzie się bez walki.

Harry potarł głowę.

– Jak chcesz się spotkać z tym facetem, który ma ci pomóc, bez wiedzy Wołczeka? – spytał Harry.

– Tego nie mogę zrobić – odparłem – ale myślę, że znajdę sposób, żeby przekonać Rosjan, aby zaprowadzili mnie do niego.

[3] *Pendito* (wł.) – „ten, który żałuje”, ludzie, którzy kiedyś należeli do organizacji terrorystycznych, ale postanowili „żałować” swoich czynów i współpracować z wymiarem sprawiedliwości (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Szyby okienne zadrżały w ramie, wstrząsane wzmagającymi się porywami wiatru. Harry usiadł w swym ulubionym, starym drewnianym obrotowym fotelu. Ten fotel przypominał mi samego Harry'ego – był stary, zużyty, solidny.

Druga śrubka wylądowała na biurku, zakreśliła się, potoczyła i zatrzymała. Harry zdjął okulary i podrapał się po czubku nosa. Typowe dla niego.

– To mi się nie podoba. Trochę śmierdzi – stwierdził. Westchnął i dodał: – Bez względu na to, co zrobisz, oni i tak zabiją ciebie i Amy. Te sukinsyny zorganizują ci wysadzenie w powietrze tego świadka – ale jeśli nawet rozegrasz tę ich grę, i tak nie pozwolą ci przeżyć, abys nikomu nie opowiedział, co się tu naprawdę wydarzyło. Nie będą tego ryzykować.

Skupiłem się na ostatniej śrubce.

– Ale ty już o tym pomyślałeś – zauważył Harry.

Skinałem głową. Wykręciłem ostatnią śrubkę.

Harry odwrócił do mnie fotel. Zgarbiliśmy się w świetle lampki nad biurkiem i czekaliśmy nerwowo. Chwyciłem ostrożnie obudowę detonatora i rozdzieliłem obie połówki.

Palce mi się trzęsły, ale trzymałem mocno. Obie części położyłem na biurku. W tym momencie wpadł mi do głowy gotowy plan. Jednak musiałem się nad nim dobrze zastanowić.

Wiedziałem, że nie mogę ufać glinom ani FBI, lecz kiedy Amy będzie już ze mną, Wołczek nie będzie miał mnie w garści. Zabrać ją i uciec – to sprawa, nad którą muszę jeszcze popracować. Muszę się zastanowić, jak oszukać Bractwo, żeby mnie zaprowadzili do Jimmy'ego, który mógł wytropić numer telefonu komórkowego z wyświetlacza telefonu Wołczeka, bo dzięki niemu mogłem odnaleźć Amy. Kiedy już będzie bezpieczna, skontaktuję się z FBI i opowiem im wszystko, co wiem, pomogę przygwoździć Wołczeka i zniszczyć jego organizację.

Taki był mój plan.

Jednak wszystko legło w gruzach, gdy zobaczyłem wnętrze pilota detonującego. Obudowa była pusta. Żadnego chipa, żadnych obwodów detonujących, baterii – nic!

To było tylko puste, plastikowe pudełko.

– Fałszywka? – zapytał Harry.

– To nie ma żadnego sensu. Arturas kilka razy uzbrajał bombę. Widziałem, jak na detonatorze zapala się czerwone światełko, gdy aktywował sygnał. To

właśnie ta lampka na obudowie – wyjaśniłem, pokazując ją Harry’emu. Jednak akurat ta lampka nie miała prawa się zapalać, nie miała źródła zasilania.

– Kiedy Arturas uzbrajał bombę, czułem na plecach coś w rodzaju wibracji. Założyłem ręce na piersi i zakląłem.

– Co to, u diabła, jest? – zapytałem.

I w tym momencie przyszło mi na myśl inne pytanie – dlaczego Arturas miał dwa detonatory? Tę atrapę i drugi, prawdziwy?

– Tu chodzi o coś więcej. Toczy się inna gra. Jak myślisz, co może oznaczać ta atrapa? – spytał Harry.

– Dwie rzeczy – odparłem. – Pierwsza, że noszę na sobie prawdziwą bombę. Druga, że istnieje prawdziwy detonator i że ja go nie mam. Nie wiedziałem, że Arturas miał dwa detonatory. Gdybym wiedział, ukradłbym prawdziwy – powiedziałem, podnosząc z biurka elementy plastikowej obudowy.

Nagle zamarłem.

Harry wstrzymał oddech. Ta sama myśl dotarła do jego świadomości.

– Ruszaj! – powiedział. – Jeżeli zauważą, że nie ma cię w pokoju, natychmiast aktywują bombę i...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Trzęsącymi się palcami złożyłem obie części obudowy. Teraz śrubki zdawały się jakieś mniejsze i nawet nie mogłem ich znaleźć na biurku.

– Spokojnie. Oni jeszcze nie odkryli twojego zniknięcia – powiedział Harry.

– Skąd wiesz?

Spojrzał na mnie jak na wariata. Nie musiałem wymagać od Harry'ego, żeby mi to przeliterował. Wystarczyło to, co powiedział głośno, i moje palce znowu były mi posłuszne.

– Wiem, Harry, wiem – powiedziałem.

Pierwsza śrubka trafiła na miejsce i przykręciłem ją.

Harry zaczął chodzić po pokoju, mruczając pod nosem.

– Skup się i wyduś to z siebie. Czego potrzebujesz i gdzie mam to zdobyć?

Przez chwilę wstrzymałem oddech, gdy druga śrubka spadła na podłogę i zaczęła się toczyć w kierunku otworu wentylacyjnego. Rzuciłem się na podłogę i chwyciłem ją, zanim zdążyła zniknąć w otchłani.

Cieężko dysząc, wetknąłem ją w gwint i zacząłem wkręcać.

– Pisz – rzuciłem.

Harry chwycił ołówek i zaczął pisać pod moje dyktando.

– Muszę wykonać kilka telefonów. Skontaktować się z Jimmym i utrzymać z nim stały kontakt. Dostarczysz mi piracką komórkę.

– Jaką?

– To specjalny rodzaj komórki jednorazowego użytku. Nie martw się. Wszystko kupisz w jednym sklepie. To taki niewielki sklepik przy Baker Street, nazywa się AMPM Securities. Pytaj o Paula. Kiedy się tam znajdziesz, sklep będzie wyglądał na zamknięty. Pukaj tak długo, aż ktoś otworzy i wytknie ci w twarz lufę pistoletu. Powiedz Paulowi, że to ja ciebie przysyłam. On będzie wiedział, o co chodzi. Potrzebuję odpowiednio bezpiecznego markera. Albo SEDNA, czy Security Water. Nieważne, jakiej marki. I małej lampki czarnego światła^[4] do odczytywania znaków zapisanych markerem.

Patrzył na mnie zakłopotany.

– Nie martw się. Paul zrozumie i z pewnością dostarczy mi właściwy sprzęt.

Paul Greenbaugh w dzień prowadził AMPM Securities jako legalny biznes, natomiast nocą nielegalnie sprzedawał różne rzeczy. Dla Paula nocna zmiana była najbardziej dochodowa, a ja już od dawna nielegalnie kupowałem u niego różnego rodzaju sprzęt. Czasem powodzenie oszusta może zależeć od jego sprzętu.

- To wszystko? Dalej, Eddie. Ruszaj – powiedział Harry.
Podszedł do okna, otworzył i wyrztał na miasto. Właśnie ustała ulewa.
Dokręciwszy ostatnią śrubkę, sprawdziłem atrapę detonatora i z zadowoleniem stwierdziłem, że Arturas nie zauważy, iż był otwierany. Miałem nadzieję unieszkodliwić bombę albo detonator. Ale nie brałem pod uwagę, że mogę ukraść Arturasowi fałszywego pilota. To mi podsunęło pomysł.
- Harry, masz w swoim telefonie komórkowym aparat?
– Tak – odparł, wyjmując telefon z klapką.
– Sfotografuj detonator. Powiedz Paulowi, że potrzebuję dokładnie taki sam. Chwytając pilota kciukiem i palcem wskazującym, Harry zrobił zdjęcia detonatora pod różnymi kątami, dodał do spisu i przeczytał.
– Załatw to jak najszybciej. Ja wkrótce zjawię się w umówionym miejscu i odbiorę. Baker Street nie jest daleko. Możesz to załatwić w ciągu godziny?
– Zrobię, co będę mógł, chociaż nawet w połowie nie wiem, co to za przedmioty. Ale też nie jestem pewien, czy chciałbym wiedzieć – stwierdził Harry.
Złożyłem bombę i włożyłem kamizelkę.
– Zaufaj mi, Harry. *Nie musisz.*
-

[4] Lampka luminescencyjna – emituje światło ultrafioletowe do odczytywania tajnego pisma (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Są takie chwile, kiedy naprawdę musisz słuchać instynktu, i takie, gdy robisz to, co po prostu musisz zrobić – bez względu na wszystko. Stojąc znowu na gzymsie za oknem, instynktownie czułem, że powinienem wrócić do pokoju Harry’ego i poszukać innej drogi, ponieważ tym razem może mi się nie udać.

Zignorowałem strach i znowu pomyślałem o Amy. Harry zdawał się czytać w moich myślach.

– Ona jest dzielną dziewczynką, Eddie. Oni jej nie zabiją, a my ją uwolnimy. Jutro prawdopodobnie będę przewodniczył rozprawie cywilnej. Może mi to zabrać chwilę, ale potem będę mógł cię obserwować. Zasiądę obok sędzi Pike, więc będę miał na ciebie oko.

Słowa wdzięczności więzły mi w gardle. Byłem spokojny, bardzo szczęśliwy i wdzięczny losowi, że zetknął mnie z takim przyjacielem, jak Harry.

– Jak... jak chcesz to zrobić?

– Powiem Gabrielli, że chcę ją ocenić do wniosku o awans. Nie przejmuj się tym – to moje zmartwienie. Tu wiele rzeczy może się źle potoczyć. Nie zostawię cię samego w tym sądzie. Będę tam obecny.

Skinąłem głową i chwyciłem go za rękę, przypomniawszy sobie nasze pierwsze spotkanie.

Wówczas po raz pierwszy uścisnąłem rękę Harry’ego, a było to wtedy, gdy zatrzasnąłem już za sobą drzwi oszustw i przekrętów – no, prawie zatrzasnąłem.

Harry uwolnił rękę i zamknął okno. Posuwając się wzdłuż gzymsu, myślałem, czy jeszcze ją kiedyś uścisknę. Harry ryzykował dla mnie. Pomyślałem o jego kodeksie moralnym, o jego honorze i lojalności wobec przyjaciół. Wiedziałem, że Harry czuje się za mnie odpowiedzialny. To był tego typu człowiek.

Dzięki Bogu deszcz przestał padać i chociaż to poprawiło warunki, gzyms i tak był już wystarczająco śliski. Posuwałem się po nim, szurając stopami, ślizgałem się i w pewnym momencie lewa noga osunęła się i zawisła nad przepaścią.

W ułamku sekundy poczułem, jakby moje ciało ważyło tonę. Chwyciłem się muru, ale palce nie trzymały się mocno cegieł. Wsunąłem drugą nogę pod siebie i zsunąłem się, próbując rozpaczliwie zmienić kąt opuszczania. Moja pierś z wdzięcznością przycisnęła się mocno do gzymsu, przy okazji wyciskając powietrze z płuc. Palcami szukałem uchwytu, czując, jak ślizgam się po mokrej powierzchni. Lewa noga zakołysała się w powietrzu. Plecy

z wysiłku pulsowały bólem, gdy prawą ręką chwyciłem wystającą cegłę i szybko podciągnąłem się w górę, starając się, aby obie nogi znalazły trwałe oparcie i nie osunęły się w przepaść.

Byłem pewien, że naderwałem sobie jakieś mięśnie w dolnej części pleców, ale zdołałem się utrzymać.

Oddech wyrównał się, gdy przystanąłem. Z twarzą przy powierzchni wąskiego gzymsu pod sobą widziałem Nowy Jork. Teraz ulica wydawała się spokojna. Nie było już rzędu taksówek zajeżdżających na nocne procesy. Ruch znacznie zmalał, żadnych przechodniów... za wyjątkiem jednego. Nawet z mojego miejsca mogłem go wyraźnie widzieć – łysy mężczyzna, stojący pod uliczną lampą, rzucającą wokół niego pomarańczowe światło. Miał na sobie brązowy płaszcz i zdawało się, że na coś czeka. Zobaczyłem, jak do krawężnika po drugiej stronie ulicy podjeżdża biała limuzyna, ta sama, która zabrała mnie dziś rano. Tym człowiekiem pod lampą był Arturas. Otworzyły się tylne drzwi limuzyny i wysiadł potężnie zbudowany osiłek – Gregor. Zobaczyłem, że dźwiga dużą walizkę i przyszedł mi na myśl jego portfel tkwiący w mojej kieszeni. Walizka wyglądała identycznie jak ta w recepcji, w której trzymali akta sprawy. Tamta została z Wiktorem, a papiery teraz leżały w gabinecie przyległym do recepcji.

W świetle lampy ulicznej dojrzałem, jak Gregor otwiera walizkę i lekko unosi wieko. Arturas szybko sprawdził zawartość i Gregor zamknął wieko. Do obu mężczyzn dołączył trzeci.

Nosił granatowy mundur; w świetle latarni dostrzegłem błysk odznaki na piersi. To był ten gruby strażnik, którego widziałem dziś rano w lobby.

Cała trójka czekała. Sąsiednie budynki w większości były zajęte przez biura i o tej porze nocy stały ciemne, spokojne i ciche. Na ulicę wjechały dwie białe furgonetki i zaparkowały za limuzyną. Gregor skinął kierowcy i pierwsza furgonetka zniknęła w podziemnym parkingu gmachu sądu. Druga nadal stała. Kierowca otworzył drzwi pasażera. Gregor obszedł z walizką auto, potem obiema rękami uniósł i położył na siedzeniu pasażera. To był ten sam mężczyzna, który dziś rano podniósł mnie jak szmacianą lalkę. Cokolwiek znajdowało się w tej walizce, musiało być piekielnie ciężkie. Zamknął drzwi i furgonetka zjechała do podziemnego garażu. Potem wyszło stamtąd dwóch mężczyzn – zapewne kierowc – i podeszli do Gregora.

Na sekundę wstrzymałem oddech.

Gregor wetknął rękę pod płaszcz. Potem zaczął przeszukiwać kieszenie płaszcza. Klepnął się po spodniach, powtórzył ruchy, aby na koniec wyrzucić ręce w górę w geście zaskoczenia. Wiedział już, że nie ma portfela. Arturas wyjął swój portfel i ściskając ręce kierowcom, wręczył im pliki banknotów. Mężczyźni wsiedli do limuzyny i odjechali.

Domyśliłem się, że spięte banknoty, które znalazłem w portfelu Gregora, były przeznaczone dla kierowców. Dojrzałem, jak Arturas wymienia żarty z Gregorem i jak osiłek macha wielką łapą, jakby się z czegoś tłumaczył.

Może udawał, że zgubił portfel, albo nie chce wyciągać go w tej sytuacji. Nie mogli mnie podejrzewać – dla nich byłem tylko prawnikiem, nie znali mojej przeszłości. A prawnicy nie kradną portfeli. Rosjanie i gruby strażnik poszli ulicą i skręcili za róg, do głównego wejścia. Straciłem ich z oczu.

Arturas i Gregor mogli wejść do budynku tak samo jak weszli dziś rano; minęli punkt kontrolny w lobby i poszli dalej do wind. Według moich obliczeń zajmie im to około półtorej minuty. Gdy wsiądą do windy, będę miał jeszcze minutę, zanim dojadą do dziewiętnastego piętra, i być może jeszcze dziesięć sekund, zanim wrócą do pomieszczeń sędziowskich. Obudzą Wiktora, a potem zechcą sprawdzić, co robię – co zajmie im około dziesięć, piętnaście sekund. Dla bezpieczeństwa przyjąłem, że mam do dyspozycji dwie i pół minuty, żeby wrócić do pokoju, zanim stwierdzą, że jest pusty, i zatelefonują, co będzie oznaczać koniec życia Amy, a następnie aktywują prawdziwy detonator.

Włączyłem wewnętrzny zegar. Podciągnąłem stopy, wyprostowałem się i ruszyłem naprzód. Do posągu Iustitii dotarłem w ciągu niecałej minuty. Szara dama była tak samo śliska jak powierzchnia gzymsu i dwadzieścia sekund zajęło mi podniesienie się na wyższy poziom na jej ramieniu, znalezienie oparcia dla stóp na plecach posągu i złapanie się rękoma głowy bogini. Między gzymsem i posągiem ziała wyrwa ponad metrowej szerokości.

Spędziłem pięć sekund, trzymając się nieruchomo posągu. Potem zarzuciłem jedną nogę na prawe ramię posągu, podciągnąłem się i chwyciłem miecz, żeby utrzymać równowagę.

Wszystko, co mi tego dnia powiedział Arturas, było kłamstwem. Arturas, gdyby zechciał, mógł wnieść do sądu nawet fortepian; właśnie wprowadził bez kontroli do środka dwie furgonetki. Bomba, którą nosiłem na plecach, z łatwością mogła się znaleźć w walizce, którą Gregor schował w furgonetce. Oni wcale nie potrzebowali mnie czy Jacka, aby cokolwiek przemycić do sądu. Przeklinałem siebie za głupotę; jeżeli Rosjan było stać na przekupienie agenta FBI, to równie dobrze mogli przekupić ochronę sądu, co pozwoliłoby im przenieść walizkę przez punkt kontrolny. Oni naprawdę mieli tyle forsy, że mogli przekupić strażników w setkach sądów. Odtworzyłem w pamięci moje poranne wejście do sądu. Barry wywołał mnie po nazwisku; jasnowłosy ochroniarz imieniem Hank chciał mnie przeszukać. Już przed badaniem skanerem ten gruby strażnik miał mnie na oku. Wtedy pomyślałem, że mnie zna, ale ja go nie rozpoznawałem. Teraz, obserwując, jak pomaga Rosjanom przemycić furgonetki do podziemnego garażu, zrozumiałem, że tego ranka błędnie zinterpretowałem jego zachowanie w lobby. Gdy Hank zażądał, żebym przyjął właściwą pozycję do przeszukania, i tłuścioch zbliżył się do nas, myślałem, że jest podwładnym Hanka, ale teraz wiem, że miał uważać, abym bez problemu przeszedł przez kontrolę – bez interwencji Hanka, czy kogokolwiek innego, nawet gdyby znaleźli bombę.

Oni mogli zabić Amy, gdy tylko przestanę im być potrzebny. Jednak nie miałem pojęcia dlaczego wciągnęli mnie w to wszystko.

Ojciec kiedyś powiedział mi, że nie można skutecznie kantować, jeżeli się nie zna wszystkich niuansów i nie wie dokładnie, o co chodzi. Tym razem nie potrafiłem zorientować się w swoim położeniu. Czułem, że jestem tylko pionkiem w jakiejś większej grze. Przynajmniej zaczynałem zdawać sobie sprawę, kim są gracze. A to oznaczało, że teraz mogę zacząć całą grę od nowa, na moich zasadach.

Puściłem miecz, głęboko odetchnąłem i skoczyłem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Wylądowałem płasko na gzymsie i kopiąc, wykruszyłem więcej cegieł. Przyciskając się do ściany, przesuwalem się wzdłuż gzymsu, aż w końcu dotarłem do okna, które zostawiłem otwarte. Minęły dwie minuty i dwadzieścia sekund, gdy wskoczyłem do pokoju sędziów i zamknąłem za sobą okno. Szybko zrzuciłem płaszcz i otrzepałem go. Był wilgotny, tak jak moje spodnie. Kaloryfer stojący w kącie był zakręcony, więc otworzyłem zawór i przyłgnałem do niego, żeby wysuszyć mokre ślady na kolanach. Staralem się wyrównać oddech; w przerwach między gwałtownym nabieraniem i wydychaniem powietrza usłyszałem kroki w korytarzu. Oderwałem się od starego grzejnika i spojrzałem przez dziurkę od klucza. Z zadowoleniem przekonałem się, że Wiktor śpi na kanapie w recepcji, mniej więcej w tej samej pozycji, w jakiej widziałem go ostatnio. Pusta walizka marki Samsonite, w której znajdowały się akta sprawy, leżała otwarta na podłodze, tak jak przedtem. Akta ciągle spoczywały na moim biurku w gabinecie sędziów.

Ciszę zakłócił słaby, metaliczny zgrzyt – to otworzyły się drzwi windy w holu. Czulem, jak krople potu ściekają mi na kamizelkę. Otarłem czoło. Ciężkie kroki dały znać, że nadchodzi ktoś o dużej wadze. Wszedł Arturas i łagodnie opadł na fotel. Za nim pojawił się Gregor, kopnął Wiktora, budząc go, i powiedział, żeby się posunął, potem obaj, leżąc na kanapie, zamknęli oczy. Łagodne światło czyniło wnętrze recepcji prawie przytulnym. Spróbowałem otworzyć drzwi – były zamknięte na klucz. Nikt nie próbował mnie sprawdzać. Gdyby otworzyli drzwi i zobaczyli, że mnie nie ma w pokoju, zapewne nie zamykaliby powtórnie na klucz.

Tak cicho, jak tylko mogłem, wróciłem do grzejnika, aby nadal suszyć spodnie. W trakcie suszenia zaplanowałem następny ruch. Jednak najpierw musiałem się skontaktować z Jimmym, ale żeby to zrobić, musiałem mieć telefon z listy Harry'ego. Nawet nie uwzględniając panującego o tej porze ruchu ulicznego, musiałem dać Harry'emu godzinę na zgromadzenie sprzętu i podrzucenie do wskazanego miejsca. Teraz nie mogłem nic zrobić, mogłem tylko czekać. Wyciągnąłem nogi, oparłem się o ścianę i zajrzałem przez dziurkę od klucza.

Tamci odpoczywali.

Minęło pół godziny i złapałem się na tym, że głowa opada mi na piersi. Prawie zasypiałem. Teraz płaszcz i kolana były już suche i dzięki Bogu czarny kolor znakomicie maskował plamy. W małym pomieszczeniu zrobiło się

gorąco, zakręciłem grzejnik i usiadłem pogrążony w myślach.

Tak wiele zawdzięczałem Harry'emu Fordowi... Bez niego skończyłbym pewnie w więzieniu, albo byłbym martwy. Takie było życie oszusta. Nie ma w perspektywie emerytury, ani opieki zdrowotnej. Pod koniec trudnienia się oszustwami ubezpieczeniowymi, do mojej świadomości wkradło się paskudne samouwielbienie i zbytńia pewność siebie. A może po prostu chciałem dać się złapać? Ale wtedy z pewnością tak tego nie czułem. Kiedy to się stało, winiłem tylko siebie za złą decyzję, no i za ten pięciokilowy młot. Ale nie był to błąd młota, ani też tego człowieka, który go dzierżył. Tak naprawdę był to błąd mojego kierowcy, który sypiał z czyjąś żoną.

W piątek byliśmy zajęci oglądaniem porannej stłuczki. Mój doskonały kierowca wyścigowy NASCAR, Perry Lake, odczuł, jak wielka jest wściekłość zazdrosnego męża. Ów małżonek przywiązał Perry'ego do krzesła, wziął swoją skrzynkę z narzędziami i pokazał mu zupełnie nowy pięciokilowy młot. Potem zaczął nad nim pracować – porozbijał Perry'emu kolana, połamał ręce, łokcie i powybił zęby. Powinienem mu przeszkodzić, ale nie zrobiłem tego. Zapomniałem, jakie są reguły gry – bierz forszę i spieprzaj. W ciągu kilku lat udało mi się na oszustwach zarobić dwieście tysięcy dolców. Ale nie tkwiłem tym biznesie tylko dla forsy. Mnie się to podobało, a szczególnie nabijanie w butelkę waźniaków z ubezpieczeń i zdzieranie z nich tysięcy dolców, a przed skasowaniem wypłaty za szkody wznoszenie w barach toastów na cześć mojego taty. Tak więc tego dnia zająłem miejsce Perry'ego. Byłoby lepiej, gdybym Perry'ego przywiązał do fotela kierowcy, zamiast samemu na nim zasiadać. Spaprałem, ot co. Nacisnąłem zbyt mocno – i za wcześnie – pedał hamulca. W efekcie wyrznął we mnie z tyłu mercedes. Był blisko, ale to był mój błąd, nie jego. Zamiast pozwania kierowcy mercedesa, to on *mnie* oskarżył o dokonanie szkody i *de facto* zawłókł przed sąd cywilny przy Chambers Street. Sędzią był wtedy Harry Ford.

Zwykle tego rodzaju wypadek nie trafia do sądu. Powstał z mojej winy, ale zełgałem, mówiąc, że pieszy przebiegł mi drogę, więc musiałem ostro zahamować. Pewien gliniarz zeznał, że stał wtedy po drugiej stronie ulicy i był świadkiem wypadku. Powiedział, że nie widział żadnego pieszego przebiegającego przez ulicę. Gdyby gliniarz nie pojawił się na miejscu wypadku, sprawa zakończyłaby się błyskawicznie. Ale ten policjant spisał moje dane osobowe, a wtedy miałem przy sobie tylko prawdziwy dowód, ten autentyczny – następny błąd.

Stawiając się tego dnia w sądzie, zaoferowałem facetowi z mercedesa dziesięć patyków, żeby się odczepił. Ale jego papuga powiedział, aby nie brał, tylko przeprowadził całą sprawę przez sąd. Samochód biorący udział w wypadku nie był ubezpieczony i adwokat zasygnalizował kierowcy, że mam dość forsy na prawnika, ale oświadczyłem, że będę się bronił sam. Na początku rozprawy sędzia Harry Ford sprawiał wrażenie mocno znudzonego.

Gdyby nie ten gliniarz, na rozprawie byłoby moje słowo przeciwko słowu

kierowcy mercedesa. Ale tak nie było i od tej chwili, gdy zacząłem zadawać pytania, zauważyłem, że Harry ożywia się, wykazując coraz więcej zainteresowania. Facet zeznał, że nie widział żadnego przechodnia, w chwili gdy nacisnąłem hamulec. Zadałem mu pytanie:

– Powiedział pan, że nie zauważył, jak hamuję, aż było już za późno, i dlatego wpakował się pan swoim autem w kufer mojego. Zatem, jeżeli nie zwracał pan uwagi na to, co ja robię, to jak pan może twierdzić, że nie widział przechodnia?

Nie odpowiedział.

Gliniarz twierdził, że widział mnie dobrze, doskonale sobie przypomina, jak wydarzył się ten wypadek, i jest pewny, iż nie widział żadnego pieszego przebiegającego mi drogę. Wiedziałem, że jeśli uda mi się wytrącić z równowagi policjanta, będę miał większe szanse, i dlatego spróbowałem sprawdzić, ile naprawdę pamiętał.

– Powiedział pan, że doskonale pamięta ten dzień, chociaż wypadek miał miejsce ponad pół roku temu?

– Zgadza się.

Uniosłem przed sobą kartkę papieru – pismo od prawnika kierowcy mercedesa, w którym jego klient grozi mi sądem, jeżeli nie zapłacę mu sto tysięcy dolarów. Gliniarz patrzył na kartkę, ale nie mógł przeczytać, co na niej jest.

– Oficerze, z kim pan odbył swoją pierwszą rozmowę po tym, gdy był pan świadkiem wypadku?

Już chciał skłamać, coś wykombinować, ale zawahał się, widząc, że w czasie, gdy czekam na jego odpowiedź, cały czas patrzę znacząco na trzymany w ręce dokument. Policjant pomyślał, że pewnie mam już informację, od kogo odebrał telefon po wypadku, i że ta informacja jest zapisana na tej kartce.

– Nie pamiętam – brzmiała odpowiedź.

Podobna odpowiedź padła na pytanie o rozmowę, jaką prowadził bezpośrednio przed wypadkiem. Nagle zaczął cierpieć na amnezję.

Jako młody chłopak obserwowałem, jak mój ojciec stosował podobną sztuczkę ze swoimi dłużnikami, gdy bagatelizowali zobowiązania finansowe. Unosił wysoko małą, czerwoną książeczkę i zadawał im pytanie, udając, że wszystko ma zapisane i posiada dowody. Oczywiście nie miał. To był blef.

Po kilku dalszych pytaniach usłyszałem śmiech Harry'ego.

Po raz pierwszy zwrócił się bezpośrednio do mnie:

– Proszę więcej nie zadawać pytań. Oddalam pozew.

Skarżący wybiegł z sądu, po drodze rzucając inwektywy pod adresem swojego prawnika. To małe zwycięstwo zaskoczyło mnie, ale czułem się usatysfakcjonowany, jak każdy kanciarz.

Po drugiej stronie ulicy, przy której stał gmach sądu, znajdował się Tapas-Bar. Wszedłem do środka rozradowany i głodny. Kiedy czekałem przy stoliku,

nagle usłyszałem za sobą niski głos:

– Byłeś dziś dobry, synu. Szkoda, że nie jesteś prawnikiem. – To był Harry.

Zjedliśmy razem. Harry powiedział, że nigdy nie widział takiego zawodowstwa – i że zrobiłem lepszą robotę niż większość prawników, którzy przed nim występowali. A ja z kolei nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak Harry. Był bezpośredni, skuteczny i miał szelmowskie poczucie humoru, a także – jak przypuszczam – kryło się w nim coś niebezpiecznego. Zapytał mnie, z czego żyję. Odpowiedziałem, że odłożyłem trochę pieniędzy po rodzicach, ale jeszcze nie podjąłem decyzji co do wyboru zawodu.

Oblizał palce pobrudzone sosem i powiedział:

– Wiesz co, ty masz rzadki dar. Powinieneś pomyśleć o szkole prawniczej. Podoba mi się sposób, w jaki zadajesz pytania. To świadczy o prawdziwym talencie i uzdolnieniu do tego zawodu. Szczególnie w pracy z policją. Ty potrafisz ich skołować.

– Szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia, o czym i z kim tego dnia rozmawiał, gdy wydarzył się ten wypadek. Po prostu blefowałem. Nie sądzę, żeby tego tam uczyli.

Roześmiał się.

– Słyszałeś o facecie, który się nazywa Clarence Darrow? – zapytał. –

Dawno temu pracował jako adwokat procesowy. Przypominasz mi go. Clarence przed rozpoczęciem rozprawy wbijał długą szpilkę od kapelusza w jedno z kubańskich cygar, jakie lubił palić w sądzie. Kiedy zaczynał jego przeciwnik, Clarence zapalał cygaro. W czasie, gdy przeciwnik prezentował swoje stanowisko, cygaro Clarence'a żarzyło się, jednak dlatego, że była w nie wbita szpilka, popiół był przez nią podtrzymywany i nie opadał. Ta szpilka działała podobnie jak nośna belka rdzeniowa. Kolumna popiołu rosła i rosła, aż w końcu sędziowie przysięgli zaczęli ignorować przeciwnika Clarence'a i świadków. Obserwowali popiół cygara, czekając w napięciu, aż się złamie i spadnie na jego biały, lniany garnitur. Jednak popiół nigdy nie spadał i Clarence nigdy nie przegrał sprawy. Chyba nie ma dużej różnicy między Darrowem i chwytem, jaki dziś zastosowałeś wobec tego policjanta?

– Nigdy nie myślałem o tym w tych kategoriach.

– To dowodzi, że masz talent. Daj mi znać, jeżeli postanowisz ukończyć szkołę prawniczą. Moja rekomendacja może ci pomóc. Kiedy ją skończysz, możesz u mnie pracować – oświadczył.

I to było to.

Chociaż Harry zasiał we mnie ten pomysł, ja już w myślach byłem prawnikiem – ale dopiero matka pchnęła mnie do wykonania ostatecznego ruchu.

Z recepcji dochodziło przerywane chrapanie.

Północ.

Na moim zegarku zostało szesnaście godzin.

Harry na pewno miał już dość czasu, aby zgromadzić ekwipunek i przynieść go do sądu przed północą.

Czas to sprawdzić.

W tego rodzaju tajnej grze najbardziej szarpie nerwy moment, gdy masz zagrać swoją kartę. To punkt bez powrotu. Ale kiedy już to zrobisz, nerwy jakoś dziwnie się uspokajają.

Wstałem i przeciągnąłem się, po raz ostatni obejrzałem ubranie i płaszcz. U dołu płaszcza dostrzegłem grudkę błota. Oczyszcziłem ją resztką wody z butelki, którą przyniósł mi Arturas. Po opłukaniu dłoni wodą z tej samej butelki, wytarłem je do sucha. Kiedy uznałem, że wyglądam dobrze i nie sprawiam wrażenia faceta, który w deszczu czołgał się po brudnym gzymsie na zewnątrz budynku, podszedłem do drzwi. Ręce przestały mi drżeć, gdy zapukałem energicznie i powiedziałem głośno:

– Hej! Otwórzcie! Muszę z wami porozmawiać. Wasz boss musi wyeliminować jeszcze innego świadka, jeżeli chce uniknąć rewizji procesu.

Przytknąłem oko do dziurki od klucza i zobaczyłem w pokoju poruszenie. Wiktor wstał, a gdy to zrobił, zasłonił widok na reprodukcję *Mony Lisy*, którą widziałem, gdy po raz pierwszy wszedłem do tych pomieszczeń. W jakiś sposób jego ciało stojące przed obrazem tworzyło załazek pomysłu, rzuciło iskrę, coś, co łączyło się z atrapą detonatora i walizką, którą Gregor miał w furgonetce, lecz w tym momencie moje myśli okrywała mgła.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Usłyszałem zgrzyt klucza w zamku i drzwi otworzyły się do środka. Przedemną stała cała trójka.

– Jeżeli nawet zabiję Małego Benny’ego, prokurator, mając zeznanie Tony’ego Geraldo, może nadal wnioskować o wznowienie procesu. Twój plan nie będzie działać bez wyeliminowania z gry Tony’ego. Problem polega na tym, że nie możesz zastrzelić Geraldo, nie ryzykując wywołania powszechnej wojny z Włochami. Na szczęście dla was, chłopcy, nie musicie go zabijać. Jeśli jest to taki typ faceta, jak myślę, to można kupić jego milczenie.

Artura spojrział na mnie i skinął głową.

– Tak. Inni też wspominali o zeznaniach makaroniarza. Mówili też, że on może poważnie zaszkodzić, ale nie na tyle, żeby skazać Wołczeka – odparł Arturas.

– I mieli rację, ale to może wystarczyć, żeby prokurator okręgowy wszczął postępowanie wznowiające proces. Możecie teraz kupić sobie drogę do wybrnięcia z tego, a ja, aby to zrealizować, potrzebuję konkretnej forsy. Myślę, że Tony Geraldo, to sam Tony G. Jeżeli to ten Tony, to znam szefa tej rodziny. Dawno temu byłem jego pełnomocnikiem. Mogę to z nim załatwić. Potrzebuję na to cztery miliony dolarów – dwa dla Tony’ego i dwa dla jego bossa.

Arturas nie zareagował na wymienioną kwotę. Żadnej wyraźnej reakcji, żadnego zaskoczenia. Nic. Wydawało się, że cztery miliony to nie tak dużo dla tych facetów. Mogli je zdobyć w kilka godzin. Przypomniał mi się artykuł w gazecie, gdzie napisano, że Wołczek wpłacił pięć milionów kaucji. Zatem nie będzie problemu z czterema milionami. Postawiłem to na życie mojej córki.

– Tony G. to Tony Geraldo. Masz rację, nie możemy negocjować z tymi ludźmi. Może ty byś mógł, a może nie. Nieważne. Po zabiciu Benny’ego nikt już nie będzie chciał zeznawać przeciwko Wołczekowi, nawet jeżeli proces zacznie się od nowa. Zapomnij o tym – stwierdził Arturas.

– Nie mogę. Twój boss kazał mi się pozbyć Benny’ego – pozbyć się, to znaczy unieszkodliwić jako świadka, nikogo nie zabijając. Ale ja nic nie mam na Tony’ego Geraldo. Musicie go sobie kupić.

– Powiedziałem, zapomnij o tym – powtórzył Arturas, tym razem głosem twardym jak stal.

– Chcesz, żeby zapomniał o groźnym dla nas świadku oskarżenia w procesie twojego bossa o morderstwo?

Tym razem dostrzegłem, że dotarło. Skóra wokół oczu Arturasa skurczyła

się i na twarzy ukazał się ten jego zwykły obrzydliwy uśmiezek.

– To mój plan, prawniku. Nic ci do tego.

– Może to i twój plan, ale moja sprawa sądowa. Wołczek jest moim klientem. Gram też o życie mojej córki. Jeśli ty go o tym nie poinformujesz, ja to zrobię. I przy okazji powiem, że próbowałaś mnie zastraszyć, żebym tego nie robił. I jak wtedy wypadniesz?

Błękitny neon rzucał do pokoju błyski światła z billboardu wiszącego na elewacji sąsiedniego budynku. To nagle, pulsujące kolorem, światło rozjaśniło policzek Arturasa, ukazując bliznę, która znowu się sączyła. Pod tym fałszywym uśmiezkiem jego umysł gorączkowo kalkulował, wazył możliwości.

– Pamiętaj, kto ma twoją córkę – powiedział, wystukując numer w komórce.

Rozumieliśmy się, używając niewielu słów. Jeśli ja go nacisnę, on naciśnie mnie za pośrednictwem Amy.

Słuchałem, jak gada po rosyjsku z Wołczkiem. Rozmawiając z bossem, od czasu do czasu zerkał na mnie.

Po kilku minutach Arturas wyłączył się i opadł leniwie na kanapę. Założyłem, że czeka na decyzję, usiadłem przy biurku w sąsiednim pokoju i czekałem. Zeznanie Tony’ego Geraldo mogło dać powód do wznowienia procesu; nie tyle opierając się na motywie, ile na mocnych poszlakach dotyczących animozji istniejących bezpośrednio przed śmiercią Mario Geraldo. Miriam mogła sobie odtworzyć obraz członka przestępczej rodziny, potworną stratę obiecującego młodzieńca, dobrze się zapowiadającego na solidnego rosyjskiego gangstera. Jeżeli Arturas miał rację i Tony Geraldo był rzeczywiście Tonym G., to pewnie nie będzie szkalował kuzyna. Na podstawie zdjęć miejsca zbrodni odniosłem wrażenie, jakby mieszkanie Mario było jakąś meliną dilerów narkotykowych. Tony był ważnym graczem w rodzinie i w tej społeczności. Zajmował tam wysoką pozycję. Wołczek prawdopodobnie zrobił Tony’emu Geraldo przysługę. Tony wspinał się w rodzinie coraz wyżej i wyżej, podczas gdy jego kuzyn pijawka zawsze ciągnął go w dół. Tony tego nie chciał; on pragnął szacunku. Zaczynając od domu, od własnej rodziny. Poza tym, jeśli nie możesz powstrzymać własnego kuzyna, to kto ci zaufa i zleci kierowanie ludźmi?

Niemniej Mario należał do rodziny. Zamordowanie go było zniewagą, z którą nie można się pogodzić. Nie wolno ot tak sobie puknąć członka rodziny i zniknąć jak gdyby nigdy nic – bez względu na wszystko. Tony Geraldo musiał zachować twarz. Nie chciał wojny, a w każdym razie nie ze swoim bliskim kuzynem, chociaż ten sprawiał mu kłopoty. Może zeznawanie Tony’ego przed sądem przeciwko Wołczekowi było spłatą długu wobec Mario. Bez względu na powody, zeznanie Tony’ego dawało mi bilet umożliwiający spotkanie z moim starym przyjacielem, Jimmym „Kapelusznikiem” – głową rodziny.

Po tej eskapadzie po gzymsach bolały mnie plecy i prawa ręka. Pomyślałem,

żeby poprosić Arturasa o jakiś środek przeciwbólowy, ale zrezygnowałem.

Odezwał się sygnał jego komórki. Odebrał i spojrzał na mnie. Chwilę milczał; po około trzydziestu sekundach wyłączył się, wstał i powiedział coś po rosyjsku do Wiktora. Wiktor spojrzał na mnie surowo.

– Łżesz – powiedział, wyjmując z kieszeni nóż.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Siedziałem przy biurku w pokoju sędziów i od Wiktora dzieliły mnie najwyżej trzy metry. Wiktor stał nieruchomo przed kanapą i wpatrywał się we mnie. W lewej ręce trzymał nóż. Nie mogłem mu odpowiedzieć tym samym spojrzeniem. Moje oczy nerwowo błędziły wokół tego noża.

Wolno ruszył w moim kierunku.

W milczeniu.

Wyobrażnia podpowiadała mi dziesiątki najbardziej absurdalnych scenariuszy, każdy gorszy od poprzedniego. Jakoś nie mogłem znaleźć wyjścia z tej sytuacji. Moje oczy zaczęły się poruszać w sposób niekontrolowany, w głowie krążyły różne myśli. Sięgnąłem palcami do ust. Jeżeli mam się dowiedzieć, o co właściwie im chodzi, to właśnie teraz.

Musiałem przystopować.

Ojciec zawsze mi powtarzał: „Trzymaj się, nie pękaj!”.

A jeśli nie wytrzymam presji?

– Wiesz co, Wiktor? Siedzę tu i ciągle myślę, czy Wołczek błędnie nie zinterpretował mojej propozycji... – Wiktor zatrzymał się i słuchał. – Przecież nie jestem głupi. Już mówiłem, że sami się zorientujecie, jak głupio postępujecie. Ja działałem dla dobra waszego bossa. Nie ma możliwości, żeby Wołczek myślał inaczej. Zatem wyobrażam sobie, że on nie wierzy, iż ja kłamię. Jest ostrożny, bardzo ostrożny. No bo jak, u diabła, udałoby mu się zdobyć taką forszę bez korzystania z pewnych okazji i bez ryzyka? W każdym razie ja nie kłamię. To wy kłamiecie. To wy próbujecie mnie zastraszyć i zastanawiacie się, czy nie kombinuję. Dajcie już z tym spokój. Myślicie, że chcę zgarnąć tę forszę i zostawić mu moją córkę? Czy on oszalał?

Wiktor zatrzymał się metr przede mną, w ręku nadal trzymał nóż.

– No? – rzuciłem.

– Zrób to – Arturas popędził Wiktora.

– To zwykłe pieprzenie – powiedziałem. – Nic na mnie nie macie. Myślicie, że zrobię coś głupiego. A niby dokąd, u diabła, miałbym pójść? Nigdzie stąd nie wychodziłem. Chcę tylko odzyskać córkę, chcę, żeby była bezpieczna. Chcę wygrać tę sprawę i odzyskać córkę!

Wiktor nawet nie drgnął. Po chwili ruszył szybko z nożem w ręku. Z całej siły zapierałem się stopami, ściskając siedzenie krzesła. Kiedy zrobił ruch w moją stronę, chciałem odskoczyć razem z krzesłem.

Uniósł stopę, zatrzymał ją w powietrzu, błysnął nożem i nagle cofnął się, zaśmiał i odwrócił do Arturasa.

– On nie kłamie. Omal się nie zesrał w portki. Tchórzliwy kundel – stwierdził Wiktor, z silnym słowiańskim akcentem, wydając z siebie głęboki, rechoczący chichot.

Odetchnąłem. Zdałem jeden z najtrudniejszych testów.

Arturas zatelefonował. Domyśliłem się, że rozmawiał po rosyjsku, chyba z Wołczkiem. Skończył i wskazał na mnie.

– Lepiej, żebyś był dobrym prawnikiem. Cztery miliony to kupa forsy. Może nie dla nas, ale mimo wszystko to kupa forsy. Gdyby przepadła, bylibyśmy zdenerwowani.

– Kiedy?

– Musimy wyjść i podjąć pieniądze. To zajmie parę godzin. A gdzie mamy ją dostarczyć?

– Pójdę na śniadanie do restauracji Jimmy’ego. Zawieziesz mnie tam na spotkanie z Jimmym. Ty nie jesteś zaproszony. Gdyby ciebie zobaczył, byłbyś trupem. Tylko ja mogę to załatwić.

Arturas milczał.

– Wiesz, kim jest Jimmy? Prawda? – zapytałem.

– To tłusty, włoski sukinsyn – odparł Arturas.

– Zgadza się, ale jest też szefem jednej z największych rodzin przestępczych w Nowym Jorku. I nie lubi, jak ktoś się wtrąca w sprawy jego rodziny – bez względu na to, jak dalekie jest to pokrewieństwo. Nie rozumiem, dlaczego jeszcze nie jesteście martwi.

– Bo on nie chce zaczynać wojny z powodu takiego śmiecia jak Mario, a wierz mi, to byłaby prawdziwa wojna. Gdyby się zaczęła, to Jimmy pewnie by wygrał, ale straciłby wielu swoich ludzi i mnóstwo pieniędzy. Nie warto ryzykować takich strat z powodu zwykłego ćpuna. Poza tym to Jimmy rozdaje karty. Dlatego na miesiąc odwołaliśmy z jego terenu naszych dilerów. Niech sobie myśli, że biznes jest tak dobry, że szkoda tracić wpływy.

Prasa doniosła, że Mario zginął w potyczkach gangów. Tony mówił o bójce w klubie nocnym między Wołczkiem i Mario Geraldo i dodał, że pozostał jeszcze dług. To, czego teraz jeszcze nie wiedziałem, wydawało się bardzo ważne. Podejrzywałem, że Mario zginął z powodu fotografii ukrytych za połamaną ramką, którą widziałem na zdjęciach miejsca zbrodni, a które potem zostały spalone przez Małego Benny’ego, gdy policja zaczęła się dobijać do drzwi na dole. Co takiego było na tych zdjęciach, że musiał przez nie zginąć?

– Okej, więc tym razem Jimmy dostanie kasę i obędzie się bez przelewu krwi. No chyba że ta wersja ma was uspokoić. Zależy, jak bardzo go wkurzyliście. No więc dlaczego Mario został zamordowany?

– Zginął, bo był durnym ćpunem, który sprowokował bijatykę z Wołczkiem.

– Ale Tony Geraldo mówił coś o długu.

– Wszyscy mają długi u Wołczeka – odparł Arturas, unikając mojego wzroku.

– No więc chodziło o dług czy o bójkę w barze? Albo Mały Benny zabił go z powodu fotografii, które gliny znalazły nadpalone w zlewozmywaku Mario? Arturas spojrzał na mnie zaskoczony.

– Taki los. To wszystko, co powinieneś wiedzieć. Nie zadawaj zbyt wielu pytań, prawniku. Jedno takie pytanie może zabić twoją córkę – rzucił i przeciągnął palcem po bliznie na policzku.

Drugi raz zobaczyłem, jak maca palcem bliznę. Chyba nawet sam nie uświadamiał sobie, że to robi – jak wielu ludzi, którzy bezwiednie ujawniają to, czego głośno nie chcą powiedzieć. Ta blizna wyglądała na stosunkowo świeża; była różowa i zaogniona – ranę zadano nie więcej niż osiemnaście miesięcy temu. Domyślałem się, że Arturas zarobił ją mniej więcej w czasie, gdy Wołczek odkrył, że Mały Benny będzie zeznawał przeciwko niemu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Nie mogłem spać.

Leżałem na małej kanapie w dawnym gabinecie sędziów. Byłem zmęczony i rozbity. Jakbym miał naderwane stawy w nogach, ale nawet gdybym leżał na królewskim łożu w hotelu Waldorf, nie zmrużyłbym oka. Nie mogłem przestać myśleć o sposobie wybrnięcia z tej sytuacji, o uzyskaniu pomocy, ale starałem się jednak nie myśleć o Amy. W mojej głowie ścierały się różne teorie, przeważnie zapewne szalone, niektóre krążyły blisko domu, kilka na temat pieniędzy.

Żaden gangster nie będzie zeznawać za darmo. No chyba że mu obiecują nietykalność, nawet jeśli znajdzie się świadek, który w dodatku dostarczy obciążające dowody. A z drugiej strony gangster lub świadek, który ujawnia szczegóły handlu narkotykami, i w dodatku sypie, kto kogo zabił, gdzie i w jakich okolicznościach? A na deser dostarcza mapę z zaznaczonym krzyżykiem miejscem, gdzie zakopano zwłoki! No i wykazuje skruchę, tak jak *penditi*. Większej bzdury nie słyszałem.

Nie wierzyłem, że taki będzie scenariusz naszej historii.

Mały Benny sypnął tylko w sprawie jednego morderstwa i nie został objęty programem ochrony świadków. Mógł być użyteczny tylko pod ochroną FBI.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Mały Benny był tak głupi i nie sypnął wszystkich. Mógł przecież skorzystać z okazji, jaką daje immunitet. Dlaczego nie poddał się procedurze ochrony świadków?

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Pierwsza z moich teorii dotyczyła rodziny – w jego zeznaniu nie było nic na ten temat, ale jeżeli Mały Benny miał rodzinę, to było całkiem pewne, że została w Matuszce Rasiji. Nawet federalni nie byli na tyle głupi, żeby próbować wmówić Benny'emu, że jego rodzina jest bezpieczna. Ten temat odpadał. Jeżeli jednak miał rodzinę w Stanach, to mógł wszystkich sypać, a potem włączyć bliskich do programu ochrony świadków – albo w ogóle nic nie gadać. To wszystko jednak nie pasowało do mojej teorii.

Co więc głównie go motywowało? – zastanawiałem się.

Czy chodziło mu tylko o uniknięcie więzienia?

To jednak nie pasowało do faktów. Mały Benny dostał chyba dwanaście lat odsiadki. Dlaczego nie stawiał warunków? Przecież za sypnięcie Wołczeka mógł być wolny. Nie mogłem tego wszystkiego zrozumieć.

Oczywiście nie brałem pod uwagę czegoś, co by całkowicie zmieniało zasady gry – tego, że Benny jest idiotą.

W końcu został przyłapany na gorącym uczynku.

Odpowiedź, jakiej udzielił mi Wołczek, chyba do mnie trafiała: Mały Benny pozostawał lojalny względem... Arturasa. Bingo! Teraz musiałem odkryć, co łączy tych dwóch.

Wstałem wolno. Plecy jęczały z bólu w proteście na każdy ruch.

Powtórnie przejrzałem zeznanie – fotografie, świadków i oświadczenie policji.

Coś się nie zgadzało.

Kiedy pomyślałem o tym tłustym strażniku na dole, o identycznej walizce, jaką Gregor przed wjazdem na parking położył na siedzeniu pasażera w pierwszej furgonetce, o wizytówce FBI – to wszystko wyraźnie stanęło mi przed oczami. W głowie mi huczało, kiedy próbowałem to połączyć. Potem na powierzchni mojej świadomości zaczął się wyłaniać – i tam pozostał – wizerunek Amy. Widziałem dokładnie każdy najdrobniejszy szczegół jej twarzy i wyobrażałem sobie, jak trzymam córkę w ramionach, obejmuję i zapewniam, że jest bezpieczna. Zadrzałem. Zagryzłem wargi, wstrzymując łzy, i opadłem na krzesło.

Na dzisiaj koniec z przeglądaniem papierów, muszę odpocząć. Nie wiem, jak długo spałem, ze snu wyrwał mnie dźwięk otwieranych drzwi.

– Wychodzimy – oznajmił Arturas.

Wiktor i Gregor powiedzieli coś do Arturasa. Odpowiedział im z gniewem. Nie usłyszałem, co mówili, ale brzmiało to jak kłótnia. Wbiłem ręce w rękawy płaszcza, zarzuciłem go na plecy i wyrównałem kołnierz.

– Czekaaj – rzucił Arturas, przerywając kłótnię z Wiktorem. Blondyn wskazał na mnie.

– Jeżeli nie przestaniecie wrzeszczeć i się nie uspokoicie, przyjdą tu ochroniarze zobaczyć, co się dzieje – zauważyłem.

– Zamknij się i zbieraj do wyjścia – warknął Arturas, zanim Wiktor zdążył mu przerwać.

Okazało się, że kłócili się o to, czy powinienem opuścić budynek sądu z bombą. Ja nie miałem ochoty wynosić jej i ryzykować przy powtórny przemycaniu do gmachu sądu. Jednak oni mieli z tym problem; gdyby zostawili tu bombę, istniało ryzyko, że znajdzie ją ochrona albo FBI. Poza tym bez bomby na plecach miałbym większą swobodę. Gdybym zwiął po spotkaniu z Jimmym, wystarczyło, że nacisną guzik. Chcieli, żebym nie zdejmował bomby. Mnie oczywiście nie podobał się ten pomysł.

– Chcesz, żebym zdjął bombę? – spytałem.

Przestali się kłócić.

– Dalej, zdejmuj – ponaglił Arturas. – Nie mogę ryzykować przeszukiwania po powrocie.

Zdjąłem płaszcz, potem delikatnie kamizelkę, którą zawiesiłem na oparciu krzesła w gabinecie sędziów.

– Dzwon do Jimmy'ego – polecił Arturas i podał mi swój telefon.

– Chciałbym później skorzystać z łazienki – oznajmiłem i modliłem się, żeby Harry zdążył już wrócić z wypadu do sklepu AMPM Security i zdołał w odpowiednim miejscu ukryć zamówione przeze mnie wyposażenie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Chciałem już wyjść, gdy nagle pojawił się Arturas, jakby się tego spodziewając.

– Pójdziemy do łazienki na dole – oświadczył. – Zaprowadzi cię Wiktor.

– Wolę zostać tutaj – stwierdziłem.

– Jeżeli nie będziesz grzeczny, przez resztę życia będziesz srał w worek.

Wiktor poprowadził mnie do schodów i zeszliśmy piętro niżej. Schody tonały w ciemności. Po dwudziestej pierwszej światła pała się tylko na piętrach, na których odbywają się nocne rozprawy.

Znalazłem łazienkę i zanim Wiktor zdążył zaprotestować, dałem nura do środka.

Było to dość duże pomieszczenie, do którego wchodziło się wprost z korytarza. Zamek poruszył się wolno i cicho, gdy przekręcałem go o sto osiemdziesiąt stopni. Byłem bezpieczny... no, niezupełnie, Wiktor w każdej chwili mógł zażądać, żebym otworzył.

Z hukiem opuściłem deskę klozetową, wyobrażając sobie, że Wiktor podejrzliwie słucha pod drzwiami – ale wmówiłem sobie, że to tylko igra ze mną wyobraźnia.

Gdzie Harry to wetknął? – myślałem, rozglądając się po łazience. Moje poszukiwania kiepsko się zaczęły. Podniosłem porcelanową pokrywę spłuczki i omal się nie stłukła, kiedy z hukiem wysmyknęła mi się z rąk.

Czekałem, wstrzymując oddech.

Wiktor milczał.

Szafka pod spłuczką była zamknięta. Sprawdziłem, czy kafelki są poluzowane. Potem zauważyłem ślad za pojemnikiem na papierowe ręczniki.

Idealne miejsce – przymocowane do ściany, nieużywane urządzenie dozujące papierowe ręczniki. Otworzyłem pokrywę i zajrzałem do środka. Leżała tam papierowa torba. Wyjąłem ją bez trudu, bo podajnik ręczników był wyłamany. Otworzyłem torbę – nie brakowało niczego.

SEDNA – spray w buteleczce wielkości próbki perfum był łatwy do ukrycia. W torbie była też latarka z ultrafioletowym światłem, dzięki której mogłem oświetlić ślady pozostawione przez SEDNA, widoczne tylko w świetle ultrafioletowym.

Łudząco podobny do detonatora miniaturowy telefon komórkowy działał w nielegalnej, pirackiej sieci. Dzięki temu nikt nie był w stanie mnie namierzyć.

Nagle usłyszałem dzwonek telefonu i omal w panice nie wypadło mi

wszystko z rąk. Sygnał zamilkł i usłyszałem Wiktora rozmawiającego przed drzwiami. Podczas rozmowy spacerował, ledwo słyszałem, co mówi.

Harry wykonał dobrą robotę. Włączyłem telefon i upewniłem się, że jest wyciszony. Wybrałem numer i czekałem dobre dziesięć sekund.

– Kto mówi?

– Chcę pilnie rozmawiać z Jimmym, mówi Eddie Flynn.

– Chwila.

Słyszałem rozmowę po drugiej stronie.

– Zadzwoń na ten numer... – polecił Jimmy.

Połączyłem się ze wskazaną, bezpieczną linią.

– Co się, u diabła, dzieje? – zapytał Jimmy „Kapelusznik” Fellini z miękkim, włoskim akcentem.

Ściszyłem głos:

– Mam cholerne kłopoty. Pewni ludzie uprowadzili Amy. Mogę rozmawiać tylko kilka minut. Nie daj po sobie poznać, że rozmawialiśmy. Mam dużo spraw do omówienia i niebawem się zobaczymy. Ale nie będę sam – mam na karku porywaczy. Nie zawieź mnie.

– Eddie, potrzebujesz pieniędzy? – zapytał Jimmy.

– Nie. To ja przyjdę do twojej restauracji, żeby tobie dać pieniądze. Między innymi chcę za nie kupić oddział uderzeniowy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Po dziesięciu sekundach ciszy miałem absolutną pewność, że Wiktor nie odkrył, że coś kombinuję. Słyszałem, jak snuje się w pobliżu łazienki. Nawet nie brałem pod uwagę, że może mnie przyłapać na tej rozmowie.

Zostały mi jeszcze dwa połączenia.

Wybrałem numer Harry'ego i zostawiłem mu wiadomość. Odbierze ją do czwartej rano, kiedy skończy się nocna rozprawa. Zawiadomiłem go, że odebrałem towar, podziękowałem i dodałem, że liczę na jego pomoc.

Czułem coraz większe napięcie. Klawiatura w telefonie była tak mała, że nie mogłem wybrać właściwego numeru. A dodatkowo trzęsły mi się ręce. Jednak prawdziwą przyczyną mojego zdenerwowania było osłabienie i stres. Na szczęście po chwili odczytałem zapisany na odwrocie wizytówki FBI numer i udało mi się wystukać właściwe cyfry.

Ta rozmowa mogła mnie wiele kosztować, ale musiałem zaryzykować. Zmodyfikowana nokia ze specjalną kartą SIM była sporym wydatkiem. Zakresem obejmowała całą sieć telefonów mobilnych i łapała sieć adresata połączenia. Do kogokolwiek zadzwonię, zostanie to zarejestrowane, tak jakby on połączył się sam ze sobą. W telefonach stacjonarnych połączenia mogły zostać wykryte tylko przypadkowo i równie przypadkowo mogły być zarejestrowane połączenia z komórkami. W dodatku ta sama linia nigdy nie jest wykorzystywana dwa razy.

Ktoś odebrał.

– Taaa...? – Usłyszałem męski głos z amerykańskim akcentem.

– Halo, mogę rozmawiać z operatorem, jeśli wolno? – zapytałem.

– Co? Z operatorem? Pewnie wybrał pan zły numer – usłyszałem. Facet po drugiej stronie brzmiał, jakby nie rozstawał się z papierosem. Słyszałem płytki oddech i lekki barytonik nałogowego amatora nikotyny.

– Przepraszam. Znowu używam żargonu technicznego. Jestem tu nowy, a oni mówili, że bym tego nie robił. Jeżeli mogę prosić, to chciałbym mówić z właścicielem tego numeru.

– Mówić. A kto chce mówić?

– Pańska firma telekomunikacyjna. Niestety dzwonię, żeby uprzedzić, że pański telefon zostanie wkrótce odłączony od sieci. Jeżeli ma pan ochotę gdzieś pilnie zadzwonić, albo przewiduje pan, że może się wydarzyć coś wymagającego natychmiastowego połączenia, to sugeruję, żeby pan to zrobił teraz.

Mówiłem jednostajnie, jakbym odczytywał przygotowany tekst; tak

naprawdę samemu nie bardzo rozumiejąc, co mówię. Jak prawdziwy pracownik sieci telefonicznej.

– Pan mnie nie wyłączy. Dlaczego miałby pan wyłączyć?

– Ma pan zaległy rachunek.

– To bzdura. To telefon firmowy. Płaci za niego Federalne Biuro Śledcze, synu – podał mi pełną nazwę.

– Obawiam się, że nie płaci, sir. Chyba że zapłaci mi pan sześćdziesiąt sześć osiemdziesiąt w ciągu następnych kilku minut. Jeśli nie, to odłączę telefon.

– Nie może pan tego zrobić. Już panu mówiłem, że za ten numer płaci FBI.

– Obawiam się, że nie, sir. Płaci pan czy nie?

– Nie. Zostało już zapłacone.

– Zatem muszę pana odłączyć.

– Już mówiłem, że nie może pan tego zrobić. A w ogóle, jak pan to chce zrobić?

– Zrobię to. Jeżeli pan nie wierzy, to proszę spróbować zatelefonować po odwieszeniu słuchawki.

Natychmiast się wyłączył. Ja nie. Użyłem jego sieci komórkowej i złapałem go. Gdyby teraz próbował zadzwonić na komórkę – a byłem pewien, że tak właśnie robi – to nie udałoby się mu wybrać numeru tonowo.

Odczekałem trzydzieści sekund, słuchając, jak Wiktor śmieje się do telefonu, a potem znowu do niego zadzwoniłem.

– Widzi pan? – powiedziałem.

– Jak pan to zrobił? – zapytał.

– Po prostu nacisnąłem pewien guzik. To wszystko. Zapłaci pan rachunek?

Westchnął i zamilkł. Przez chwilę myślałem, że przegiąłem. Ta rozmowa była zbyt ryzykowna; nie powinienem jej przeprowadzać. Przyłożyłem kciuk do wyłącznika i czekałem. Modliłem się, żeby przez te zagrywki nie stracić telefonu. Był mi potrzebny, żeby rozprawić się z Rosjanami.

– Uznaje pan karty kredytowe? – spytał.

Omam nie skoczyłem pod sufit.

– Jasne, ale przedtem proszę o numer i nazwisko figurujące na karcie, dobrze?

Chwila ciszy, a potem:

– Nie da rady. To jakiś przekręt.

– Chyba nie sądzi pan, że jakiś oszust chciałby zrobić przekręt z pana numerem telefonu? – zapytałem.

– No nie, ale...

– Okej, nazwisko?

– Po co panu nazwisko? Przecież zadzwonił pan do mnie. Jestem klientem, czy nie? Po co panu nazwisko?

– Muszę zweryfikować je z tym na karcie. To nie Al Kaida.

Był to dosyć słaby pomysł, który jednak mógł chwycić. Przynajmniej miałem taką nadzieję.

– Mam wszystkie pańskie dane, ale oczywiście nie wiem, czy rozmawiam z właściwym klientem. Każdy mógł odebrać pański telefon, więc muszę mieć dane identyfikacyjne z pańskiej karty.

Następna dręcząca cisza.

– Mówił pan, że dzwoni z mojej firmy telekomunikacyjnej. No to proszę mi powiedzieć, w jakiej sieci mam telefon?

Spojrzałem na wskaźnik sygnału na szczycie ekranu; zobaczyłem znak AP&K.

– AP&K, proszę pana. Czy chce mnie pan zapytać, jakiego koloru noszę spodnie?

– Co... – Przerwał i zassał powietrze przez zęby.

W każdej chwili mógł się wściec, ale założyłem, że był naiwny. Dzięki Bogu był z FBI, a nie z DEA. Gliniarze i agenci FBI cały czas dostają kopa. Znałem oszustów, którzy wyłącznie celowali w gliniarzy i federalnych, ponieważ są bardziej ufni i bardziej wierzą w autorytety. Stare baby i gliniarze to łatwe cele.

– Nazywam się Thomas P. Levine – powiedział.

– Dziękuję, panie Levine. Może pan podać typ karty i potwierdzić pierwszą część adresu?

Wiktor walnął w drzwi. Miałem już to, co chciałem. Udałem, że pobieram opłatę i wyłączyłem komórkę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Wspinając się po słabo oświetlonych schodach z Wiktorem depczącym mi po piętach, nie mogłem jakoś wyobrazić sobie, jak ten Thomas P. Levine wygląda. Po powrocie do gabinetu sędziów zastanawiałem się nad tym, a potem zadzwoniłem z telefonu Arturasa.

– Mogę rozmawiać z Jimmym? – zapytałem.

– Kto chce mówić? – usłyszałem czyjś głos.

– Powiedz, że jego prawnik.

Zgłosił się Jimmy.

– Wiesz, która godzina? – spytał.

– Tu Eddie – odparłem.

Cisza. Ja też milczałem. Czekałem.

– Zostań tam. Oddzwoń na ten numer – polecił Jimmy.

Zapamiętałem numer i oddzwoniłem.

Szybko odebrał.

– W porządku. Nikt nie słucha. Co jest?

– Mam dla ciebie cztery miliony. Jest dla ciebie robota i łatwa forsa. Trzeba kogoś uciszyć – wyjaśniłem.

– Na tym się znamy jak mało kto. Kiedy przyjdiesz?

– Najpierw skasuję forszę – wkrótce.

– Bądź o szóstej. Będę jadł śniadanie. W tym czasie mają zmianę. W tym rejonie jest dużo ciekawskich ptaszeków z różnych agencji, więc musisz zrobić sobie dłuższy spacer i podejść do bocznego wejścia. Pukaj trzy razy. Trzymaj się. Do zobaczenia.

Koniec rozmowy.

Nasze drogi z Jimmym rozeszły się, gdy zerwałem z tym życiem. Federalni, NYPD, Departament Sprawiedliwości, Urząd Celny i Bóg wie kto jeszcze, wszyscy skupili uwagę na mafii. Kontakty z Jimmym mogły mi wtedy zaszkodzić. Widywaliśmy się bardzo rzadko. Już zapomniałem, że spotkanie z Jimmym wiązało się z pewnym ryzykiem. Dostarczenie czterech milionów bez wiedzy którejś z tych organizacji mogło się okazać po prostu niemożliwe. Gdy tylko o tym pomyślałem, z miejsca miałem ochotę zrezygnować, ale to nie było takie proste. Byłem niezmiernie zmęczony. Klnąc, kopnąłem pustą walizkę na podłodze. Zatrzymała się pod drzwiami.

– Jest problem – oznajmiłem.

– Co? Chce więcej forsy? – spytał Arturas.

– Nie. Ma towarzystwo. FBI, AFT, DEA, wybierz sobie, co chcesz. Rozbili

tam namioty czy co. Musimy być ostrożni. Jeżeli zobaczą, jak holuję forszę, aresztują mnie razem z resztą nowojorskiej mafii.

– To sobie odpuść. I tak już za dużo ryzykowaliśmy. Załatwimy to z Bennym po swojemu, zaraz zadzwonię do Olega i powiem, co jest grane – powiedział Arturas.

– Chwila. Powiedziałem, że jest problem, ale nie mówiłem, że to niemożliwe. Coś wymyślę. Chyba nie sądzisz, że mam w nosie, co się stanie ze świadkiem? Przecież chcę odzyskać córkę! Zrobię wszystko, żeby Wołczek nie musiał zabijać Małego Benny'ego. To ważne dla twojego bossa.

To wywołało następną kłótnię między Rosjanami. Wprawdzie nie znałem rosyjskiego, ale usłyszałem, jak kilka razy padło „Benny”. Arturas aż kipiał z wściekłości; jego kark i pierś poczerwieniały, ślina ściekała mu z ust, gdy wydzierał się na Wiktora, krzycząc „Benny!” i „niet, niet, niet!”. Potem usłyszałem „Benedykta” i coś, co nie całkiem chwyciłem, a brzmiało jak „mój brat”. To ostatnie rozchodziło się echem po całym pokoju. Mówili o Małym Bennym, ale nie mogłem zrozumieć, o co chodzi.

Wiktor powoli się uspokajał, wydawało się, że Arturas go przekonał.

– W porządku. Idziemy po forszę. Ty też idziesz. Potem pojedziemy prosto do Jimmy'ego – oświadczył Arturas.

Czwarta rano. Mamy dwie godziny na podjęcie forsy, a potem do restauracji.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Wyjść z sądu było dużo łatwiej niż wejść. W lobby tłoczyły się rodziny i przyjaciele aresztowanych i ubiegających się o kaucję. Na dole przy schodach grupa gliniarzy dowcipkowała, popijając parującą kawę. Nie rozpoznawałem żadnego ochroniarza z nocnej zmiany. To było bez znaczenia, kiedy wychodzisz z sądu, nie jesteś rewidowany.

Na ulicy uderzył w nas podmuch zimnego wiatru. Sprawilo mi to przyjemność. Buzowała we mnie adrenalina, a to był dopiero początek. Zimne powietrze orzeźwiało i dodawało animuszu. Gregor został na górze. Byłem tylko ja, Arturas i Wiktor. Skierowaliśmy się do limuzyny stojącej po drugiej stronie ulicy. Wsiadłem pierwszy. Za mną Wiktor, po nim Arturas. Gdy wsiadł, pochyliłem się ku niemu, poklepując się rękami, udając, że wyglądam poły płaszcz.

Arturas chrząknął.

Nie mógł czuć ani tego, że coś mu wsuwam, ani że wyjmuję.

Wyciągnąłem z kieszeni płaszcz detonator, tym razem ten prawdziwy, i wrzuciłem tam atrapę, którą wcześniej mu zabrałem, oraz fałszywkę, którą Harry załatwił mi u Paula. Teraz Arturas miał dwa detonatory, tak jak poprzednio – ale tym razem oba były fałszywe. Gdy wsuwałem do kieszeni prawdziwy detonator, poczułem, że jest trochę cięższy od fałszywek. W moim dawnym fachu nauczyłem się wyczuwać takie niuanse. Arturas nie zauważył różnicy, no w każdym razie miałem taką nadzieję. Odkryłem, że prawdziwy detonator trzymał w lewej kieszeni, zaś fałszywy w prawej. Chyba nie chciał się pomylić.

Gdy limuzyna ruszyła z miejsca, ujrzałem, że parkowała przy małym Tapas-Bar, gdzie pierwszy raz spotkałem się z Harrym na lunchu. Harry na tym spotkaniu zaproponował mi pracę. Przedtem nigdy nie miałem stałego zajęcia. Nie było mi potrzebne, albo zwyczajnie nie chciałem. Z drugiej strony moja matka była przekonana, że pracuję jako praktykant w kancelarii adwokackiej. Dzień po spotkaniu z Harrym odwiedziłem ją w szpitalu. Po śmierci ojca mama zaczęła podupadać na zdrowiu. Co tydzień dawałem jej pieniądze, więc nie musiała pracować, ale wydawało się, że przez brak pracy robi się coraz słabsza. Przed południem rzadko wstawała z łóżka i nie spotykała się już z przyjaciółmi. Nawet przestała czytać.

Tego dnia, tego ostatniego dnia, sprawiała wrażenie bardzo zmęczonej. Skóra na jej twarzy była tak cienka, że myślałem, iż w każdej chwili może pęknąć. Miała suche, popękane wargi, wilgotne włosy opadające na błądą

skórę. Lekarze nie byli pewni, co było przyczyną utraty wagi, bólu i kaszlu. Podejrzewali stwardnienie rozsiane lub nowotwór.

W głębi duszy wiedziałem, co było przyczyną jej śmierci. Doznana strata.

Odkąd zmarł mój ojciec, żyła dla mnie. Niewiele płakała, nie chciała, żebym widział jej smutek. Ale mimo wszystkich wysiłków ja o tym wiedziałem. Wiedziałem, że w środku była już martwa. Gdy tylko zacząłem zarabiać pieniądze i ona uwierzyła, że miałem dobrą, uczciwą pracę, po prostu jakby się zatrzymała. Jakby już zrobiła swoje; wychowała mnie, byłem samodzielny i teraz już może mnie opuścić. Jej życie miało sens tylko z moim ojcem. I tak powoli umierała ze złamanym sercem.

Gdy przynosiłem kwiaty, zauważyłem błysk w jej oczach. Kochała kwiaty.

Trzymała mnie za rękę i widziałem łzę połyskującą na jej policzku.

– Dobrze się czujesz? Bardzo cię dziś boli?

– Nie. Nie boli. Jestem szczęśliwa. Mam wspaniałego syna, który pewnego dnia zostanie adwokatem.

Jej uśmiech uderzył mnie jak mocny cios. Nie mogłem jej wytłumaczyć. Nieważne, ile razy jej to mówiłem, ona nie mogła zrozumieć, że praktykowanie w kancelarii niekoniecznie oznacza, iż zostanę adwokatem. Nie słuchała. Chciała marzyć o swoim synu, więc w końcu odpuściłem sobie. Gdybym jej powiedział, że nie jestem aplikantem w kancelarii, tylko zwykłym oszustem udającym prawnika, który nabiera towarzystwa ubezpieczeniowe, na pewno by mnie nie słuchała i wymazałaby to z pamięci. W jakimś sensie to kłamstwo dało mi poczucie odpowiedzialności za nią. Gdyby знаła prawdę, być może wtedy poddałaby się i szybciej umarła? Gdybym powiedział jej prawdę, pewnie rozpaczałaby, płakała i chciała, abym porzucił takie życie, wyjaśniała, że mój ojciec chciał dla mnie czegoś lepszego. Gdy siedząc na jej łóżku, patrzyłem, jak zasypia, powziąłem decyzję, że muszę sprawić, aby była dumna ze swego syna.

Jej ręka wysunęła się z mojej, wiedziałem już, że nie śpi. Zabrzmiał alarmem ciągły sygnał monitora pracy serca. Nikt nie przyszedł. Potem pielęgniarka powoli otworzyła drzwi, wyłączyła monitor, położyła dłoń na czole mojej mamy i powiedziała:

– Umarła.

Pochowałem ją obok ojca. Zapłaciłem moim ludziom, zadzwoniłem do Harry'ego, który załatwił mi miejsce w szkole prawniczej i do chwili, gdy Arturas wbił mi u Teda lufę spluwy w plecy, nigdy już nie oglądałem się za siebie. Zostawiłem za sobą życie oszusta. Ale teraz byłem zadowolony, że nie straciłem dawnych umiejętności.

Harry tego dnia, kiedy proponował mi pracę, ocalił mnie. Wziął w swoje ręce mój los i zmienił moje życie. Podskórnie wiedziałem, że czuł się za mnie odpowiedzialny.

Klakson samochodowy przywrócił mnie do rzeczywistości. Szyby w oknach limuzyny były mocno przyciemnione i miałem kłopot z ustaleniem, gdzie

jesteśmy. Po kilku minutach zorientowałem się, że jedziemy na południe, w kierunku Brooklynu. Wkrótce dotarliśmy do tunelu Brooklyn-Battery. Używałem starej nazwy „Battery”, chociaż zmienił nazwę na tunel Hugh L. Careya, na cześć byłego gubernatora Nowego Jorku. Mój ojciec często mówił, że Carey to dobry katolik; to była prawda – Carey miał czternaścioro dzieci.

– Dokąd jedziemy? – zapytałem.

– Sheepshead Bay – odpowiedział Arturas.

Dobrze znałem tę zatokę. Była położona blisko miejsca, w którym dorastałem. Oddzielała Brooklyn od Coney Island i rozciągała się od leżących wzdłuż brzegu hałaśliwych barów rosyjskich po cichą, spokojną dzielnicę. Jechaliśmy jeszcze jakieś trzydzieści minut. W końcu znaleźliśmy się na parkingu za warsztatem i sklepem samochodowym na rogu Gravesend Neck Road i East 18th Street, przed starym domem towarowym.

– Chodź ze mną – powiedział Arturas.

Wysiedliśmy i rozejrzałem się. Okolica była zabudowana apartamentowcami i w większości zamkniętymi jeszcze biurami. O tej porze ulica była spokojna. Chodniki i jezdnia były śliskie po nocnym przymrozku. Podeszliśmy do stalowych drzwi prowadzących do domu towarowego. Weszliśmy do dużego, umeblowanego biura. Pod wschodnią ścianą stały dwie kanapy frontem do wysoko umocowanego na ścianie ekranu telewizora. Telewizor był włączony na kanale informacyjnym. Znany prezenter nawijał coś przed zdjęciami przedstawiającymi rzekę Hudson. Na pasku u dołu ekranu wyświetlano informację o tym, że patrol portowy zaczął wyciągać ciała ze statku towarowego *Sasza*, który zatonął w sobotnią noc z całą załogą. Nagłówek mówił, że znaleźli statek i kilku członków załogi, ale jak na razie wydobyli tylko ciała. Z relacji prezentera wynikało, że odnalezienie statku było dobrą wiadomością dla dojeżdżających do pracy przez zamknięty na czas poszukiwań tunel Holland, który mógł teraz zostać ponownie otwarty. Prezenter wydawał się bardziej zainteresowany utrudnieniami w ruchu niż rodzinami zaginionych. Nie mógł być nowojorczykiem, my troszczyliśmy się o siebie nawzajem.

Z przyległego pokoju w milczeniu wyszło dwóch mężczyzn. Każdy niósł dużą sportową torbę. Rzucili torby na podłogę i wyszli. Pomyślałem, że to pewnie kierowcy furgonetek, których wcześniej widziałem z gzymsu, ale nie byłem pewny.

– Cztery miliony. Bierz i ruszaj – rzucił Arturas.

– Nigdzie nie idę. Jeśli tam pójde z tą forszą i okaże się, że braknie choćby dolar, to jestem trupem. Nigdzie nie pójde, dopóki nie przeliczymy pieniędzy. Jeżeli mam powiedzieć Jimmy’emu, że przynoszę cztery miliony dolarów, to muszę mieć całkowitą pewność, że jest tu dokładnie tyle, bo w przeciwnym razie zarobię kulkę w łeb – stwierdziłem.

Ukląknę, otworzyłem torby i zacząłem przeliczać grube na dziesięć centymetrów, ciasno opasane pliki banknotów.

Kłęcząc, nie spuszczałem wzroku z Arturasa i Wiktora.

Po kilku minutach przede mną na podłodze leżał ogromny stos banknotów. Arturas kiwnął na Wiktora, aby wyszedł z nim do holu. Przesuwając się na kolanach, mogłem kontrolować, gdzie znajdują się obaj mężczyźni. Arturas stał plecami do mnie i zasłaniał Wiktorowi widok na pokój.

Małą, czarną buteleczkę z płynem łatwo było ukryć i trudno znaleźć w obszernej kieszeni. Nasadka dała się cicho zdjąć i nacisnąłem cztery razy dyszę spreju, posyłając w kierunku szczytu góry banknotów mgiełkę płynu. Założyłem nasadkę i wsunąłem buteleczkę do kieszeni płaszcza.

Czterdzieści pięć minut później udałem, że skończyłem liczenie pieniędzy. Wstałem, rozmasowałem bolący kark i klnąc z bólu, krzyknąłem do Arturasa:

– Słuchaj no, czy Wiktor teraz nie ma nic do roboty?! Poproś go, żeby pomógł mi zapakować torby!

Wiktor ukląkł obok mnie. Upewniłem się, że stos zaznaczony przeze mnie znalazł się blisko niego. Za każdym razem, gdy chwycił plik banknotów, dotykał pozostawionego na nim spreju. To pozostawiało niepowtarzalny ślad, chemiczny podpis łączący Wiktora z pieniędzmi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Limuzyna wyruszyła spod domu towarowego, kierując się do restauracji Jimmy'ego. O tej porze ulice Nowego Jorku było przejezdne, więc droga zabrała nam jakieś trzydzieści minut. Była to dla mnie najgorsza podróż w życiu. Siedziałem w aucie z czterema milionami dolarów u stóp, gotów zapłacić największemu twardzielowi, jakiego w życiu spotkałem, aby znalazł moją córkę.

Przejeżdżając przez dolny Manhattan, zobaczyłem sprzedawców burrito ustawiających swoje wózki na rogach ulic i otwierające się na powitanie budzącego się miasta stoiska z gazetami. Pierwsze promienie słońca na moment pojawiły się między budynkami i wtedy poczułem, jak bardzo jestem wyczerpany. Zabrakło już adrenaliny, nie spałem przez dwadzieścia cztery godziny i gdy to sobie uświadomiłem, dostałem napadu ziewania.

Jimmy był właścicielem dużej restauracji, jednej z najlepszych, mieszczącej się w centrum Little Italy, przy Mulberry Street. Wiedziałem, jak się tam dostać, nie będąc zauważonym przez szpiegujących Jimmy'ego detektywów i paparazzich.

– Skreć w prawo w Mott Street – poleciłem.
– Dlaczego? – sprzeciwił się Arturas.
– Musimy wykiwać ludzi obserwujących restaurację. Nie mogę tak po prostu pójść do Jimmy'ego z torbami pełnymi forsy. Na Mott Street jest targ rybny. Zatrzymaj się tam. Muszę pogadać z kilkoma facetami, którzy mogą nam pomóc.

Arturas nie odpowiedział natychmiast. Wymienił szybkie spojrzenie z Wiktozem, zanim polecił kierowcy, aby skreślił w Mott Street.

– Posłuchaj mnie, prawniku. Jeżeli kombinujesz, jak zwiąć, to chyba powinieneś wiedzieć, że ci to nie wyjdzie. Na początek zabiję twoją córkę, bardzo powoli. Żeby cierpiała. Potem znajdę ciebie i też zabiję. Znasz nazwisko Kruczkur?

– Nie. A powinienem?
– To były radziecki dowódca. Po upadku Związku Radzieckiego przybyłem tu z Olegiem i zaczęliśmy rozkręcać nasz biznes. Kruczkur zorganizował nam zaopatrzenie w broń i narkotyki. Został aresztowany w czasie czystki ludzi starego systemu sowieckiego, ale zwiął z większością naszych pieniędzy i z naszym ładunkiem na statku.

Arturas przesunął się na siedzeniu i wyprostował plecy, tak że teraz opierał się o mnie.

– Rok później znalazłem go w Brazylii. Jego żona i syn umarli pierwsi. Kazałem mu na to patrzeć. Powtórzę to, co już wiesz – przede mną się nie ukryjesz. Pamiętaj.

Niczego nie upiększał. Podał tylko suche fakty, jasno, obojętnie.

– Nie chcę uciekać. Chcę odzyskać córkę. Ale musisz zrozumieć, że rozgrywam własną grę, bo chcę, żeby wróciła. Ona jest dla mnie wszystkim – więc odpuść sobie teksty o mojej ucieczce.

Limuzyna jechała wolno Mott Street. Powiedziałem Arturasowi, że nie mam pewności, czy boczne wejście do restauracji jest bezpieczne. Wprawdzie nie wiedziałem, jak jest w rzeczywistości, ale moim przybyciem chciałem wyrzucić wrażenie na Jimmym. Nie podjąłbym ryzyka, gdyby nie stawka, o jaką walczyłem, no i przyjaźń z Jimmym. Nie mógłby mi zaufać, gdybym wkradł się tylnymi drzwiami. Musiałem wejść od frontu, ale postarać się to zrobić tak, żeby nie zostać zauważonym przez gliniarzy i agentów – niech Jimmy zobaczy, że wrócił *prawdziwy Eddie*.

– Zatrzymaj się tutaj – poleciłem. – Potrzebuję pięciuset dolarów, ale nie z tych czterech milionów. Znam paru chłopców, którzy pomogą mi niepostrzeżenie wejść do restauracji.

Wiktor wręczył mi pięć setek zwiniętych w rulonik. Wsiadłem z limuzyny i poszedłem na targ rybny.

Dziesięć minut później stałem na rogu, pół przecznicy od restauracji Jimmy'ego. Limuzyna czekała na ulicy. Szedłem, obserwując okolice i szukając ludzi kontrolujących wejście do restauracji. Tę restaurację Jimmy otworzył przed rokiem. Obok znajdowały się wtedy dwie knajpy; jedna serwowała po prostu całkiem przyzwoite jedzenie. Druga na odmianę polecała jakieś wyszukane dania. Obie knajpy zamykano około dziewiętnastej, nie stanowiły więc dla restauracji Jimmy'ego konkurencji. Jednak ciągle miały gości, były po prostu dobre. Nie płaciły Jimmy'emu za ochronę i od miesięcznych zysków. W końcu Jimmy kupił obie nieruchomości i urządził w nich magazyny. Agenci FBI czy AFT, do których należało obserwowanie Jimmy'ego nie mogli już wstępować na kawę do tamtych knajp i opierając się o kontuar, obserwować restauracji Jimmy'ego. Zwolniłem i w ciągu minuty natknąłem się na agentów – brązowa furgonetka z zaciemnionymi szybami; niedopałki papierosów na bruku przy oknie dla pasażera – kapusie.

W samochodzie prawdopodobnie była aparatura do szpiegowania. Każdy miał przydzielone zadania – była tam pewnie osoba, która obserwowała ruch w pobliżu restauracji i jeszcze jedna obserwująca gości Jimmy'ego. Na chodniku zauważyłem motocykl, czarną hondę. Motocyklista wydawał się spędzać dużo czasu na kawie – harcerzyk numer jeden. Innych dwóch zajmowało optymalne punkty obserwacyjne. Numer dwa siedział w samoobsługowej pralni z widokiem na samochody i trasę prowadzącą do stacji kolejki podziemnej. Resztę wypatrzyłem w oknach, wyraźnie rzucali się w oczy. Potem zwróciłem uwagę na faceta w oknie w wygniezionej koszuli,

jakby w niej spał. Patrzył na niebo, i to właśnie on był dla mnie największym problemem; chyba że znalazłbym się po drugiej stronie ulicy, naprzeciw restauracji, poza zasięgiem jego wzroku. Natychmiast zająłem tę pozycję, parkując tyłek na ławeczce przy przystanku autobusowym i obserwując wszystko dookoła.

Pierwszy raz zetknąłem się z Petem Tulisim przed dwoma laty. Pete pracował cały czas na targu rybnym przy Mott Street. W każdy piątek brał wypłatę i szedł do baru, wydając wszystko co do centa na wódkę, a potem wszczywał bójkę. W jego policyjnej kartotece odnotowane były liczne pobicia, wywoływanie zamieszek i tym podobne. Gdy sąd nałożył na niego wysoką grzywnę, Pete przestał płacić rachunki za usługi prawnicze i wtedy uzgodniliśmy barter, usługi za ryby. Pilnowałem jednak, żeby zapłacił grzywnę. Moja zapłata mogła poczekać.

Wcześniej zadzwoniłem na Mott Street, potem wyłożyłem pięćset dolarów, które miałem od Wiktora – i teraz Pete był już gotów do odstawienia dla mnie przedstawienia.

Chłopak Pete'a, kierowca furgonetki dostawczej z doków, zatrzymał się zaraz przy lokalu Jimmy'ego, żeby zawiązać sznurowadło. Na mój sygnał zza rogu wyszedł Pete i chłopak natychmiast stanął przed nim. Obaj mężczyźni zmierzyli się wzrokiem i nagle zerwali z siebie płaszcze, a potem koszule. Sekundę później Pete i jego chłopak zaczęli bijatykę. Obaj byli wielkimi facetami; pięści baseballistów, ramiona futbolistów. Każdy ważył ze sto dwadzieścia kilo, ale nie przywalali sobie z całą siłą – mój stary nazwałby to prawdziwym fingowaniem walki.

Wkrótce przetaczali się po chodniku, za każdym razem wywracając kubły ze śmieciami. Miałem szczęście. Pokazali się ci z NYPD, ale nie rozdzielili walczących. Chłopaki dalej się okładały, jednocześnie przesuając się w dół Mulberry Street i oddalając od restauracji. Pete razem ze swoim chłopakiem kolejno potrącał parkujące samochody, uruchamiając alarmy i ogólnie hałasując jak to tylko możliwe. Policjanci nie interweniowali, pozwalając im opaść z sił. Policja, mając do czynienia z takimi osiłkami, nie ma gwarancji, że poskutkują paralizatory.

Pięćset dolarów to niewiele za długą i sprawnie zaaranżowaną walkę.

Przez chwilę przyglądałem się chłopakom, później zerknąłem na agentów w oknach i zauważyłem, że ci ostatni nie mogli oderwać oczu od walczących. Podjechała do mnie limuzyna i otworzyły się drzwi po stronie pasażera.

– Liczenie pieniędzy banknot po banknocie nie powinno trwać dłużej niż pół godziny. Jeżeli zostaniesz tam więcej niż godzinę, zadzwonię gdzie trzeba i twoja córka zginie – oznajmił Arturas.

– Zapomniałeś, że mam Tony'emu streścić, co ma mówić dzisiaj w sądzie. Potrzebuję dwóch godzin – odparłem.

– Daję ci godzinę, nie więcej.

Godzina to za mało. Musiałem działać szybko.

Na moim zegarku była 6.01 rano. Mniej niż dziesięć godzin do nieprzekraczalnego terminu. Wziąłem od Arturasa dwie torby z pieniędzmi i poszedłem do Jimmy'ego przez drzwi frontowe. Nikt mnie nie zauważył i nagle przede mną znalazła się lufa colta .45 automatic.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Przy drzwiach natknąłem się na osiłków. Dwaj faceci Jimmy'ego. W czarnych, skórzanych kurtkach i dopasowanych spodniach. Niższy trzymał colta, celując w moją pierś. Torby z pieniędzmi zarzuciłem na ramiona.

– Jimmy spodziewa się mnie. Nazywam się Eddie Flynn.

– Ręce na ścianę – rzucił facet z coltem. Nie był aż tak brzydki jak jego kumpel. Miał czarne kręgi pod czarnymi oczami, które były ledwo widoczne pod wystającym jak u troglodyty czołem. Jego towarzysz był wyższy i zapewne urodził się z nosem, zanim ktoś postanowił mu go odgryźć. Środek jego twarzy znaczyła czerwona blizna podkreślona dwoma czarnymi cięciami przechodzącymi przez nos.

Nie poruszyłem się.

– Nieważne, kim jesteś. Nie przejdiesz, póki cię nie obmacam – powiedział ten z coltem.

– Nie dotkniesz mnie ani tych toreb. Mam tu cztery miliony powodów, które mogą zabołec cię i twojego kumpla, Rudolfie. Jeżeli teraz nie wejdę, Jimmy będzie chciał wiedzieć, który z was, dupki, mnie nie wpuścił. Powiem mu, który to z was... No, a teraz przepuście mnie elegancko, albo tak was pocałuję, że się już nigdy nie obudzicie.

Faceci spojrzeli po sobie.

– Wdepniesz tam, gdzie nie trzeba, a zaraz cię stąd wykopiemy.

Obaj skierowali lufy w moją głowę i poprowadzili w głąb restauracji. O tej porze dnia zajęty był tylko jeden stół, przy którym Jimmy spotkał się ze swoimi ludźmi na śniadaniu. Zasadniczo było to skromne śniadanie, ale z obsługą kelnerską.

Pomieszczenie wcale nie przypominało mety gangsterów. W każdym razie nie tego dnia. Obecny był radca prawny, doradca, ale nie było żadnych *capi* mafii, żadnego bossa bossów; zostawmy to Scorsese i Coppoli.

Oczywiście mafia nie działa jak jakiś kolektyw komunistyczny. Szefem był Jimmy, ale rodziny współpracowały ze sobą i wybierały przewodniczącego komitetu. Z tych dziesięciu chłopców siedzących przy stole każdy pewnie miał na koncie co najmniej jedno zabójstwo. Jimmy zapewne więcej. Taka była jego rola. Tutaj funkcje dostosowane były do konkretnych umiejętności. Na przykład Kuzyn Albie, który był kuzynem wszystkich bez względu na to, czy byli jego krewnymi, ukończył szkołę średnią, college i był wykwalifikowanym księgowym. Zadaniem Albiego było kontrolowanie przepływu pieniędzy – duże depozyty i pranie pieniędzy według metody „brudnej trzydziestki”. Albie

twierdził, że istnieje trzydzieści niezawodnych sposobów prania brudnych pieniędzy, ale musisz użyć wszystkich trzydziestu naraz. Używając tylko jednej metody, można wpaść, natomiast przy trzydziestu ograniczasz ryzyko i masz większą pewność, że utrzymasz wszystko w tajemnicy. Albie ubierał się elegancko, wyglądał młodo i profesjonalnie, wcale nie przypominał gangstera.

Kuzyn Albie, siedząc po lewej stronie Jimmy'ego, właśnie jadł z dużej misy płatki zbożowe. Naprzeciwko Albiego, po prawej stronie zauważyłem Frankiego. Zakwalifikowano go do pracy fizycznej. Skóra na jego rękach konsystencją przypominała gruboziarnisty papier ścierny. Pamiętałem opowieść o nowym knykciu Frankiego: po pobiciu polskiego informatora w ciągu trzech dni wyrosło mu duże stwardnienie na knykciu środkowego palca. Zanim Frankie z nim skończył, biedak nie miał zębów, a jego twarz niewiarygodnie spuchła i ciągle krwawił. Ręce Frankiego były w tak kiepskim stanie, że przez tydzień nie mógł prowadzić auta. Siedział w domu i moczył w wodzie z lodem fioletowe, stłuczone dłonie. Jego twarz nie wyglądała lepiej. Miał prawie pięćdziesiątkę i na tyle wyglądał. Tego ranka stare, niebezpieczne ręce Frankiego bezpiecznie zajmowały się tylko śniadaniowymi kanapkami.

Ogrzewanie w restauracji było otwarte na pełen regulator. Czułem, jak zaczyna mi spływać pot z czoła. W restauracji przy pięćdziesięciu stolikach mogło przebywać około stu gości. Dekoracje w starym stylu podkreślał gruby dywan w popielatym i liliowym odcieniu. Dla kontrastu, pomieszczenie ozdabiało dwanaście dużych żyrandoli, niczym w starym kinoteatrze.

Jimmy wyglądał zwyczajnie. Zawsze nosił swetry, ciemne spodnie i nigdzie nie chodził bez kapelusza. Stąd jego przydomek. Ten kapelusz należał jeszcze do jego dziadka, który kupił go w latach sześćdziesiątych na Sycylii. Był szary i płaski. Jimmy nosił kapelusz dziadka, odkąd ten został złapany przez gliny w Chicago. Niektórzy mówili, że on nawet sypia w kapeluszu. Czynił to z szacunku dla dziadka. Spod kapelusza wymykały się krótkie, czarne włosy. Jimmy był niski, ale miał budowę prawdziwego bojownika: masywne ręce, umięśniony tors i kark. Razem dorastaliśmy i budowaliśmy naszą muskulaturę na sali gimnastycznej Mickeya Hooleya, boksując ciężkie worki treningowe i biegając po starych schodach w górę i w dół. Kiedy ojciec zabrał mnie tam po raz pierwszy, nie znałem innych dzieci. Byli pierwszym i drugim pokoleniem imigrantów irlandzkich. Jedno dziecko nie zbliżało się do nikogo i to był Jimmy Fellini. Ponieważ jestem w połowie Włochem, Jimmy i ja znaleźliśmy wspólny język i wkrótce zdzieraliśmy knykcie, robiąc pompki na malowanej betonowej posadzce sali gimnastycznej Mickeya. Jimmy był moim najlepszym przyjacielem przez ponad piętnaście lat. Od czasu, gdy widziałem go po raz ostatni, przybrał na wadze ładnych parę kilo. Ja ciągle ważyłem około osiemdziesiąt kilogramów – co bynajmniej nie oznaczało, że byłem szczupły, ale równocześnie nie miałem nadwagi.

Kiedy strażnicy podprowadzili mnie do stolika, wszyscy przy stole zamarli bez ruchu i spojrzeli na mnie.

– O co, u diabła chodzi, Eddie? – zapytał Jimmy.

– Jestem tu, żeby kupić pomoc – odparłem.

– Co masz w tych torbach?

– Cztery miliony dolarów. Oleg Wołczek ma moją córkę. Pełnię rolę dostawcy.

– Jesteś pewien? Dawno cię nie widziałem, stary kanciarzu. Skąd mam wiedzieć, że nie pracujesz teraz dla Rosjan?

– Możesz mieć pewność, że nie pracuję dla nich, bo gdyby było inaczej, to w mgnieniu oka mógłbym zabić twoich ludzi – mówiąc to, wyjąłem z kieszeni detonator. – Masz ochotę zarobić parę milionów dolarów? Czy może chcesz mnie przefasonować?

Wokół stołu zapanowała cisza. Nikt się nie poruszył. Wszystkie oczy skierowały się na Jimmy'ego. Czekali. Jedno jego słowo i ci ludzie rozszarpia mnie. Usta Jimmy'ego rozszerzył uśmiech. Uspokoił się, wstał, otarł usta jedwabną chusteczką i wybuchnął głośnym śmiechem.

– Eddie Fly, brakowało mi ciebie, chłopie – powiedział i objął mnie.

„Eddie Fly”, od dawna nikt mnie tak nie nazywał.

Jimmy w uścisku poklepał mnie po plecach. To był przyjacielski gest, ale przy okazji sprawdzał, czy nie noszę broni ani jakichś kabli. Poczułem ulgę, że zostawiłem bombę w sądzie. Idąc do Jimmy'ego, czułem się tak, jakbym wracał do domu. Jednak to uczucie już po sekundzie minęło, gdy uświadomiłem sobie, że toczę tu grę o życie córki. Kocham moją małą dziewczynkę i bardzo chcę, żeby wróciła.

Objąłem Jimmy'ego niedźwiedzim uściskiem, usiłując ukryć nadmiar wzruszenia w głosie.

– Jimmy, oni mają moją dziewczynkę.

– Już niedługo – powiedział.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Zrelacjonowałem mu w skrócie wypadki poprzedniego dnia – zaczynając od knajpy Teda i kończąc na mojej wyprawie do jego restauracji. Wokół stołu towarzystwo słuchało z otwartymi ustami. Zauważyłem też podejrzliwe spojrzenia dwóch mężczyzn o kamiennych twarzach, siedzących po obu stronach Jimmy'ego.

Jimmy, jak zwykle, siedział niewzruszony, niczego nie można było po nim poznać – nie reagował na opisywane przeze mnie wydarzenia. Tylko siedział, od czasu do czasu popijając kawę, jednak widziałem, że z uwagą śledzi każde moje słowo. Czasem zerkał na swoich ludzi, sprawdzając ich reakcje. Skończyłem, Jimmy spojrzał na niedokończony śniadanie.

– Niech to podsumuję – powiedział. – Więc masz za zadanie umieścić bombę w boksie dla świadków i wyeliminować informatora, Benny'ego. Amy została porwana i jest gdzieś przetrzymywana. Nie wiesz dokładnie gdzie, ale podejrzewasz, że gdzieś na Manhattanie. Nie możesz iść na policję ani do federalnych. I nie chcesz, żeby Tony zeznawał na procesie Wołczeka. Czy wszystko dobrze zrozumiałem?

– Doskonale – odparłem – pozostał jeszcze Harry, sędzia Sądu Najwyższego Ford. Harry dostarczył mi pewne przedmioty, takie jak ten telefon, z którego do ciebie dzwoniłem.

Wydawało się, że Jimmy analizuje w myślach różne możliwości.

– Mogę ci podać na talerzu nieuczciwego agenta federalnego, tak samo jak dwa miliony.

– Nie interesują mnie nieuczciwi agenci federalni. Nie ufam im. Kilka minut temu były cztery miliony – odparł Jimmy.

– Wybacz. Jedna torba została naznaczona nadfioletem z danymi DNA – niewidocznym płynem z wyjątkowym podpisem chemicznym. Chcę, żebyś, zaraz jak skończymy, przekazał tę torbę federalnym. Mając tę kasę, będą mogli trafić prosto do Rosjan. Na dłoniach tego mięśniaka, który pomagał mi pakować forszę do torby, są ślady sprayu, którym spryskałem forszę. Pójdę do federalnych i powiem, że łapówka wynosiła milion dolarów i że oni to wszystko dostaną. To, co pozostanie ekstra, jest dla nas.

Jimmy wysunął papierosa z paczki leżącej na stole i zapalił od zapalniczki, którą podał Kuzyn Albie. Zanim znowu się odezwał, zdążył wypalić pół papierosa. Wydmuchał w sufit dym i znowu zwrócił się do mnie.

– Zatem pozostały jeszcze trzy miliony, Edwardzie – powiedział tak jak kiedyś, gdy byliśmy chłopcami. Nazywał mnie Edwardem, powtarzając to

imię za moją matką, która zawsze tak na mnie wołała, gdy byłem niegrzeczny. Ale Jimmy nazywał mnie tak wtedy, gdy był na mnie zły. „Eddie Fly” mówił do mnie, gdy stworzyłem własny zespół.

Miałem nadzieję, że teraz nie jest na mnie zły.

– Muszę pożyczyć milion. Nazwij to długiem. Pomóż odzyskać Amy, a ja zagwarantuję ci trzy miliony – dwa teraz, potem resztę.

– Dlaczego teraz nie mogę skasować całych trzech milionów?

– Po prostu nie możesz. Mam plan. Wiesz przecież, że nigdy cię nie zawiodłem.

Zastanawiał się nad tym. Jako dobry biznesman kochał ryzyko. Pomyślałem, że w głębi duszy chce pewnego rodzaju wojny z Rosjanami. Chciał mieć pretekst to jej wszczęcia. Zamordowanie Mario nie wystarczyło, nikogo to nie obchodziło. Teraz miał motyw.

– Mogę na ciebie liczyć, Jimmy? Tym razem nie jest to żaden kant. Chodzi o moją córkę. Powierzam ci jej życie – powiedziałem.

Jimmy dopiero po dłuższej chwili spojrzał na mnie.

– Wierzę ci, Eddie – odparł. – Widzisz, ja na to tak patrzę... ty i ja jesteśmy rodziną. Razem dorastaliśmy i razem biliśmy się z tymi samymi chłopakami. To czyni z Amy też członka naszej rodziny.

Pokazałem ochroniarzom, żeby zanieśli torby na tyły sali.

– Więc co mamy zrobić? – zapytał.

Przysunąłem sobie krzesło i usiadłem między ochroniarzami. Kiedy zacząłem grzebać w kieszeniach płaszcza, usłyszałem pomruki. Obróciłem się i zobaczyłem, że znowu mierzą we mnie lufy pistoletów, ale trwało to tylko chwilę. Jimmy kiwnął ręką i lufy zniknęły. Powoli wyjąłem z kieszeni portfel Gregora.

– Chcę, żebyś znalazł Amy i zapewnił jej bezpieczeństwo. Jest więziona przez jakichś ludzi. Tu jest portfel Gregora – wyjaśniłem, kładąc go na stole. – W środku jest prawo jazdy i ostatni adres. Wątpię, że Amy tam jest, ale to na początek. Przed przyjściem tutaj skasowaliśmy pieniądze, które znajdowały się w domu towarowym w Sheepshead Bay. Przyniosło nam je dwóch facetów. Jeśli ich naciśniemy w sprawie adresu, pewnie pękną. Jednak należałoby to tak zrobić, żeby nie zaalarmować Wołczeka czy Arturasa. Mam też numer komórki, na który dzwonił Wołczek. Amy wspomniała w rozmowie ze mną imię dziewczyny – Elena. Nie wiem, czy to była jej komórka, ale mam ten numer.

Mówiąc, cały czas bacznie przyglądałem się Jimmy’emu. Nie zawiódł mnie. Przelotnie zerkał na Albiego. Albie miał kontakty w związkach, był człowiekiem, który miał wszędzie wejścia.

Kontynuowałem:

– Myślę, że możesz skorzystać z tropu, który wyznacza numer telefonu, albo przez tego faceta, Gregora.

– Mówiłeś, że to numer komórki. Wiesz, jaki to model? – spytał Albie.

– Nie. Arturas ma iPhone’a. Wołczek ma mały czarny telefon z dobrą kamerą i dużym ekranem. To wszystko, co wiem. Możesz wyśledzić adres po numerze?

– Tak, jeżeli był zarejestrowany. Ale te telefony były prawdopodobnie kupione nielegalnie. A to oznacza, że nie mają dokumentów. Ale jeżeli oni mają nowe telefony, wtedy można je wytropić.

– Wyglądały na nowe. Nie wiem, czy Elena ma podobny.

– Jeżeli telefony zostały wyprodukowane po roku 2005, wtedy mogą mieć wbudowany sygnał GPS. Prawie każdy nowy telefon wyprodukowany na terenie USA ma taki chip. W dziewięciu na jedenaście przypadków. Nie możemy znaleźć adresu właściciela ani dostać wykazu jego rozmów, ale możemy go wytropić. Mam faceta, który może to zrobić. Zadzwońię do niego – oświadczył Albie.

– Okej. Popracuj nad tym numerem. Niech twoi ludzie dzwonią. Musimy znaleźć miejsce, w którym ukryli dziewczynkę. Mam paru chłopców na Brooklynie, którzy szybko dotrą do Bay. Frankie, wezwij chłopców – polecił Jimmy.

Podałęm Frankiemu adres domu towarowego.

Sympatyczna kelnerka przyniosła gorącą kawę; z wdzięcznością przyjąłem kubek z napojem. Miała długie, czarne włosy i duże, ujmujące oczy. Jedna z wielu dziewcząt Jimmy’ego. Jimmy uniósł kubek do ust, ale nagle zatrzymał się, jakby coś wpadło mu do głowy.

– O jakiej porze rozmawiałeś wczoraj z Amy? – zapytał.

– Po południu. Około szesnastej albo siedemnastej. Dlaczego?

Zbliżył do ust kubek, ale znowu się powstrzymał. Para była na tyle blisko, że parzyła mu twarz.

– A jeżeli ją przenieśli...?

Miał rację. Nie było żadnej gwarancji, że nie wleczono jej przez pół tuzina „bezpiecznych” domów. Pomyślałem jednak, że to było mało prawdopodobne. Zapewne doszli do wniosku, że lepiej nie ryzykować.

– Wątpię. Pewnie przywarują cicho i nie ruszą się z miejsca. Jednak lepiej rozlokować naszych ludzi i uderzyć tam, gdzie spodziewamy się, że przetrzymują małą. Gdyby udało się wyśledzić telefon, wtedy będziemy wiedzieć, gdzie jest przetrzymywana Amy – stwierdziłem.

Jimmy wydawał się zadowolony.

– Nie zapomnij o Tonym – dodałem. – Musi odwołać wszystko, co powiedział glinom. Inaczej Rosjanie pomyślą, że wyrzucili cztery miliony w błoto i pewnie mnie zabiją.

– Mickey, ściągnij tu Tony’ego G. – rozkazał Jimmy.

Wyraz twarzy Jimmy’ego złagodniał i pomyślałem o tym twardym małym chłopcu, którego pierwszy raz spotkałem na sali gimnastycznej. Zdawał się przenikać mnie wzrokiem przez dym z papierosa, wywołując wspomnienia tych szczęśliwych dni, kiedy trzęśliśmy całą dzielnicą, i dzikiego świętowania

każdej udanej rozróby.

Uśmiechnął się, spoważniał i zmarszczył brwi, jakby dochodząc do wniosku, że to niestosowne.

– Słyszałem, co ci się przydarzyło w zeszłym roku. Przykro mi – powiedział. Zaskoczył mnie. Nie sądziłem, że o tym wie.

– To musiało być dla ciebie przykre, chłopie – dodał.

– Tak. Było. Czasem śni mi się po nocach. Myślę, że może kiedyś mi wybaczy. Albo chcę w to wierzyć.

Jimmy, mimo tego czym się zajmował, był kochającym ojcem.

– Co wiesz o Bractwie? – zapytałem.

– Niewiele. Przybyli tu na początku lat dziewięćdziesiątych, po upadku Związku Sowieckiego. Przynajmniej większość z nich. Wołczek i jego ludzie byli zapewne najlepsi, biorąc pod uwagę, że tak długo przeżyli. Ktoś mi mówił, że byli żołnierzami. Z początku dobrze im szło; sprzedawali gangsterom kałasznikowy, potem zajęli się między innymi narkotykami, prostytutką, handlem ludźmi. Kiedy pojawiły się kartele, linie zaopatrzenia Rosjan zostały przerwane. Kartele po prostu je wykupiły, więc nie mogli uczestniczyć w ich podziale łupów. Rosjanie muszą walczyć o swoje.

– Wczoraj w sądzie pojawili się niektórzy z ich rywali. Wołczek powiedział, że tylko czyhają, żeby go zlikwidować.

– Zapewne. Większość organizacji współpracuje z kartelami, ale są zbyt słabe, aby z nimi walczyć. Wołczek dość długo się opiera, jednak prędzej czy później spróbują go załatwić. Konkurencja liczy, że kiedy go wyeliminują, będą mogli rozwinąć interes.

Tak, to układało się w sensowną całość. Z pewnością uzasadniało desperację Wołczeka i Arturasa.

– Ile mamy jeszcze czasu? – zapytał Jimmy.

– Czterdzieści dziewięć minut. Potem musimy ruszać.

– Anthony, zadzwoń do Wonga i powiedz im, że potrzebujemy dwóch ninja gotowych się tu zjawić w ciągu pięciu minut. Zadzwoń po Lizarda; powiedz, żeby pojechał na Manhattan i tam czekał na podanie mu lokalizacji.

Anthony, wysoki, przystojny młodzieniec w wieku około dwudziestu lat, siostrzeniec Jimmy'ego, zaczął telefonować. Nie mogłem się oprzeć pokusie obserwowania twarzy Frankiego, gdy Jimmy wspomniał Lizarda.

– Kto to, u licha, jest? – spytałem.

– To przyjaciel. Moi ludzie nie lubią zbędnego bagażu, jeżeli mają wykonać wszystko na czas. Lizard, to nasze zaplecze, ma wszystko, czego potrzebujemy – wyjaśnił Jimmy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Czekając na Tony'ego G., z podziwem patrzyłem na zdyscyplinowanie ludzi obecnych na śniadaniu w restauracji Jimmy'ego.

Obdzwaniali dilerów i ćpunów, wypytujac, gdzie Bractwo ma swoje kryjówki. Wszyscy przy stole mieli telefony w rękach, wszyscy wystukiwali numery, słuchali, pokrzykiwali. Kelnerki sprzątnęły po śniadaniu. Serwetę na stole wkrótce pokryły małe skrawki papieru, długopisy i popiół z papierosów. Albie wystukał numer telefonu do swojego kumpla – pracownika firmy telekomunikacyjnej.

Jeden z ludzi Jimmy'ego włożył lateksowe rękawiczki i sprawdzał banknoty światłem UV. Oznaczone banknoty zaświeciły fioletowym światłem. Trzeba było je oddzielić od reszty pieniędzy.

Wkrótce coś w naszej sprawie zaczęło się ruszać.

- Moi ludzie przekazali, że z Meatpacking District jadą w kierunku portu.
- Jest kryjówka w Queens.
- Mamy dwóch ich dilerów; ale te dupki nie znają żadnych adresów, pracują tylko w samochodach.
- Ja mam na tapecie dwa domy towarowe, opuszczoną ruinę i knajpę.
- Wybierzcie, chłopcy, trzy najbardziej prawdopodobne lokalizacje. Macie pięć minut. Dajcie mi znać. Anthony i Frankie, wy szukajcie, gdzie logował się telefon. Próbuje aż do skutku. Jeżeli znajdziecie małą – żywą lub martwą – zaraz dajcie mi znać – mówił Jimmy, ale przerwał, uświadamiając sobie, co powiedział.

Poczułem nagły atak paniki i strachu.

Odwrócił się i powiedział:

- Przepraszam, chłopie. Siła nawyku. Zwykle znajdujemy martwych. Ona żyje. Jestem pewien.

Albie rozmawiał ze swoim człowiekiem z firmy telekomunikacyjnej; zaczął szybko zapisywać na kartce cyfry i litery.

- Mamy to – potwierdził Albie.

Jimmy odczytał adres.

- To sześć przecznic od sądu. Dzwoń do Lizarda i powiedz, żeby się tam spotkał z Anthonym i Frankiem – polecił Jimmy.
- I ze mną. Też tam idę – wtrąciłem.
- Nie, Eddie, ty nie. Wiem, że potrafisz się opanować, ale nie jesteś najlepszym strzelcem – powiedział.
- Zadzwoń do Wonga. Powiedz, że musisz mieć trzech ninja. Pójdę z nimi.

Muszę zobaczyć córkę.

Jimmy westchnął, potrząsnął głową i polecił Anthony'emu, żeby zadzwonił do Wonga.

W tym momencie wszedł mężczyzna w błyszczącym szarym garniturze. Jego czarne włosy sterczały, jakby spryskano je całym pojemnikiem usztywniającego sprayu. To był Tony G., czyli Tony Geraldo. Spodziewałem się, że będzie mógł odpowiedzieć na wiele moich pytań. Spojrzałem na buty Tony'ego – były idealnie wypastowane, sprawiały wrażenie lekkich i wygodnych – typowy szantażysta.

– Tony, pamiętasz Eddiego? – zapytał Jimmy.

– Pewnie, Eddie Fly, cwany prawnik, gówniarz, z którym się kumpłowałeś, gdy byliście dziećmi! – zawołał Tony, dając Jimmy'emu kuksańca pod zębra.

– Jak się miewasz, Eddie? – zapytał, siadając naprzeciwko mnie.

– Nie za dobrze. Nie mam zbyt wiele czasu, Tony. Powiedz mi, dlaczego Oleg Wołczek kazał zabić twojego kuzyna – Mario.

– Nie wygłupiaj się. Okej, no więc... Mario sprawiał kłopoty. Był głupi, tak jak kiedyś w młodości, gdy go kilka razy przyskrzynili, ale co mogłem z tym zrobić? Należał do rodziny. Więc wziąłem go pod skrzydła. Pracował dla mnie, nie przypuszczałem, że może aż tak namieszać. Czujesz? Narobił tyle syfu, bo zbyt polegał na pewnym facecie. Federalni go przyskrzynili, ale nie puścił pary z gęby. Zarobił piątaka w Rikers, ale kilka lat temu wyszedł. Po tym syfie powiedziałem mu, że wypada z interesu. Czujesz? No i okazało się, że jest kompletnym idiotą.

– Co zrobił?

– Był zbyt ambitny. Dowiedziałem się, że w Rikers chodził na zajęcia z fotografii. Nauczył się robić zdjęcia i nieźle mu to wychodziło. Potem wszędzie nosił ze sobą aparat. Któregoś wieczoru poszedłem z nim i kilkoma kumplami do Sirocco. Mario poszedł do baru. Wtedy wszedł Wołczek ze swoimi ludźmi i ruszyli na niego, ale cofnęli się, gdy mnie zobaczyli. Następnego dnia Mario nie żył.

– To właśnie zeznałeś, Tony, ale nie wspomniałeś o zdjęciach. Co wywołało konflikt z Wołczkiem?

Tony otarł usta i spojrzał na Jimmy'ego. Jimmy skinął głową.

Pomyślałem, że Tony potrzebuje kopa, więc wyłożyłem mu moją teorię.

– Widziałem zdjęcia z miejsca zbrodni. Była tam połamana ramka do zdjęć, a w zlewozmywaku nadpalone fotografie. Domyślałem się, że Mario próbował sprzedać Wołczekowi te niewygodne dla niego zdjęcia. Ale to by świadczyło, że był jeszcze głupszy, niż podejrzewałem.

– I tak było.

– Dlaczego więc nie powiedziałeś tego glinom? – zapytałem.

– Mario został zabity, bo chciał się wzbogacić na tych zdjęciach. Nie chciałem, żeby ktoś wiedział, że mam kopie.

– A masz?

– Pewnie. To będzie idealna karta przetargowa, gdyby Wołczek nam zagrażał.

– Dlaczego Wołczekowi tak bardzo na nich zależy? Co Mario widział?

– Tego nie wiem.

– Gdzie są teraz?

– Trzymam je w bezpiecznym miejscu. Przy okazji, słyszałem, że mam dziś na rozprawie trzymać język za zębami. Kłopot w tym, że nie mogę. Chcę potwierdzić moje wcześniejsze zeznania i nie ma takich pieniędzy, które by mnie mogły powstrzymać.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

– Eddie, musisz już iść – stwierdził Jimmy.

Uniosłem rękę.

– Sekunda. Nie ruszę się, póki twój człowiek chce rozgrywać piłkę po swojemu.

Tony rozparł się wygodnie w krześle i założył ręce na brzuchu. Milczał. Domyślałem się przyczyny tego milczenia.

– Czy wszystko właściwie zrozumiałem? Przymknęli cię i prokurator zaproponował ci układ, zgadza się? Tacy faceci jak ty nie gadają z gliniarzami. Wiem, z jakiego powodu zgodziłeś się zeznawać przed sądem. Powiedz mi... za ile koki cię zapuszkowali?

Światła żyrandoli zdawały się nadawać garniturovi Tony'ego jakichś cech fluorescencyjnych. Kołysał się na krześle.

– Mało tego było... jakieś pół kilograma. Gdybym odmówił współpracy i nie zeznawał, to by mnie udupili. Nie miałem wyboru.

Tego nie przewidziałem. Cztery miliony dolarów to nic dla Tony'ego G. W więzieniu kasa nic nie znaczy i nawet za dwa razy tyle nie zmieniłby zdania. Wpadłem na pewien pomysł. Wziąłem kartkę papieru, napisałem kilka linijek, odwróciłem kartkę i pchnąłem ją pod połyskujące światło odbite od garnituru Tony'ego.

– Powiedziałeś, że w sądzie będziesz zeznawał zgodnie z prawdą. Twój wniosek o zawarcie porozumienia to normalna, standardowa procedura ugody. Wobec tego tylko to powiedz i nie zostaniesz postawiony w stan oskarżenia.

Tony przeczytał kartkę, którą mu podsunąłem.

– Mam powiedzieć tylko tyle?

– Gwarantuję, że poskutkuje.

Ręka Jimmy'ego spoczęła na ramieniu Tony'ego.

– Zrób to, Tony. Dostaniesz niezłą dolę z tego, co przyniósł Eddie. Gdyby jednak coś poszło nie tak, zadbam o twoją rodzinę. Ale nie pójdzie. Jeżeli Eddie mówi, że poskutkuje – to poskutkuje. Eddie jest dla mnie jak brat, jego słowo jest moim słowem.

Tony skinął głową i wstał.

– Okej, Eddie, ale jeżeli się nie uda, zabiję cię. Zrozumiałeś?

Wstałem i uścisnąłem dłoń Tony'ego.

– To będziesz się musiał ustawić w kolejce. A teraz posłuchaj, muszę zobaczyć, co jest na tych zdjęciach. Coś czuję, że na nich znajdę odpowiedzi na

wiele pytań.

- Są u mnie w domu. Półtorej godziny w każdą stronę.
- Muszę je obejrzeć, ale nie mam czasu. Przynies je później do sądu.
- Ale jak mam ci je dostarczyć?
- Jesteś religijny, Tony? Ja nie jestem. Możesz mi dać coś związanego z religią?

Tony pojął aluzję.

Jimmy patrzył zakłopotany.

- Zaczekajcie. Jeśli teraz uda nam się znaleźć i uwolnić Amy, to nie wrócisz do sądu, Eddie.

Opuściłem ręce. Pogadamy o tym, kiedy Amy będzie bezpieczna.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Poszedłem za Anthonym i Frankiem na tyły restauracji. Przez drzwi wahadłowe weszliśmy do olbrzymiej kuchni, która by mogła obsłużyć dwie takie restauracje. Długą wyspę do pracy pokrytą lśniącą stalą od pieców przemysłowych oddzielało przejście. Anthony'ego znałem od dziecka. Jeżeli Jimmy mu ufał, to znaczy, że znał się na rzeczy.

Anthony otworzył drzwi do lodowni. Wszedłem tam razem z Frankiem. Nasze oddechy znaczyły długie chmury zmrożonego powietrza. Frankie zaczął przesuwac w prawym rogu skrzynki z mięsem, za którymi były ukryte drzwi. Weszliśmy do małego schowka. Stożące po obu stronach półki wypełnione były po sufit najróżniejszą bronią, były tam też torby z kokainą i paczkami banknotów owiniętymi w celofan.

Anthony i Frankie chwycili po długim stalowym pręcie zakończonym hakiem. Haki ulokowali w otworach po obu stronach żelaznej pokrywy w podłodze na środku pomieszczenia. Z wysiłkiem unieśli pokrywę kanału i zobaczyliśmy wiodącą w dół stalową drabinę.

– Robicie sobie ze mnie jaja? – zdziwiłem się.

– To jedyna droga – stwierdził Frankie, biorąc latarkę z półki.

Anthony dźwignął z posadzki torbę, podał mi latarkę i zanurzyliśmy się w ciemny, śmierdzący tunel, który okazał się nadspodziewanie suchy. Poświeciłem latarką, ale jej promień penetrował mrok tylko na odległość kilku metrów.

Skreśliśmy w lewo, potem w prawo, minęliśmy dwa skrzyżowania. Anthony zatrzymał się przy następnej stalowej drabinie umocowanej do ściany. Frankie wspiał się i zastukał w pokrywę. Po kilku sekundach tunel zalało światło z góry, gdy jakiś Azjata uniósł pokrywę i podał Frankiemu rękę.

Znaleźliśmy się w innym schowku przy innej kuchni. Na skrzynkach widniały jakieś chińskie znaki i cuchnęło czosnkiem, imbirem oraz trawą cytrynową. Domyśliłem się, że jesteśmy w restauracji azjatyckiej. Mężczyzna, który pomógł nam wyjść z kanału, dał znak, że mamy iść za nim. Przeszliśmy wąskim korytarzem do leżącej w zaułku hali wsadowej przy restauracji. W hali spotkaliśmy trzech ninja, o których prosił Jimmy – trzy czarne motocykle kawasaki 650 z jeźdźcami zapuszczającymi motory. Dostaliśmy kaski. Zauważyłem, że Anthony zajmuje miejsce na tylnym siodełku pierwszej maszyny.

– To najszybszy sposób podróżowania, Eddie. Autem nie dojechalibyśmy i wrócili na czas. Naszym pilotem będzie Sammy Wouk. Czasami poruszamy

się po mieście właśnie w ten sposób. Szybko i dyskretnie – wyjaśnił Anthony.

– I nieco ryzykownie – wtrąciłem.

– Odpuść się. To zawodowcy. Rób tylko to co oni – albo ja – ci powiedzą, a będzie dobrze.

Wcisnąłem kask na głowę, wspiąłem się na siodełko ostatniego motocykla i klepnąłem kierowcę w ramię.

– Pierwszy raz w życiu jadę motocyklem! – krzyknąłem.

– Ja też – odparł kierowca.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem – z wyjątkiem mnie.

– Mam na imię Eddie. Nie zabij mnie – poprosiłem.

– Ja mam na imię Tao. Przysięgam ci to, chłopie.

Mocno chwyciłem Tao w pasie. Dodał gazu, wyskoczyliśmy z hali i skręciliśmy w prawo, w małą uliczkę.

Zaułek mógł mieć jakieś sto dwadzieścia metrów, ale wydawało mi się, że pokonaliśmy go w trzy sekundy. Poczułem, jak żołądek przykleja mi się do pleców, i usłyszałem, jak krzyczę.

Motocykl Anthony'ego był tuż za nami. Nawet nie poczułem hamowania. Obie maszyny niemal z tą samą szybkością skoczyły do głównej ulicy. W mgnieniu oka mój kierowca z pełną szybkością przeskoczył obie nitki ruchu ulicznego i zanurzył się we wczesnoporanne cienie zaułka po drugiej stronie ulicy.

– Jasna cholera! – krzyknąłem.

Przed nami i za nami z lewej do prawej i z prawej do lewej pędziły sznury aut. Słyszałem okrzyki Tao, gdy nasz motocykl wyprysnął z zaułka niczym dwustukilowy pocisk, kluczył, przemykał, hamował, przyspieszał.

Zamknąłem oczy i modliłem się do Boga, aby ujść z tego z życiem.

Przylgnąłem do pleców Tao i gdy ostro hamował, czułem smród ścieranej tarczy hamulca. Otworzyłem oczy i zobaczyłem czarnego forda taurusa. Wyskoczył z lewej i mknął prosto na nas. Jego kierowca w panice naciskał sygnał. Groziło nam czołowe zderzenie.

Tao krzyknął:

– Odchyl się do tyłu!

Nasze kaski zderzyły się. Plecy zapłonęły bólem, gdy ze wszystkich sił powstrzymywałem ciało przed skutkami tego potwornego impetu. Wtedy pojąłem, co Tao zamierza zrobić – zwolnił tylny hamulec – i motocykl skoczył do przodu na przednim kole. Tao położył się na prawym boku i cała maszyna okręciła się o dziewięćdziesiąt stopni, tylne koło otarło się o bok taurusa, zatrzymując motocykl w miejscu. Żyliśmy.

Tylne koło odbite od boku forda natychmiast zaczęło się kręcić z dużą szybkością i w chwili gdy dotknęło asfaltu nadało maszynie impet, spowijając taurusa chmurą dymu ze palonej opony. Wkrótce zniknęliśmy w gęstym mroku wąskiej uliczki.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Od startu w hali Wonga upłynęło tylko dziewięć piekielnych minut. Motocykle chwilami mknęły z szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Lawirowały ulicami, wpadały w zaułki, unikając kamer śledzących ruch uliczny i policji.

Jadący przed nami motocykl Anthony'ego zwolnił po dotarciu do celu – Severn Towers, nowego apartamentowca, położonego tylko kilka przecznic od gmachu sądu. Zatrzymaliśmy się na podziemnym parkingu przy niebieskiej furgonetce transit.

Zsiadając z motocykla, nie czułem się najlepiej, miałem zawroty głowy i musiałem chwycić się czegoś, żeby nie upaść.

Upłynęło dwadzieścia siedem minut od opuszczenia restauracji Jimmy'ego.

– Zaczekamy za rogiem – oznajmił Tao i motocykle szybko opuściły parking. Chociaż był to dzień roboczy, parking wydawał się wyjątkowo pusty; stało tu luźno porozrzucanych tylko z pół tuzina aut.

Połączyłem się z Jimmym za pomocą mojego tajnego telefonu.

– Jesteśmy na miejscu. Jaka jest dokładna lokalizacja?

– Daj mi sekundę. Okej, Albie mówi, że jeden z jego najlepszych ludzi określił obecne położenie telefonu komórkowego. Jest to właśnie Severn Towers. GPS nie działa zbyt dobrze, gdy telefon znajduje się nad poziomem ziemi. Możemy tylko zgadywać, że ten telefon znajduje się najprawdopodobniej powyżej piątej kondygnacji nad ziemią.

– Jimmy, ale ten budynek jest ogromny, ma pewnie ze trzydzieści pięter. Muszę mieć więcej danych.

– Zaczekaj, aż zadzwonią faceci z Sheepshead Bay. Dam ci znać, jak będę miał coś konkretnego.

Rozłączył się.

Wysoki, szczupły mężczyzna w czarnym T-shircie i czarnych spodniach wysiadł z niebieskiej furgonetki i uścisnął dłoń Anthony'ego. Potem podał rękę Frankiemu, ale on tylko skinął głową. Wobec tego odpowiedział mu tym samym. Włosy miał krótko obcięte, po wojskowemu. Miał żylaste, silne ręce i domyślałem się, że z łatwością jednym ruchem mógłby skrócić komuś kark.

– Dlaczego zajęło wam to tyle czasu? Lizard musiał czekać – powiedział mężczyzna.

Anthony zaśmiał się i mnie przedstawił.

– Eddie, oto Lizard. Teraz on przejmie sprawę.

Uścisnąłem mu dłoń. Miał uścisk boa dusiciela. Mimo masywnej budowy

poruszał się z wdziękiem, prawie jak tancerz.

– Możemy sprawdzić dom do dwudziestego czwartego piętra. Wyżej może być problem. Na dwudziestym piątym schody zagradza stalowa krata. Otwiera się ją na szyfr. Jeżeli twoja córka tam jest, nic nie zdziałamy bez kodu. Gdybym chciał wyłamać zamek albo kratę, porywacze mogą to usłyszeć i wtedy ją zabiją. Módl się, żeby trzymali ją na którymś z niższych pięter. Frankie, po drugiej stronie ulicy jest galeria sztuki. Uda ci się wejść tam na dach i obejrzeć dla Lizarda to miejsce? – zapytał Lizard z uśmiechem, znowu odnosząc się do siebie w trzeciej osobie.

– Oczywiście – powiedział Frankie.

Lizard podał mu lornetkę i telefon komórkowy.

– Uruchomiłem w aparacie tryb konferencyjny. Pospiesz się, Frankie. Dam cię na głośnik – powiedział Lizard. Frankie opuścił parking i przebiegł przez ulicę.

Anthony rzucił na posadzkę torbę, otworzył zamek i wyjął dwunastostrzałową strzelbę o spiłowanej lufie i paczkę nabojów.

– Nie musisz tam iść, załatwimy to sami.

– Idę z tobą – oświadczyłem. – Daj mi coś.

– Zły pomysł – stwierdził Lizard, otwierając tylne drzwi furgonetki. Ze stalowej skrzynki stojącej na podłodze wyjął karabin szturmowy i zaczął go sprawdzać. Była to krótka broń z wystającym z boku magazynkiem.

– Wygląda na nowy – zauważyłem.

– Jest nowy – Lizard skinął głową i się uśmiechnął.

Podszedłem do Anthony'ego.

– Kim jest ten facet? – zapytałem go.

– Był kiedyś w piechocie morskiej. Jego kuzyn pracuje dla Jimmy'ego. Kiedy Lizard wrócił z Iraku i zaczął się rozglądać za pracą, kuzyn zorganizował mu spotkanie. Możemy mu zaufać. To jednoosobowa armia. Jeżeli ktoś może wydostać twoją córkę, to z pewnością jest to Billy.

– Billy... – powtórzyłem. – Więc tak ma na imię człowiek zwany przez was Lizardem – Jaszczurką? Dlaczego Frankie nie idzie z nim?

Anthony wsunął czerwone naboje w spiłowane lufy śrutówki i na moment zwiesił głowę.

– Prawdę mówiąc, chłopaki się go boją. Billy lubi jaszczurki, stąd jego przydomek. Ma duży tatuaż jaszczurki na plecach i w swoim domu w Queens hoduje wiele gatunków węży i innych gadów; na podwórku trzyma nawet kilka smoków z Komodo. Ale nie tylko z tego powodu. Kiedy chcemy dostać coś od jakiegoś faceta, który nie chce nam tego dać dobrowolnie, dzwoniemy do Lizarda. Wiesz, że gady dorastając, zrzucają skórę? Jeżeli taki facet nie chce współpracować, Billy obiera go ze skóry jak jakiegoś pieprzonego banana, a potem jego skórą karmi swoich ulubieńców – wywołując u wszystkich obrzydzenie. Jednak ja go lubię. Chcę być tylko daleko od tego jego pełnego dziwnych stworzeń domu w Queens.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Telefon Lizarda zawibrował. Odebrał, uruchamiając tryb głośnomówiący. Jednak nie słuchałem. Rozmawiałem z Jimmym.

– Dostaliśmy adres od jednego z chłopców z domu towarowego – oznajmił Jimmy. – To najwyższe piętro. Penthouse. Jesteś we właściwym miejscu. Nie martw się. Ci chłopcy z Bay nie dadzą szansy nikomu dzwonić i na razie z nikim nie będą rozmawiać przez telefon. To zawodowcy. Zatem jeśli Rosjanie wrócą do domu towarowego, nie zorientują się, o co chodzi. A ty lepiej zrobisz, jak tu wrócisz. Masz jeszcze tylko dwanaście minut do spotkania z Rosjanami. Będę na ciebie czekał u Wonga – powiedział i się rozłączył.

Ugięły się pode mną nogi. Amy była na najwyższym piętrze, w miejscu, którego nie mogliśmy sforsować. Zakląłem i zacisnąłem pięści. Czułem, jak ręce poca mi się ze zdenerwowania.

– Jest w penthousie – oznajmiłem.

– Frankie? Masz to? Penthouse – przekazał Lizard.

W głośniku usłyszałem głos Frankiego:

– Mam. Właśnie patrzę w tamtą stronę. W salonie są rozsunięte zasłony. Widzę w mieszkaniu czterech facetów. Dwóch na kanapie po prawej od drzwi frontowych; jeden w kuchni i jeden z gazetą, rozwalony w fotelu. Stoi tam też karabin oparty o ścianę. W kuchni widzę kobietę. Blondynka, może trzydzieści lat, bawi się nożem sprężynowym. Więcej nikogo. Na prawo trzy sypialnie. Do dwóch są otwarte drzwi. Jedna sypialnia jest zamknięta. Łazienka znajduje się przy kuchni. Nie widzę małej dziewczynki.

Serce mi stanęło; nic mi się tu nie zgadzało. Chciałem mieć pewność, że Amy jeszcze żyje.

– Musi być w sypialni. A ten karabin... Po co im taka artyleria w mieszkaniu? Amy mówiła, że pilnuje jej kobieta, Elena. To pewnie ta laska z nożem – powiedział Anthony.

Skinąłem głową. Byłem tak blisko Amy. Chciałem, żeby to wszystko się już skończyło, chciałem ją zabrać i zawieźć w bezpieczne miejsce, żeby już nikt nigdy nie mógł jej skrzywdzić.

– Frankie, tu Lizard. Widzisz coś jeszcze w mieszkaniu? Może jakąś wiszącą kartkę z kodem zamka kraty.

– Spoko, spróbuję.

Spojrzeliśmy po sobie w milczeniu.

– Nie, nie widzę nic takiego.

- Co jeszcze widzisz, Frankie? – zapytałem.
 - Obrazy na ścianie – jakaś sztuka nowoczesna. Nie w moim guście. Meble też wyglądają na nowoczesne, takie niewygodne, skóra, białe. Na kuchennym stole stos pudeł po pizzy – najwyraźniej takiej na zamówienie. Telewizor włączony...
 - Skąd ta pizza, możesz odczytać z pudełek? – spytałem.
 - Tak. Big Joe's Pizza. Tu, niedaleko. Słyszałem, że robią dobrą.
 - Wszystkie pudła od Big Joe's? – pytałem.
 - Wszystkie, około sześciu.
 - Pewnie na zamówienie telefoniczne – stwierdziłem.
- Odłożyłem mój telefon i powiedziałem:
- Frankie, możesz zdobyć numer do Big Joe's?
- Wystukałem go, gdy dyktował. Zgłosili się po trzecim sygnale.
- Big Joe's Pizza, czym mogę służyć?
 - Cześć. Potrzebna dostawa do penthouse'u w Severn Towers. Jak zwykle. Ale tym razem w ciągu pół godziny. Wczoraj wasi chłopcy się spóźnili.
 - Przepraszam. Kto dzwoni?
 - Przyjaciół Eleny. Przy ostatniej dostawie twój pracownik pomylił szyfr. Musiałem zjechać na dół windą tylko w gaciach i go wpuścić. Podaj mi szyfr, jaki dostał wasz chłopak, bo nie chcę na dole świecić gołym tyłkiem.
 - Bardzo mi przykro, proszę pana. Niech pan powie Elenie, że to się już nie powtórzy. Tak, zaraz sprawdzę... Okej, mam tu 4789. Zgadza się?
 - Zgadza. Dziękuję.
 - To będzie trzydzieści dziewięć pięćdziesiąt, proszę pana. Będę u was za dwadzieścia minut.
 - Bez pośpiechu, chłopie – odpowiedziałem i rozłączyłem się.
- Lizard uśmiechnął się i wsunął magazynek do glocka, wepchnął pistolet w spodnie i zarzucił automat na ramię.
- Lizard cię polubił, Flynn – zauważył.
 - Idziemy – powiedziałem stanowczo.
- Anthony klepnął mnie w plecy.
- Ty nie idziesz. Nie masz już czasu. Za rogiem czeka na ciebie Tao.
 - Mam czas...
- Lizard przerwał mi:
- Nawet gdybyś miał czas, nie ma gwarancji, że twoja córka tam jest. Jeżeli jej tam nie ma, nie zabierzesz jej stamtąd... spóźnisz się, my wejdziemy, a oni ją zabiją. Poza tym Lizard nie potrzebuje ciebie, Eddie. Jeśli tam jest, a ty wejdiesz i zobaczysz ją, mógłbyś zrobić jakiś niewłaściwy ruch i dostać się w krzyżowy ogień. Albo gorzej, Amy może zostać zastrzelona. Nie martw się. Jeżeli tam jest, wydostaniemy ją i zabierzemy do Jimmy'ego.
- Uścisnęliśmy sobie dłonie. Miał rację. Musiałem ich zostawić. Musiałem wracać.
- Nie pozwól, żeby coś się jej stało. Niech Jimmy da mi znać, gdy ją stamtąd

wydostaniecie.

Odwróciłem się, walnąłem pięścią w bok niebieskiej furgonetki i wybiegłem z parkingu, kierując się w stronę Tao.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Tao zatrzymał się w hali Wonga. Jimmy oderwał się od ściany, odrzucił papierosa i sprawdził komórkę.

– Jeszcze nic – powiedział.

Pozostało sześć minut.

– Przekaż mi, gdy będziesz coś wiedział. Muszę się z nimi spotkać.

– Zabiorą ją stamtąd, Eddie. Jestem pewien. Dam ci znać; potem uciekaj, a my o ciebie zadbamy.

Zacisnąłem dłonie, zamknąłem oczy i potrząsnąłem głową.

– To nie takie proste, Jimmy.

– Dlaczego? Będziemy mieli Amy, a ty pryskasz stamtąd i dzwonisz na policję. Czego nie rozumiesz?

– Ciągle nie mogę ufać ani glinom, ani FBI, w ogóle nikomu poza tobą i Harrym. A poza tym nie mam żadnego dowodu. Nawet gdybym znalazł uczciwego gliniarza albo federalnego, oni mi nie uwierzą. Muszę to sam załatwić.

– Dlaczego? Jeżeli chcesz dokończyć, wystarczy, że Lizard ostrzela limuzynę z ruskimi. Nie mają szansy.

– To prawda, ale to nie załatwi sprawy. Zginie tylko kilku bandziorów. I stanie się to na oczach FBI, AFT i DEA i tych wszystkich, którzy parkują przed twoimi drzwiami. A jeżeli Amy nie będzie w tym mieszkaniu, możemy jej już nigdy nie znaleźć. Nie mogę ryzykować. Poza tym jeszcze nie mam pełnego obrazu całości. Nie jestem do końca pewien, co planują, ale wiem, że każdy w sądzie ryzykuje, włącznie z Harrym. Pomyśl tylko – dwie furgonetki w podziemiach sądu, walizka Gregora w furgonetce, fałszywy detonator, który ukradłem Arturasowi, ochroniarz – coś się kroi – i domyślam się co. Dziś po południu Tony G. przyniesie mi do sądu fotografie Mario – i to będzie początek. Jakoś mogłem to sobie wyobrazić. Rosjanie wiedzą, gdzie mieszkam. Wiedzą, gdzie mieszka moja rodzina. Wiedzą, do której szkoły chodzi moja córka. Oni wszystko o mnie wiedzą.

Arturas opowiadał mi, jak wyśledził ruskiego w Brazylii, i ciągle miałem tę historię w pamięci.

– Jimmy, ci faceci mogą mnie dopaść wszędzie. Jeżeli ucieknę – znajdą mnie i zabiją moją rodzinę. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że nie mogę uciec. Muszę to zakończyć.

Obrazy z przeszłości stanęły mi przed oczami. Przez chwilę siedziałem z ojcem na wysokich stołkach na tyłach baru McGonagall. Tam zawarliśmy

nasz mały układ.

– Tak, to jest układ. Ja nauczę cię moich sztuczek; ty nauczysz się, jak sobą pokierować. Wiem, że kiedyś spróbujesz wykorzystać którąś z tych sztuczek. Pamiętaj, co ci powiedziałem – wybierz właściwe miejsce i nie zmieniaj zdania. Jeżeli to nie zadziała – uciekaj. Ale jeśli nie możesz uciec – walcz i zniszcz przeciwnika. Na zawsze.

Czułem na szyi ciężar medalika ze świętym Krzysztofem. Był to jedyny osobisty przedmiot, który przybył z nim z Dublina do Stanów. Wiedziałem, co by zrobił – on by walczył. Zrobiłby to, żeby chronić rodzinę. To nie była zemsta. To była walka o przeżycie. Jeżeli teraz tego nie dokończę, Amy nigdy nie będzie bezpieczna.

– Eddie, nie rób tego. Jest inny sposób – przekonywał mnie Jimmy.

Zostały mi dwie minuty i zacząłem już z niecierpliwości przebierać nogami, gotów, by ruszyć biegiem.

– Przemyślałem to z tysiąc razy. Nie ma innego sposobu. Muszę się dowiedzieć, o co tu chodzi. A gdy już będę wiedział, pójdę z tym do federalnych. Ci wszyscy, którzy wystawiali Rosjan do wiatru, nie uciekli daleko. Póki nie załatwię ich na zawsze, na moją głowę zostanie wyznaczona cena i każdy zabójca na świecie do końca naszego życia będzie ścigał mnie i moją rodzinę. Albo ja to skończę, albo to mnie wykończy. Daj mi znać, czy mają Amy. I daj jej to.

Wręczyłem Jimmy’emu moje grawerowane pióro.

– I powiedz – dodałem – że prosiła mamę, aby mi to kupiła na Dzień Ojca. Chcę, żeby wiedziała, że jest bezpieczna i że to ja wysłałem twoich ludzi, żeby ją uwolnili.

– Oczywiście, chłopie – zgodził się Jimmy.

Odwróciłem się i przez restaurację wybiegłem na ulicę, nie mogąc złapać oddechu ze stresu i zmęczenia. Spowalniał mnie ból w plecach i karku. Nie mogłem się poddawać. Gdybym na czas nie opuścił restauracji, Arturas zadzwoniłby do Eleny. Gdyby Elena nie odpowiadała, zaczęliby jej szukać. Musiałem się postarać, aby Bractwo wierzyło, że ciągle rozdaje karty. Skręcając za róg, modliłem się, żeby zdążyć.

Biegłem szybko; minął mnie patrol policji, zaryczały syreny.

Zobaczyłem białą limuzynę.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Otworzyły się tylne drzwi i wsunąłem się na siedzenie pokryte ciemną skórą.

– Skąd tak biegłeś? – zapytał Arturas.

Przez chwilę z trudem łapałem oddech.

– Musiałem krążyć – odpowiedziałem. – Biegłem szybko, okrążyłem cały blok, żeby się upewnić, że nie mam ogona. Czysto, ale musiałem mieć pewność – nawet federalni nie są tak głupi, żeby dwa razy tego samego dnia dać się nabrać na zamieszanie. Wiem, to kupa forsy, ale było warto. Teraz Tony Geraldo jest wasz i twoi chłopcy kupili sobie dużą wdzięczność Włochów.

– Mam nadzieję – stwierdził Arturas.

– Ja też – usłyszałem głos Wołczeka.

Nie zauważyłem go w mroku panującym w limuzynie. Musiał dołączyć gdy na mnie czekali. Gdybym wiedział, że w aucie siedzi Wołczek, zastanowiłbym się dwa razy nad pomysłem Jimmy’ego dotyczącym ostrzelania samochodu.

– Nie martw się. Oskarżenie ma przed sobą piekielny dzień – stwierdziłem.

Ja też, Oleg, pomyślałem.

– Włóż to. Będzie lepiej pasować – powiedział Arturas, wręczając mi białą koszulę w oryginalnym opakowaniu. Nawet węzeł mojego krawata był przesycony potem. Przebrałem się. Świeża koszula doskonale pasowała i tym razem kołnierzyk nie był za luźny. Arturas podał mi nowy, błękitny krawat i elektryczną golarkę. Zaskoczył mnie takim doskonałym planowaniem; nie chciał, żebym wyglądał w sądzie jak ktoś, kto spał w ubraniu.

Zapanowała cisza, z czego byłem zadowolony. Oparłem głowę, zamknąłem oczy, ale sen nie nadchodził; mój umysł cały czas pracował. Od pierwszej chwili, gdy spotkałem Arturasa, wyczułem, że to zabójca, ale bardzo się różniący od Wołczeka. Podczas gdy Arturas zdawał się działać metodycznie, z zimną krwią, Wołczek zaspakajał swoje namiętności zadawaniem cierpienia. W czasach gdy byłem kanciarzem i prawnikiem, spotykałem oba typy. Ludzi w rodzaju Arturasa nie było wielu, częściej miałem do czynienia z takimi pokroju Wołczeka. Kiedy się nad tym zastanawiałem, dochodziłem do wniosku, że Wołczek miał wiele wspólnego z Tedem Berkleyem – człowiekiem, który sprawił, że prawie rok temu zakończyłem moją prawniczą karierę.

Berkley próbował porwać siedemnastoletnią Hannę Tublowską, gdy późnym wieczorem wysiadła z metra. Nim doszła do wyjścia, poczuła, jak ktoś ją mocno chwyta w pasie. Po chwili mężczyzna uniósł dziewczynę i zaczął wlec do zimnego, czarnego tunelu. Na peronie o tej porze nie było nikogo.

Mężczyzna wybrał miejsce poza zasięgiem obu kamer. Zdusił jej krzyk, przyciskając dłoń do ust, i szepnął, że jeśli wyda choćby najcichszy dźwięk, zginie.

Jednak krzyknęła. Usłyszał to bezdomny i podniósł alarm. Napastnik uciekł. Zjawili się policjanci pracujący w rejonie kolejki podziemnej i uspokoili dziewczynę. W pobliżu zdarzenia znaleziono bilet miesięczny do metra. Policja ustaliła, że z dużym prawdopodobieństwem należał do napastnika. Za bilet zapłacono kartą kredytową na nazwisko Ted Berkley. Berkleya spotkałem w nocnym sądzie, nie miał adwokata i udało mi się nawet załatwić dla niego zgodę na zwolnienie za kaucją.

Na procesie bilet i zeznanie dziewczyny, która rozpoznała Berkleya na okazaniu, stanowiły podstawę oskarżenia. NYPD zrobił nalot na biuro Berkleya, jego mieszkanie i domek letniskowy, ale niczego nie znaleziono. Ted Berkley miał trzydzieści lat, był bogaty, spotykał się z ładną dziewczyną i miał dom w Hamptons. Nie był typowym kidnapierem. Był wymarzoną klientem – uprzejmy, płacił regularnie zaliczki i był przekonany, że go wybronię. Myślałem że ta dziewczyna wskazała niewłaściwą osobę. Berkley powiedział, że mniej więcej dwadzieścia cztery godziny przed tym zdarzeniem zgubił portfel i bilet na metro.

Hanna Tublowska była uczennicą szkoły muzycznej i wracała do domu z recitalu. Była uzdolnioną wiolonczelistką i pracowała, żeby zarobić na szkołę. Miała długie, brązowe włosy, jasną cerę i gdy podczas rozprawy siedziała w boksie dla świadków, dostrzegłem, że wyraźnie się boi. Dla każdego świadka rozprawa w sądzie wydaje się czymś strasznym i nie ma bardziej nerwowej sytuacji niż ta, w której młoda dziewczyna staje oko w oko z napastnikiem.

Postanowiłem prowadzić przesłuchanie na siedząco, wydawało mi się, że to ją uspokoi. Odchrząknąłem i przed zadaniem pierwszego pytania posłałem jej dodający otuchy uśmiech. Jednak nim zdążyłem otworzyć usta, usłyszałem szept Berkleya:

– Zniszcz tę sukę.

Podczas wszystkich spotkań przedprocesowych nigdy tak nie mówił, ani też nie okazywał poszkodowanej wrogości.

Ignorując go, postanowiłem inaczej podejść do sprawy. Sędziowie przysięgli darzyli dziewczynę sympatią. Ryzykowałbym zbyt dużo, okazując agresję. Dlatego postanowiłem grać rolę ojca, nie kpić z jej odpowiedzi i spokojnie wykazać niekonsekwencje w jej zeznaniach. Chodziło jednak o to, żeby wykazać, że wierzę w jej zeznania, z tym wyjątkiem, że pomyliła prawdziwego napastnika z moim klientem.

Daj ludziom to, czego chcą. Sędziowie lubią utożsamiać się z ofiarami. Dzięki mojej metodzie utożsamiali się nie tylko z ofiarą, ale także z tym miłym, eleganckim młodzieńcem w garniturze Brooks Brothers, którego reprezentowałem.

Po zakończeniu przesłuchania, chociaż prowadziłem je łagodnie, Hanna płakała i spoglądała z rozpaczą na sędziów przysięgłych. Czułem się okropnie i patrząc na mojego klienta, ujrzałem w wyrazie twarzy Berkleya coś w rodzaju odrazy. Uznałem, że to z nerwów lub ze strachu. Ale gdy przyjrzałem mu się wnikliwiej, zrozumiałem, że jest podniecony. Kiedy słuchał zeznań siedemnastolatki, tego, jak opisuje swoje potworne przerażenie, gdy ją pochwycono i wleczono do ciemnego tunelu, Ted Berkley odczuwał podniecenie. Sędziowie przysięgli udali się na naradę w celu uzgodnienia werdyktu. Kiedy zobaczyłem reakcję Berkleya na zachowanie Hanny, wiedziałem już, że jest winny. Po kilku miesiącach włączenia się po barach Manhattanu i picia powiedziałem sobie, że nie mogłem zapobiec takiemu wyrokowi.

Sędziowie jednomyślnie uniewinnili Berkleya. Uznano, że Hanna, mimo że była ofiarą, błędnie zidentyfikowała napastnika.

Godzinę po ogłoszeniu wyroku wezwał mnie do siebie oficer śledczy, powiedział, że Hanna zniknęła i należy ponownie przeszukać wszystkie nieruchomości Berkleya.

Następnego dnia, w sobotę, złożyłem wizytę w domu Berkleya. Oficer śledczy dał mi jego laptop, który został przez policję zarekwirowany przy pierwszym przeszukaniu. Technicy z NYPD nie znaleźli w laptopie jakichkolwiek dowodów obciążających Berkleya i teraz zamierzali go zwrócić. Powiedziałem, że zrobię to osobiście – chciałem jak najszybciej wymazać Berkleya z pamięci. Nie byłem już pewny, czy sędziowie przysięgli wydali sprawiedliwy wyrok. Instynkt podpowiadał mi, że Berkley jest niebezpieczny i że coś się kryje za jego wzorowym uczciwym życiem.

Nie było go w mieszkaniu, więc złożyłem wizytę w jego letnim domu, który odwiedzał w weekendy.

Zapukałem i czekałem. Na podjeździe parkowało jego porsche. Słyszałem szum wody z prysznica. Otworzył po dwóch–trzech minutach. Miał mokre włosy i tors, a na ręczniku widniały czerwonobrazowe plamy.

– Co się stało, Eddie? – zapytał, ciężko dysząc.

– Policja przekazała mi twój laptop. Teraz go zwracam.

– Nie musiałeś się aż tak fatygować. Mogłem go odebrać u ciebie w biurze.

Nie chciałem, żeby Berkley zbliżał się do mojego biura.

– W porządku, ja... – Nie zdążyłem podać jakiegokolwiek powodu mojego przyjazdu aż tutaj, gdy nagle usłyszałem płacz.

Berkley uśmiechnął się i powiedział:

– Zostawiłem włączony telewizor.

– O nic cię nie pytałem – stwierdziłem i wstawiłem stopę za próg, blokując drzwi.

Próbował je zatrzasnąć. Pchnąłem je, wcisnąłem ramię między futrynę a drzwi, uderzając nimi Berkleya w głowę, raniąc w czoło i posyłając go na podłogę.

Płacz zmienił się w przeraźliwy krzyk. Wbiegłem na korytarz, po drodze kopiąc leżącego Berkleya w twarz.

Krzyk wypełniał cały dom. Parter był pusty. Na pierwszym piętrze zobaczyłem otwarte drzwi do sypialni. Ujrzałem stopę na łóżku, jasnoczerwoną, przywiązaną do narożnego słupka. Często wracam w snach do tych chwil: otwieram drzwi i znowu ją widzę.

Ręce i nogi Hanny Tublowskiej były przywiązane do czterech rogów łóżka drutem, który głęboko wżynał się w jej ciało. Knebel wysunął się z jej złamanej szczęki i zwisał luźno poniżej szyi. Domyśliłem się, że Berkley próbował pozbawić ją przytomności, kiedy usłyszał pukanie do drzwi. Jednak uderzył za mocno, złamał jej szczękę i wtedy wypadł jej z ust knebel. Dlatego mogła krzyknąć. Na sinych ustach widać było krople krwi.

Była naga.

Na brzuchu i w kroczu zaschła krew. Na piersiach i szyi wykwiwały ślady ugryzień. Każdy ślad otaczała sina obwódka i czarny siniec. Widać było krew na skórze, w miejscach gdzie Berkley zatopił zęby. Jej lewe oko było zamknięte, prawe, szeroko otwarte, wyrażało dzikie przerażenie.

Nie mogłem jej uwolnić. Druty musiały być przecięte. Zamiast tego ukląknęłem przy niej i powiedziałem, że jest już bezpieczna i że policja jest w drodze.

Zadzwoiłem pod 112 z telefonu w kuchni. Miałem nadzieję, że policja znajduje się w pobliżu, założyłem, że zjawi się w ciągu pięciu minut. Obawiałem się, że zatłukę Berkleya, nim zdążą przyjechać.

Ciągle leżał na korytarzu, ale zaczynał odzyskiwać przytomność. Usiadłem na nim, przygwoździłem kolanami ramiona do podłogi i zacząłem walić po twarzy. Czując, że mam złamaną lewą rękę, użyłem łokci, przy każdym ciosie, pochylając się i tłukąc jego głową o płytki posadzki. Nie czułem już bólu złamanej ręki. Za każdym uderzeniem smugi gorącej krwi spryskiwały mi twarz. Nie pamiętam, jak policjanci odciągnęli mnie od niego. Nie pamiętam aresztowania. Ale pamiętam wyraz twarzy Christine, kiedy zabierała mnie po uzyskaniu zwolnienia za kaucją. Biuro Prokuratora Okręgowego nie wystawiło oskarżenia; Hanna przeżyła tylko dlatego, że w porę ją odnalazłem. Uważałem jednak, że to ja przyczyniłem się do tego, że była torturowana i gwałcona, ponieważ nie posłuchałem głosu instynktu, ostrzegającego mnie przed Berkleyem.

Stanowa adwokatura cofnęła mi licencję za niemal śmiertelne pobicie klienta. W czasie przesłuchania przed komisją dyscyplinarną reprezentował mnie Harry. Zamiast przedstawiać im, jakim to byłem dobrym prawnikiem, odczytał listę ran, jakich doznała Hanna – straciła oko; jej szczękę łamano i nastawiano wiele razy, ale nigdy nie została całkowicie wyleczona. Miała zniekształconą twarz. Została okaleczona nie tylko fizycznie.

Okazało się też, że Berkley spowodował tak dużo wewnętrznych obrażeń, że Hanna nigdy już nie będzie mogła mieć dzieci.

Chociaż Harry uratował mnie po raz drugi, czułem, że mój świat runął w gruzy; byłem tak samo odpowiedzialny za cierpienia i rany Hanny jak Berkley.

Berkley dostał dwadzieścia lat, ja sześć miesięcy w zawieszeniu.

Musiałem żyć ze świadomością, że pozwoliłem, żeby sędziowie przysięgli uniewinnili Berkleya. To był mój błąd. Nic nigdy tego nie zmieni, nawet morze whiskey.

Zanim sędziowie przysięgli wydali wyrok uniewinniający Berkleya, w głębi serca wiedziałem, że jest winny i że może to znowu zrobić. Usiłował mnie przekonać, żebym uwierzył, iż nie może po raz drugi napaść na dziewczynę, biorąc pod uwagę, że ostatnia próba skończyła się tak fatalnie. Jednak w głębi duszy czułem, że to nieprawda i właśnie to przeświadczenie tamtego dnia zaprowadziło mnie do jego letniskowego domu.

Nie mogę znowu popełnić takiej samej pomyłki. Takich facetów jak Berkley, Wołczek i Arturas trzeba powstrzymać, albo nadal będą niszczyć innych.

Miałem zamknięte oczy i przekonywałem sam siebie o tym, że robię dobrze; jedynym sposobem, żeby moja rodzina była bezpieczna, było unicestwienie Rosjan. Przełączyłem telefon na wibracje, chociaż nie byłem pewien, czy je wyczuję. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że Wołczek skrzyżował nogi i zamknął oczy. Czy rozmyślał o oczekującym go dniu? Nie byłem pewny. Ten z bliznami na twarzy gapił się przez okno. Już prawie sięgnąłem po telefon. Chciałem tylko sprawdzić. Żeby się upewnić. Poprawiłem krawat, chrząknąłem i zmusiłem się, aby patrzeć przez okno i myśleć o następnym ruchu. Arturas rozgrywał własną grę i czułem, że nadszedł czas, żeby dowiedzieć się, jakie są jej zasady. Im bardziej zbliżaliśmy się do Chambers Street, tym bardziej byłem przekonany, że odpowiedzi należy szukać w furgonetkach zaparkowanych w podziemiach sądu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Na Chambers Street zajechaliśmy po siódmej trzydzieści. Słońce zaczęło już prażyć chłodne stopnie wejściowe.

Zostało mi mniej niż osiem godzin do chwili, gdy Wołczek zamierzał uciec z kraju. Musiałem coś na niego znaleźć i przed szesnastą mieć agenta federalnego, któremu mógłbym zaufać.

Wysiadłem z limuzyny razem z Wołczkiem, Arturasem i Wiktorem. Poszliśmy we trójkę do wejścia.

– Idź przodem – powiedział Arturas i ruszyłem pierwszy, zmierzając prosto po schodach do stanowiska kontroli.

Gdy znalazłem się wyżej, zobaczyłem wejście do lobby. Nie dostrzegłem nikogo znajomego z ochrony. Wszyscy wyglądali na nowych. Nie miałem przy sobie teczki, ani niczego, co zwykle wnoszą adwokaci. Tym razem nie bałem się, że ochrona wykryje bombę. Nie miałem jej na sobie, ale miałem nielegalny spray, to co uważałem za detonator, lampkę z promieniami ultrafioletowymi i telefon komórkowy. Jeżeli Rosjanie zobaczą któryś z tych przedmiotów, wszystko przepadnie. Kiedy znalazłem się kilka metrów od wejścia, zobaczyłem znajomego strażnika. Blondyn, młody, gorliwy – Hank, ten sam, który wczoraj rano próbował mnie przeszukać zanim odwołał go Barry.

Hank zobaczył, jak wchodzę. Stał w drzwiach boksu ochrony, strzelając kostkami palców. Gdyby mógł, z pewnością skorzystałby z okazji, żeby mnie dokładnie zrewidować.

Wtedy usłyszałem szybkie kroki dochodzące od schodów za nami. Odwróciłem się i zobaczyłem agenta specjalnego Billa Kennedy'ego biegnącego ku mnie w towarzystwie dwóch agentów, których spotkałem już wczoraj.

– Cieszę się, że udało mi się pana złapać, panie Flynn. Chciałem pana przeprosić za wczoraj. Muszę z panem prywatnie porozmawiać. Przejedziemy się. To nie potrwa długo. Przyrzekam.

Wołczek spojrzał na agenta, a potem na mnie.

– Dobrze, panie Flynn. Niech pan z nim idzie – powiedział. – Byle się pan nie spóźnił do sądu. Chyba nie chcesz, żebym telefonował, rozumiesz? – ciągnął. Pochylił się niżej, przysunął jeszcze bardziej i wyszeptał: – Jeżeli coś kombinujesz, poderżnę gardło twojej dziewczynce.

– Nie martw się. Zaraz wracam – odpowiedziałem.

Kiedy się oddalałem, czułem, że Wołczek odprowadza mnie wzrokiem.

Pozostali agenci milczeli. Przed Kennedyem szedł rudy, niski, przysadzisty agent, a wysoki o wyglądzie atlety zamykał za mną pochód.

– Dokąd jedziemy?

– Nad rzekę, na Pomost 40. A przy okazji – powiedział, wskazując wysokiego agenta za nami – to agent specjalny Coulter.

– Miło mi – powiedziałem.

Uścisnęliśmy dłonie. Kennedy wskazał rudego przed nami:

– To agent specjalny Tom Levine.

Levine nie podał ręki, tylko skinął głową. Zrobiłem to samo, bardziej porozumiewawczo niż powitalnie. Teraz już wiedziałem, dlaczego Wołczek tak nagle i z takim zadowoleniem przyjął zaproszenie mnie na przejażdżkę razem z agentami FBI – zabierali mnie zaprzyjaźnieni z Wołczkiem federalni i wszystko, co powiem trafi od razu do niego.

– Dlaczego jedziemy akurat na Pomost 40, agencie Kennedy? – zapytałem.

– Przekona się pan, Flynn... Przekona.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Po drodze niewiele rozmawialiśmy. Kierował Levine i cały czas milczał. Coulter siedział z przodu, ja usadowiłem się z tyłu obok Kennedy'ego.

- Co jest takiego ważnego na tym pomoście?
- Czytał pan poranne wydanie „Timesa”? – zapytał.
- Jeszcze nie miałem okazji – odparłem.

Podał mi złożony egzemplarz „New York Timesa”. Na pierwszej stronie widniało moje zdjęcie pod nagłówkiem: „Wznowienie procesu rosyjskiej mafii”.

- Przeczytaj tekst pod zagięciem.

Odwróciłem złożoną gazetę i zobaczyłem zdjęcie, które widziałem w niedzielę – statek towarowy *Sasza* przycumowany do nabrzeża rzeki. Ten, który zatonął na rzece Hudson w niedzielę w nocy z całą załogą. W artykule dziękowano wszystkim załogom z sąsiednich statków za pomoc w zlokalizowaniu wraku i wszystkich zaginionych ze statku.

– Znaleźliśmy załoganta, który widział, jak *Sasza* tonie niedaleko Pomostu 40. Hudson to duża rzeka, ale znaleźliśmy *Saszę* i część załogi. Teraz jesteśmy na miejscu. Sam pan zobaczy.

Zatrzymaliśmy się przed wysoką zieloną bramą. Policjant kiwnął, że możemy wjechać. Zaparkowaliśmy za pojazdem patrolowym NYPD. Coulter i Levine wysiedli i czekali przy wejściu dla pieszych na pomost. Daleko za bramkami na powierzchni rzeki połyskiwały promienie słońca. Rzeka Hudson była trochę wzburzona. Kennedy zbliżył się do mnie i powiedział cicho:

- Jeżeli chce mi pan coś powiedzieć, teraz jest właściwa pora.
- Nie mam panu nic do powiedzenia – stwierdziłem, spoglądając przez jego ramię na Levine'a, który udawał, że jest zajęty rozmową z Coulterem, ale rzucał na mnie ukradkowe spojrzenia.
- W porządku – westchnął Kennedy.

Po głowie tłukło mi się pytanie: dlaczego nie mam żadnej wiadomości od Jimmy'ego?. Pewnie coś poszło źle. Może nie ma Amy w tym mieszkaniu? Albo może Rosjanie uziemili chłopców Jimmy'ego? Włożyłem rękę do kieszeni, mocno ująłem telefon, modląc się, żeby zaczął wibrować. Często dręczyły mnie napady nieuzasadnionej paniki – niczym pyton owijały się wokół kręgosłupa, ale pierwsze ukłucie bólu i głęboki wdech zwykle pomagały rozluźnić napięcie w karku oraz pozbierać rozproszone myśli. Byłem fizycznie i psychicznie zmęczony. Nie spałem i moje ciało odmawiało już posłuszeństwa.

Sztywne zelówki butów Kennedy'ego chrzęściły na zwirowej ścieżce wiodącej do hangaru dla łodzi przy Pomostu 40. Pochyliłem głowę i szedłem

za Kennedym. Kiedy usłyszałem, że jego kroki ucichły, uniosłem głowę w porę, by schylić się pod przecinającą ścieżkę żółtą taśmą ogradzającą miejsce wypadku.

Usłyszałem cichy pomruk i wyczułem drżenie telefonu.

Wiadomość. Albo Amy żyje, albo jej nie znaleźli, albo jest martwa.

Zaczerwieniłem się, walcząc o oddech. Miałem odpowiedź, ale nie mogłem ryzykować odczytania jej w obecności Levine'a.

Coulter i Levine pakowali tyłki do hangaru, a Kennedy gadał z dwoma z CSI w białych, plastikowych kombinezonach. Ujrzałem zakotwiczoną przy pomoście łódź straży przybrzeżnej i dwóch nurków w wodzie. Kennedy pokazał, żebym wszedł do namiotu. Wiedziałem już, czego się mogę spodziewać w środku. Takiego namiotu używa policja na całym świecie, aby ukryć przed wścibskimi oczami zwłoki i przedmioty.

Rozsunąłem zamek błyskawiczny. Pod namiotem na ziemi leżały dwa worki z ciałami. Tylko ja, Kennedy i dwa worki.

Kennedy odwrócił się do mnie plecami i ukląkł przy workach.

Natychmiast wyjąłem telefon: „Mamy ją. Czysto. Czterech mężczyzn i kobieta, unieszkodliwieni. Amy wstrząśnięta, ale okej”.

Ugięły się pode mną nogi, padłem kolanami na żwir i ukryłem twarz w dłoniach. Mamrotałem raz za razem: „Dziękuję, dziękuję, dziękuję...”. Zdawało się, że ból w karku zniknął. Nagle wyparował ten potworny ciężar kładący się ołowiem na sercu. Nabrałem w płuca powietrza i poczułem, że teraz jestem już gotów.

Gotów, by zniszczyć Wołczeka.

– Przed pół godziną trzymali tych facetów w furgonie-chłodni do przewozu mięsa. Sprowadziłem ich tu, żeby mógł pan ich zobaczyć – oznajmił Kennedy.

– Dziękuję... dokładnie to chciałem obejrzeć przed śniadaniem. Ale co to, u diabła, ma wspólnego ze mną? – zdziwiłem się.

– Pan mi to powie.

Kennedy ukląkł i gdy położył rękę na worku, zobaczyłem sączącą się przez zamek błyskawiczny wodę. Wiedziałem, że ciała znajdowane w jeziorach albo rzekach zwykle przechowuje się w wodzie, żeby nie zniszczyć dowodów. Czasem pomagają one ustalić przyczynę śmierci, albo określić czas zgonu.

Zamek błyskawiczny błyszczał na tle ponurego, śmiertelnie szarego płótna worka i jego metalowe ząbki zaczęły się rozdzielać. Kennedy otworzył pierwszy worek, potem drugi. W każdym worku leżało ciało mężczyzny. Mieli na sobie granatowe kombinezony; obaj byli biali; obaj wyglądali, jakby przebywali w wodzie dwadzieścia cztery godziny i najwyraźniej obaj zostali zamordowani. Obie ofiary miały w piersi po dwie identyczne rany od kul. Ten, kto ich zamordował, wiedział, jak trzymać broń i gdzie celować, ale otwór po trzeciej kuli w obu ciałach wskazywał na profesjonalistę. Ta trzecia rana najwyraźniej została zadana, żeby się upewnić, że ofiary nie żyją; strzał w głowę padł z bliska.

- Założę się, że nie znaleziono piany w płucach – zauważyłem.
- Nie wydaje się, aby się utopili; na tych ludziach dokonano egzekucji, panie Flynn. Byli trupami, nim wpadli do wody. W tych dniach nieczęsto spotykamy na rzece przypadki piractwa, a już z pewnością nie coś takiego jak to.
- Znalazł pan ładunek? – spytałem.
- Ani śladu.
- Co *Sasza* przewoził?

Kennedy nie odpowiedział. Chwycił ciało, przysunął je do siebie i odwrócił na brzuch. Na plecach na kombinezonie widniało logo towarzystwa – McLaughlin Demolition.

- Podsumujmy, panie Flynn. W nocy na kilka dni przed początkiem procesu zostaje wymordowana załoga *Saszy* i znika ładunek. Wczoraj otrzymuję informację o prawdopodobnym zagrożeniu bombowym. Może te zdarzenia są ze sobą powiązane, a może nie. Chciałem, żeby pan tu przyjechał i zobaczył to – ja nie wierzę w zbiegi okoliczności. Myślę, że pan też nie. Chciałem, żeby się pan przekonał, jakiego rodzaju ludzi reprezentuje w sądzie...

Nie mogłem się skupić na tym, co mówił Kennedy. Byłem kompletnie rozstrojony. W moim umyśle pojawił się inny obraz – furgonetki wjeżdżające na parking podziemny sądu.

- Jak dużo już mają? – zapytałem.
- Dość, żeby większość budynków w Nowym Jorku miała poważne problemy.

Kennedy nieco się odchylił i spojrzał na mnie, czekając, aż zacznę mówić.

Ale ostatecznie nic nie powiedziałem. Słyszałem za sobą szelest plastiku namiotu i w świetle promieni porannego słońca widziałem sylwetkę Levine'a palącego ukradkiem papierosa.

- Posłuchaj, chcę być z tobą szczery, Flynn. Wczoraj otrzymaliśmy informację, że rozmawiał pan ze swoim klientem o bombie. Dziś odkryliśmy, że ze statku skradziono materiały wybuchowe i że wymordowano załogę. Uważam, że pan nie zabił tych facetów, ale jestem pewien, że wie pan dużo więcej niż to, co mi pan już powiedział. No i ta krew...

- Jaka krew? – zapytałem.
- Krew, którą widziałem wczoraj na rękawie pańskiej koszuli. Może to krew któregoś z tych facetów?

Już zapomniałem o tej plamie krwi – skaleczyłem się w rękę. Pamiętałem, jak patrzył na moje ręce zeszłego wieczoru. Wtedy, chcąc uniknąć pytań Kennedy'ego, opuściłem rękawy koszuli.

- Wczoraj się zaciąłem. Stłuczonym szkłem. To była moja krew. Spójrz. Tu jest ta rana. – Pokazałem mu.

Kennedy obejrzał rękę.

- Myślę, że pan po raz pierwszy powiedział mi prawdę – stwierdził. – Więc przestań chrzanić i powiedz wszystko.
- Nie mam nic więcej do powiedzenia.

– Wiem, że jesteś zdenerwowany. Chronisz klienta. Ale tak naprawdę to ty sam potrzebujesz ochrony. Chcę cię wykluczyć, żebym mógł się skupić wyłącznie na twoim kliencie. Jednak, aby cię wykluczyć, muszę mieć zgodę na przeszukanie twojego mieszkania.

Wyjął z kieszeni kawałek papieru i rozłożył przede mną. Był to formalny dokument zezwalający na przeszukanie. Przypomniała mi się ta chwila z minionej nocy, gdy stałem przed zamalowanym oknem i klepałem się po kieszeniach, szukając kluczy. Albo wypadły z kieszeni, gdy straciłem przytomność w limuzynie poprzedniego ranka, albo... Nagle pojawiła się straszna myśl – Arturas potrzebował mnie do podłożenia bomby. Zabrał mi klucze i zostawił w moim mieszkaniu coś, co mnie obciąży. Nie mogłem tego powiedzieć Kennedy’emu, nie teraz, kiedy Levine nas podsłuchiwał i nie wcześniej, aż zdobędę dowód, który mi pomoże skompromitować Levine’a i podać Rosjan na talerzu. Ten dowód musiał się stać kartą atutową przeciwko temu, co oni mogli ulokować w moim mieszkaniu.

Levine pewnie wyczuł, że go obserwuję. Podszedł do namiotu i rozsunął zamek błyskawiczny.

– Powinniśmy już ruszać, jeżeli chcemy wrócić na czas – powiedział z uśmiechem.

Kennedy zamknął worki, wstał i wyjął telefon komórkowy z kieszeni kurtki.

– Podpisz zgodę i zostaniesz zwolniony z przesłuchania, a my skoncentrujemy się na naprawdę złych chłopcach. To ostatnia szansa – powiedział, trzymając w górze telefon.

– Nie mam panu nic do powiedzenia – oświadczyłem.

Kennedy i wystukał jakiś numer.

– Mówi Kennedy. Jestem tu z Flynnem. Nie zgodził się na przeszukanie. Wnieść poprawkę do ostatniego ustępu oświadczenia składanego pod przysięgą: „Eddie Flynn, adwokat i urzędnik sądowy odmówił współpracy na uzasadniony wniosek Agencji Federalnej do Spraw Egzekwowania Prawa, dotyczący wydania zezwolenia na przeszukanie jego nieruchomości w celu wykluczenia go jako podejrzanego o dokonanie przestępstwa”. – Przerwał, pozwalając swojemu rozmówcy wszystko zapisać. Mówiąc, nie spuszczał ze mnie wzroku. – „Ten jego brak chęci współpracy jest niedorzeczny i zapewne wpłynie na utrudnienie śledztwa federalnego. Wnioskujemy, aby sąd rozważył wydanie nakazu rewizji w celu zabezpieczenia istotnych dowodów”. Masz to? Dobrze. Pchnij to jak najszybciej do Gimeneza.

Kennedy zatrzasnął klapy telefonu, nie mogąc się oprzeć pokusie rzucenia mi uśmiechu satysfakcji. Ten telefon dał mi do myślenia. Wychodziło na to, że FBI już przedtem próbowało, ale nie otrzymało nakazu rewizji mojego mieszkania, dlatego teraz Kennedy wnioskował, żeby sąd *rozważył* wydanie takiego nakazu. Gdyby FBI potrzebowało pilnie nakazu, mogło połączyć się z sędzią federalnym na służbie i u niego złożyć wniosek – nawet przez telefon. Zgadywałem, że Kennedy już ostatniej nocy chciał zdobyć nakaz, ale mu się

nie udało z zupełnie jasnych powodów – szczególnie dlatego, że argumentacja była słaba; odczytanie z ruchu warg słowa „bomba” przez świadka federalnego, którego ze mną nic nie łączyło, prawdopodobnie nie wystarczyło. Ponadto Kongres Stanów Zjednoczonych uchwalił specjalną ochronę „w miejscu” dla niektórych profesji – adwokaci znajdowali się na szczycie tej listy.

Przeszukanie w biurze lub w domu adwokata jest bezprawne, prawo chroni relacje obrońcy z jego klientem. Podczas takiego przeszukania, gdyby materiały do rozprawy trafiły w niepowołane ręce, mogłoby dojść do naruszenia podstawowego prawa klienta. Sędzia federalny może poprzestać na zawieszeniu moich praw nadanych mi przez Czwartą Poprawkę, jednak ponieważ to grozi naruszeniem praw mojego klienta, wydanie nakazu bez przesłuchania jest prawie niemożliwe. Nakazów nie otrzymuje się bez przesłuchania, nie załatwia się tego przez telefon. Wszystko musi być udokumentowane na papierze. Agent może pod przysięgą przedstawić uzasadnienie przeszukania, określając, czego szuka, i w dziewięciu przypadkach na dziesięć dostaje nakaz. Jeżeli chodzi o tak problematyczną sprawę, jak przeszukanie mieszkania prawnika – prokurator federalny musi potwierdzić uzasadnienie wniosku w trakcie przesłuchania. A to wymaga czasu. Niektóre nakazy zostają wydane w ciągu jednego dnia albo nawet szybciej. Bywa też tak, że samo przygotowanie wniosku przez FBI przeciąga się przez wiele tygodni.

Uśmiezek satysfakcji Kennedy’ego przerodził się w szeroki uśmiech zadowolenia. Wiedział, że jego wniosek o wydanie nakazu przeszukania zostanie przyjęty i że ja mu pomogę w uzyskaniu nakazu. Jako prawnik miałem obowiązek współpracy z sądem. Odmawiając zgody na przeszukanie, jednocześnie niejako podałem mu go na tacy. W takiej sytuacji żaden sędzia nie podejmie ryzyka odrzucenia wniosku o wydanie nakazu, ponieważ nie chce sprawiać wrażenia, że przez to chroni jakiegoś nieuczciwego prawnika.

– Który sędzia będzie przesłuchiwał do wniosku? – spytałem.

– Potter. Mamy wyznaczony termin na południe.

Była 8.05 rano.

Mój plan właśnie wyfrunął przez okno. W południe zastępca prokuratora Stanów Zjednoczonych Gimenez wręczy nakaz FBI. Federalni zapewne zdążyli już postawić pod drzwiami mojego mieszkania swojego agenta, aby mieć pewność, że nikt nie usunie dowodów, i cierpliwie czekali na dokument z podpisem Pottera. Po uznaniu przez Pottera wniosku pewnie dziesięć, piętnaście minut zabierze ostemplowanie nakazu przez urzędnika, potem może czterdzieści minut dostarczenie oryginału do mojego mieszkania, by zgodnie z prawem móc rozpocząć przeszukanie. Pomyślałem, że mam mniej niż pięć godzin, czyli najwyżej do szesnastej.

Po wyjściu z namiotu Kennedy podał mi rękę, w drugiej trzymając wizytówkę.

– Tu jest informacja, jak się ze mną skontaktować. Przemyśl to bardzo starannie.

Zobaczyłem, że Levine wyjmuję komórkę.

– Nie, dziękuję. Proszę zatrzymać wizytówkę – odpowiedziałem.

Kennedy schował wizytówkę.

Bill Kennedy zrobił na mnie wrażenie nerwowego, ale sumiennego agenta. Pieprzył, ale przynajmniej nie udawał. Równocześnie byłem całkiem pewny, że był uczciwy. Koniec końców mógłbym z nim ubić interes, ale zanim to się stanie, muszę poznać całą prawdę. Nie chciałem, żeby Rosjanie wiedzieli, że wzięłem od niego wizytówkę. Musiałem znaleźć inny sposób, żeby się z nim skontaktować.

Rosjanie nie mogli się tego nawet domyślać.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Federalni odwieźli mnie do sądu. W drodze powrotnej nie rozmawialiśmy. Byłem za to wdzięczny, miałem trochę czasu do namysłu.

Z pewnością to, co może uziemić Rosjan, znajduje się w walizce. W tej walizce, która leży na siedzeniu pasażera w furgonetce z materiałami wybuchowymi z *Saszy*.

W drodze powrotnej Levine nie spuszczał ze mnie wzroku, spoglądając we wsteczne lusterko. Kennedy i Coulter zdawali się nie mieć pojęcia, że Levine śmierdzi. Kennedy okazywał dużo zaufania swoim ludziom, chociaż według mnie coś tu nie pasowało: jeżeli Levine był wtyką Wołczeka w FBI, to jak to możliwe, żeby się nie dowiedział, gdzie federalni ukrywali Benny'ego?

– Czy wasi ludzie dostarczyli już do sądu Świadka X? – spytałem.

Na to pytanie Coulter i Levine wyraźnie nadstawili uszu, jakby z zainteresowaniem oczekując, co Kennedy odpowie.

– Chyba powinniśmy to wiedzieć, prawda chłopcy? – stwierdził Kennedy.

– Prawda – przytaknęli równocześnie.

– Ale mówiąc poważnie, dzisiaj będzie w sądzie. Po Świadka X wyjedzie oddział specjalny – faceci z programu ochrony świadków. Nawet ja nie wiem, gdzie ich trzymają. Tak jest lepiej. Odpowiedzialność tego oddziału kończy wraz z dostarczeniem go do sądu. Potem to ja przejmuję obowiązki związane z ochroną świadka.

To wyjaśniało wszystko. Levine był zdecydowanie człowiekiem Wołczeka i nikt w tym aucie nie wiedział, gdzie trzymano Benny'ego. To bardzo sprytne, pomyślałem. Kennedy zyskał w mojej opinii.

– Flynn, dziś będę pana uważnie obserwował – zaznaczył. – Jeżeli znajdziemy coś w pańskim domu, osobiście pana aresztuję.

Potrząsnął moją ręką i wymusił uśmiech, który podważył moje przekonanie o jego szczerości.

– Jeśli pan wiedział, że ktoś wnosi do sądu bombę, miał pan obowiązek mi o tym powiedzieć – zauważył. – Przetrzęsaliśmy budynek od piwnic po samą górę. Jest czysty – dodał Kennedy.

Zanim zapytałem, jak to się stało, że FBI przeoczyło furgonetki, znałem już odpowiedź. Jeżeli w podziemnym parkingu stoi pojazd przyjęty i zapisany przez nocnego stróża, FBI nie może go przeszukać. Wyklucza to Czwarta Poprawka. Arturas wszystko dokładnie zaplanował i mogłem się założyć o ostatnią koszulę, że te furgonetki zostały wpisane do rejestru ochrony. Ten parking zbudowano w latach siedemdziesiątych, zajmował miejsce starych

piwnic oraz izby egzekucji. Parking mógł pomieścić około dwieście pojazdów. Federalni musieliby szukać ich właścicieli co najmniej tydzień. Nie mogliby tego ominąć, bo do każdego właściciela musieliby wysłać powiadomienie listem poleconym. Zdobyć pozwolenia na przeszukanie pojazdu zajęłoby zbyt dużo czasu. Ale przecież nie można było się włamać do samochodów. Byłoby to zbyt ryzykowne, tym bardziej że auto mogło należeć do adwokata albo sędziego.

Samochód FBI zajechał przed sąd i Kennedy mnie wypuścił.

– Pamiętaj o naszej rozmowie – rzucił za mną.

Zignorowałem go i szybko wbiegłem po stopniach. Robotnicy odnawiający elewację gmachu sądu pracowali na zawieszonyj wysoko ruchomej platformie. Zwisiała z dachu na grubych stalowych linach kilka pięter niżej. Robotnicy czyścili kamienną okładzinę elewacji z wiekowego brudu strumieniem sprężonego powietrza z piaskiem. Ramiona czekających w kolejce na wejście do punktu kontroli straży pokrywał brązowy pył. Za Hankiem stał gruby strażnik z wąsem. Rosjanie nie przejmowali się moim powrotem, przecież bomba została na górze! Jednak ciągle miałem przy sobie telefon, spray i latarkę, a także detonator i nie chciałem, żeby gruby strażnik je znalazł. Tym razem nie czekałem w kolejce do kontroli; tym razem minąłem wszystkich, ruszając prosto do grubasa; nie byłem tak nerwowy jak przedtem. Poszedłem, nie zwracając na nic uwagi.

Skaner kontroli zasygnalizował brzęczykiem, gdy przechodziłem, ale zignorowałem wołanie Hanka, skierowałem się prosto do człowieka Arturasa i szepnąłem:

– Pozbądź się kumpla. Mam przy sobie pieniądze, nie chcę, żeby je znalazł. To twoje pieniądze, Arturas powiedział, że to premia dla ciebie.

– Wszystko w porządku, Hank. Ten facet jest ze mną – poinformował gruby strażnik. Na odznace widniało nazwisko Alvin Martin.

Zanim Hank zdążył po raz drugi zaprotestować, że nie zostałem przeszukany przy wejściu do sądu, kiwnąłem na Alvina, żeby szedł za mną, i powiedziałem:

– Pójdziemy w jakieś ustronne miejsce, najlepiej do podziemnego garażu. W lobby są kamery.

Było takie pomieszczenie – ukryty pokój – gdzie Edgar, były szef strażników, miał tajny skład alkoholu i gdzie pędził bimber, który sprzedawał zaufanym, takim jak ja klientom, i niektórym moim przyjaciółom prawnikom, a nawet kilku sędziom. Harry szczególnie cenił sobie „Root Juice”.

Alvin, idąc za mną, minął podwójne drzwi w zachodniej części lobby, za którymi znajdowała się klatka schodowa schodząca do podziemi.

Weszliśmy na parking, skręciliśmy w lewo i poszliśmy długim nieoświetlonym korytarzem. Ukryte drzwi we wnęce wskazywały wejście do starej bimbrowni Edgara. Na szczęście drzwi nie były zamknięte na klucz. Z pomieszczenia zniknęła aparatura do pędzenia bimbru. Kiedyś stał tu

między innymi aparat odpędowy, destylator i tym podobne, ale teraz pozostał tylko stos zakurzonych składanych krzeseł i kilka stołów. Kiedy Edgara nakryto, napełniał kanistry. Harry dobrze się o nim wyrażał w czasie przesłuchania dyscyplinarnego. Za Edgarem wstawił się sędzia, nie został więc wyrzucony z pracy, tylko zdegradowano go i wyłączono z wielu odpowiedzialnych funkcji. W zamian Harry stał się właścicielem jego zapasów.

Przytrzymałem drzwi, wpuszczając Alvina do środka.

– Mógłbym ci zapłacić od razu, ale wpiery muszę się upewnić, że rozumiesz, czego się po tobie spodziewamy – oświadczyłem.

Alvin sprawiał wrażenie nieco zaskoczonego i zmieszanego. Niemniej, mając perspektywę otrzymania pieniędzy, wszedł bez oporów do ciemnego pokoju. Gdy mnie mijał, zapaliłem światło i równocześnie prawą ręką sięgnąłem po jego broń. Chwyciłem kolbę odpiąłem zatrzask i wyłuskałem berettę. Alvin usłyszał kliknięcie zatrzasku i chwycił mnie za rękę. Lewą ręką grzmotnąłem go w kark, posyłając na kolana i uwalniając się z jego uścisku.

– Uspokój się, to przeżyjesz – ostrzegłem, przykładając lufę pistoletu do jego głowy. – Siadaj.

Jak na sytuację, w jakiej się znajdował, zachowywał się dość spokojnie.

Chwyciłem metalowe krzesło ze stosu w rogu pokoju i podsunąłem mu je. Usiadł na wprost mnie w odległości półtora metra. Zamknąłem drzwi.

– To ty wpuściłeś do sądu furgonetki mafii. Dlaczego to zrobiłeś, Alvin?

– Dla tego samego, co ty... dla pieniędzy. Mam niską pensję, a muszę płacić alimenty. Nie próbuj mnie przekonywać, że nie bierzesz łapówek.

– Może i nie biorę, ale nikogo nie zabiłem za pieniądze. Co jest w tych furgonetkach?

– Powiedzieli mi, że potrzebują ich do szybkiego transportu. Jeżeli Wołczek zostanie skazany, będzie musiał nimi uciekać. Gdyby mnie pytano, odpowiem, że tylko wpuściłem dwie furgonetki i zapisałem je na liście parkujących – skąd miałem wiedzieć, do kogo należą? Nawet gdybym stracił pracę, dostanę sto tysięcy dolarów. Nigdy nie zarobię takich pieniędzy w tej mojej zasranej robocie.

– Gdzie jest teraz Wołczek?

– Wszyscy są na dziewiętnastym. Czekają na ciebie.

– Masz kluczyki do furgonetek?

– Nie. Posłuchaj, powiedziałem ci już wszystko. Pozwól mi odejść i zapomnimy o wszystkim.

– Nie mogę ryzykować. Masz kajdanki? – spytałem.

– Pewnie.

– Więc idź i zapoznaj się z tym grzejnikiem w kącie.

Alvin wstał, odwrócił się w prawo i spojrzał na grzejnik, a następnie ponownie się obrócił i rzucił we mnie stalowym krzesłem, celując w głowę. Zasłoniłem się rękoma, czując, jak nogi krzesła trafiają mnie w łokieć

i nadgarstek. Pistolet Alvina wypadł mi z ręki. Alvin skoczył w kierunku leżącej na posadzce beretty i chwycił broń za lufę. Wysunąłem lewą nogę, prawą podkurczyłem, a potem z całej siły wypchnąłem, celując w twarz Alvina. Łatwy cel – głowa odskoczyła w tył i uderzył twarzą o cementową posadzkę. Jego ciało natychmiast bezwładnie sflaczało.

Podniosłem z posadzki berettę i gdy przyłożyłem palec do jego szyi, wyczułem puls. Nie ruszał się, był zimny, ale żył. Podciągnąłem go do grzejnika i przypiąłem kajdankami do rury; potem zabrałem z jego pasa zapasowe magazynki do beretty; radio i telefon komórkowy rozwalilem o ścianę. Miałem pewność, że przy zgaszonym świetle i zamkniętych drzwiach przez jakiś czas nikt go nie znajdzie. Wsunąłem berettę do kieszeni płaszcza.

Pierwszą furgonetkę znalazłem w północno-zachodnim rogu parkingu. Była zaparkowana drzwiami od strony pasażera około metra od ściany. W dodatku tylne drzwi były zamknięte na kłódkę. Zawieszenie wozu zdawało się wskazywać, że pojazd jest bardzo obciążony, jednak trudno to oceniać z całą pewnością. Szyby były przyciemnione, zatem nie mogłem zobaczyć wnętrza. Jeżeli furgonetki miały alarmy i immobilisery, na tablicy rozdzielczej powinno błyskać nieregularnie czerwone światełko. Mógłbym je zobaczyć nawet przez przyciemnione szyby. Po minucie uważnego badania nie dostrzegłem żadnego światełka i z zadowoleniem stwierdziłem, że mogę otworzyć drzwi tradycyjnymi metodami. Nim się do tego zabrałem, jeszcze raz sprawdziłem parking. Był pusty. Z mojej pozycji nie było widać budki strażnika parkingu. Gdyby tam była, strażnik teraz robiłby to, co zwykle – oglądałby kablówkę, ignorując monitoring. Wróciłem do furgonetki, kolbą beretty uderzyłem w szybę od strony pasażera. Drugie uderzenie wybiło szybę. Jeżeli policjanci lub strażnicy będą mieli ochotę i przejdą do końca parkingu, a potem znajdą czas na obejrzenie fotela pasażera, to i tak nie znajdą śladów włamania. Zaczekałem minutę, żeby się przekonać, czy ktoś mnie usłyszał. Nic. Na parkingu żadnego ruchu.

Tył furgonetki był zawalony po sufit. Ładunek okrywała plandeka. Odśloniłem ją i zobaczyłem coś, co wyglądało na stos beczek owiniętych w jasnoniebieską folię. Z początku nie wiedziałem, co to może być – jednak po chwili wstrzymałem oddech, widząc drut biegnący od lewego narożnika. Idąc tropem tego przewodu, trafiłem na duże, czarne pudło, które wydawało się stacją węzłową wielu podobnych przewodów. Jeden z przewodów łączył to pudło z deską rozdzielczą. Do deski przymocowano zegar cyfrowy, na którym wyświetlały się liczby: 00:20:00:00, co – jak się domyślałem – oznaczało 20 minut. Pozostałe wartości oznaczały godziny, sekundy i dziesiętne części sekund. Nie przypominało to odbiornika radiowego, więc pomyślałem, że prawdopodobnie jest to zegar nastawiany ręcznie, chociaż nie byłem tego absolutnie pewny. Natomiast jedno nie budziło wątpliwości – ta furgonetka nie była pojazdem, który chcieliby wykorzystać do szybkiej ewakuacji.

Druga furgonetka została zaparkowana w drugim końcu parkingu, w jego

południowo-wschodnim narożniku. Obie furgonetki stały pod ścianami konstrukcyjnymi gmachu sądu, z drzwiami od strony pasażera blisko ściany. Obie miały przyciemniane szyby i w obu znajdował się ten sam ładunek. Ich zawieszenia wykazywały jednakowe obciążenie. Walizka Samsonite, którą Gregor wnosił do furgonetki poprzedniej nocy, leżała na fotelu pasażera. Była identyczna jak ta, która znajdowała się na dziewiętnastym piętrze i w której Arturas wczoraj rano przyniósł do sądu akta sprawy.

Sforsowałem okno, otworzyłem drzwi i kiedy chwyciłem walizkę i postawiłem ją na posadzce, zauważyłem, że jest nadzwyczaj lekka. Ten olbrzym, Gregor, w nocy podniósł taką samą walizkę dwoma rękami!

Nie wyglądało to dobrze.

Zanim zdążyłem otworzyć walizkę, usłyszałem hałas na schodach. Chciałem wybiec na klatkę schodową, chwycić Kennedy'ego za rękę i zaciągnąć go do furgonetki. Jednak powstrzymały mnie dwie sprawy. Pierwsza: Alvin, strażnik. Zostawiłem na nim wszędzie ślady mojego DNA oraz solidny odcisk buta na jego twarzy. Druga: otworzyłem furgonetki. Odciski moich palców były na klamkach drzwi, a mnie przecież nic nie łączyło z furgonetkami Rosjan.

Wszystko zależy od zawartości walizki. Przesunąłem kciukami po zamkach, zwolniłem je i uniosłem pokrywę. Pomyślałem, że pewnie znajdę w środku detonator albo wskazówkę, co Arturas planował zrobić z furgonetkami, czy coś, co pomogłoby rozwikłać zagadkę. Kiedy zobaczyłem wnętrze walizki, nie mogłem się powstrzymać i ukryłem twarz w dłoniach. Zamknąłem oczy i dwa razy uderzyłem się dłonią w twarz.

W tej sekundzie, jedynej w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, byłem kompletnie wyglupiony.

Walizka była pusta.

Potem uderzyła mnie pewna myśl – walizka była pusta, tak jak ten fałszywy detonator, który jako pierwszy ukradłem Arturasowi.

Pasowała do tego tylko jedna teoria. Jeden pomysł, który nadawał choćby w małym stopniu sens temu wszystkiemu. Pobiegłem do windy i nacisnąłem guzik dziewiętnastego piętra. W kilka sekund ukryłem berettę w koszu na śmieci, potem wszedłem do windy i pojechałem na najwyższe piętro na spotkanie z Wólczekiem.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

W małym biurze na dziewiętnastym piętrze siedzieli Wołczek, Arturas, Wiktor i Gregor i jedli śniadanie zamówione w pobliskiej restauracji.

– Macie coś dla mnie? – zapytałem.

Gregor podał mi pakiet śniadaniowy z resztką naleśników.

– Czego chcieli federalni? – zapytał Wołczek.

– Próbowali mnie przekonać, że groziłeś świadkowi i że jeżeli coś wiem, to we własnym interesie powinienem im powiedzieć. Powiedziałem im, że jesteś niewinny, wzór cnoty, a ja z przyjemnością ciebie reprezentuję.

Wołczek roześmiał się.

W kącie recepcji zobaczyłem leżącą na podłodze walizkę, taką samą jak ta pusta, którą znalazłem w furgonetce. Była otwarta.

I tak jak jej bliźniaczka w garażu – pusta.

Tak się przynajmniej wydawało.

Naleśniki były tłuste, ale dały mi zastrzyk energii i powstrzymały bolesne skurcze żołądka z powodu głodu. W ciągu ostatniej doby przecież nic nie jadłem. Jedząc, ciągle rozmyślałem o ostatnich wydarzeniach.

Walizka w garażu miała około sto dwadzieścia centymetrów długości, sześćdziesiąt szerokości i czterdzieści pięć głębokości. Walizka leżąca na podłodze miała te same zewnętrzne wymiary, ale zauważyłem, że w środku była głęboka zaledwie na trzydzieści centymetrów. To znaczyło tylko jedno – fałszywe dno. Spodziewałem się tego. Na parkingu starannie zbadałem walizkę, ale nie było w niej żadnych ukrytych przegródek.

Od początku prohibicji Ameryka wiodła prym w technikach szmuglerskich. Klasycznym trikiem były fałszywe dna walizek. Sztuka polega na tym, żeby tego, kto przeszukuje walizkę, zainteresować tym, co się w niej znajduje. Nikt nie ogląda walizki z zewnątrz, co w istocie stanowi jedyny sposób wykrycia podwójnego dna. Często wzór podszewki służy tworzeniu złudzenia, iż widzimy całą walizkę „aż do dna”. W tym wypadku pomogło mi, że właśnie widziałem identyczną walizkę, zatem wiedziałem, jaką ma głębokość.

Jedyną wadą walizki z podwójnym dnem jest to, że zazwyczaj łatwo je odkryć, jeśli wiemy, że należy go szukać.

Postanowiłem przetestować moją teorię.

Odsunąłem śniadanie, ukląknąłem przy walizce, zamknąłem wieko, podniosłem ją, czując dodatkowy ciężar – porównując z ciężarem walizki w garażu – i ruszyłem w kierunku gabinetu sędziów. Wtedy mój test dał wynik.

- Co robisz? – warknął Arturas.
- Zapakuję akta do tej walizki. Muszę zabrać je na rozprawę.
- Zostaw walizkę. Zrobi to za ciebie Wiktor.
- Nie. To jest okej. Mogę...
- Zostaw tę walizkę!

Arturas stracił zimną krew. Nie chciał, żebym grzebał w walizce. Bał się, że znajdę jakąś skrytkę.

Wółczek wydawał się zdziwiony.

– Arturas, uspokój się. Prawnik jest zmęczony. Daj mu spokój... no, wiesz – oznajmił.

Postawiłem walizkę i usiadłem na kanapie. Skupiłem uwagę na oleodruku *Mony Lisy* nad kontuarem w recepcji i nagle to, co było tylko teorią, nabrało realnych kształtów.

Fałszywy detonator; strażnik ochrony Alvin i podwójne dno walizki: kiedy popatrzyłem na portret, nagle funkcje i role tych wszystkich rzeczy stały się jasne.

Klucz do ich zrozumienia tkwił w portrecie *Mony Lisy*. Dla rasowego oszusta *Mona Lisa* miała w sobie przyciągający urok. Był to najczęściej kopiowany portret na świecie. Co parę lat czytałem w gazetach o jakichś sensacyjnych teoriach, że któraś z kopii obrazu okazywała się oryginałem. To mnie ciągle interesowało, dlatego że jedyną przyczyną, iż ktoś kopiował jakiś obraz, była chęć podmiany oryginału, żeby uwierzono, że oryginał ciągle jest na miejscu, podczas gdy w istocie zwiedzający oglądają kopię. Fałszerz jest najlepszym przyjacielem kanciarza.

Doszedłem do wniosku, że walizka, którą Arturas przeniósł rano przez kontrolę bezpieczeństwa z aktami sprawy, to ta z podziemnego parkingu. Gregor zostawił ją w gmachu sądu w czasie, gdy Arturas, Wiktor i ja pojechaliśmy odebrać pieniądze przeznaczone dla Jimmy'ego. W nocy Gregor musiał zejść do podziemia i zamienić walizki, zatem walizka, którą Arturas wnosił wczoraj do sądu z aktami sprawy, teraz znajduje się na parkingu, zaś ta, którą Gregor wniósł do furgonetki minionej nocy, leży przede mną na podłodze. Oznaczało to, że jej zawartość ukryta pod fałszywym dnem mogła uruchomić alarm, gdyby Arturas próbował ją przenieść wczoraj rano przez kontrolę, i – co ważniejsze – skaner mógł przeniknąć promieniami rentgenowskimi przez podwójne dno.

Wółczek w najmniejszym stopniu nie był zainteresowany tą walizką. Nie wiedział o zamianie. A jeżeli nie wiedział, to było pewne, że nie miał pojęcia o furgonetkach, albo o Alvinie, czy też o tym, że Arturas miał dwa detonatory – prawdziwy i fałszywy.

Po co mu fałszywy i prawdziwy detonator? Po co mu dwie identyczne walizki? Po co wykonuje się kopie *Mony Lisy*?

Po to, aby można je było podmienić z oryginałem bez zwracania uwagi.

Od samego początku myślałem, że mogę przechytrzyć Rosjan.

Arturas przechytrzył mnie, ale co ważniejsze, przechytrzył też Wołczeka. Wyczuwałem między nimi napięcie i obserwując Arturasa, raz po raz widziałem, jak gładzi palcami bliznę na twarzy.

Wołczek stanął nade mną i powiedział:

– Za pięć minut zaczyna się rozprawa, Flynn. Mam nadzieję, że pieniądze nie zostały wyrzucone w błoto. Jeżeli Tony Geraldo zezna coś, co będzie świadczyło, że jestem zamieszany w morderstwo Mario, rozkażę Arturasowi zatelefonować do przyjaciółki i twoja córka może ciebie winić za to, że moi ludzie się z nią zabawią.

– Tony będzie milczał – odpowiedziałem.

Arturas zdjął z oparcia krzesła kamizelkę.

– Włóż to. Bombę zainstalujemy w przerwie na lunch – wyjaśnił.

Znowu poczułem na plecach ciężar instalacji i zimny dreszcz strachu. Podobnie jak agenci FBI, którzy czekali na dostarczenie nakazu rewizji w moim mieszkaniu, wiedziałem, że prawdopodobnie nie nastąpi to do przerwy na lunch.

Jeżeli miałem rację i Arturas prowadzi jakąś nieczystą grę ze swoim bossem, to nadal nie miałem nic, co dawałoby mi jakąkolwiek wskazówkę co do jego zamiarów. Byłem ciągle przekonany, że odpowiedzi na moje pytania tkwią pod fałszywym dnem tej walizki. Musiałem tam zajrzeć bez wiedzy Arturasa, ale nie miałem jeszcze sprecyzowanego planu.

– To dla ciebie – powiedział Arturas, podając coś Wołczekowi, który obejrzał to i schował do kieszeni. Arturas właśnie wręczył bossowi detonator.

Ten fałszywy.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIERWSZY

Poza świeżą koszulą i nowym krawatem miałem na sobie to samo ubranie co wczoraj. Zwykle w drugim dniu rozprawy wkładałem to samo ubranie, ale zmieniałem koszulę i krawat. Na trzeci dzień rozprawy miałem już na sobie inne ubranie. Potem, w siódmym dniu, znowu zmieniałem ubranie, ale w ciągu trwania procesu nigdy nie zmieniałem ubrań więcej niż trzy razy – chyba że proces trwał dłużej niż miesiąc. W swoim mieszkaniu miałem około piętnastu eleganckich garniturów. Gdybym chciał, mógłbym zmieniać je codziennie. Ale wtedy sędziowie przysięgli zwróciliby na to uwagę. A to źle.

Kiedy przysięgli zaczęli szeptać o moich garniturach, to będzie znaczyło, że nie słuchają zeznań. Pomyślą, jak to miło zmieniać codziennie garnitur, ile te garnitury mogą kosztować i że ten oskarżony musi za nie płacić, żeby tylko nie trafić do więzienia. Adwokat procesowy może manipulować zeznaniami, zabawiać sędziów przysięgłych i ciągle przekonywać różnymi argumentami, że jego klient jest niewinny, ale nawet najlepszemu adwokatowi procesowemu nie pomoże najelegantszy garnitur. Gdybym pojawił się na rozprawie w garniturze od Armaniego, mój klient mógłby mnie z miejsca wyłać i zażądać adwokata z urzędu.

Mój strój sądowy to zwykły jasnobrazowy albo ciemnogranatowy garnitur. Noszę je na zmianę, więc sędziowie przysięgli nie zastanawiają się, ile mam na koncie bankowym, ale wyrobią sobie zdanie, że jestem zwykłym, godnym zaufania facetem, dbającym o wygląd fachowcem.

Sędziowie przysięgli cierpliwie czekali na sędziego. Pike powiedziała urzędnikowi, żeby ich wprowadził i że zaraz przyjdzie. Przysięgli nie rozmawiali. Większość siedziała z pochylonymi głowami, tylko kilku spoglądało na mnie. Tego ranka nie widziałem w sądzie Arnolda. Zapewne powiedział Miriam, że został przez obronę skompromitowany.

Żaden z przysięgłych nie patrzył na Miriam. Chociaż sprawilem, że wczorajszy dzień był dla niej bardzo zły, to miała mnóstwo czasu, żeby odzyskać równowagę. Procesy miewają swoje wzloty i upadki, przyływy i odpływy. W jednej minucie oskarżony czuje, że już, już może wracać do domu, w drugiej staje się winny. Wszystko zależy od sposobu prowadzenia przesłuchania – napastliwy egzamin, zwykle przesłuchanie albo ostra dyskusja i zderzanie argumentów z kontrargumentami. Wielu prawników spędza całe dni na przesłuchiowaniu świadków. Grzebią w najdrobniejszych szczegółach i niuansach w zeznaniach i w agresywny sposób wytykają najmniejsze niekonsekwencje. Z mojego punktu widzenia to nie była właściwa

strategia. Im dłużej przeciąga się bitwa na słowa, tym silniejsze sprawia ona wrażenie, że świadek jest coraz bardziej górą.

Chodzi o to, by szybko reagować i być przekonującym, dzięki czemu jesteśmy zapamiętywani. Patrząc na materiały procesowe zalegające moje biurko, nagle uzmysłowiłem sobie, że czegoś zapomniałem. Pióro! Klepnąłem się po kieszeniach, odwróciłem do Wołczeka i powiedziałem, że gdzieś zgubiłem pióro i że muszę pożyczyć od urzędnika sądowego. Skinął przyzwalająco głową. Jean podała mi pióro i posłała czarujący uśmiech.

Dziś miałem przesłuchać pewnie ze czterech świadków. Musiałem ich zgnać. Tymczasem Kennedy mógł już dostać ten cholerny nakaz rewizji. Bóg wie, co Arturas podłożył w moim mieszkaniu. Pewnie coś, co łączy się z jego planem – coś, co może mnie załatwić do końca życia.

– Proszę wstać!

Wszyscy wstali. Odwróciłem się, słysząc, jak Arturas głośno przeklina. Skończył rozmawiać przez telefon komórkowy, szepnął coś do Wołczeka i razem z Gregorem wyszli z sali sądowej, zostawiając Wołczeka siedzącego obok mnie przy stole obrony i Wiktora tkwiącego za nami jak nianka. Nie miałem pojęcia, co się dzieje. Spodziewałem się, że nie mogli się połączyć z Alvinem, który zapewne ocknął się, ale z dużym prawdopodobieństwem nadal był przykuty do kaloryfera. Jednak przeczucie mówiło mi, że Arturasowi nie udało się skontaktować z Eleną. Jeżeli skontrolują mieszkanie w Severn Towers – który stoi w pobliżu sądu – i znajdą w nim trupy, a potem stwierdzą, że Amy zniknęła, to wszystko przepadło. Arturas ucieknie, ukryje się, a potem zacznie się mścić na mojej rodzinie. Teraz nie mogłem nawet o tym myśleć. Amy była bezpieczna w twierdzy mafii, obserwowanej w dodatku przez co najmniej jedną rządową agencję odpowiedzialną za przestrzeganie prawa, więc przynajmniej jej nic nie grozi.

Zwróciłem się do ławy sędziowskiej. Myślałem, że obok sędzi Pike siedzi Harry, ale go tam nie było. Harry był mi teraz bardzo potrzebny.

Miriam wstała. Dziś starannie unikała rozmowy ze mną. Żadnej notatki, żadnego uśmiechu, nic, co mogłoby dawać jej odrobinę przewagi. Jej spódnica robiła wrażenie nieco krótszej od tej, którą miała na sobie wczoraj.

– Stan wzywa Tony’ego Geraldo.

Błąd. Miriam jeszcze o tym nie wiedziała. Próbowwała zaskarbić sympatię sądu dla ofiary, jednak się z tym pospieszyła. Byłoby lepiej, gdyby przed nim była przesłuchiwana dziewczyna. Nikki Blundell zeznała, że Wołczek pokłócił się z ofiarą dzień przed morderstwem. Nikki nie słyszała tej kłótni. Jedynie widziała samo starcie. Tak więc, czy sędziowie przysięgli mogli się dowiedzieć, o co poszło w tej awanturze? Miriam wzywa Tony’ego, żeby to wyjaśnił. To nawiązuje relację z ławą przysięgłych. Pozwala im dodać dwa do dwóch. Sędziowie to lubią.

Rozejrzałem się po sali sądowej i dostrzegłem, jak Tony wolno idzie do miejsca wyznaczonego dla świadków. Na jego twarzy malował się wyraz

zadowolenia. Domyśliłem się, dlaczego Miriam wezwała go jako pierwszego. Musiała zdawać sobie sprawę, że Tony nie zechce współpracować, i zamierzała zminimalizować swoje straty; wykpić go i raz z tym skończyć.

Wółczek obserwował w skupieniu Tony'ego. Zapewne zastanawiał się, co kupił za te swoje cztery miliony dolarów. Trzymał w ręce detonator. Widziałem to, bo wystawał z dłoni. Jednak ten prawdziwy miałem ja.

Lśniący, srebrny garnitur Tony'ego rzucał się w oczy; zestawiony z wygodnymi kremowymi butami, czarną jak węgiel koszulą i białym krawatem sprawiał, że Tony wyglądał na zwykły sutener. Sędziowie przysięgli z pewnością nie zapałali do niego sympatią. Buty Tony'ego stuknęły metalicznie, a ten stukot rozchodził się echem z każdym pewnym siebie krokiem.

Gdy stanął w boksie dla świadków, podeszła do niego urzędniczka sądowa Jean. Jej twarz przybrała wyraz obrzydzenia na widok żującego gumę gangstera. Jean wyjęła serwetkę i podsunęła mu ją do ust. Szczeka Tony'ego głośno pracowała. Jean traktowała przysięgę poważnie, śmiertelnie poważnie. Tony posłusznie wypluł gumę na serwetkę.

– Możesz to sobie zatrzymać, kochana – rzucił.

Z jedną ręką złożoną na Biblii jakoś poradził sobie z odczytaniem tekstu przysięgi z karty, a potem usiadł, zanim sędzia udzieliła mu pozwolenia.

– Panie Geraldo – zaczęła Miriam – będzie pan tak łaskaw wyjaśnić sądowi swoje pokrewieństwo z ofiarą, z Mario Geraldo.

Cisza.

– Panie Geraldo? – ponagliła Miriam.

Brak odpowiedzi. Tony tylko siedział. Sędziowie przysięgli pochylili się, słuchając z zaciekawieniem.

Trzymałem głowę opuszczoną. Czułem na sobie wzrok Miriam, przewiercający mnie niczym lasery.

– Panie Geraldo, proszę potwierdzić datę urodzenia do protokołu – kontynuowała.

Kiedy usłyszałem odpowiedź, jeszcze niżej pochyliłem głowę – była taka, jaką napisałem mu na kartce w restauracji.

– Odmawiam odpowiedzi na pytanie, ponieważ mógłbym tym obciążyć siebie.

Sędziowie spojrzeli na Miriam. Potem na mnie. Miriam przestąpiła z nogi na nogę i lekko rozchyliła usta. Sprawiała wrażenie urażonej i gotowej na odwet co najmniej o mocy bomby zrzuconej na Hiroszimę. Sędziowie przysięgli zawsze mogą się zorientować, kiedy coś idzie źle, to takie proste i wyraźne jak obserwowanie wagonu kolejki podziemnej, gdy się wykoleja tuż przed tobą, wywołując totalny bałagan.

– Czy mam przypominać panu, panie Geraldo, że w moim biurze podpisał pan porozumienie o nietykalności? Jeżeli dziś złamie pan to porozumienie odnoszące się do obowiązku składania zeznań, trafi pan do więzienia.

Tony milczał – co w istocie było błędem – i zaczął się uśmiechać.

Miriam zaczerwieniła się i na moment zapomniała, co chciała powiedzieć. Już chciała kontynuować, ale w porę się powstrzymała. Pomogła jej sędzia.

– Pani Sullivan, może pani złożyć wniosek o uznanie tego świadka za osobę nastawioną wrogo, ale zanim pani to uczyni, sugeruję przerwę. Może warto się zastanowić nad dalszym tokiem postępowania?

I z tymi słowami sędzia Pike opuściła salę sądową.

Wstałem, przysiadłem na skraju stołu obrony i założyłem ręce na piersi, przewidując tyradę Miriam. Nie musiałem długo czekać.

– Eddie, ty bękarcie. Czy ty w ogóle wiesz, co robisz? Wtykasz nos w zeznania świadka stanowego? Czyś ty oszalał?

– Nie. Jestem jego adwokatem. Tak się przypadkiem składa, że reprezentuję Tony’ego Geraldo w związku z zarzutami dotyczącymi narkotyków. Mogę tylko zdradzić, że bardzo niedawno udzieliłem mu pewnych instrukcji.

– Jak niedawno?

– Rozmawiałem z nim dziś rano.

– No, mam nadzieję, że zwolni ciebie i weźmie sobie innego adwokata, ponieważ właśnie sam siebie pogrąża. Jest oskarżony o udział w dystrybucji, handel nielegalnym towarem, rozprowadzaniem go i sama nie wiem o co jeszcze. Wiesz tak samo jak ja, jak to funkcjonuje; to dwukierunkowa ulica, Eddie. Nie ma zeznań, nie ma porozumienia. Dlaczego mu tego nie uświadomiłeś?

– Zaraz, zaraz, nie tak szybko. Mogę zobaczyć to jego porozumienie?

Miriam sprawiała wrażenie, jakbym właśnie złożył jej niemoralną propozycję. Zanim zdążyła mnie spoliczkować, jeden z jej urzędników wepchnął mi w rękę tekst porozumienia. Znałem dobrze jego treść. Było to standardowe porozumienie stanowe dotyczące ustanowienia immunitetu. W rękach sprawnego prawnika mogłoby być dobrze wykorzystane i pokrzyżować moje plany, i to bardzo poważnie.

– To standardowe porozumienie o nietykalności stwierdza, że w zamian za złożenie zeznania w tym procesie mój klient nie zostanie o nic oskarżony. Jednak nie precyzuje, jakiego rodzaju zeznanie ma złożyć. I nie powinno precyzować. Stosowanie wobec świadka coachingu mogłoby pozbawić cię uprawnień prokuratorskich – stwierdziłem.

Na dźwięk słowa „coaching” jej oczy rozszerzyły się. Prawnicy mogą przygotowywać świadków do procesu, ale absolutnie zabronione jest uzgadnianie, jakich dokładnie mają udzielać odpowiedzi w czasie przesłuchania. Autorem treści zeznania nie może być prawnik.

– Uważasz, że kieruję świadkiem? Że stosuję coaching? A ty mu powiesz, że może skorzystać z Piątej Poprawki, Eddie? I teraz robisz mi wykład na temat coachingu świadka? Tym sposobem nie może mu się udać i tobie też nie.

– Może. Wiesz, że może. Żaden sędzia nie pozwoli, żeby ktoś w Stanach Zjednoczonych stawał przed sądem tylko dlatego, że korzystał

z przysługujących mu praw konstytucyjnych. Nieobciążanie samego siebie jest prawem fundamentalnym i niezbywalnym. I takie wykorzystywanie prawa nie ma nic wspólnego z łamaniem ugody. Konstytucja jest ustawą nadrzędną nad wszystkimi porozumieniami lub innymi, podrzędnymi w istocie ustawami. Dlatego ja nie nazwę go świadkiem nastawionym nieprzyjaźnie. On ma prawo milczeć, nie powie słowa, a to tylko jeszcze bardziej zaszkodzi twojej sprawie. Sędziowie przysięgli pomyślą, że chwytasz się wszystkiego, żeby wyrwać każdy skrawek zeznania, ponieważ twoja sprawa ma tak słabe argumenty. Ale ty po prostu wal dalej; pamiętaj, nie daj się ograć mafii. Bo co z tego? To się zdarza najlepszym z nas. Wezwij następnego świadka, Miriam.

Nie chcielibyście znaleźć się na miejscu Miriam, gdybyście nie byli jak ona bystry, twardzi i bezwzględni. Wiedziała, że sprawa z Gerlado jest przegrana, ale nie zamierzała mi tak łatwo ulec.

– O co chodziło wczoraj? Mówiłeś coś o bombie? – pytała, zakładając ręce na piersi.

– Masz podłego konsultanta. Albo się pomylił, albo źle odczytał, a może wyjął to z szerszego kontekstu. Nie możesz na nim polegać. A tak przy okazji, dlaczego zatrudniłaś kogoś takiego jak Arnold? Zawsze myślałem, że grasz uczciwie.

– Nie wiedziałam, że czyta z ruchu warg sędziów przysięgłych. Wiedziałam tylko, że ma wyniki. On jest podobny do ciebie, Eddie. Ty chcesz po prostu tylko wygrać. Myślę, że jednak mówiłeś coś o bombie. Nie jakiejś tam prawdziwej. O wymaginowanej. Chyba zabawiasz się i dążysz do unieważnienia tego postępowania sądowego.

– Bzdura. Po prostu robię to, co do mnie należy.

Gdy zamierzałem odejść, Miriam chwyciła mnie za ramię.

– Przecież sam pochodzisz z tego światka, Eddie. Reprezentowanie takich szumowin jak ten, to twoja praca – kiwnięciem głowy wskazała Tony'ego.

W końcu sędziowie przysięgli weszli na salę i Tony znowu zajął miejsce dla świadka.

– Hej, paniusiu, nie gadaj o mnie, tak jakbym był jakimś kryminalistą. Jestem dobrym katolikiem – powiedział.

Miriam rzuciła mu jedno z tych swoich nienawistnych spojrzeń.

– Tony, przestań się wymądrzać. Poza tym jesteś kryminalistą. Inaczej nie tkwiłbyś w tym bajzlu. A co mówi o tym Biblia? – spytała na koniec.

Tony chwycił Biblię i wyskoczył z boksu. Ochrona ruszyła na pomoc, ale powstrzymałem ich ruchem ręki i potrząsnąłem przecząco głową, dając im znak, że wszystko w porządku. Tony rzucił mi Biblię i powiedział:

– Powinieneś od czasu do czasu poczytać sobie tę Dobrą Księgę, Flynn. Może czegoś byś się nauczył.

Tony wrócił na swoje miejsce, a ja do stołu obrony, gdzie położyłem Biblię przed sobą. Tak jak wcześniej u Jimmy'ego, Tony dał nam mały wykład

religii. Wołczek zdawał się być rozbawiony wybuchem Tony'ego. Westchnąłem głęboko i nadal stałem zwrócony plecami do Wołczeka. Otworzyłem teczkę z aktami, wyjąłem raport posekcyjny Mario i położyłem na Biblii. Małym palcem prawej ręki zacząłem w niej grzebać, aż w końcu znalazłem coś między kartkami. Wyłuskałem to dwoma palcami i wetknąłem między okładkę Biblii i ostatnią stronę raportu. Chwyając raport, wsunąłem pod spód palce i chwyciłem kopertę. Zatrzymałem raport razem z kopertą, natomiast Biblię podałem urzędnikowi sądowemu. Była to metoda zwana „zdobyczą zebraka”. Stuprocentowi perfekcyjniści w tej sztuczce działają głównie w Barcelonie – w światowej stolicy oszustów i kanciarzy. Byłem świadkiem tego rodzaju kradzieży, spędzając z Christine i Amy kilka dni w tym mieście. Gdy ciesząc się słońcem, siedzieliśmy w kawiarnianym ogródku, zauważyłem włóczęgę krążącego z laminowaną kartą w ręce. Karta była rozmiarem podobna do strony magazynu ilustrowanego. Włóczęga podszedł do pary Brytyjczyków w średnim wieku, którzy zajmowali sąsiedni stolik. Mąż nie traktował uprzejmie swojej żony, mówiąc jej, że w letniej sukience wygląda grubo. Bezdomny położył laminowaną kartę na stoliku, złożył dłonie jak do modlitwy i powiedział: „Proszę przeczytać. Proszę przeczytać. Ja nie mówię po angielsku”. Mężczyzna przeczytał tekst na karcie. Niewątpliwie była to łzawa historia rodziny, a na końcu prośba o wsparcie pieniężne. Brytyjczyk po przeczytaniu zamachał kartą i zawołał: „Nie, nie, nie. Zabieraj się stąd, brudasie!”. Włóczęga zabrał kartę ze stołu, przykrywając nią łup. Razem z kartą oszust zwinął leżące na stole telefon komórkowy i portfel. Położył na nich kartę, żeby ułatwić sobie kradzież. Ten sam zebrak podszedł do naszego stolika. Położyłem na blacie trochę pieniędzy i zabrałem portmonetkę Christine, zanim zdążył wykonać ten sam trik co na sąsiednim stoliku. Puściłem do niego oko; zabrał pieniądze i również posłał mi porozumiewawcze mrugnięcie. Wtedy nie byłem już w branży, ale ciągle podziwiałem ludzi obdarzonych takim talentem.

Miriam zgarbiła się nad biurkiem, ja natomiast zacząłem kartkować akta sprawy, wyjmując z nich wszystkie fotografie z miejsca zbrodni. Szybko przejrzałem raport medyczny i ukryłem między stronami kopertę. Udając, że szukam czegoś w raporcie, otworzyłem i wyjąłem z niej zdjęcia, które umieściłem między tymi z miejsca zbrodni. Odsunąłem na bok raport medyczny i spojrzałem na fotografie bezładnie rozsypane na stole. Na pierwszy rzut oka nie można było odróżnić fotografii należących do sprawy od tych, które dostarczył mi Tony. Wołczek nie zwracał na mnie uwagi. Kiedy odwrócił wzrok, zgarnąłem fotografie i podniosłem do oczu.

Na wierzchu leżały zdjęcia z miejsca zbrodni. Pod nimi dwie fotografie – pierwsza ukazująca Wołczeka siedzącego przy kolacji z Arturasem i jakimś mężczyzną. Zdjęcie zrobiono w ciemnej restauracji – zapewne klubie Sirocco. Wołczek pewnie zobaczył, jak Mario robi zdjęcie i mu grozi. To właśnie widziała tancerka nocnego klubu Nikki Blundell.

Trzeci mężczyzna na zdjęciu nosił granatowy garnitur i białą koszulę. Miał schludnie ułożone rude włosy, gęsty, dobrze utrzymany wąs i uśmiechał się szeroko – Tom Levine. Wołczek wyraźnie kokietował agenta FBI, zapraszając go na kolację. Mario z pewnością znał Levine’a. Pamiętam, że Tony mówił mi dziś rano w restauracji, że Mario często był przemykany przez federalnych i dzięki nim zarobił pięć lat więzienia Rikers Island. Później pewnie często spotykał się z Levine’em, i to właśnie ten agent go aresztował. Wołczek musiał poświęcić mnóstwo czasu i wydać dużo pieniędzy, żeby go kupić, ale nie chciał cennego nabytku ujawniać takiemu idiotcie jak Mario. Niewątpliwie o to chodziło – ten, kto próbuje szantażować rosyjską mafię, z pewnością jest idiotą.

Druga fotografia została zrobiona w innym miejscu. Parking nocą. Arturas, Levine i trzech mężczyzn. Z początku ich nie poznałem. Potem odwróciłem się i zobaczyłem tę trójkę siedzącą na sali sądowej. Japończyk z jakuzy i dwaj przedstawiciele karteli. Ci sami, którzy wczoraj rano wstali i powitali oklaskami wchodzącego do sali Wołczeka. Jimmy mówił mi, że Wołczek nie ma z nimi dobrych układów, że nie chce wiązać się z innymi organizacjami przestępczymi, co zresztą miało fatalny wpływ na jego interesy. To Levine ułatwił spotkanie Arturasa z trzema liderami gangów. Nie wiedziałem, w jakim celu, było jednak pewne, że ta fotografia dowodziła, iż Arturas oszukiwał swojego bossa.

Chętnie ucałowałbym Tony’ego. Fotografia Levina w towarzystwie Wołczeka mogła wpłynąć na Kennedy’ego, mogła mi uratować życie. Rozejrzałem się po sali i zobaczyłem Kennedy’ego siedzącego kilka rzędów za Miriam. Nie było przy nim Levine’a ani Coultera. To mi ułatwiało sprawę, ale nadal nie wiedziałem, jak zorganizować z nim rozmowę sam na sam.

Tymczasem mój czas upływał nieubłaganie. Musiałem zrobić jakiś ruch. Najpierw jednak chciałem zerknąć na zawartość walizki. Nie miałem czasu do stracenia.

Wiktor zauważył, że patrzę na walizkę. Gdybym teraz mógł zajrzeć do środka... Byłem pewny, że znalazłbym tam wszystkie odpowiedzi. Jednak w obecności tylu ludzi na sali sądowej w tej chwili było to zbyt ryzykowne. Wiedziałem też, że Wiktor nie pozwoli mi się zbliżyć do walizki.

Mój zegarek wskazywał 10.05. Dwie godziny do wydania nakazu rewizji. Odwróciłem się i spojrzałem na Kennedy’ego. On też patrzył na zegarek. Miałem wrażenie, że Kennedy kłamie. Zastępca prokuratora Gimenez w tym momencie może już siedzi z sędzią Potterem. Jeżeli tak, to za mniej niż godzinę wejdą do mojego mieszkania. Pomyślałem, że jest coraz bardziej prawdopodobne, iż Rosjanie coś mi podłożyli, coś, czego FBI może użyć do przyszpilenia mnie za próbę wysadzenia Małego Benny’ego w powietrze. Bardzo chciałem się mylić co do Kennedy’ego i Rosjan. Jednak gdzieś bardzo głęboko w duszy wiedziałem, że przynajmniej jedno z tych podejrzeń może być prawdziwe.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY DRUGI

Sędzia Pike i sędziowie przysięgli wrócili do sali. Miriam zwolniła Tony'ego Geraldo. Ciągle ani śladu Harry'ego. Nie miałem pytań do Tony'ego. Miejsce dla świadków opuścił pewnym siebie krokiem, jakby był Frankiem Sinatrą.

– Wzywa się funkcjonariusza policji Raphaela Martineza – oznajmiła Miriam.

Miriam, wykorzystując Martineza, mogła wrócić na twardy grunt. Martinez w swoim zeznaniu nie teoretyzował, nie bawił się wyimaginowanymi analizami, on po prostu przedstawiał fakty. Przypuszczam, że w tej sprawie nie musiał być szczególnie kreatywny. To on złapał Benny'ego na gorącym uczynku w mieszkaniu zamordowanego.

Martinez był przystojnym Hiszpanem w wieku około trzydziestu lat. Elegancko ubrany. Do boksu dla świadków wszedł pewnym krokiem, lecz bez zbytej dumy. Miał ze sobą dokumenty, które były zaznaczone samoprzylepnymi karteczkami wskazującymi ważniejsze fragmenty. Sędziowie przysięgli mogli wysnuć wniosek, że jest dobrze przygotowany. Trzymał wysoko podniesioną głowę i patrzył sędziom przysięgłym prosto w oczy. Martinez niczego się nie musiał bać.

– Oficerze Martinez, czy może pan podać sędziom przysięgłym swój stopień służbowy i opisać, jakie ma pan doświadczenie w swojej pracy?

Miriam nie zagrała dobrze – dwa pytania w jednym. Zwykle bywała lepsza. Pomyślałem, że to pewnie z nerwów. Mniej doświadczeni prawnicy pewnie by się poddali, ale nie Miriam – ona była twarda. W ciągu dziesięciu minut wypłynęła na główny nurt, a w ciągu następnych trzydziestu minut Martinez przebrnął przez relację o przyznaniu się Benny'ego do winy.

Konkretnie.

Po zadaniu ostatniego pytania i otrzymaniu na nie odpowiedzi odwróciła się od świadka i zwróciła do mnie:

– Świadek jest twój – powiedziała z uśmiechem.

Próbowałem wyprowadzić Martineza z równowagi. Bez skutku. Bywają świadkowie, których nie można złamać, i Martinez z pewnością należał do tej kategorii. Postanowiłem poruszyć tematy, których Miriam nie dotknęła.

– Oficerze Martinez, proszę otworzyć akta i spojrzeć na teczkę trzecią, dział dziewięć, strona druga – poleciłem.

W przesłuchaniach nie ma miejsca na: „Czy zechciałby pan?”, albo „Czy mógłby pan?”. Wszystko, absolutnie wszystko, musi być stwierdzeniem, a nie pytaniem. Mówi się, że dobry prawnik nigdy nie stawia pytań, chyba że zna

na nie odpowiedź. Jednak nie wynika to z faktu, że prawnicy dysponują większą wiedzą od innych, tylko dlatego, że w zadawanym pytaniu zawarta jest sugestia odpowiedzi, jaką chcą usłyszeć.

Martinez odszukał wskazaną stronę, która była już zaznaczona samoprzylepną żółtą karteczką.

– Oficerze, czy to jest zniszczona ramka do fotografii, którą znaleziono w mieszkaniu?

– Tak.

Zwróciłem się z uśmiechem do sędziów przysięgłych, zadowolony z odpowiedzi, i przerwałem na chwilę.

– Podpis pod fotografią stwierdza: „Zniszczona ramka do fotografii”. Jednak nie ma danych, ile mieściła fotografii, prawda?

Zmrużył oczy. Wydawał się odrobinę zaskoczony.

– Nie ma.

Promieniejąc z zadowolenia, z porozumiewawczym uśmieszkiem zwróciłem się do ławy przysięgłych i wolno, wesoło powtórzyłem odpowiedź Martineza:

– Nie ma danych – rzucając ją sędziom jak nagrodę za wygraną bitwę.

Sędziowie przysięgli kiwali potakująco głowami. Nie byli pewni, co zostało wygrane w bitwie, ale wydawali się tym zaintrygowani.

Miriam nie zareagowała. Zastygła w bezruchu. Jej wzrok wyrażał znudzenie, tak powinien wyglądać każdy dobry prawnik, który właśnie był świadkiem, jak jego przeciwnik zadał celny cios. Najlepiej udawać brak zainteresowania, z nadzieją, że sędziowie podążą twoim tropem. Tak naprawdę moje pytania nie miały zrobić wrażenia na sędziach przysięgłych, ale były przeznaczone dla Kennedy’ego – chciałem, żeby skierowały jego myśli na ramkę do fotografii.

– Czy mogę przez chwilę skonsultować się z moim klientem, Wysoki Sądzie?

– Tak, panie Flynn.

Pochyliłem się i szepnąłem do Wołczeka:

– Co jadłeś na śniadanie?

– Twoje ulubione naleśniki.

– Właśnie zabawiam się z panią prokurator, pozwalając jej myśleć, że knuję jakiś mistrzowski plan, i ogólnie denerwuję ją. Jednak muszę się czegoś dowiedzieć, sądzę, że jesteś bliski uniewinnienia i nie będzie trzeba użyć bomby. Chcę wiedzieć, co Mały Benny zechce powiedzieć sędziom. Prokurator nie ma czegoś najważniejszego – motywu. Domyślam się, że Mały Benny dostarczy motyw. Więc muszę wiedzieć, dlaczego kazałeś sprzątnąć Mario Geraldo? Co było w ramce za fotografią... Co to było? Co tak bardzo chciałeś odzyskać?

W tym momencie Wołczekowi zabrakło doradczego głosu Arturasa, a Wiktor nie wydawał się dość bystry, aby szybko orientować się co się dzieje.

– Panie Flynn, czy ma pan jeszcze jakieś pytania do świadka? – zapytała sędzia, ale udałem, że tego nie słyszę.

– No dalej. Szybciej. Mogę zniszczyć Małego Benny’ego, ale nie zrobię tego, jeżeli nie będę wiedział, co chce zeznawać jako świadek. Co było w tej ramce?

Wołczek, rozważając pytanie, głaskał się po udach i wyrównywał dłońmi spodnie.

– Mario zrobił zdjęcie mi i jeszcze komuś. Współpracowałem z nim w tajemnicy. Ten ktoś był pracownikiem organizacji czuwającej nad przestrzeganiem prawa. Był moim najcenniejszym nabytkiem. Nie mogę ryzykować jego straty. Mario chciał pieniędzy za zdjęcie. Wysłałem Małego Benny’ego, żeby go zabił i zniszczył dowód.

– Ile miał fotografii?

– Jedną, bez kopii. Tak mi powiedział Arturas. Chciałem się ułożyć. Arturas miał wysłać wiadomość.

– I Arturas powiedział ci, że była tylko jedna fotografia – ta, którą Mario zrobił w klubie Sirocco?

– Tak – potwierdził Wołczek.

Patrzył spokojnie, mięśnie twarzy nie zdradzały napięcia, ręce swobodnie spoczywały na kolanach. Mówił prawdę. To wszystko, co chciałem wiedzieć.

Arturas ubił interes z Mario, ponieważ wiedział, że Mario miał drugie zdjęcie – i Arturas w tajemnicy spotkał się z kartelami i Japończykami. Gdyby Wołczek odkrył, że Arturas spotkał się z kartelami i jakuzą, prawdopodobnie to jego imię znalazłoby się na połówce jednorublowego banknotu. Arturas to spotkanie trzymał w tajemnicy przed Wołczkiem. Mały Benny był przekonany, że ta sprawa nie ujrzy światła dziennego, kiedy zabije Mario i zniszczy fotografie.

Tak dużo uzyskałem bez zaglądnania do walizki.

10.40 rano.

Nie chciałem przedłużać. Musiałem porozmawiać z Kennedym, zanim otrzyma nakaz rewizji.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY TRZECI

– Panie Flynn, ma pan jeszcze pytania do tego świadka? – zapytała sędzia Pike, kończąc zdanie niecierpliwym zgrzytnięciem zębów.

– Wysoki Sądzie, czy mogę przez kilka minut konsultować się z moim klientem?

– Ogłaszam piętnastominutową przerwę – oznajmiła Pike.

Wystarczyło mi skinienie głowy, gdy wstawiała, i szybko ruszyłem do przejścia między rzędami krzesel.

– Idę do łazienki – powiedziałem, mijając Wołczeka i słysząc, jak Wiktor hałaśliwie wstaje i idzie za mną do drzwi sali sądowej. Zbliżając się do Kennedy’ego, zwolniłem kroku. Słyszałem za sobą coraz głośniejsze kroki Wiktora.

Jeszcze dwa metry do miejsca, gdzie siedział agent federalny. Przyspieszyłem kroku, oddalając się od Wiktora, i zawiesiłem wzrok na Kennedym, który widząc, że na niego patrzę, zaczął się podnosić z krzesła. Lewą ręką chwyciłem go za krawat, pociągnąłem w dół i staliśmy nos w nos, pierś w pierś. Niezauważalnie wsunąłem rękę pod jego marynarkę.

Zanim Wiktor zdążył się zbliżyć, wyszeptałem tylko dwa słowa:

– Zaufaj mi.

Kennedy odepchnął mnie, jakbym był pomyłony. Kopniakiem otworzyłem drzwi sali, pomaszerowałem przez zatłoczony hol i zamknąłem się w łazience dla niepełnosprawnych. Po dziesięciu sekundach usłyszałem pukanie do drzwi i niski, słowiańsko brzmiący akcent:

– Nigdzie nie wychodź, prawniku. Czekam tu. – Wiktor stał na straży.

Słyszałem w tle głosy dochodzące z holu, gdy sala sądowa opróżniała się na przerwę. Sięgnąłem do kieszeni, wyjąłem telefon komórkowy Kennedy’ego i wystukałem numer na mojej zabezpieczonej komórce. Kennedy odebrał po czterech sygnałach.

– Kto tam, u diabła? – spytał.

– Eddie Flynn. Mam twój telefon. Pewnie już się zorientowałeś. No i z pewnością rozpoznałeś mój numer na wyświetlaczu. Telefon, który trzymasz w ręku, jest mój. Przepraszam, że dziś rano nie wziąłem od ciebie wizytówki. Chciałem do ciebie zadzwonić, ale nie miałem numeru, więc musiałem zwinąć twój telefon. Chodzi o to, że zostałem uprowadzony przez rosyjską mafię i potrzebuję twojej pomocy. Twój przyjaciel, Tom Levine, pracuje dla nich. Oni porwali moją córkę, a ja mam na sobie bombę. Wygląda na to, że będziesz miał bardzo zły dzień.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY CZWARTY

Trzymałem telefon przyciśnięty do ucha i szeptałem tak głośno, jak się tylko dało.

– Zorientowałem się, że Arturas planuje przejąć Bractwo. Chce zająć miejsce swojego bossa, ale nie mam pojęcia, jak zamierza to zrobić.

– Stracił pan rozum, Flynn – odparł Kennedy.

– Może, ale się nie mylę. Mario Geraldo został zabity, ponieważ zobaczył Toma Levine'a na kolacji z Wołczkiem i sfotografował ich razem. Benny nigdy ci nie powiedział, dlaczego zabił Mario. Chodziło o to, że Mario próbował szantażować Wołczeka fotografiami. Dodatkowo Arturas spotkał się za plecami Wołczeka z szefami innych gangów. Jest taka zasada: nie kładź się do łóżka z konkurencją – odejść do pracy w konkurencji, albo przeciągnij konkurencję na swoją stronę. W prawą kieszeń marynarki wetknąłem ci fotografię z Levine'em.

To była moja gra. Grałem, żeby Kennedy uwierzył mi i aresztował Rosjan, ale nie ośmieliłem się powiedzieć mu wszystkiego. Bomba w kamizelce, furgonetki w podziemnym parkingu, nic nie łączyło ich z Bractwem. Na furgonetkach i na bombie były moje odciski palców. Zanim powiem mu wszystko, muszę mieć pewność, że Kennedy mi wierzy. Czekałem przez kilka sekund.

– Jesteś tam? Zrozumiałeś?

– To bez sensu.

Oparłem się plecami o ścianę i powoli osunąłem się na płytki posadzki. Siedząc, czułem w piersiach pustkę sięgającą gardła.

– Cc...co?

– Nie żebym chciał cię martwić, ale agent Levine od kilku lat pracuje w ukryciu. Jego misja polega na infiltracji mafii. Nie byłbym zaskoczony, gdyby więcej niż raz jadł kolację z Wołczkiem.

– Ale ja znalazłem wizytówkę FBI w portfelu Gregora. Na odwrocie był numer zapisany piórem; to numer Levine'a. Jeżeli kilka lat temu działał w ukryciu, to teraz przeszedł na drugą stronę. On pracuje dla rosyjskiej mafii. Nie mogłem ci o tym powiedzieć wcześniej, ponieważ podsłuchiwał i mógł wszystko donieść Wołczekowi.

– Tom Levine to odznaczony agent. Nie potrzeba mi więcej dowodów. Mogę tylko powiedzieć, Flynn, że twoja opowieść jest idiotyczna. Wiemy, że właśnie wróciłeś do zawodu po trudnej rehabilitacji. Czujesz się dobrze?

Myśląc gorączkowo, przetarłem dłonią twarz.

– Zajrzyj do tej samej kieszeni, w której znalazłeś mój telefon. Jest tam też latarka na UV. Wołczek dał mi milion dolców, żeby przekupić Tony’ego Geraldo. Nazaczyłem te pieniądze. Proszę sprawdzić prawą rękę Wiktora. Zobaczysz na niej ślad substancji fluorescencyjnej. Taką samą spryskałem banknoty, które dostarczył mi ich kumpel. Ten chemiczny podpis prowadzi wprost do Bractwa. Teraz jestem w łazience w holu naprzeciwko drzwi wejściowych do sali sądowej. Przed drzwiami łazienki czeka na mnie Wiktor. Sprawdź jego rękę. Oddzwonię do ciebie.

– Jak wiesz, mamy przesłuchanie u Pottera. Gimenez czeka przed gabinetem Pottera na rozkaz. To nie będzie długo trwało. Za godzinę w twoim mieszkaniu zjawią się nasi agenci – wszystko będzie okej.

Głowa opadła mi bezwładnie na płytki.

– Nie możesz tego zrobić. Przesłuchania zawsze odbywają się około jedenastej. Ty po prostu nie chcesz udzielić mi informacji.

Kennedy rozłączył się. Zabawiał się ze mną – i to już drugi raz.

Pierwszy raz zakpił sobie ze mnie, gdy chciał otrzymać moje zezwolenie na rewizję, a drugi teraz – kiedy chodzi o przesłuchanie w sprawie uzyskania oficjalnego nakazu rewizji. Najgorsze, że Kennedy nie kupił mojej historyjki. Znowu pomyślałem o tym, czy nie podsunąć mu myśli przeszukania podziemnego parkingu z furgonetkami, ale doszedłem do wniosku, że to zbyt ryzykowne; furgonetek nic nie łączyło z Bractwem i mogło to przynieść odwrotny skutek, szkodząc mnie. Zadzwoiłem do Harry’ego, jednak nie odebrał; może nie rozpoznał numeru.

Odezwał się telefon Kennedy’ego. Wyświetlacz pokazał, że dzwoni Andy Coulter, ten agent FBI, którego spotkałem dziś rano.

– Słucham – starałem się jak najlepiej naśladować sposób mówienia Kenneydy’ego.

– Mamy kłopot... Strzelanina – powiedział Coulter.

– Gdzie? – spytałem, próbując udawać głęboki niepokój. Wiedziałem, że to tylko kwestia czasu, zanim FBI znajdzie pełno rosyjskich trupów, które Anthony i Lizard zostawili, odbijając Amy.

– Little Italy. ATF [\[5\]](#) prosiło o naszą pomoc.

Rzuciłem telefon, ale zaraz szybko go podniosłem.

– Jesteś tam, szefie? – zaniepokoił się Coulter.

– Tak, jestem. Gdzie w Little Italy?

– Niezbyt dobrze cię słyszę. Pewnie jest kiepski zasięg. U Jimmy’ego Felliniego, na Mulberry. Mamy siedem trupów. Dwadzieścia minut temu. Myślisz, że ma to związek z napadem na ludzi Wołczeka dziś rano? Ja myślę, że ma. W restauracji Jimmy’ego „Kapelusznika” była większa strzelanina. To chyba był odwet za Severn Towers z dzisiejszego ranka. Musimy to kontrolować, bo inaczej będziemy tu mieli wojnę gangów.

Stłumiłem okrzyk, przyciskając pięść do ust; byłem w szoku.

– Jesteś tam, Bill?

Pytanie utkwilo w moim umyśle i plonęło jak kula przewiercająca czaszkę. Ściskałem telefon w obu dłoniach i otwierałem usta, żeby coś powiedzieć, ale nie mogłem wymówić słowa. Jeśli zaraz nie zadam pytania, moja głowa rozpadnie się na kawałki, wiedziałem jednak, że jeśli otrzymam odpowiedź, której się bałem, padnę martwy.

– Czy... czy...?

– Szefie, co panu jest? Co się z panem dzieje?

Walnąłem głową o ścianę i splunąłem.

– Czy... czy wśród zabitych jest mała dziewczynka... blondynka?

– Dostałem z ATF maila na telefon. Zaraz sprawdzę.

Wiktor zapukał do drzwi. Spuściłem wodę w ustępie. Ręka zaczęła krwawić, gdy wbijałem paznokcie w dłoń.

– Nie. Nie mam tu nic o małej dziewczynce. Dwóch facetów przy drzwiach, kelnerka i trzech facetów w środku – jednym z nich był Anthony Fellini. Najwyraźniej weszło dwóch z automatami i potem uciekli tajnym tunelem na zapleczu. Rozejrzę się i podam więcej informacji.

Coulter rozłączył się i wystukałem numer komórki Jimmy'ego.

Odpowiedział natychmiast. W tle słyszałem szum silnika samochodu i klaksony aut. Jimmy był w drodze.

– Jimmy... tu Eddie... Ci cholerni Rosjanie napadli na ciebie. Anthony nie żyje. Odbili Amy?

– Tak. Wiem. Razem z Lizardem ukrywałem pieniądze od ciebie i dostałem telefon. Trzymaj się mocno – to jeszcze nie koniec. Gdyby chcieli ją zabić, zastrzeliliby w restauracji i zostawili ciało. Zabrali ją ze sobą. Teraz ja i Lizard jesteśmy w drodze do ciebie. Kierujemy tym osobiście. Anthony był dobrym chłopcem. Moja siostra tego nie przeżyje. Eddie, to absolutnie niedopuszczalne, żeby komuś się zdawało, że może ot tak sobie wejść do mnie i zabijać moich chłopców, a potem bezkarnie uciec. Muszę się tym zająć, chyba to rozumiesz. Te sukinsyny są już martwe...

– Jimmy, nie możesz rozpętywać wojny. Oni mają Amy.

– Nie popuszczę im. Zaczekamy przed budynkiem sądu. Jak tylko zobaczymy Wołczeka i jego ludzi, zaczniemy strzelać.

Wyłączył się.

Podbiegłem do umywalki i spryskałem całą głowę zimną wodą. Arturas pewnie wyszedł, żeby zorganizować nową kryjówkę dla Amy. Nie trzeba geniusza, żeby sobie wyobrazić, kto kogo wystawi do wiatru i dokąd oni zabrali Amy. Byłem głupi. Nie powinienem pozwolić, żeby Anthony zabrał Amy do restauracji. Jednak nie spodziewałem się, że Arturas zarządzi w tym samym czasie ogólną wojnę z Jimmym. Tego rodzaju akcje wymuszają ludzi. Chyba że Jimmy ostro się weźmie do swoich ludzi, do każdego sutenera o ptasim mózdzku; oni pomyślą, że Jimmy wie, co robi, i że już dojrzał do podjęcia właściwej decyzji.

Znowu odezwał się sygnał telefonu Kennedy'ego.

– Widziałem znak na ręce Wiktora. Nie było to łatwe. W tym świetle prawie cały jest w kropkach. Jednak nadal myślę, że to niczego nie dowodzi. Zadzwoiłem do biura i poprosiłem agenta, żeby odwiedził twoją żonę. Nie wiem, co za telefon mi dałeś, ale moje biuro miało cholerny kłopot, żeby do mnie zadzwonić. W każdym razie twoja żona powiedziała, że córka jest na szkolnej wycieczce na Long Island. Nie zameldowała jej zaginięcia, ani też nie zgłosiła ucieczki. Więc nie kłam. Wiem, że potrzebujesz pomocy, ale zacznij mówić prawdę. Mamy na ciebie papiery. Znamy twoją historię; wiemy, kim byłeś, ale mnie nie oszukuj. Pomóż mi i mów prawdę.

Westchnąłem, a potem zacząłem powoli i spokojnie:

– Kennedy, powiedziałem ci prawdę. Jeżeli mi nie wierzysz, to idź do diabła. Skończę to sam, na swój sposób.

[5] ATF (*Bureau of Alcohol, Tobacco, Firearms and Explosives*) – Biuro do Spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni i Materiałów Wybuchowych – agencja federalna (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIĄTY

Gdy wróciłem do sali sądowej, Wołczek zwrócił się twarzą do mnie. Zająłem swoje miejsce, pochyliłem się i zbliżyłem do niego ucho.

– Po skończeniu z gliną, następna będzie tancerka, co? – zwrócił się do mnie.

– Tak. Oni będą trzymać u siebie Benny’ego aż do końca.

– Po tancerce musisz pomyśleć o podłożeniu tej kamizelki. Oczywiście nie chcę przez to powiedzieć, żebyś miał ją na sobie i stał przy Bennym, kiedy zdetonuję bombę. Masz ją zdjąć – powiedział Wołczek.

Odwróciłem się i spojrzałem na niego. Miał w ręku detonator.

– Gdzie reszta twoich ludzi? – zapytałem.

– Pilnują twojej córki. Nie zapomnij, co masz tu zrobić, Flynn. Ja nie mogę przepuścić żadnej okazji. Masz to zrobić dobrze, tak, żeby sędziowie przysięgli nie zorientowali się, kto za tym stoi. Bombę podłożymy w przerwie na lunch.

Odwróciłem się, zamknąłem oczy i jeszcze raz wszystko przemyślałem. Ciche skrzypienie pióra od Jean, które obracałem w palcach, zdawało się cichnąć w hałasie tłumu. Musiałem przekonać Kennedy’ego. Harry’ego ciągle nie było. Nie miałem nic konkretnego, co mogłoby łączyć Rosjan z uprowadzeniem Amy, bombą w mojej kamizelce, albo z furgonetkami. Nic, co pozwoliłoby mi zaryzykować i wzniecić panikę informacją o podłożeniu bomby. Ochrona sądu ewakuowałaby wtedy cały budynek i Wołczek by uciekł. Nie. Gdybym powiedział glinom o bombie, to tak jakbym skazał Amy na śmierć.

Pozostała tylko jedna opcja.

Dałem znak sekretarce sędzi Pike.

– Jean, możesz mi wyświadczyć przysługę? Powiedz jej wielmożności sędzi Pike, że pojawiły się nowe okoliczności i muszę mieć dodatkowe dziesięć minut przerwy na konsultacje z moim klientem. Tylko tyle.

– Jest pięć po jedenastej, Eddie, a ona chce tę sprawę skończyć dzisiaj. Jeżeli wróci na salę, a ciebie tu nie będzie, nałoży na ciebie grzywnę w wysokości pięćdziesięciu dolarów za każdą minutę spóźnienia. Przed dwoma tygodniami zrobiła to z tym biednym starym panem Langtree. Wiesz, że miał przerost prostaty. Jego siostra mówiła mi...

– Przepraszam, Jean. Ale ja muszę się skonsultować z moim klientem. Pospiesz się. Po prostu graj z nią na zwłokę, jeśli możesz.

Wołczek patrzył na mnie z ciekawością.

– Coś mi wpadło do głowy, ale tu nie możemy rozmawiać. Musimy wyjść z sali.

– O co chodzi?

– Powiem ci, jak wyjdziemy. Nie tu. Wszędzie są oczy i uszy. Zaufaj mi. Warto. – Zapakowałem dokumenty do walizki i ruszyłem do drzwi, wlokąc za sobą Samsonite.

– Zostaw te akta – warknął Wiktor.

Nie zareagowałem. Odwróciłem się tylko po to, aby sprawdzić, czy idzie za mną Wołczek. Po sekundzie wstał, zapiął marynarkę i ruszył moim śladem. Wiktor zaczął protestować, ale Wołczek uciszył go.

Światło nad drzwiami sygnalizowało, że najbliższy pokój konferencyjny jest zajęty. Otworzyłem drzwi bez pukania i cisnąłem walizkę w róg pokoju. Rozmawiali w nim młody prawnik i jego klient. Na stole leżały rozłożone papiery.

– Przepraszam. Potrzebuję tego pokoju.

– Co to, u diabła, ma znaczyć? Udzielam tu porady. Nie może pan tak...

– Wynoś się, albo oberwiesz.

Młody prawnik wstał; był w dobrej kondycji; agresywny. Nie miał zamiaru słuchać starszego od siebie, chciał się pokazać przed swoim klientem.

– Co?! Grozisz mi? Jak?! – krzyknął.

– Zwyczajnie. Tak... chociaż nie dziś. Jeżeli zaraz nie wyjdiesz, oberwiesz od niego – wskazałem Wołczeka stojącego w drzwiach.

Klient młodego prawnika, rozpoznając bossa rosyjskiej mafii, chwycił swojego adwokata i siłą wywlókł z pokoju, zostawiając papiery i teczkę. Wiktor zatrzęsął za nim drzwi.

– Tylko ja i mój klient, blondynku.

Wiktor wycofał się do holu.

– Pilnuj, żeby nikt nam nie przeszkadzał – polecił Wołczek.

Wiktor niechętnie posłuchał i zamknął drzwi.

Pokój miał wygłuszone ściany. Wszystkie pokoje konferencyjne miały ten sam układ i wyposażenie – były dźwiękochłonne i izolowane, bowiem toczyły się w nich poufne rozmowy między adwokatami i ich klientami. Jeśli nie będziemy krzyczeć, Wiktor nie będzie mógł słyszeć naszej rozmowy po drugiej stronie dźwiękochłonnych drzwi.

Wołczek siedział z palcami splecionymi na brzuchu, leniwie skupiając na mnie uwagę. Położyłem ręce na oparciu krzesła i pochyliłem się nad nim, starając się mówić cicho.

– To, co powiem, może być dla ciebie szokiem, więc się nie wściekaj; ważne, że spotkaliśmy się tu tylko we dwójkę. A teraz karty na stół, Oleg. Próbowałem cię oszukać. Nie wyszło. Teraz nic z tych rzeczy. Jestem jedynym człowiekiem, który może uratować ci życie.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SZÓSTY

Wołczek oparł płasko dłonie na stole, gotów skoczyć na mnie.

– Czy wiesz, co się dzieje z tymi, którzy chcieli mnie nabrać...?

– Powiedziałem, że nie wyszło. Chłopcy Jimmy’ego znaleźli Amy, zabrali ją, no i... tak, to prawda, zabili wszystkich, którzy byli wtedy w tym mieszkaniu. Ty zrobiłbyś to samo, gdyby to była twoja córka. Arturas właśnie napadł na restaurację Jimmy’ego; zabili kogoś z rodziny Jimmy’ego i odbili Amy. Ale sprawy wymknęły się spod kontroli. Teraz nie jest już tak jak przedtem. Posłuchaj, ty masz większe problemy niż ja – mówiłem, rzucając Wołczekowi fotografię, którą Mario zrobił Arturasowi na parkingu.

Wołczek podniósł się, obejrzał fotografię i ciężko usiadł. Na jego szyi nabrzmiała żyła, pomiędzy zębów wydobywał się świszczący oddech.

– To jest kopia jednego ze zdjęć, które Mały Benny spalił po zabiciu Mario. Dostałem ją od Tony’ego. Nie musisz mi wyjaśniać, kto jest na tym zdjęciu. To twój chłopiec, Arturas, na spotkaniu z twoimi rywalami. Ci faceci ze zdjęcia z wielkim aplauzem witali cię wczoraj na sali sądowej. Kilka minut temu pytałem iloma fotografiami Mario cię szantażował. Powiedziałeś, że jedną. Zatem przyjmuję, że nie wiedziałeś o istnieniu tego zdjęcia. Domyślam się, że to jest prawdziwy powód, dla którego Arturas chciał śmierci Mario. To Arturas zasugerował ci wyeliminowanie Mario, prawda?

Przez moment nasze oczy się spotkały. Skinął głową i wrócił do oglądania zdjęcia. Kąciki ust zaczęły mu drżeć, aż w końcu zacisnął je w cienką linię.

– Arturas planował spotkanie z twoimi konkurentami na długo przed zamordowaniem Mario. Powiedzieli ci, że Mario chciał pieniędzy za zdjęcie ciebie z twoim informatorem FBI. Wiem, że mogłaby cię zabołec strata tak cennego nabytku. Jednak zabiliście Mario, ponieważ groził FBI, które nie chciało wywoływać wojny z włoską mafią. Nie sądzę, żeby warto było ryzykować, i domyślam się, że ty również tak uważałeś. Arturas namówił cię na wydanie rozkazu uderzenia. Musiał mieć kogoś, komu mógł zaufać, kogoś, kto by zabił Mario i zniszczył *obie* fotografie. Dlatego zasugerował Małego Benny’ego. Arturas uważał, że posprząta ten cały bałagan, jeżeli Benny zabije Mario. Ale Benny został złapany. W tej sytuacji Arturas zmienił plany, a ja czuję, że to, co się znajduje w tej walizce, pomoże nam wyjaśnić, co zamierza.

Wołczek zgniótł w pięści fotografię. Ręka mu drżała, ale nie wiedziałem, czy z wysiłku, czy z tłumionej wściekłości.

– W jakiej? W jakiej walizce? – zapytał.

– W *tej* walizce – odparłem, kładąc ją na stole. – Minionej nocy widziałem

dwie furgonetki wjeżdżające do podziemnego parkingu w budynku sądu. Kierowali nimi twoi ludzie i każda była wypełniona materiałami wybuchowymi.

Ramiona Wołczeka opadły, otworzył usta, jego gniew zdawał się zmieniać w szok.

– Nie wierzę – wyksztusił.

– Obserwował to Arturas i widziałem jak Gregor do jednej z furgonetek kładł na siedzenie pasażera ciężką walizkę, dokładnie taką samą jak ta tutaj na stole. Dziś rano zajrzałem do niej, nie było w niej nic. Jednak poprzedniej nocy nie była pusta. To mi nasuwa myśl, dlaczego Arturas miał dwie identyczne walizki. W tej, którą widziałem dziś rano, wczoraj przeniósł dokumenty, a ta, którą wnieśli zeszłej nocy właśnie tu leży. Widziałem ją otwartą na podłodze w biurze na górze – ma podwójne dno.

Otworzyłem walizkę, wyjąłem dokumenty i położyłem na podłodze. Przesunąłem palcami wzdłuż brzegu dna i znalazłem łączenie – rzep, który z łatwością rozerwałem.

Pociągnąłem materiał w górę.

– Nie musisz mi wierzyć na słowo. Zobacz sam – powiedziałem.

Nie byłem pewny, co znajdę pod fałszywym dnem. Coś ważnego, co pomoże wyjaśnić plany Arturasa. Jednak nawet w najśmielszych wyobrażeniach nie mogłem przewidzieć, co tam w rzeczywistości było.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Pod fałszywym dnem walizki ukryte były dwie starannie ułożone sterty kombinezonów. Były to szare kombinezony, zaopatrzone w szelki podobne do pasów bezpieczeństwa. Od pasa biegła przymocowana do nich cienka, lecz mocna lina zakończona karabinkiem. Kombinezony wyglądały, jakby zostały wykonane dla wspinaczy wysokogórskich mających używać liny do zjeżdżania. Pierwszy uniform miał rozmiar 5XL, drugi XXXL, trzeci był większy, a czwarty całkiem mały; mogłem to ustalić po etykietach na kołnierzach.

Pod kombinezonami znalazłem cztery niewielkie karabiny automatyczne. Przypominały MP5. Mogła w kilka sekund poszatковать dwustukilowego mężczyznę. Do luf były przymocowane taśmą samoprzylepną magazynki. Ostatnia rzecz znaleziona w skrytce wprawiła mnie w kompletne zdumienie. Był to pilot zdalnego sterowania modelem samolotu z plastiku i metalu, wielkości około trzydziestu centymetrów kwadratowych. Miał antenkę teleskopową, dwa pręty sterujące i dwa przyciski – zielony i czerwony. Włożyłem pilota pod karabiny.

Wołczek obszedł stół i stanął za mną tak, aby zajrzeć do walizki.

– Nic o tym nie wiedziałeś, prawda? – Widziałem, że jest zaskoczony.

– Co to jest? – Wołczek wskazał broń i wyposażenie.

– To dowód, że Arturas zrobił z nas durni. Wmawiał nam, że jestem jedyną osobą, która może przemycić do sądu bombę. A przecież mógł to zrobić sam. I to w każdej chwili.

Wołczek, potrząsając głową, poruszał bezgłośnie ustami; wydawało się, że to za dużo dla niego, że więcej już nie znieś. Zbudował swoje życie na lojalności swoich ludzi. I rzeczywiście, wszystko opierało się na absolutnym posłuszeństwie, na honorze i lojalności. Był świadkiem rozpadania się innych bractw na skutek nieistotnej, małostkowej zawiści, dlatego podjął kroki gwarantujące mu pełną kontrolę nad swymi ludźmi. Teraz podstawy tej tworzonej przez całe jego życie struktury legły w gruzach.

Stojąc za Wołczkiem, mierzyłem go wzrokiem.

– Pewnie nosisz ten sam rozmiar co ja. Myślisz, że któryś by na ciebie pasował? – zapytałem, chwytając obszerny kombinezon.

– Nie – zaprzeczył Wołczek.

Obaj byliśmy co najmniej dziesięć kilo ciężsi od Arturasasa.

– Ten kombinezon pasuje na Arturasasa. Te duże to dla Gregora i Wiktora, a ten dla małego....

– Benny’ego – wtrącił Wołczek.

To jedno słowo Wołczeka sprawiło, że klucz właśnie wsunął się we właściwe miejsce. Wszystkie pytania, wszystkie niekonsekwencje w tej sprawie i wszystkie posunięcia Arturasa stopiły się w jedną niepodważalną tezę: zabicie Małego Benny’ego nigdy nie było częścią planu.

– Arturas zamierzał uchronić Małego Benny’ego od aresztowania. Cały czas to planował. Zastanów się nad tym. Czy Mały Benny mógł łatwo porzucić całe to cholerne Bractwo i poddać się programowi ochrony świadków? Nie mógł – on ma wskazać ciebie jako winnego śmierci Mario, i tyle. Dlatego że miał nadzieję, iż Arturas przejmie po tobie całą schedę. Arturas nie mógł ciebie zabić po aresztowaniu Benny’ego, ponieważ cię potrzebował. Chciał, żebyś pojawił się na tej rozprawie w sądzie, żeby prokurator mogła wezwać Benny’ego na świadka. Pamiętasz, co mi powiedziałaś wczoraj rano? „Nawet moje wtyki nie mogą ustalić miejsca pobytu Benny’ego”! Arturas nie mógł uwolnić Benny’ego przed rozprawą, bo nie wiedział, gdzie on jest. Nawet twój człowiek w FBI, Levine, nie wiedział, gdzie ukryto Benny’ego. Arturas przekonał cię, żebyś stanął przed sądem i zabił Benny’ego, używając bomby, którą miałem przemycić do sądu. To wszystko jego plan, a szczególnie ściągnięcie ciebie tutaj tylko po to, żeby Benny wyszedł z kryjówki. Gdyby Arturas tego nie zaplanował, nigdy nie stanąłbyś przed sądem. Kiedy Benny znajdzie się na miejscu dla świadków, Arturas zabije ciebie, zdemoluje całą salę sądową, uwolni Benny’ego i obaj uciekną.

– Nie. To nie ma sensu. Jak mógłby uciec?

– On chce wysadzić cały budynek. W tym celu zaparkował na podziemnym parkingu dwie furgonetki. Chce, żeby wszyscy myśleli, że zginął podczas eksplozji, razem z Bennym, Gregorem i Wiktorem. Nie wiem dokładnie, jak chce to zrobić. Te kombinezony mogłyby służyć jako przebranie. To jedyny sposób – FBI nie zrobi obławy na trupy.

– To jakiś obłąd. – Wołczek cofnął się i rozejrzał po pokoju.

Byłem spięty i zauważył to.

Nagle uświadomił sobie, że to wszystko, co dotąd znał i w co wierzył, rozleciało się. Doprowadzało go to na skraj wytrzymałości nerwowej.

Rzucił się na mnie, ale byłem na to przygotowany.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY ÓSMY

Zadałem mu cios stopą w pierś, odrzucając do tyłu i posyłając na dźwiękochłonną ścianę. Jednym płynnym ruchem chwyciłem pistolet maszynowy, wyrwałem magazynek z taśmy, wsunąłem na miejsce, zarepetowałem i wymierzyłem w Wołczeka.

Podniósł ręce do góry.

Dwa uderzenia w drzwi i usłyszeliśmy, jak Wiktor krzyczy coś po rosyjsku. Domyśliłem się, że usłyszał hałas i postanowił się dowiedzieć, czy wszystko jest w porządku.

– Powiedz mu, że tu wszystko jest okej. Po angielsku.

Wołczek przez chwilę się wahał, w końcu zawołał:

– Zostaw nas. Wszystko jest okej.

Czekaliśmy chwilę, nie ruszając się. Wołczek nie spuszczał wzroku z karabinu.

– Mógłbym cię teraz zabić, zaczekać na zewnątrz na Arturasa, zwabić go w jakieś ustronne miejsce i kazać człowiekowi Jimmy’ego torturować, dopóki nie powie, gdzie jest moja córka. Jednak nie zrobię tego. Nie chcę zabijać, jeśli nie muszę. Arturas nieźle mnie załatwił i teraz FBI jest w drodze do mojego mieszkania. Myślę, że ukrył w nim coś, przez co cała wina spadnie na mnie. W tej sytuacji musimy zawrzeć nowe porozumienie. Ty dowiesz się, gdzie jest Amy. Polecisz ją uwolnić i przekazać mojemu przyjacielowi. Zrobimy to teraz.

Wołczek potrząsnął głową.

– Nigdzie nie pójdziesz, Flynn. Tu wszędzie są gliny i strażnicy. Myślę, że ciągle chcesz mnie oszukać.

– Zwariowałeś? Jeżeli nadal mi nie wierzysz, to wyjmij ten detonator, który dał ci Arturas.

Wolno sięgnął do kieszeni i wyjął detonator.

– Włącz.

– Co? Jeżeli bomba w twojej kamizelce teraz tu wybuchnie, obaj zginiemy.

– Po prostu uzbrój ją. Zrób to.

Nacisnął guzik uzbrajający bombę. Nic, żadnych wibracji, żadnego światełka na detonatorze. Wołczek przeniósł wzrok z MP5 na detonator i marszcząc brwi, zaczął go oglądać z bliska, mruczając coś po rosyjsku.

– Rozwałę go – powiedziałem.

Chwyciłem detonator jedną ręką, w drugiej ciągle trzymając pistolet z lufą wymierzoną w pierś Wołczeka, i uderzyłem nim o kant stołu. Plastik pękł z cichym trzaskiem, który stłumiły dźwiękochłonne ściany.

Rzuciłem obie puste połówki na stół. Widziałem, jak na twarzy Wołczeka zakłopotanie zmienia się w pewność. To nie tylko detonator rozpadł się, lecz cały świat Wołczeka, ukazując mu bolesną prawdę.

Osunął się na kolana i objął głowę rękami. Wyrywał włosy, przeklinał.

– Mówiłem. Oszukano cię. Ja widzę to tak: Arturas chce nas obu zabić, aby uratować Benny'ego. Nie mógł ryzykować, dając ci prawdziwy detonator. Nie mógł dopuścić, żebyś podłożył bombę i zdetonował ją pod Małym Bennym. Dowód na to leży przed tobą. Oszukał nas. Jednak nie mam pojęcia dlaczego. Dlaczego Arturas podjął tak wielkie ryzyko właśnie dla Małego Benny'ego?

Usłyszałem głuchy chichot Wołczeka wydobywający się z głębi trzewi. Spojrzał na mnie jak na idiotę.

– Jak myślisz, dlaczego pociąłem Arturasa, gdy Mały Benny mnie zdradził? – zapytał, przeciągając palcem po swoim policzku, jakby znaczył bliznę na twarzy Arturasa. – Arturas czuł się odpowiedzialny za swojego młodszego brata – ciągnął, z obrzydzeniem wyrzucając z siebie ostatnie słowo.

Znowu to słowo: *brat*. Tym razem jednak nabrało ono sensu. Podśledzałem, jak Arturas powiedział *mój brat*, kiedy mówił o Bennym. Nie miał na myśli kogoś należącego do Bractwa, lecz...

– Oni są rodzonymi braćmi – stwierdziłem.

Wołczek wymusił sztuczny uśmiech i wyciągnął ręce, jakby to wszystko było zupełnie proste. Przez chwilę wahałem się, ale zrozumiałem, że w końcu pojął całą prawdę.

– Arturas przekonał cię, żebyś nie uciekał, żebyś stawiał się na rozprawę, aby mógł cię zabić i ocalić brata. Pozwolisz mu na to?

– Nie. Ale nie mogę ci ufać.

– Musisz. Wypuść Amy, a ja pomogę ci z tego wybrnąć.

– Pójdiesz na policję, albo do FBI! Nie.

– Tego nie możemy zrobić. Kennedy mi nie wierzy. A ty nie możesz polegać na żadnym słowie wypowiedzianym przez Arturasa. Założę się, że żaden samolot na ciebie nie czeka. Masz większe kłopoty niż ja. Nie masz szans uciec. Nigdzie. Nie z Arturasem i z wiszącym nad głową procesem. Tkwiemy w tym razem, Wołczek. To nasza wspólna gra. Musimy usadzić Arturasa, żeby dostał to, na co zasłużył. Wypuść Amy, a ja ci pomogę.

Pogrążony w myślach, przez chwilę gryzł kciuk, po czym wstał. Zastanawiał się, jak wyjść z tej sytuacji cało. Wyglądził spodnie i usiadł.

– Nie mogę jej wypuścić, dopóki nie nabiorę do ciebie zaufania.

Opuściłem broń.

– Nie mam niczego, co mogłoby sprawić, że będziesz mi ufał. Ja zaś z pewnością nie ufam tobie. Jednak teraz mamy wspólnego wroga, i to wszystko. Uwierz mi. Przyprowadź ją do mnie. Muszę wiedzieć, że jeszcze żyje. Ja mam kogoś, kto zabierze ją w bezpieczne miejsce.

Wołczek wolno potrząsnął głową.

– Nie. Wybroń mnie od tego morderstwa, wtedy ją uwolnię.

– Nie ma czasu.

– Więc nie ma układu.

Nieważne, że mam broń, nieważne, że jestem jedynym człowiekiem, który może ocalić Wołczeka przed jego własnymi ludźmi. On ciągle miał moją córkę, zatem trzymał w ręku wszystkie karty.

I dobrze o tym wiedział.

– Jesteś pewien, że masz w swoim najbliższym otoczeniu kogoś komu możesz jeszcze ufać?

– Tak. Mój szofer, Uri. Jest moim siostrzeńcem. Raczej umrze, niż mnie zdradzi. Krew z krwi. Arturas trzyma go z dala od procesu; w zeszłym tygodniu zatrudnił innego szofera. Arturas pewnie zabrał twoją córkę do mojego biura. To niedaleko stąd. Nie ma bezpieczniejszej kryjówki w okolicy. Jest z nią Uri. Teraz mogę zaufać tylko jemu. Nie wiem, kogo jeszcze przekupił Arturas – pewnie wszystkich – ale nie próbował tego z Urim. Flynn, zabicie twojej córki nic mi nie da, nic, jeżeli mamy nowego kozła ofiarnego. Wybroń mnie z tego morderstwa, a dostaniesz córkę. Daję ci na to moje słowo.

Ten szalenciec był moją ostatnią nadzieją. Ostatnią nadzieją Amy.

Miałem tylko tyle.

Zabezpieczyłem karabin i spojrzałem na podłogę, gdzie leżała otwarta teczka pozostawiona przez młodego adwokata. Wpadłem na pewien pomysł. Uśmiechnąłem się i powiedziałem:

– Okej. Nie mamy dużo czasu. Odrzucę pozew oskarżyciela. Ty dostarczysz mi Amy, a potem obaj załatwimy Arturasa. Oto, jak chcę to zrobić...

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Kółka walizki terkotały gdy ciągnąłem ją do stołu obrony. Wypakowałem akta i usłyszałem zamieszanie przy drzwiach. Arturas – który właśnie wrócił – krzyknął, żeby Wołczek wyszedł z sali sądowej. Stali w progu, szepcząc między sobą. Wołczek był agresywny.

Jean wskazała na zegarek i bezgłośnie wypowiedziała tylko jedno słowo: „Przepraszam”. Pewnie rozmawiając z sędzią, spotkała się z lodowatą reakcją na moją prośbę o więcej czasu na konsultacje z klientem. Sędzia Pike właśnie wchodziła i wezwała sędziów przysięgłych. Na miejscu dla świadków siedział oficer Martinez.

Wstałem i podszedłem do kłócących się Rosjan.

– Gdzie ona jest? – pytał Wołczek.

Arturas odpowiedział coś szeptem.

– Chcę z nią zaraz rozmawiać. Prawnik może mnie z tego wyciągnąć. Chcę go zmotywować. Wsadź ją do auta z Urim i niech ją zaraz da do telefonu – rozkazał Wołczek.

– On nas próbuje oszukać, Oleg. Nie możemy...

– Zrób to zaraz, albo uciekam samolotem.

Wołczek rozgrywał swoją partię. Arturas pewnie powiedział mu o ataku na penthouse w Severn Towers i jego odwecie, strzelaninie w restauracji Jimmy’ego i odbiciu Amy. Arturas nie mógł pozwolić, żeby Wołczek uciekł; musiał zobaczyć brata na miejscu dla świadków. W przeciwnym razie cały jego plan rozpadnie się na kawałki.

Arturas wyjął z kieszeni płaszcza telefon, wystukał numer i podał Wołczekowi. Obaj wyszli do holu. Poszedłem za nimi, nie spuszczać z oczu Wiktora, który patrzył na mnie podejrzliwie. Ten olbrzym, Gregor, zajął miejsce w sali sądowej.

Dołączyłem do Wołczeka i Arturasa w rogu holu.

– Uri, tu Oleg. Zabierz dziewczynkę i przywieź ją do sądu. Weź mercedesa. Napisz mi, gdy będziesz w drodze. Masz tu czekać. Kiedy dojedziesz, dostaniesz dalsze instrukcje. Daj ją do telefonu... – Mówił po angielsku, tak jak uzgodniliśmy.

Silne uderzenie w zebra przywróciło mnie do rzeczywistości. Było szybkie, dyskretne. Hol był już praktycznie pusty. Wszyscy pospieszyli do sali, czekając na wznowienie rozprawy. Twarz Arturasa była maską nienawiści. Już chciał uderzyć po raz drugi, ale chwyciłem jego pięść.

– Nawet jeżeli twoja córka żyje, ty możesz dziś umrzeć. Mogę ci to przyrzec

– mówił Arturas.

Milczałem. Uwolnił pięść, poprawił płaszcz i splunął na podłogę.

Wołczek przełączył telefon na głośnomówiący.

Amy nie mogła mówić. Usłyszałem tylko jej straszny, niekontrolowany płacz. Czuję, jakby mi ktoś nicował żołądek, w ustach miałem grudę blokującą język. Gdzieś w tle słyszałem, jak Uri próbuje ją uspokoić. Amy krzyknęła. Na twarzy Arturasa znowu ukazał się ten jego obrzydliwy uśmiezek, który tak mnie zmroził wczorajszego ranka. Próbowałem skupić się na Wołczku, na Amy, na wszystkim i wszystkich, aby tylko stłumić chęć podjęcia gardła Arturasowi.

– Jest ranna? – zapytałem.

Zanim Wołczek zdążył odpowiedzieć, usłyszałem Uriego:

– Nie. Po prostu płacze. Dać jej cukierka? – Uri mówił, jakby miał spowolnione reakcje.

– Tak. Daj jej cukierka. I uspokój ją, Uri. Natychmiast.

Wołczek, starając się nie zwracać uwagi Arturasa, kiwnął mi głową. Teraz chciał zobaczyć moją część gry.

Odpowiedziałem skinieniem głowy. Czas spełnić moją część umowy.

ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY

Gdy Wołczek zdążył już zająć miejsce przy stole obrony, dołączyłem do niego, idąc z Arturasem przejściem między rzędami krzeseł.

Jego zimny, przyciszony głos ciągle wywoływał we mnie dreszcze.

– Uważasz, że wiesz, co robisz z tymi swoimi durnymi prawniczymi sztuczkami? Możesz ogłupić Olega, ale nie mnie. Tej sprawy nie wygrasz. Nic nie wiesz. Bomba na twoich plecach nie jest jedyną w tym budynku. W podziemiu są jeszcze dwie. Dużo większe. Jeżeli chcesz odzyskać córkę żywą, doprowadź Małego Benny'ego na miejsce dla świadków. Ani słowa Olegowi, bo twoja córka zginie.

Natychmiast pomyślałem, że Levine udzielił Arturasowi poufnych informacji o nakazie przeszukania mojego mieszkania. Cokolwiek tam Arturas podrzucił, nie zostanie znalezione, dopóki nie rozwieje się dym nad zgliszczami. Arturas nie chciał, żeby mnie aresztowano przed końcem sprawy. Teraz wszyscy działali według rozkładu jazdy FBI.

11.20.

Czterdzieści minut do wezwania Małego Benny'ego na świadka i doprowadzenia sprawy Wołczeka do końca.

– Proszę wstać! Wznawia się rozprawę.

Sędzia szybko weszła i zajęła miejsce. Wiedziałem, że najprawdopodobniej zostało mi mniej niż czterdzieści minut. Ludzie Kennedy'ego mogli dotrzeć do mojego mieszkania w każdej chwili. Musiałem jednak wierzyć, że mam czas. Tylko tyle.

Nastawiłem zegarek na odliczanie do południa.

– Będziesz tego potrzebował – usłyszałem głos Arturasa.

Pokazał mi coś, co spadło mi na brzuch, i chwyciłem to w ostatniej chwili, nim zsunęło się na podłogę. Nawet nie patrząc, wiedziałem, co to jest. Pióro, prezent od Amy – to samo, które dałem Jimmy'emu, żeby pokazał Amy jako dowód, że jest jej przyjacielem. Poczułem pod palcem wilgoć i zobaczyłem na nakrętce zasychającą krew.

Arturas wyjaśnił cicho, zanim zdążyłem zadać pytanie:

– To nie jej krew, prawniku. Zastrzeliliśmy faceta, który z nią był, i teraz mała jest u nas. Zajmij się Bennym – i to szybko!

– Czy obrona jest już gotowa? – zapytała sędzia Pike, gdy Arturas wrócił na swoje miejsce. – Możemy kontynuować proces mimo pańskiej opieszałości i szczęśliwie doprowadzić go do końca. Miał pan tę swoją małą przerwę, panie Flynn, więc czy teraz, po konsultacji, ma pan jakieś pytania do świadka?

Wołczek skinął mi potakująco głową.

Odsunąłem myśli o nakazie rewizji i o furgonetkach. Teraz nie to było najważniejsze, musiałem wybronić Wołczeka – dla Amy. Musiałem rozegrać spektakl sprawiedliwości za życie mojej córki.

– Tylko kilka pytań, pani sędzio – oświadczyłem.

Martinez uśmiechnął się. Spodziewał się, że jego rola już się skończyła.

– Oficerze Martinez, był pan odpowiedzialny za dochodzenie w sprawie zamordowania pana Geraldo, prawda?

– Tak.

– Czy to w porządku, żeby świadkiem był Świadek X, człowiek, który zastrzelił pana Geraldo?

– W porządku. On twierdzi, że zabił na rozkaz pańskiego klienta.

– I został znaleziony przez funkcjonariuszy policji w mieszkaniu zmarłego razem z narzędziem zbrodni, a później zeznał, że zastrzelił pana Geraldo?

– Tak.

– Wprawdzie nie jest pan prawnikiem, wiem jednak, iż prowadził pan wiele śledztw w sprawie zabójstw i brał pan udział w wielu procesach o morderstwo. Jeżeli podejrzany zostaje znaleziony w mieszkaniu razem z ofiarą i dymiącą jeszcze bronią – to taki podejrzany nie ma wiele na swoją obronę, prawda?

Martinez wymusił uśmiech i odpowiedział:

– Mógłby mieć, o ile pan byłby jego obrońcą, panie Flynn.

Od strony sędziów przysięgłych dobiegły chichoty. Polubili tego gliniarza, jego spryt i gładkie odpowiedzi.

– Z takim doświadczeniem w procesach o morderstwo, doskonale pan wie, że człowiek w tej sytuacji może mówić, albo robić, wszystko, żeby tylko wywalczyć dla siebie niższy wymiar kary.

– Tak, może.

– Na miejscu zbrodni nie znaleziono żadnego dowodu sądowego, który w jakikolwiek sposób łączyłby tego mordercę z oskarżonym?

– Zgadza się. Tylko ten jednorublowy banknot, który miał przy sobie Świadek X.

– Na tym banknocie nie było odcisków palców oskarżonego, prawda?

– Tylko wyraźne odciski palców Świadka X i oficera, który go aresztował. Pozostałe odciski były niewyraźne, zatarte przez odciski tych dwóch osób.

– Przepraszam, oficerze Martinez. Czyli to, co pan powiedział, że nie znaleziono na banknocie jednorublowym odcisków palców oskarżonego, oznacza, że ich tam w ogóle nie było? Czy tak?

– To znaczy, że na banknocie jednorublowym nie było odcisków palców oskarżonego.

– Oficerze, w przeszłości zabezpieczał pan częściowe odciski palców oskarżonych. Zgadza się?

– Tak.

– Tu niczego pan nie zabezpieczył, co oznacza, że na tym banknocie nie było odcisków palców oskarżonego.

– Nie było.

– Zatem nie ma sądowych dowodów sugerujących, że Oleg Wolczek choćby tylko dotknął tego banknotu?

Martinez spojrzał na Miriam. Nie mogła mu pomóc.

– Zgadza się.

– Nie mam więcej pytań.

Mimo że nie atakowałem pytaniami samego zabójcy, osiągnąłem już wszystko, co chciałem. Mógłbym zrobić więcej, mając chociaż godzinę, ale ja nie miałem czasu.

– Nie mam pytań – oznajmiła Miriam.

Szepnąłem do Wołczeka:

– Jakim mercedesem jeździ Uri?

– Białym, klasy S.

Gliniarz podziękował sędziemu, wstał i opuścił miejsce dla świadków. Takie chwile jak ta, kiedy jeden świadek zostaje zwolniony, a następny zostaje wezwany, sędzia, oskarżyciel i obrońca, a także zebrani widzowie na sali, traktują jak krótką przerwę – jak wtedy, gdy nowy miotacz w baseballu wstępuje na miejsce, w którym ma uderzać piłką. Arturas siedział za mną po prawej. Pochyliłem się w lewo, chwyciłem komórkę Kennedy’ego i wysłałem do Jimmy’ego SMS-a: „Zawarłem z Wołczkiem porozumienie. Amy będzie w białym mercedesie klasy S, zaparkowanym w pobliżu budynku sądu. Nie zaczynaj akcji, dopóki nie dam ci znać. Bądź gotów odbić ją na mój sygnał”.

ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY PIERWSZY

– Pani Sullivan, czy następny świadek jest już gotów? – zapytała sędzia Pike.

– Tak, Wysoki Sądzie. To Nikki Blundell.

Piękna, młoda kobieta o jasnej cerze wstała z ławki dla publiczności i skierowała się do miejsca wyznaczonego dla świadków. Miała na sobie długie, luźne spodnie i kremową bluzeczkę; jej kasztanowe włosy spięte były w kok. Wysoka, silnej budowy, poruszała się szybko, z gracją. Miriam mogła przepytować ją jakieś trzydzieści minut. Podbiegłem do Miriam, gdy tancerka z klubu nocnego otwierała skrzydło wahadłowych drzwiczek prowadzących do boksu dla świadków.

– Dlaczego nie skrócimy tej gonitwy? Zapomnijmy o tancerce. Wezwij Świadka X i kończmy z tym.

– Ona jest następna na mojej liście, Eddie. Musisz poczekać na mojego gwiazdora.

– Więc pokieruj jej zeznaniami. Nie zgłaszam zastrzeżeń. Byle szybko – zaapelowałem.

Oskarżyciel nie może podsuwać swojemu świadkowi żadnych ukierunkowanych pytań. Musiałem przyspieszyć bieg wydarzeń i Miriam mogła gładko skorzystać z okazji poprowadzenia świadka przez najlepsze punkty jego zeznania, upewniając się, że Nikki porusza wszystkie właściwe tematy.

Kiedy stałem za Miriam, poczułem wibrowanie telefonu komórkowego Kenneydy’ego. Odwrócony plecami do Arturasa odczytałem wiadomość – odpowiedź Jimmy’ego. „Czekam. Wysłałem Lizarda. Ma nad tobą czuwać”.

W czasie, gdy tancerka składała przysięgę, dyskretnie wysłałem odpowiedź: „W podziemiu, w pobliżu windy, w kubie na śmieci jest rewolwer”.

Miriam ruszyła do akcji.

– Pani Blundell, jest pani tancerką w klubie Sirocco przy 12th Street?

– Tak.

Nikki Blundell była elegancka i mówiła poprawnie, bez śladu obcego akcentu. Pomyślałem, że Miriam musiała spędzić dużo czasu, wybierając strój świadka. Nikki wyglądała schludnie, a nie jak typowa tancerka klubu nocnego.

– Co pani robi poza pracą w klubie Sirocco?

– Studiuję prawo na Uniwersytecie Columbia.

Spodziewałem się, że Nikki Blundell jest ładna, z łatwością mogłem sobie z nią poradzić, nawet gdyby była zwykłą, przeciętną młodą dziewczyną.

Jednak nieważne, czego się spodziewałem – Nikki Blundell nagle stała się w oczach sędziów przysięgłych wiarygodnym świadkiem, a oni takich lubią.

– Od dwóch lat pracuje pani w klubie Sirocco?

– Tak. Zgadza się.

– To wydaje się trochę niezwykle – studentka prawa i tancerka erotyczna?

Tłum na sali kochał takie numery. Sędziowie przysięgli sprawiali wrażenie trochę zakłopotanych, chociaż uśmiechali się i skupiali uwagę na odpowiedziach.

– No, jestem tancerką na rurze; tańczę w stylu bardziej egzotycznym niż erotycznym. To w dobrym guście. – Ostatnią część odpowiedzi wyraźnie adresowała do sędziów przysięgłych. – Prowadzę ćwiczenia z tańca na rurze w świetlicy środowiskowej przy moim kościele. Wiele dziewcząt robi to teraz w ramach fitnessu. To naprawdę dobry trening, poza tym napiwki są fantastyczne. Dzięki tej pracy mogę opłacić studia prawnicze. Nie zarobiłabym takich pieniędzy jako kelnerka. Mój ojciec jest pastorem – no i on pochwała to, co robię. Bo dlaczego nie?

Sędziowie przysięgli wymieniali między sobą kiwnięcia głową. Kilka pań noszących na łańcuszku krzyżyki wzruszało ramionami, albo nawet się uśmiechało.

– Pani Blundell, chcę, żeby się pani cofnęła myślami do nocy sprzed dwóch lat. Czwartego kwietnia. Tej nocy pracowała pani w klubie i coś tam się wydarzyło. Pamięta pani, co się wtedy stało?

– Tak. Właśnie kończyłam zmianę i zobaczyłam w tłumie błysk flesza. To zwróciło moją uwagę. Klientom nie wolno robić zdjęć w klubie – takie jest polecenie kierownictwa. Więc ten flesz zwrócił moją uwagę i chciałam wiedzieć, kto zrobił zdjęcie.

– I co pani zobaczyła?

– Och, zobaczyłam oskarżonego... tego tam mężczyznę – wskazała Wołczeka. – Wyraźnie go widziałam. Wszczął bójkę z jakimś facetem – tym, który zrobił zdjęcie. Była szamotanina, aż ich rozdzielono.

– Jest pani pewna, że człowiek, którego pani widziała, to obecny tu oskarżony?

Nikki spojrzała na sędziów przysięgłych, skinęła głową i odpowiedziała:

– Przysięgam na moje życie, że to on. Na sto procent oskarżony. On zaczął bójkę. Sprawiał wrażenie, jakby chciał zabić tamtego. To był on, nie mam wątpliwości.

Świetna odpowiedź. Miriam przerwała, pozwalając sędziom, by przetrawili ją przez kilka sekund. Niektórzy sędziowie wymieniali między sobą spojrzenia. Nikki okazała się dla nich ważnym świadkiem.

– Jak daleko pani stała od oskarżonego i tego drugiego mężczyzny?

– Pewnie z dwadzieścia metrów.

– Kiedy zobaczyła pani bójkę, czy rozpoznała pani człowieka z aparatem?

Podkreśliłem w notiesie słowo „aparat”.

To mi podsunęło pomysł, jak postąpić z Małym Bennym i kupić sobie niezbędny czas z Wołczkiem.

– Nie wtedy, ale chyba tydzień później, gdy zobaczyłam jego zdjęcie w gazecie. W artykule wymieniono jego imię i nazwisko – Mario Geraldo – okazało się, że dzień po wydarzeniu w klubie został zamordowany. Czułam się okropnie i zadzwoniłam na policję.

– Później poszła pani na komisariat i tam pokazali pani kilka fotografii mężczyzn, wśród których mógł być facet, który zaatakował Mario Geraldo w klubie. Pamięta pani?

– Tak. Obejrzałam całą masę zdjęć, aż nagle zobaczyłam tego mężczyznę, który zaatakował ofiarę w klubie.

Miriam podniosła wysoko fotografię Wołczeka. NYPD miał zdjęcia wszystkich podejrzanych szefów gangów w mieście.

– Czy na posterunku policji widziała pani wtedy to zdjęcie?

– Tak. To ten człowiek zaatakował faceta z aparatem.

– Proszę zapisać, że świadek zidentyfikował na fotografii oskarżonego, Olega Wołczeka.

Następna przerwa dla uzyskania efektu.

– Pani Blundell, oskarżony mógł się przypadkowo znaleźć w tym zatłoczonym nocnym klubie. Jak to się stało, że widziała go pani tak wyraźnie?

– Stałam wtedy na scenie, więc mogłam widzieć z góry cały klub.

– Pani Blundell, powiedziała pani, że bójka miała miejsce w nocy czwartego kwietnia, zaledwie dwadzieścia cztery godziny przed zamordowaniem Mario Geraldo. Co sprawiło, że była pani pewna, iż wydarzenia, które pani opisała, dotyczą akurat tego dnia?

– Och, to proste. Następnego dnia były urodziny mojej babci. Pamiętam, że po mojej zmianie poszłam do domu i aż do piątej rano piekłam urodzinowe ciasto.

Miriam odwróciła się od świadka, mrugnęła do mnie, a potem usiadła przy stole oskarżenia. Otworzyłem notes.

– Ona jest piekielnie dobra – zauważył Wołczek.

– Zwłaszcza w zadawaniu pytań – odparłem.

ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY DRUGI

– Pani Blundell, ile pani wypła drinków w nocy czwartego kwietnia?

Na sam początek trudne pytanie.

Odpowiadając, pochyliła się w kierunku ławy przysięgłych, jakby to była jej prywatna sprawa – między nimi i nią.

– Przed wyjściem na scenę kierownik przyniósł do garderoby butelkę szampana dla dziewcząt. No, może jeden kieliszek?

– Ocenia pani, że znajdowała się w odległości około dwudziestu metrów od obu mężczyzn, gdy wszczęli bójkę, ale czy ta odległość mogła być dużo większa?

– Nie sądzę.

– Klub Sirocco, jak większość innych nocnych klubów w tej części miasta, był jasno i dobrze oświetlony?

Zaśmiała się, zakryła usta dłonią i zamrugała długimi rzęsami w kierunku sędziów.

– Nie. Oczywiście, że nie. Panował mrok.

– Ale pani była dobrze oświetlona. Jest pani jedną z gwiazd klubu; na panią skierowano dwa, trzy jupitery?

– Rzeczywiście, były cztery. Nie, chwila... tak, myślę, że cztery.

– Ilu ludzi było w Sirocco? Dwa, trzy tysiące?

– Czwarty kwietnia... to był piątek, więc klub był pełny. Tak. Było pewnie ze dwa tysiące gości, ale widziałam to, co widziałam. Jak już mówiłam, to błysk flesza zwrócił moją uwagę. Widziałam tego człowieka, oskarżonego, jak atakuje pana Geraldo. Widziałam wyraźnie.

Zupełnie jakby wbito jej do głowy identyfikację oskarżonego, w każdej możliwej sytuacji i we wszystkich okolicznościach.

– Zatem podsumujmy: piła pani alkohol, pod koniec pracy była pani zapewne bardzo zmęczona, była pani oślepiona czterema jupiterami bijącymi ostrym światłem w twarz, a w odległości dwudziestu metrów od pani, w zupełnej ciemności, wśród dwóch tysięcy ludzi, mogła pani wyraźnie dojrzeć oskarżonego?

Nikki Blundell wyprostowała nogi, skrzyżowała je i przez kilka sekund mrugała, patrząc na sędziów.

– Tak – odparła.

Kilku sędziów z tylnych rzędów założyło ręce na piersi; zaczęli powątpiewać w swoje pierwsze wrażenia dotyczące Nikki Blundell.

– Potem nie myślała pani wiele o tej bójce... aż do przeczytania artykułu

w gazecie, która opublikowała fotografię pana Geraldo. I wtedy skontaktowania się z policją. Tak pani zeznała, prawda?

– Tak.

– Czy to ten artykuł? – Uniosłem egzemplarz „New York Timesa” z artykułem, który poprzedniej nocy przeczytałem razem z innymi dokumentami. Strona była złożona na pół, dzięki czemu świadkowie i ława przysięgłych widzieli nagłówek artykułu mówiący o związku mafii z morderstwem i zdjęcie Mario.

– Tak, to ten artykuł.

– Zeznała pani, że w czasie przesłuchania na policji pokazano pani fotografie, z których wybrała pani zdjęcie oskarżonego. Zidentyfikowała go pani jako człowieka, który bił się z ofiarą, ale wybrała je pani z innych tylko dlatego, że pamiętała wydarzenia z czwartego kwietnia w klubie. Zgadza się?

– Tak, zgadza się.

– Nigdy przedtem nie widziała pani zdjęcia oskarżonego?

– Nie. Oczywiście, że nie. Nigdy przedtem nie widziałam jego zdjęcia.

Rozłożyłem gazetę, ukazując sędziom i świadkowi drugą część artykułu z fotografią. Była to fotografia Wołczeka opuszczającego sąd po rozprawie o morderstwo.

– Proszę zapisać, że w artykule, który świadek przeczytał przed skontaktowaniem się z posterunkiem policji, znajduje się również fotografia oskarżonego, Olega Wołczeka – powiedziałem, nie zadając dalszego pytania świadkowi, tylko pozwalając mu skupić się na ewentualnym wyjaśnieniu.

Trzymając w ręce zdjęcie ukazujące miejsce zbrodni, zapytałem:

– Kiedy zobaczyła pani oskarżonego w tym tłumie, w ciemności, w odległości dwudziestu metrów, przy czterech oślepiających jupiterach, czy wtedy miał brodę tak jak dzisiaj, czy może był gładko ogolony?

Użyłem starej sztuczki stosowanej przez mojego ojca.

Spojrzała na zdjęcie w mojej ręce i zagryzła wargi. Już wiedziała – zdjęcie z monitoringu, Wołczek wychodzi z klubu tej samej nocy. Nie miała pojęcia, czy był ogolony, czy miał brodę. No i kto może ją za to winić? Takie szczegóły często uchodzą uwagi świadków, nawet tych najbardziej prawdomównych. Ale teraz musiała uważać, tym bardziej że już ją złapałem na tym artykule z gazety.

– Nie wiem. To było za daleko.

Pochyliłem się i zanotowałem w notesie odpowiedź. Notując, powtórzyłem ją głośno, powoli, specjalnie dla przysięgłych:

– „Nie-wiem-to-było-za-daleko”. Nie mam więcej pytań, pani Blundell. Czy po ukończeniu studiów prawniczych będzie pani chciała pracować w biurze prokuratora okręgowego?

– Nie myślałam o tym – odpowiedziała.

Nawet jeśli to była prawda, sędziowie przysięgli i tak zwrócili na to uwagę i dało im to wiele do myślenia.

– Dziękuję, pani Blundell.

Niektórzy sędziowie z ławy przysięgłych patrzyli surowo na Miriam, jakby marnowała ich czas.

– Oskarżenie? – zapytała sędzia Pike.

Miriam potrząsnęła przecząco głową. Nikki Blundell, opuszczając miejsce dla świadków, rzuciła Miriam nikły uśmiezek. Pani prokurator go nie odwzajemniła.

– Wysoki Sądzie, wzywamy Świadka X – oznajmiła Miriam.

ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY TRZECI

Urzędnik sądowy otworzył boczne drzwi po lewej stronie, dwa metry za miejscem dla świadków. Strażnik w czarnej, płaskiej czapce wszedł na salę przed mężczyznę w eleganckim garniturze. Zdjął mu kajdanki.

Wołczek, z detonatorem w ręce, upewnił się, że Arturas to widzi. Świadek X był niskim, drobnym i dobrze się prezentującym mężczyzną. Gdy wszedł do boksu dla świadków, dokładnie go zlustrowałem. Rozpoznałem tę twarz. Chociaż był młodszy i mniejszy, brat Arturasa miał te same ostre rysy twarzy. Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem Arturasa uśmiechającego się do młodszego brata. Ten uśmiech wcale nie przypominał jego zwykłego ironicznego uśmieszku. Odniosłem wrażenie, że dali sobie znak.

Urzędnik sądowy zaproponował Benny'emu złożenie przysięgi na Biblię, albo zwykłą afirmację. Benny wybrał Biblię. Położył na niej prawą rękę i odczytał tekst przysięgi. Skończył i usiadł za zezwoleniem sędzi.

Zerknąłem na zegarek, dwadzieścia minut do dwunastej.

Jeśli dopuszczę do egzaminowania świadka przez Miriam, mój czas skończy się, zanim zdążę zadać pierwsze pytanie. Miałem kilka pomysłów, jak to rozwiązać, lecz to jedno słowo „aparatus” w zeznaniu Nikki Blundell podsunęło mi pomysł, który uważałem za najlepszy[6].

Miriam musiała mi tylko umożliwić „wejście”. Jeżeli będę miał szczęście, może nawet da mi szansę, zadając pierwsze pytanie. Wszystko, co potem nastąpi, będzie działało na moją korzyść.

Miriam wstała i zadała zupełnie nieszkodliwe, proste pytanie na przywitanie. Wstrzymałem oddech, gdy odłożyła notes, spojrzała na świadka i nagle strzeliła wprost:

– Czy to będzie okej, jeśli będę pana nazywać „panem X”?

Wstałem z podniesioną ręką.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie.

Miriam wzdrygnęła się, najpierw zakłopotana, a po chwili już wściekła. Jej głos przeszedł w *staccato* i każda sylaba tchnęła skierowanym ku mnie obrzydzeniem.

– Wysoki Sądzie, przywykłam już do zachowań pana Flynnna, ale tym razem to jest niedopuszczalne. Na to moje pytanie nie może wyrażać sprzeciwu.

Sędzia Pike, która do protestu Miriam patrzyła na mnie, jakbym właśnie oddał mocz na środku podłogi, nagle posłała milczące upomnienie Miriam, zsuwając okulary na czubek nosa i wpatrując się w nią znad oprawek wzrokiem mówiącym: „To ja kieruję tą pieprzoną rozprawą, a pani dziękuję,

pani Sullivan”.

– Panie Flynn, co to ma znaczyć? Nie może pan wnosić sprzeciwu dotyczącego tego pytania. Odrzucam. Proszę siadać i zachować spokój, chyba że będzie pan miał inny, uzasadniony sprzeciw – powiedziała sędzia Pike.

Ale ja nie miałem zamiaru się poddawać.

– Wysoki Sądzie, mogę wyrazić sprzeciw i jeśli Wysoki Sąd pozwoli, wyjaśnię dlaczego. – Dałem sędzi trochę czasu, żeby przyswoiła sobie moje słowa, ale zanim znowu chciała odrzucić mój wniosek, ruszyłem ostro do ataku: – Wysoki Sądzie, mężczyzna lub kobieta w sądach Stanów Zjednoczonych mają prawo znać tożsamość osoby oskarżającej. To prawo chroni Czternasta Poprawka. Wnoszę, aby sąd respektował to prawo.

Na twarzy Gabrielli Pike ukazał się wyraz niekłamanego niedowierzania. Odwróciła się do Miriam, jakby szukając u niej pomocy, jak u kogoś, kto ma choćby odrobinę zdrowego rozsądku.

– Nie rozumiem, dlaczego pan Flynn wysunął właśnie teraz ten sprzeciw, Wysoki Sądzie. Ten świadek znajdował się na liście świadków od wielu miesięcy. Pan Flynn miał aż nadto czasu na prawne uzasadnienie sprzeciwu. Zachęcam Wysoki Sąd do oddalenia sprzeciwu.

Użyła słowa „zachęcam” zamiast „domagam się”.

– Myślę, panie Flynn, że powinien pan zająć się tą kwestią wcześniej. Jeżeli jednak porusza ją pan teraz, na tak istotnym etapie procesu, muszę zlecić mojemu urzędnikowi znalezienie odnośnego precedensowego przypadku w sprawie. Wrócę za pięć minut. Sędziowie przysięgli nie muszą słuchać tego prawniczego uzasadnienia. Dostarczymy je sędziom po ukończeniu przesłuchania. Zważywszy, pani Sullivan, że problem, czy Świadek X ma pozostać anonimowy, czy nie, jest ważny, to czy życzy pani sobie, aby wniosek pana Flynnna był rozpatrywany *in camera*, czyli przy drzwiach zamkniętych?

– Tak, Wysoki Sądzie – odparła Miriam.

Tym sposobem porozumieli się w sprawie *in camera*. To stary prawniczy termin oznaczający, że sąd zbiera się niejako „prywatnie”, bez sędziów przysięgłych i bez udziału publiczności.

Sędzia wstała i zarządziła:

– Opróżnić salę – i wycofała się do swojego gabinetu.

Usłyszałem, jak Wołczek śmieje się za mną.

– Wiedziałem, że coś masz – rzucił.

Funkcjonariusz ochrony sądu wyprowadził z sali wszystkich poza prawnikami i oskarżonym.

Arturas chwycił walizkę.

– Hej, potrzebne mi są akta – powstrzymałem go.

Zawahał się, ale nie porzucił walizki.

– Arturas, zaczekaj. On mówi, że to jest mu potrzebne – wtrącił Wołczek.

Arturas był przekonany, że ani Wołczek, ani ja, nie wiedzieliśmy, co się

kryje w tej walizce. W końcu zostawił walizkę i wychodząc z sali, stuknął palcem w zegarek, patrząc na mnie.

Upewniwszy się, że jesteśmy sami i nikt nas nie słyszy, położyłem na stole telefon Kennedy'ego. Mój czas przez tę krótką przerwę znacznie się skurczył, ale potrzebowałem tej przerwy dla Wołczeka. Musiałem jeszcze raz spróbować. Powiedziałem Wołczekowi, że dokonamy wymiany, gdy będziemy sami. Miałem nadzieję, że już wystarczająco dużo wie, aby podjąć decyzję o uwolnieniu Amy.

– Strzeliłem w Małego Benny'ego, praktycznie go eliminując. Więc zrób to teraz. Zadzwoń do swojego człowieka i powiedz mu, żeby uwolnił Amy.

– Nie. Trzymajmy się planu. Najpierw muszę usłyszeć wyrok. Dokonamy wymiany, tak jak uzgodniliśmy.

Wystukał numer w telefonie i czekał.

Zrobiłem to samo.

Jimmy odebrał pierwszy.

– To ja. Widzisz auto?

– Widzę. Parkuje jakieś sto metrów ode mnie. Kierowca stoi na ulicy, opiera się o tylne drzwi. Nie ufaj Wołczekowi. Oszuka cię i zabije Amy – powiedział Jimmy.

Zakryłem telefon dłonią i zniżyłem głos:

– Nie sądzę. Teraz Wołczek może ufać tylko mnie. Tylko ja mogę ocalić jego dupę, więc mnie potrzebuje. Ale jeśli coś pójdzie źle, musisz, bez względu na... Amy jest...

– Nie musisz kończyć. Mogę ją uwolnić w każdej chwili. Czekaj. Kierowca odbiera telefon... – wtrącił Jimmy.

Wołczek rozmawiał z Rosjaninem.

– Po angielsku! – rzuciłem.

– Uri! Czekaj na mój sygnał. Albo na telefon czy na SMS. Uwolnisz dziewczynkę, albo... no, wiesz, co zrobić – mówił Wołczek.

– Eddie, kierowca się przesunął. Widzę błysk pistoletu z kieszeni płaszcza. Teraz nie ma szans na uwolnienie twojej córki. On stoi dokładnie w drzwiach. Jeżeli Amy jest w środku, wystarczy mu sekunda – oznajmił Jimmy.

– Czekaj na wymianę. Zadzwoń. Jeżeli nie zadzwonię... Jeżeli coś mi się stanie, przyrzeknij, że ją uwolnisz. Powiedz jej... powiedz, że jej ojcu jest bardzo przykro. Powiedz, że ją kocham...

Moje gardło poddało się, zacisnęło na myśl, że mogę stracić córkę.

– Ona o tym wie. Wydostanę ją. Życzę szczęścia, chłopie. Lizard jedzie do ciebie.

Otworzyły się drzwi gabinetu sędziego i ukazała się sędzia Pike.

Wołczek i ja równocześnie zakończyliśmy połączenia i odłożyliśmy telefony.

W chwili, gdy chowałem telefon do kieszeni, poczułem wibracje. Pike spojrzała na mnie. Nie mogłem odczytać wiadomości. Nie teraz.

[6] Aparat fotograficzny – ang. *camera*; angielski zwrot *in camera*, oznaczający też w języku prawniczym „przy drzwiach zamkniętych” podsunął bohaterowi pomysł sprowokowania takiego postępowania w czasie rozprawy (przyt. tłum.).

ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY CZWARTY

– Jaki jest pański wniosek, panie Flynn? – zapytała sędzia.

– Wysoki Sądzie, niewątpliwie zaznajomiła się pani ze sprawą „Naród versus Stannard i powiązane władze”. Ta sprawa – jako przypadek prawny – sprawiła, że prokurator okręgowy musiał utrzymywać w ścisłej tajemnicy tożsamość świadka. Gdyby miała pani choćby niewielkie doświadczenie oskarżyciela w sprawach kryminalnych, z pewnością choć raz wystąpiłaby pani przeciwko stosowaniu takiej praktyki. Miałem już do czynienia z dwoma podobnymi przypadkami. Oba były typu kup–i–zapuszkuj: policjant w przebraniu udaje kupującego narkotyki; zakup jest rejestrowany i kiedy sprawa trafia do sądu, tajniak – on lub ona – zwykle zachowuje anonimowość i w sądzie można jego lub ją zidentyfikować tylko po numerze odznaki. Obrońca mojego klienta został postawiony w gorszej sytuacji przez to, że świadek pozostaje anonimowy. Wpływa to niekorzystnie na naszą zdolność prowadzenia obrony. Wysoki Sądzie, wnoszę o szybkie przesłuchanie świadka. Nie będę się domagał ujawnienia jego tożsamości. Chcę tylko przetestować jakość oraz wagę jego zeznań i przedstawionego dowodu. Szczególnie interesuję się pytaniem, dlaczego on sam czuje, że jego życie jest zagrożone. Jeżeli Wysoki Sąd wyda orzeczenie, że przedstawiony w zeznaniach dowód nie jest wystarczający, wówczas nie będzie istniała konieczność chronienia jego tożsamości i zostanie ujawnione nazwisko.

– Wyrażamy zgodę. Możemy zacząć od przesłuchania – stwierdziła Miriam – pod warunkiem że ława przysięgłych będzie obecna przy składaniu zeznań.

Miriam ruszyła do ataku ostro i przebiegle. Chciała tak przedstawić Małego Benny’ego, by ława przysięgłych poczuła do niego sympatię i myślała, że ja z kolei jestem jakimś bezwzględnym twardzielem.

– Zgoda – odpowiedziałem. Zależało mi tylko żeby Benny zajął miejsce dla świadków tak szybko jak to tylko możliwe.

– Dobrze. Wprowadzić świadka i sędziów przysięgłych. Jeśli sędziowie przysięgli będą słuchać zeznań, to czy jest sprzeciw, żeby sąd prowadził postępowanie z udziałem publiczności?

Miriam i ja potrząsnęliśmy głowami.

– Wróć po zajęciu miejsc przez sędziów przysięgłych – oświadczyła Pike i wyszła do swojego gabinetu. Dzięki temu zyskałem następną porcję cennego czasu. Strażnik sądowy zniknął za bocznymi drzwiami, żeby wprowadzić Świadka X. Inny funkcjonariusz otworzył drzwi i galeria dla publiczności znowu się zapełniła. Wrócili Arturas, Wiktor i Gregor. Arturas, kierując się

na swoje miejsce, wystukiwał coś na telefonie komórkowym, a potem na kilka sekund przyłożył go do ucha. Po usłyszeniu sygnału podniósł telefon do oczu i powtórzył te czynności. Dotarłszy do pierwszego rzędu ławek, schował telefon, nie chcąc, żeby sędziowie go zauważyli. Przed zajęciem miejsca spojrział tęsknie na drzwi do sali sądowej. Usiadł i skrzyżował ręce na piersi. Pomyślałem, że pewnie próbował się skontaktować z kimś, kogo się spodziewał na sali. Jednak ten ktoś się nie zjawił.

Znowu poczułem wibracje telefonu Kennedy'ego. Arturas wybrał miejsce blisko mnie. Gdybym wyjął z kieszeni telefon, Arturas by to zauważył. Szepnąłem więc na tyle głośno, żeby słyszeli i Wołczek, i Arturas:

– Muszę pogadać z oskarżeniem i przekonać się, jakie zechce poruszyć tematy i jakie ma poglądy na sprawę.

Wołczek przez sekundę się zastanawiał, w końcu powiedział:

– Dobrze.

Miriam skrzywiła się, widząc, że podchodzę do jej stołu. Zatrzymałem się i odwrócony plecami do Wołczeka, pochyliłem się nad stołem, udając, że przekładam papiery. Telefon przestał wibrować.

– Zerknij na to – podałem Miriam odbitkę fotografii miejsca zbrodni.

– Co? Jeśli chcesz mi pokazać fotografie, to nie teraz... Nie. Powiedz mi, dlaczego sędziów przysięgłych nie obchodzą fotografie, które zostały zniszczone albo zaginęły? – pytała.

– Podejdz – powiedziałem.

Wstała i podeszła z lewej strony, dobrze zasłaniając mnie przed Rosjanami. Kiedy zacząłem jej nawijać o zniszczonej ramce do fotografii, poczułem wibrację telefonu Kennedy'ego. Dwie krótkie wibracje – potem nic. Musiały to być połączenia i SMS-y.

Szybko wyjąłem telefon i ponownie skierowałem uwagę Miriam na fotografie.

Telefon komórkowy Kennedy'ego zarejestrował trzy nowe SMS-y i cztery nieodebrane rozmowy.

Spojrzałem na SMS-y. Pierwsza wiadomość od jakiegoś Ferrara i dwie od Weinsteina – domyśliłem się, że to agenci FBI. Odczytałem SMS-y.

Pierwsza sprzed pięciu minut, od Ferrara: „Jesteśmy przed mieszkaniem prawnika. Czy wszystko okej? Możemy wejść w ciągu sześćdziesięciu sekund, chyba że są inne rozkazy”.

Otworzyłem ostatni SMS, sprzed dwóch minut. Nie doceniłem Arturasa, a to źle. „Znaleziono notatkę samobójcy – Eddie'ego Flynna. On chce wysadzić w powietrze cały budynek sądu. Znalezliśmy wykaz ładunków statku *Sasha* i plany budynku. Aresztować go i przeszukać budynek”.

Telefon zawibrował w mojej ręce – znowu dzwonił Ferrar. Miriam była zbyt zajęta oglądaniem zdjęć, żeby to dostrzec. Spojrzałem nad jej ramieniem. Kennedy siedział w czwartym rzędzie od tyłu. Sam. Żadnych agentów w pobliżu, ale oczywiście nie mogli się skontaktować z Kennedym, ponieważ

miałem jego telefon. Ułożyłem sobie w głowie prawdopodobny scenariusz – obaj, Ferrar i Weinstein, muszą teraz odholować dupy z mojego mieszkania i dotrzeć do sądu. A to zajmie im około pół godziny, góra czterdzieści minut. Wyobraziłem sobie, że jeżeli Ferrar nie może się skontaktować z Kennedym, będzie próbował dzwonić do innego agenta.

Podwójne drzwi otworzyły się z impetem, wpadł agent Coulter i ruszył prosto do miejsca, w którym siedział Kennedy. Coulter szepnął coś szefowi. Kennedy wstał i skierował się do mnie.

Odszedłem od Miriam i zatrzymałem się na środku sali. Prawnicy nazywali to „studnią”. Kennedy wyjął broń i zbliżając się, zawołał:

– Flynn, nie ruszaj się! Jesteś aresztowany!

Miałem przechłapane.

ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY PIĄTY

Wółczek dostrzegł, jak Kennedy rusza w moim kierunku i jego prawy kciuk przesunął się po telefonie komórkowym.

Tym razem nie mogłem nic wymyślić.

Kennedy stanął przede mną z lufą glocka wymierzoną w moją głowę. Coulter też wyjął broń, ale pozostał w tyle, kryjąc szefa.

– Aresztujesz niewłaściwego człowieka – rzuciłem Kennedy’emu, podnosząc rękę do góry.

– Powoli na podłogę, twarzą do ziemi – powiedział Kennedy.

Trzymając wysoko uniesione ręce, ukląknę na jedno kolano, potem na oba. Położyłem ręce na posadzce i położyłem się. Poczułem na policzku chłód marmurowej płyty. W uszach dudnił przyspieszony puls. Rozpostarłem ręce, jakbym leżał krzyżem przed ołtarzem.

Ktoś chwycił moje ręce, złożył na plecach i skuł kajdankami, a następnie jakiś siłacz poderwał mnie i postawił na nogi.

– Co pan, u diabła, robi? – zainteresowała się Miriam. – Ostrzegam, może pan przez niego mieć poważne kłopoty. Czy pan nie widzi, że on chce pana oszukać? Przecież on chce być aresztowany. Naprowadzić pana na fałszywy trop. Zabieraj te cholerne kajdanki, zanim wrócą sędziowie przysięgli.

Agent zignorował Miriam.

Udało mi się szepnąć Kennedy’emu:

– Zaufaj mi. Nie zrobiłem tego. Oni mają moją córkę. Arturtas chce pomóc w ucieczce bratu; ma ukrytą w walizce broń.

Kennedy zbliżył się o krok, żeby wypatrzeć nad głowami zgromadzonych ludzi leżącą na ziemi walizkę. Była otwarta, leżały w niej jakieś papiery.

– Masz na myśli tę pustą walizkę? Za późno, Flynn. W twoim mieszkaniu znaleźliśmy napisany przez ciebie list sugerujący, że chcesz popełnić samobójstwo, a także listę ładunków *Saszy* i plan budynku sądu. Gra skończona.

Teraz mogłem się już tylko modlić, żeby Jimmy uwolnił Amy, żeby jakoś udało mu się do niej dostać i zabrać do domu, do jej mamy. Od dawna się nie modliłem. Prosiłem Boga, żeby pomógł Jimmy’emu ocalić moją córkę. Każdą część mojego ciała przeszywał palący ból, czułem, jak jest ciężkie, jak powolne, jak zmęczone, a to wydarzenie ostatecznie wyssało ze mnie resztkę energii.

Kennedy chciał mnie wyprowadzić z sali, ale nie przewidział, że bezwiednie wywołał małe zamieszanie, i teraz reporterzy usiłowali się wepchnąć do sali

sądowej, żeby sfotografować mnie w kajdankach.

Nagle głos za mną sprawił, że Kennedy zamarł bez ruchu.

– Hej tam! Agencje! Zawrócić! Natychmiast, do cholery!

Poznałem ten głos.

Kennedy i ja odwróciliśmy się. Sędzia Pike stała przed swoim fotelem, obok niej stał starszy sędzia Harry Ford. Wydawało się, jakby nie miał sześćdziesięciu kilku lat. Stał wyprostowany z dumnie podniesioną głową, nie garbił się.

– Kim pan jest? – zapytał Harry, przygniatając Kennedy’ego do podłogi siłą swego wzroku.

– Agent specjalny William Kennedy. Wyprowadzam podejrzanego na przesłuchanie – odparł w półobrocie.

– Agencje specjalny, jeśli przekroczy pan próg tych drzwi razem z tym mężczyzną, w ciągu godziny będzie pan tylko panem Kennedym. Zawracać, zdjąć kajdanki i siadać – rozkazał Harry, bardziej jak kapitan ze starego komiksu *Nam*, niż jak sędzia. Kennedy zatrzymał się, odwrócił, ale nie zdjął mi kajdanek.

– Straż! – krzyknął Harry do strażnika, który wrócił do sali z Bennym. – Jeżeli agent specjalny Kennedy nie uwolni pana Flynna, pan tego agenta arestuje. Gdyby się opierał, ma go pan zastrzelić! – zagrmiał Harry.

Teraz Kennedy, wyrażając protest, zwrócił się do sądu:

– Ten człowiek jest... – zaczął.

Poważny błąd.

– Jeżeli w ciągu pięciu sekund nie zdejmie pan kajdanek, długo pan posiedzi w areszcie tego sądu – przerwał Harry.

Zobaczyłem, jak wzrok Kennedy’ego przeskakuje to na mnie, to na Harry’ego. Wydawało się, że w sali sądowej zapanowała niewyobrażalna cisza. Słyszałem tylko ciężko dyszącego Kennedy’ego, potem zbliżył się do nas strażnik z bronią w ręku. Jeżeli Harry emanował jakąś magnetyczną siłą, to wyraźnie torowała drogę strażnikowi, który wymierzył pistolet w Kennedy’ego. Kennedy pochylił się do mnie i szepnął:

– Eddie, czy ty naprawdę chcesz wysadzić w powietrze ten budynek? Skończyć ze wszystkim?

– Zrobię wszystko, żeby tylko uratować moją córkę.

– Gdzie jest bomba?

– Powiedziałem ci już, że Levine jest trefny.

Nie mogłem powiedzieć mu o furgonetkach w podziemiu. Gdybym to zrobił, Kennedy ewakuowałby cały budynek, a ja potrzebowałem jeszcze trochę czasu. Tylko trochę więcej czasu.

– Nie wierzę ci. Levine to zasłużony agent. Teraz ochrona przeszukuje cały budynek. Nie ufam ci ani trochę.

– Kennedy, puść go – zażądała Miriam.

– Nie mogę i przy okazji, to sprawa federalna. Nie leży w pani kompetencji,

pani Sullivan – stwierdził.

– Możesz go puścić i musisz to zrobić. Jesteś w sali sądowej i podlegasz prawu stanowemu, a poza tym przyczyniasz się do zakłócania procesu rosyjskiej mafii. Jeżeli ich adwokat zostanie aresztowany, proces zostanie przerwany, a oskarżony ucieknie. Tego właśnie chce Eddie. Czy ty tego nie pojmujesz?

Wyczułem wahanie. Kennedy rozglądał się po całej sali, jakby rozpaczliwie szukając wyjścia z tej sytuacji.

– Czas minął – rzucił Harry.

– Potrzebuję więcej czasu, proszę. Zaczekaj i obserwuj. To będzie interesujące. Nigdzie nie pójde. W lewej kieszeni mojej marynarki znajdziesz wizytówkę. Sprawdź, proszę – szepnąłem do Kennedy'ego.

Stojący za mną Arturas nie widział, jak Kennedy wyjmuję mi wizytówkę. Agent FBI obrócił ją w palcach.

– To wizytówka FBI, mówiłem już o tym. Jesteś zwierzchnikiem Levine'a. Znasz jego pismo. Powiedz, że to nie jego pismo.

Kennedy przerwał, trzymając wizytówkę w palcach. Powinienem pokazać mu ją wcześniej. Uspokoił się – zmarszczki na czole wygładziły się. Rozchylił lekko usta, w jego oddechu wyczułem zapach porannej kawy. Rozpoznał pismo.

– Wizytówka z portfela Gregora. Posłuchaj. Przeszukujesz budynek. To dobrze. Daj mi pół godziny. Jeżeli za pół godziny cię nie przekonam, możesz mnie aresztować.

Harry miał już tego dość.

– Agencie Kennedy, pańskie pięć sekund już minęło.

Od strony tłumu gości doleciały okrzyki. Ludzie za nami wstali z ławek, blokując drogę strażnikowi zmierzającemu ku Kennedy'emu.

Miriam trzymała w ręce telefon komórkowy.

– Dzwonię do nowojorskiego biura FBI. Dyrektor będzie chciał wiedzieć, dlaczego jeden z jego agentów zakłóca najważniejszy od piętnastu lat proces mafii.

Kennedy zawahał się. Pochylił się. Wbił paznokcie w dłoń. Kapała mu krew.

– Co mi pan powiedział dziś rano, agencie Kennedy? Pamięta pan? Powiedział pan, że Eddie Flynn był kiedyś kanciarzem. On chce, żeby go pan aresztował i rozwalil ten proces. Im dłużej będzie się ciągnął, tym trudniej zapewnić bezpieczeństwo świadka i uchronić go przed jego dawnym szefem. No, szybciej, zastanów się! Nie może pan zniszczyć najważniejszej sprawy w mojej karierze. Mowy nie ma – oświadczyła stanowczo Miriam.

Westchnął ciężko i uniół wysoko głowę.

– Daję ci dwadzieścia minut, Flynn. Będę cię obserwował. Jak będziesz chciał zwać – zabiję cię – mówił Kennedy, zdejmując mi kajdanki. Kiwnął głową w stronę sędziów i wrócił na swoje miejsce, nie spuszczając ze mnie wzroku.

Strażnik schował broń. Harry i Gabrielle spojrzeli po sobie i usiedli.

– Agencie Kennedy, w tym sądzie ja stanowią prawo. Proszę o tym nie zapominać – powiedział Harry.

Zająłem swoje miejsce przy stole obrony. Gwar dochodzący od strony publiczności bardziej przypominał okrzyki widzów podczas walki bokserkiej niż obserwatorów procesu o morderstwo.

Wołczek chwycił mnie za rękę i przyciągnął do siebie.

– Co to, u diabła, było? – zapytał.

– To było szczęście. Najzwyklejsze, cholerne, szczęście.

Sędzia Pike była gotowa do wznowienia procesu. Żeby podkreślić swoją postępowość, nie używała młotka z podstawką. Zamiast tego waliła ręką w mahoniowy blat biurka, a potem krzykiem nakazywała spokój.

– Sędzia Ford będzie obserwował proces – oznajmiła. – Cieszę się, że jest tu z nami, biorąc pod uwagę zachowanie niektórych uczestników postępowania.

Sędzia Pike włączyła długopis, który przytknęła do notesu, gotowa wysłuchać i notować zeznania świadka.

Wszedł ostatni sędzia ławy przysięgłych. Mały Benny wrócił na miejsce dla świadków. Teraz Miriam zapewne zada mu tylko kilka pytań na temat zagrożenia jego życia, a potem przejmę go ja.

Kennedy nie spuszczał ze mnie wzroku.

Miriam wstała, wygładziła zakiet, przyjęła wygodną pozycję i rozpoczęła krótkie przesłuchanie.

– Panie X, w jaki sposób został pan świadkiem w tej sprawie?

Benny był tym pytaniem wyraźnie zaskoczony, ale szybko odpowiedział, co zwykle wskazuje na szczerą odpowiedź świadka.

– Zostałem złapany przez policję na miejscu popełnienia morderstwa.

– Czyjego morderstwa?

– Mario Geraldo.

– Kto zamordował Mario Geraldo?

Przerwa. Benny oblizał wargi.

– Ja – odparł krótko.

– Pan? – pytała dalej Miriam.

Świadek pominął istotną część zeznania, więc Miriam powtórzyła pytanie. Już zamierzałem zaprotestować, ale zrezygnowałem.

– Tak. Oleg Wołczek przekazał mi wiadomość. Nazwisko ofiary na połówce jednorublowego banknotu. Miałem drugą połówkę. To taki rosyjski zwyczaj, tak wskazuje się osobę, którą trzeba zlikwidować!

– Wysoki Sądzie, to nas nie zbliża do istoty sprawy – musiałem ponaglić Miriam, żeby szybko przejąć Benny'ego.

– Nie zbliża? – zdziwiła się sędzia Pike.

– Wysoki Sądzie, właśnie że teraz zbliża – sprzeciwiła się Miriam. – Co nastąpiło po tym, jak aresztowano pana za morderstwo? – zapytała.

– Zawarłem układ. Miałem powiedzieć policji, kto wydał rozkaz zabicia,

a w zamian dostać niższy wymiar kary.

– Cały czas przebywał pan w więzieniu?

– Nie. Po ułożeniu się z policją zostałem objęty ochroną przez FBI.

– Dlaczego FBI objęło pana aresztem ochronnym?

Cholera. Znowu sprzeciw.

– Sprzeciw. Świadek nie zna motywów działania FBI.

Sędzia Pike kolistym ruchem pióra wskazała Miriam i poleciła zmienić pytanie.

– Dlaczego pan sądził, że trafi do aresztu ochronnego zamiast do zwykłego więzienia?

Benny nie odpowiedział. Spojrzał na Miriam, potem na sędzię Pike, na koniec skierował wzrok na Wołczeka. To ostatnie spojrzenie wyrażało czystą, niekłamana nienawiść.

– To proste – zaczął. – Oleg zlecił zabicie mnie. Gdybym przebywał w zwykłym więzieniu, z pewnością byłbym już trupem. FBI chroniło mnie przed ludźmi Wołczeka, bo wiadomo – jedno jego słowo i jestem martwy. Wiedział, że będę zeznawał przeciwko niemu i dlatego chciał mojej śmierci.

Miriam, wiedząc, że już nic więcej z niego nie wyciągnie, kiwnęła głową.

– Nie mam więcej pytań.

Sędzia Pike spojrzała na mnie, czekając na rozpoczęcie przesłuchania. Ochrona sądu, FBI, zapewne też i ludzie z NYPD w tym czasie przeszukiwali gmach sądu, patrosząc go od podszewki w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby przypominać materiał wybuchowy razem z urządzeniami detonującymi. W każdej chwili mogli znaleźć bomby w furgonetkach. To tylko kwestia czasu. Tłum na sali milczał, czekając na maglowanie mordercy przez obronę.

– Mam tylko kilka pytań – zacząłem.

Stałem kilka metrów od Benny'ego, nie przekraczając granicy strefy rażenia bomby. Ciężar, który mnie przygniatał, gdzieś wyparował, serce biło jak szalone.

Wszystko, co zdarzyło się przez ostatnie półtorej doby kręciło się wokół tych minut, tych ostatnich odpowiedzi. Pomyślałem o ojcu i poczułem na skórze chłodne dotknięcie medalika.

– W jaki sposób Wołczek mógłby pana zabić? – zapytałem.

Benny zdawał się być tym pytaniem rozbawiony. Roześmiał się, rozejrzał po sali, poprawił na krześle i kilka razy potarł dłonią twarz.

– Człowiek, którego pan reprezentuje, nie zastanawia się, w jaki sposób zabijać.

– Skąd pan wie?

– Po prostu wiem... pracowałem dla niego przez dwadzieścia lat. Jeśli chciał kogoś zabić, to zabijał. Nieważne w jaki sposób.

– Proszę podać przykład.

Teraz Benny już się nie uśmiechał.

– No... Mario Geraldo. Wołczek posyła mi połówkę banknotu rublowego

z nazwiskiem Mario. Więc go zabijam. Nie pisze, czy mam go zastrzelić, czy zasztyletować, czy utopić. Nazwisko na banknocie oznacza, że ma umrzeć.

– Chcę kilka innych przykładów, powiedzmy ostatnich trzech ludzi, których zabił. Jak oni umarli?

– Skąd mam wiedzieć?

– Powiedział pan, że boi się o swoje życie; powiedział pan, że mój klient jest zabójcą. Proszę podać więcej szczegółów – jak on zabija?

– Już powiedziałem... pisze na banknocie nazwiska ofiar...

– Więc proszę podać te nazwiska... trzy ostatnie nazwiska.

Ujrzałem w oczach Benny'ego błysk gniewu. Chciałem go rozzłościć. Od tego zależało życie Amy.

– Mów!

Mały Benny pochylił się i zacisnął pięści.

– Nie powiem. Mogę mówić tylko o tym morderstwie, którego dokonałem.

– Poszedł pan na układ i został skazany na dwanaście lat więzienia. Mógł pan powiedzieć prokuratorowi okręgowemu i FBI dużo więcej. Ale nie zrobił pan tego. Czy dlatego, że ciągle jest pan wobec kogoś lojalny? A może jest coś więcej?

Znowu poprawił się na krześle, przesunął palcem wzdłuż kołnierzyka, jakby nagle okazał się za ciasny, i sięgnął po szklankę z wodą.

– Nie wiem, o czym pan, u diabła, mówi – rzucił.

– Och, wie pan, panie X. Dobrze pan wie. Został pan złapany na gorącym uczynku na miejscu zbrodni. Poszedł pan na układ i wskazał FBI mojego klienta, Olega Wołczeka, którego oskarżono o morderstwo. Zgadza się?

– Zgadza się.

– Ale dziś jest pan tutaj i najwyraźniej w obawie o swoje życie nie chce pan zeznawać o innych morderstwach tego człowieka – o takich, które albo popełnił osobiście, albo je zlecił. Nie powiedział pan policji czy FBI o innych morderstwach i dziś pan też tego nie robi. Zgadza się?

– Zgadza się.

– Nie powiedział pan FBI o imperium narkotykowym mojego klienta?

Wołczek nie zareagował. Uprzedziłem go, co chcę przez te pytania osiągnąć.

– Pański klient nie został oskarżony o żadne przestępstwo narkotykowe, panie Flynn, ale czy teraz pan sugeruje, że ma imperium narkotykowe? – zapytała sędzia Pike.

– Nie, Wysoki Sądzie. Oskarżenie dotyczyło rzekomego kierowania rosyjską mafią. Można założyć, że nie handlowali herbatnikami po domach.

Miriam na początku rozprawy zasugerowała ławie przysięgłych, że Wołczek jest bossem rosyjskiej mafii. Nie wyraziłem wtedy sprzeciwu, bo ta część jej wystąpienia nie była dla mnie najważniejsza; nie, to coś innego, co powiedziała sędziom dało mi szansę. Dużą szansę.

– Nie powiedział więc pan FBI, że mój klient jest szefem kartelu narkotykowego? Zgadza się?

Jeśli teraz włączy się alarm, cały mój plan legnie w gruzach. Naciskałem Benny'ego, próbując wypracować powtarzający się rytm odpowiedzi „zgadza się”, w efekcie rozdrażniając go tak, aby zaczął odpowiadać z gniewem, bez zastanowienia.

– Zgadza się... ja...

Przerwałem:

– Zatem zgadza się. Pan nie powiedział FBI, że mój klient prawdopodobnie prowadził operacje narkotykowe i nie mówił pan FBI, że mój klient rzekomo zajmował się stręczycielstwem. Zgadza się?

– Zgadza się – odpowiedź padła od razu, ubiegając szybkie pytanie Pike, czy to nie ja przypadkiem chciałem, żeby zaprotokołowano, że mój klient miał w Małej Odessie niewielki burdel. Okrążając mój stół, ustawiłem się tak, aby móc patrzeć Benny'emu prosto w oczy. Odwrócił wzrok.

– I nie powiedział pan FBI, że mój klient rzekomo prał brudne pieniądze z prowadzenia swoich operacji. Zgadza się? – zapytałem wolno, zbliżając się do Benny'ego, skracając między nami dystans i równocześnie przekraczając granicę „strefy śmierci”.

– Zgadza się – odparł, błędząc oczami po sali.

Zbliżyłem się jeszcze bardziej. Nasze oczy się spotkały. Benny skrzywił się i pochylił.

– Nie powiedział pan FBI o tym, w jaki sposób mój klient rozprowadza narkotyki. Zgadza się?

– Zgadza się.

Dzieliła nas odległość metra. Im bardziej się zbliżałem, tym bardziej Benny stawał się nerwowy; wydawało się, że chce przeskoczyć barierkę wygradzającą miejsce dla świadków i mnie udusić.

– Nie mówił pan FBI, że mój klient zajmował się handlem bronią. Zgadza się?

– Zgadza się.

– Nie mówił pan im o tych wszystkich działaniach, bo gdyby się okazało, że oskarżony kierował organizacją kryminalną, zostałyby o to oskarżony, FBI wkroczyłaby, zlikwidowała ją i...

Chwyciłem mocno barierkę, zbliżyłem się jeszcze bardziej do Małego Benny'ego, aby rzucić mu bezpośrednio w twarz ten brudny sekret:

– A to nie było w pańskim i pana brata interesie, ponieważ po skończonym procesie zamierzaliście przejąć firmę. Zgadza się?

– Zgadza się.

Po udzieleniu tej odpowiedzi nagle zorientował się, co powiedział, i szybko potrząsnął przecząco głową. Pike rzuciła pióro. Harry zakrztusił się ze zdumienia.

– Nie. To nie tak. Nie wiem, o czym mówisz, ty cholerny prawniku! – krzyknął Benny.

Szepnąłem mu:

– Wołczek zna prawdę.

Benny wstał. Odwróciłem się plecami do publiczności. Benny odepchnął mnie, ale zanim zdążył chwycić mnie za ramiona, szybko wyciągnąłem ku niemu ręce. Cofnąłem się, potknąłem, zdołałem jednak utrzymać równowagę.

Strażnik chwycił Benny'ego i zmusił, żeby usiadł. Pike krzyknęła na świadka, Miriam zaczęła protestować, twierdząc, że zastraszam jej świadka. Uniosłem rękę i powstrzymałem obie panie. Przed zakończeniem przesłuchania miałem okazję spojrzeć na Kennedy'ego. Zauważyłem, że wnikliwie mnie obserwuje.

– Mój błąd. Proszę wybaczyć. Mam jeszcze jedno, ostatnie pytanie. Od aresztowania znajdował się pan pod ochroną policji i FBI. Nigdy nie przebywał pan w zwykłym areszcie. Zatem jak się pan dowiedział, że oskarżony wydał rozkaz zabicia pana?

Zawahał się. To pytanie było dla niego niezrozumiałe. Będąc długoletnim członkiem Bractwa, wiedział, co może go spotkać, jeśli zdradzi swego bossa.

– Nikt mi o tym nie powiedział – odparł, ciągle z wyrazem zmieszania na twarzy. – Pan nigdy nie otrzymywał takich pogroźek? – Pytanie zawisło w powietrzu. Benny rozsiadł się wygodnie, parsknął i potrząsnął głową, patrząc na mnie jak na idiotę. – Nie. Nie dostałem żadnych pogroźek, że mnie zabiją. Nie w ten sposób. My i tak wiemy, co się stanie, jeśli zdradzimy *pachana* – karą jest śmierć.

– Kogo jeszcze oskarżony kazał zabić za zdradę?

– Tego nie mogę powiedzieć – odparł Benny

I to było to.

Klucz do tego całego gówna.

– Wysoki Sądzie, w świetle ostatniej odpowiedzi świadka wnioskuje o wstrzymanie postępowania – oświadczyłem.

Zgromadzony na galerii tłum natychmiast zaczął pomrukiwać, rozległy się szepty i protesty. Usłyszałem, jak zamykają się tylne drzwi sali sądowej. Do pustej ławki po prawej przebijał się agent Levine. Zanim usiadł, zdążył jeszcze kiwnąć głową w kierunku Arturasa siedzącego zaledwie metr ode mnie. Był to bardzo szybki sygnał, nanosekunda i łatwo było go przeoczyć.

Kennedy przeoczył.

Arturas przesunął się na krześle, odwrócił plecami do sędziów przysięgłych i zobaczyłem, że telefonuje. Nie słyszałem rozmowy, ale wyraźnie widziałem numer na wyświetlaczu cyfrowym jego iPhone'a.

Dzwonił pod 112.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY SZÓSTY

Pike poleciła sędziom przysięgłym opuścić salę. Jak większość sędziów zasiadających na ławie przysięgłych, tak i ci byli przyzwyczajeni do regularnych przerw proceduralnych. Czekać na wyjście sędziów z sali, zastanawiałem się nad telefonem Arturasa. Zgadywałem, że Arturas właśnie poinformował gliniarzy, że w budynku jest bomba, i mogłem się założyć, że podał im dokładną lokalizację furgonetek i wiadomość o mieszczących się w nich materiałach wybuchowych. Na policję codziennie dzwonią jacyś żartownisie. Jednak wkrótce cała machina ruszy, skojarzone fakty uruchomią alarmy – szef rosyjskiej mafii w procesie o morderstwo, FBI chroni ważnego świadka, wydano nakaz przeszukania mojego mieszkania, ze statku *Sasha* skradziono materiały wybuchowe. Według moich kalkulacji miałem trzy, może cztery minuty do momentu, gdy ochrona sądu rozpocznie ewakuację budynku. Arturas mógł telefonować wcześniej, jednak czekał na sygnał od Levine'a. Za tym sygnałem mogło się kryć tylko jedno – Levine uruchomił zegar na bombach w podziemnym garażu. Następna część planu zależała od tego, czy NYPD da sygnał do ewakuacji budynku. Kiedy padnie wezwanie do ewakuacji, rozpęta się piekło; Arturas i jego ludzie będą mieli doskonałą okazję chwycić walizkę, wyjąć broń i uwolnić Benny'ego.

Sędzia Pike odchrząknęła – niewątpliwie przygotowując się do poradzenia sobie z jeszcze jedną, niepotrzebną przerwą na wniosek obrony. Zdjęła okulary, położyła je na notatkach i założyła ręce na piersiach.

Gdy wyszedł ostatni sędzia przysięgły, mrugnąłem do Wołczeka. Położył na stole telefon.

– Panie Flynn, chcę, żeby pan jasno określił, o co panu chodziło w pytaniach. Podejrzewam, że zechce pan złożyć wniosek o odtajnienie anonimowości Świadka X?

– Nie będę się przy tym upierał. Tu nie chodzi o sprawę anonimowości; tu chodzi o unieważnienie postępowania sądowego.

Pike uniosła brwi. Chwyciłem telefon Kennedy'ego, gotów zadzwonić do Jimmy'ego. Tłum wyczuł zapach dramatu i przyciszone pomruki zmieniły się w chór podnieconych głosów. Miriam gotowała się do walki, sędziowie wymieniali zatroskane spojrzenia.

– Zechce pan uzasadnić wniosek dotyczący unieważnienia postępowania sądowego? – zapytała sędzia Pike.

– Nie, Wysoki Sądzie. – Zwróciłem się do Miriam. – Oskarżenie zrobi to za mnie.

Miriam wstała, na jej twarzy wyraz zdumienia mieszał się ze wstrętem. Zaczerwieniła się na szyi, była tak wstrząśnięta, że upuściła pióro, które spadło na podłogę.

– Wysoki Sądzie – zacząłem – właśnie Wysoki Sąd wysłuchał zeznania świadka X. Dowiedzieliśmy się, że nie otrzymał groźb, iż zostanie zabity. Nie otrzymał żadnej takiej groźby. Sąd został wprowadzony w błąd przez stronę oskarżającą. – Porwałem ze stołu notes. – Pani Sullivan w oświadczeniu wstępnym powiedziała sądowi, że mój klient jest bossem rosyjskiej mafii i że jej świadkowi grożono śmiercią. Cytuję, co powiedziała pani prokurator: „Ten człowiek żyje pod groźbą utraty życia”. Tak to zapisałem. I dwa razy podkreśliłem. Jeżeli sąd uwierzył, że Świadkowi X grożono utratą życia, ponieważ miał składać zeznania na wniosek oskarżyciela w procesie, gdzie oskarżonym był rzekomy boss rosyjskiej mafii, tym samym istnieje wyraźna implikacja, że jego życiu miałby zagrażać mój klient. Teraz wiemy, że takie zagrożenie ze strony mojego klienta, ani też ze strony kogokolwiek innego, nie istniało. Zadałem świadkowi pytanie wprost, czy grożono mu utratą życia, a on odpowiedział po prostu „nie”. Problem polega na tym, że pani prokurator powiedziała sądowi coś odwrotnego, coś, co nie było prawdą.

Usłyszałem głucho uderzenie pięści Miriam o blat stołu.

– Wysoki Sądzie, świadek stwierdził, że był częścią ogromnej organizacji przestępczej i że był płatnym mordercą rosyjskich gangsterów. Na skutek przecieków jest absolutnie jasne, co się dzieje w tych organizacjach.

– Nie, Wysoki Sądzie, nie jest jasne. Świadek nic nie zeznał o tej rzekomej organizacji. Upewniłem się co do tego w czasie mojego przesłuchania, dając mu wiele okazji do wyraźnego przeliterowania tego: narkotyki, stręczycielstwo, pranie brudnych pieniędzy, morderstwa. Świadek na te tematy nic nam nie powiedział. Odmówił zeznawania na temat organizacji. Nie zeznał też przed sądem, że grozi mu śmierć, i zaprzeczył, jakoby otrzymywał tego rodzaju groźby. Oskarżenie wprowadziło ławę przysięgłych i sąd w błąd. Wysoki Sądzie, my nie sugerujemy, że biuro prokuratora okręgowego celowo wprowadziło przysięgłych w błąd, lecz przeinaczenie pani prokurator wyraźnie miało na celu uprzedzić sąd do mojego klienta. – Zwróciłem się do Miriam: – Jesteśmy przekonani, że było to niezamierzone przeinaczenie i jeśli oskarżenie zrobi to, co słuszne, i złoży wniosek o unieważnienie procesu, wtedy ja zachęcę mojego klienta, aby nie składał skargi na niezgodne z etyką zawodową zachowanie prokuratora.

Miriam kopnęła krzesło i ruszyła ku mnie, ignorując apel sędzi o zachowanie spokoju. Wiedziała, że mam rację i to ją doprowadziło do furii. Jako wytrawna i doświadczona prokurator wiedziała też, że Pike wobec tak stanowczego wniosku nie może ryzykować doprowadzenia procesu do wydania werdyktu.

– Ty sukinsynu. Co robisz? – rzuciła.

– Robię to dla ciebie, Miriam. Przegrasz tę sprawę. Możesz ją przeciągnąć,

zatrudnić nowego grafologa i zacząć od początku, natomiast ja mogę zgłosić wniosek o unieważnienie postępowania sądowego i pozostawienie go bez rozstrzygnięcia. Lecz jeśli ty to zrobisz, możesz na tym wiele zyskać. Zrób to tak, aby wyglądało na chytre posunięcie, dlatego że twój ekspert odfrunął.

Potrząsnęła głową.

– Eddie, jesteś skończony. Postaram się, żeby twój klient następnym razem poszedł na dno. Może cię to ucieszy, jesteś na liście prokuratury okręgowej – na czarnej liście!

Jeśli to prawda, to nie interesują mnie odpowiedzi na pytania, dlaczego chcę, aby proces mojego klienta został unieważniony. Poprzez roztrząsanie tej kwestii i kłótnie z oskarżeniem stworzy się mały dystans między mną i nadciągającą burzą przemocy.

Miriam wygładziła bluzkę i wracając do swojego stołu, zwróciła się do sądu, mówiąc przez zaciśnięte zęby:

– Wysoki Sądzie, w świetle poruszanej przez pana Flynna kwestii nie widzę innej możliwości, jak tylko poprosić Wysoki Sąd o ogłoszenie unieważnienia postępowania sądowego.

Po tych słowach usiadła ciężko i założyła rękę.

Benny siedział zamyślony w boksie dla świadków, bębniąc palcami po poręczu. Arturas przesunął się do przodu, gotów skoczyć do walizki.

Wołczek, przechylając telefon w moim kierunku, pozwolił mi przeczytać SMS, który właśnie miał wysłać. Było to pozwolenie na wypuszczenie Amy.

– Wyślij – powiedziałem. Zatelefonowałem do Jimmy'ego, trzymając telefon pod blatem stołu i czekałem na połączenie. Nikt na mnie nie patrzył, wszystkie oczy skierowały się na sędziego Pike.

Sędzia Pike zamknęła na chwilę oczy i rozparła się w fotelu, nieświadoma, że życie mojej córki zależy od jej decyzji.

– Czuję, że nie mam wyboru – powiedziała z ciężkim westchnieniem. – Proszę wprowadzić ławę przysięgłych. Zwolnię ich z pełnienia obowiązków. Ogłaszam unieważnienie postępowania sądowego.

Po tych słowach zaczęła szeptać coś z Harrym.

Tłum grzmiał.

Wołczek wysłał SMS.

Jimmy odebrał telefon.

– Jimmy, on ją uwolnił. Idź i odbierz ją.

– Już idę...

– Zaczekaj, aż wiadomość zostanie odczytana...

Rozłączyliśmy się. Natychmiast nacisnąłem „redial”. Pike była zbyt zajęta, żeby zwracać na mnie uwagę, skupiła się na procedurze zamknięcia procesu.

Gdy sędziowie przysięgli zaczęli zajmować swoje miejsca, w sali rozległ się ryk alarmu.

Tylne drzwi otworzyły się z trzaskiem i wpadł ochroniarz, przekrzykując alarm:

– Natychmiastowa ewakuacja. Rozkaz oddziału antyterrorystycznego.

Strażnik pochylił się i zakaszłał, zanim został zmieciony przez tłum. Rozległy się krzyki i galeria dla publiczności opustoszała w panice. Ludzie przepychali się, torując sobie drogę do drzwi. Asystenci z zespołu Miriam porzucili akta i uciekli. Miriam nie drgnęła. Wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczami z wyrazem grozy pomieszanej z szokiem. Jeden z jej asystentów podbiegł do niej z tyłu, chwycił za rękę i pociągnął do wyjścia.

Kennedy podbiegł do zdyszanego strażnika, próbując go złapać, ale pierwsza fala reporterów uniosła go już do holu.

Arturas dopadł walizki.

To zamieszanie dawało doskonałą okazję Rosjanom. W całym budynku panował chaos, ludzie się pchali, walczyli, żeby jak najszybciej wyjść na ulicę. Widziałem, jak Harry wypchnął Pike przez drzwi do jej gabinetu.

Wśród paniki Wołczek odegrał swoją rolę: wskoczył na krzesło, wskazał Małego Benny'ego i krzyknął:

– On ma detonator! Jest w jego kieszeni!

Krzyki nasiliły się. Pulsujący alarm zdawał się zwalniać rytm do częstotliwości bicia serca i wszystkie oczy spoczęły na Bennym. Arturas uniósł rękę nad walizką, patrząc na brata ze zdumieniem.

Benny, klepiąc się po kieszeni, potrząsnął przecząco głową. Eskortujący go strażnik wyciągnął pistolet i wycelował w Małego Benny'ego. Kennedy wyciągnął broń i zaczął wykrzykiwać instrukcje:

– Kładź się! Twarzą do podłogi!

Mały Benny stał niepewny, z otwartymi ustami i ciągle klepał się po kieszeniach. Wtem w kieszeni po lewej stronie wyczuł coś, czego tam nie powinno być. Gdy jego ręka zamarła na jakimś niewielkim wybrzuszeniu, jego twarz wyrażała przerażenie i Benny zaczął się trząść. Z jedną ręką uniesioną w geście poddania, nie mógł się oprzeć chęci sprawdzenia, co znajduje się w tej kieszeni. Wyjął z niej fałszywy detonator, spojrzał na mnie i zrozumiał. Trzymał w ręku fałszywy detonator, który dał mi Wołczek – ten sam, który rozebrałem w pokoju konferencyjnym, a potem złożyłem, opasując srebrną taśmą zdjętą z magazynka MP5; wsunąłem go Benny'emu do kieszeni, gdy niedawno odepchnął mnie od boksu dla świadków.

Zaskoczenie zmroziło Benny'ego jak zimny prysznic. W chwili szoku i zgubnego dla niego wahania zaczął wyć wewnętrzny alarm. Wołczek tak jak ja znał protokoły działania instytucji przestrzegania prawa – kiedy podejrzany trzyma w ręce detonator, należy go zlikwidować.

Kennedy otworzył ogień, a sekundę później strażnik – i Mały Benny padł trupem z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia w szeroko otwartych oczach.

Jeżeli istniała jeszcze jakakolwiek szansa wznowienia procesu Wołczeka o morderstwo, teraz umarła wraz ze Świadkiem X. To oznaczało uniewinnienie i teraz mogłem żądać od Wołczeka, aby dotrzymał słowa i uwolnił moją córkę. Usłyszałem za sobą gardłowy ryk. Nie musiałem się

odwracać, żeby wiedzieć, że to Arturas.

Odwróciłem się w porę, aby zobaczyć Wołczeka biegnącego przez salę. Zatrzymał się w połowie drogi na przejściu między ławkami i spojrzał na pozostałych Rosjan, jak grzebią w kombinezonach i chwytają MP5 z walizki. Arturas manipulował coś przy pilocie, tym samym, którego znalazłem w walizce. Uaktywnił go, nacisnął kilka kontroltek, a potem cisnął o podłogę. Wołczek nie czekał. Triumfował. Odwrócił się i uciekł. Kiedy Arturas podniósł się i spojrzał za Wołczekiem, bossa już nie było.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY SIÓDMY

– Broń automatyczna! – krzyknąłem i dałem nura pod stół obrony. Trochę się wychyliłem, żeby zobaczyć, jak Gregor i Wiktor, wkładając kombinezony, gapią się na puste magazynki. Amunicja leżała pod papierami w teczce młodego prawnika, którą porzucił w pokoju konferencyjnym. Przed przepakowaniem walizki razem z Wołczkiem wyładowaliśmy z magazynków wszystkie naboje.

– Rzućcie broń i na podłogę! – krzyknął Kennedy na widok Rosjan próbujących chwycić broń. Dołączył do niego Coulter, celowali w Gregora i Wiktora. Z sali już nie dochodziły żadne okrzyki, ostatni widzowie zniknęli za drzwiami.

Strażnik pilnujący Benny'ego ruszył ku Rosjanom z wymierzoną w nich bronią.

Próbując dodzwonić się do Jimmy'ego, niemal słyszałem, jak głośno bije mi serce. Nie odbierał. Uniosłem głowę, ale było już za późno, żeby krzyknąć ostrzeżenie.

– Nie ruszać się! – rozkazał Levine.

Stał za Kennedy i Coulterem, z pistoletem wycelowanym w obu mężczyzn. Kennedy i młodszy agent zamarli w bezruchu. Kennedy, potrząsając głową, zamknął oczy, pochylił głowę i zaklął.

– Odlóż broń, albo oni umrą! – Levine zwrócił się do strażnika, przekrzykując alarm.

Strażnik, ciężko dysząc, ledwo mógł utrzymać pistolet, czując nagły przypływ adrenaliny z przerażenia, że jego broń może wypalić i po raz pierwszy kogoś zabić.

– Levine, nie rób tego. – Kennedy obniżył swój pistolet.

– Wolałbym nie pociągać za spust, Bill. Wystarczy, że nacisnę przyciski dwóch starterów w garażu i w ciągu dwudziestu minut ten budynek zmieni się w kupę gruzów. Jeżeli oddziałowi ratunkowemu uda się nawet znaleźć twoje ciało, wolałbym, żeby nie znaleziono w nim ran od kul. Rzuć broń i poleć strażnikowi, żeby zrobił to samo.

Agent FBI powoli położył pistolet na podłodze. Gregor odrzucając bezużyteczny MP5, pomaszerował do strażnika i wytrącił z jego ręki berettę.

Kroki za mną. Usłyszałem metaliczne brzęczenie pasa – Arturas.

Chwycił mnie za kołnierz i wywłókł przed ławę sędziowską.

– Na kolana, ręce na kark! – rzucił Levine i Kennedy razem z Coulterem posłuchali.

– Teraz mi wierzysz, dupku? – warknąłem, lecz Kennedy nie patrzył na mnie, tylko na swoją broń leżącą pół metra od niego na marmurowej posadzce.

Arturas podszedł do mnie i wyjął z lewej kieszeni detonator.

– Ty kupo gówna. Zawarłeś układ z Olegiem. Ale spokojna głowa. Znajdziemy go. A ty, prawniku, dzisiaj umrzesz. Taką zapłacisz cenę.

Cofnął się jeszcze bardziej, poza strefę rażenia bomby, którą miałem na plecach.

Od tej chwili wszystko wydawało się toczyć w zwolnionym tempie. Moje ciało było jak naelektryzowane, nadwrażliwie czujne i mimo że wszystko poruszało się wolniej, w mojej głowie nadal tłukł się niezmienny rytm alarmu.

Gregor wetknął za pasek pistolet młodego strażnika i od niechcienia skrzył mu kark potężnymi łapami.

Dwulicowy agent federalny Levine uderzył Coultera w głowę kolbą pistoletu i z rozbawieniem przyglądał się, jak pada na podsadzkę.

Wiktor podniósł broń Coultera i podszedł do drzwi, żeby się przekonać, czy hol jest czysty.

Arturas patrzył, jak odczołguję się od niego dalej i dalej. Na jego ustach pojawił się złowróżbny uśmiezek. Nacisnął przycisk na detonatorze bomby, którą przez półtora dnia nosiłem na plecach. Nic się nie stało.

Sekunda wahania starła z jego twarzy uśmiech. Znowu nacisnął przycisk na detonatorze. Na tym samym, który minionej nocy widział Harry.

Nic.

– Zabić wszystkich – rozkazał.

Levine zamiast przytknąć lufę beretty do głowy Kennedy'ego, zniżył broń i dwukrotnie wypalił do szefa, a potem wymierzył we mnie.

Zamknąłem oczy i zobaczyłem córkę leżącą na trawie w Prospect Park w ciepły, letni dzień.

Strzał.

Nie poczułem bólu, żadnego gorąca, ani zimna, nic.

Otworzyłem oczy i ujrzałem, że Levine ciągle stoi. Pistolet wypadł mu z ręki, a z tyłu jego głowy unosi się krwawa mgła. Upadł na twarz z raną od kuli na karku, a za nim zobaczyłem Lizarda.

Rosjanie natychmiast odskoczyli, szukając schronienia.

Z tyłu sali Lizard wycelował w Wiktora berettę, którą zostawiłem w podziemiu w pojemniku na śmieci. Blondyn nie był wystarczająco szybki, strzelał niecelnie, chaotycznie, natomiast Lizard był śmiertelnie skuteczny.

Za mną eksplodowało okno. Ze stołu oskarżenia posypały się dookoła odpryski mahoni. Zorientowałem się, że Gregor strzelał w moim kierunku z pistoletu zabranego strażnikowi. Skoczyłem na nogi, odwróciłem się i chciałem uciec. W stół oskarżenia wbił się następny pocisk, zasypując mi twarz kurzem i drzazgami.

Nie było gdzie się ukryć.

Ani dokąd uciec.

Usłyszałem, jak gdzieś z tyłu wystrzelił inny pistolet, ale nie ośmieliłem się zatrzymać i obejrzeć za siebie. Moja marynarka odchyliła się i okręciła od podmuchu wystrzału. Okno było blisko. Ostatnie półtora metra pokonałem sprintem, dopadając okna sięgającego podłogi. Kiedy przeskoczyłem resztki rozbitego szkła, pochłonęło mnie zimne powietrze Nowego Jorku. Przedemną i podemną widziałem całe miasto. Modliłem się, żebym się okazał jednym z tych szczęśliwych sukinsynów, którym się udało.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY ÓSMY

Krzyknąłem.

Resztki szyby, które jeszcze trzymały się ramy, pękły i roztrzaskały się od strzałów, potem pochłonęło je nieskończone niebo.

Spadałem.

Spadając pośladkami w kierunku leżącego dwadzieścia pięć metrów niżej betonu, przez moment widziałem tylko szczyt budynku i czyste, błękitne niebo. Wydawało mi się, że spadam całe życie, ale były to pewnie dwie, może trzy, sekundy. Potem poczułem przeszywający ból w lewym ramieniu, gdy uderzyłem o platformę i głową otarłem o stalową podłogę. W oczach pojawiły się oślepiające punkciki gwiazd.

Spadłem na wiszącą platformę. Pełniła rolę rusztowania dla robotników odnawiających elewację budynku. Była jedną z najdłuższych w mieście; dwanaście metrów długości i prawie dwa metry szerokości. Stalowe liny zakotwiczone na dachu były tak grube jak przegub mojej ręki i zwisały aż do ziemi. Przypomniałem sobie, że przed wejściem do budynku widziałem na platformie robotników. Pamiętałem też ukryte w walizce kombinezony z uprzężą, a także pilota zdalnego sterowania platformą.

Zatem to była droga ucieczki Rosjan. W czasie, gdy NYPD otoczy kordonem budynek i ulicę przy zachodnim wejściu, Rosjanie planowali zjazd w kombinezonach platformą do poziomu ulicy po stronie wschodniej budynku, aby potem wsiąść do czekającego na nich auta i odjechać, zanim ktokolwiek zorientuje się, że opuścili budynek. Policja i federalni będą przekonani, że zginęli pod gruzami budynku, gdy nastąpi eksplozja. Mogli uciec, ukryć się i z dala kierować działaniami Wołczeka. Nikt nie będzie ich szukał.

Strzały na sali sądowej ucichły.

Wstałem niepewnie. Upadek wywołał drżenie platformy, która zaczęła się łagodnie kołysać. Układ sterowania platformą był zablokowany i żeby go uruchomić, potrzebny był specjalny klucz. Teraz nie można było jej uruchomić. Domyślałem się, że pilot, który Arturas chciał uaktywnić na sali sądowej, służył do zdalnego sterowania platformą.

Usłyszałem za sobą trzask rozbijanej szyby w jednym z czterech łukowo sklepionych starych okien. Ruszyłem w tym kierunku wzdłuż platformy. Na parapecie pojawiła się postać.

Ciężko dyszała, odrzucając za sobą krzesło, którym rozbijała szybę. Miała na sobie białą od pyłu togę. Postać zakaszłała i omal nie upadła.

To był Harry. Przyszedł po mnie.

ROZDZIAŁ SZEŚCZDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

– Ostrożnie – rzuciłem.

Harry zachwiał się i chwycił jakąś kamienną ozdobę elewacji, która znalazła się w zasięgu ręki. Wspiąłem się na poręcz platformy, żeby przeskoczyć na parapet. Z sali sądu znowu dobiegły nas odgłosy strzałów.

Platforma zatrzęsła się i zakołysała, gdy Arturas wylądował na stalowej podłodze na drugim końcu. Wyskoczył tym samym oknem co ja. Miał na sobie kombinezon z szelkami. Przypiął się liną do barierki. Ukląkł, położył na płycie pilota do platformy, odsunął korek buta i wyciągnął nóż.

– Podaj mi rękę – polecił Harry.

– Prawnik! – wrzasnął Arturas.

Uśmiechał się tak jak wczoraj, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy w łazience knajpy Teda. Postrzępiona, zaróżowiona od zimnego powietrza blizna zdawała się sięgać wykrzywionych warg. Teraz wyglądał inaczej, nie przypominał bezwzględnego mordercy; w oczach czaiły się ból i chęć zemsty. Ciągle bolała mnie głowa od uderzenia w czasie upadku. Czułem, jak krew spływa mi po karku, i pomyślałem, że pewnie przez miesiąc będę miał siniaka na ramieniu i plecach.

– To koniec, prawniku! – warknął Arturas.

Cofnąłem się szybko, Harry wyciągnął rękę, żeby mnie chwycić. Arturas stał w odległości około ośmiu metrów.

– Założę się, że te kombinezony są naprawdę ciężkie.

Arturas nie zwracał na mnie uwagi. Zbliżył się.

– Założę się, że to ubranko jest tak ciężkie, że nawet nie zauważyłeś dodatkowych pięciuset gramów.

Zamarł w bezruchu i pochylił głowę.

Zaczął obmacywać piersi, potem plecy. Przerwał, dotykając dużej kieszeni na prawym udzie. Ustaliłem razem z Wołczkiem, że duży kombinezon był przygotowany dla Arturasa. Bombę ukryłem w kombinezonie zaraz po sfinalizowaniu transakcji z Wołczkiem.

Wyjąłem prawdziwy detonator z kieszeni spodni, podniosłem tak wysoko, żeby go dojrzał, i powiedziałem:

– Uśmiechnij się do tego, dupku.

Chwyciłem Harry'ego za rękę, przeskoczyłem na parapet i nacisnąłem przycisk aktywujący detonator.

Były kapitan Armii Stanów Zjednoczonych wciągnął mnie do środka w chwili, gdy platforma runęła w dół.

Eksplozja przecięła Arturasa na pół, zdmuchnęła panel sterowania platformą, a sama platforma, kręcąc się i obijając o elewację, spadła na ulicę. Byłem bezpieczny. Usłyszałem łoskot roztrzaskującej się stali na pustym bruku ulicy.

Pomyślałem, że NYPD dzięki Bogu ewakuował okoliczne budynki. Przerazający huk rozbijającej się na kawałki platformy wywołał wibrację mojej szczęki.

– Potrzebna pomoc? – Odwróciłem się od okna na dźwięk głosu Coultera.

Nióśł półprzycimnego Kennedy'ego przewieszzonego przez ramię. Kennedy ledwo oddychał i pomyślałem, że w jego kamizelkę kuloodporną uderzyła co najmniej jedna kula. Lizard wetknął za pasek berette, podskoczył ku nam i odebrał od Coultera krwawiącego Kennedy'ego. Młody agent spojrział trochę niepewnie na jego stopę.

– Duży Rosjanin nie żyje. On był ostatni – oznajmił Lizard.

– Ruszamy – polecił Harry.

To wszystko działo się szybko, jednak odgadywałem, że mieliśmy jeszcze tylko sześć, może siedem, minut do opuszczenia budynku, zanim eksplodują furgonetki.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

Winda zjechała na parter. Nie mieliśmy czasu na korzystanie ze schodów.

Alarm z każdą sekundą zdawał się brzmieć coraz bardziej natarczywie.

Lizard, szukając stopami solidnego oparcia, chwycił rannego Kennedy'ego, tak aby równomiernie rozłożyć ciężar na ramionach. Ja nie kontrolowałem już oddechu – ogarnęła mnie mieszanina paniki i skrajnego wyczerpania, natomiast Coulter jakoś się jeszcze trzymał. Tylko Harry wydawał się spokojny, jednak wyczuwałem, że tak naprawdę umierał ze strachu. Nie spuszczał oczu z tablicy wyświetlającej numery mijanych pięter i w milczeniu powtarzał je ruchem warg.

Alarm ciągle grzmiał.

Upływały sekundy.

– Czy Jimmy ją zabrał? – zapytałem.

– Nie wiem – odparł Lizard.

Spróbowałem znowu zadzwonić, ale nie było zasięgu.

Proszę, powiedz mi, że ją zabrałeś! Proszę...

Winda zatrzymała się w lobby. Wybiegliśmy. Rozwarły się drzwi wejściowe i zobaczyłem w odległości około dwustu metrów ostatnie ewakuujące się osoby biegnące w kierunku kordonu policji.

Coulter chwycił Harry'ego za ramię i krzyknął:

– Biegnij!

Lizard minął Harry'ego, a my pobiegliśmy za nim.

Dobiegliśmy do stopni prowadzących do wejścia do sądu. Usłyszeliśmy głos grzmiący z megafonu. Mniej więcej pięćset metrów od nas stał policjant. Głową wskazał kierunek do bariery chroniącej przed skutkami wybuchu. Ślizgając się, zbiegliśmy ze stopni. Plecy i spodnie Lizarda nasiąkły krwią umierającego agenta. Zaczął się ślizgać na przesączonych krwią butach.

Harry i Coulter wyprzedzili mnie. Zwolniłem, próbując znowu złapać Jimmy'ego na komórkę i z włączonym telefonem biegłem do barierki.

Moje płuca płonęły. Nawet teraz, po opuszczeniu budynku, ciągle dudnił mi w głowie alarm, znacząc rytmem sygnałów uciekający czas. To nieustępliwe pulsowanie mieszało się z odgłosem uderzeń moich butów o bruk, gdy biegłem i wraz z tym uciekającym czasem moje nogi poruszały się coraz wolniej.

Byłem wykończony. Z trudem łapałem oddech, ledwo żyłem. Głowa pulsowała bólem. Ostatkiem sił poruszałem nogami, pompowałem rękoma – usta miałem otwarte, ale nie mogłem zaczerpnąć powietrza.

Byliśmy już blisko kordonu – jeszcze pięćdziesiąt metrów. Mogłem już

rozdzielić w tłumie niektóre twarze przez utworzoną dla spieszących nam z pomocą sanitariuszy przerwę w barierze przeciwwybuchowej. Szukałem w tłumie Amy, ale jej nie znalazłem, ani Jimmy'ego.

Przed nami Lizard kładł Kennedy'ego na wózku szpitalnym. Ponownie wystukałem numer w telefonie.

Teraz byłem już blisko.

Coulter, Harry i Lizard dopadli bariery i ukryli się za nią. Byłem już niemal przy barierze, gdy nastąpiło połączenie i usłyszałem głos Jimmy'ego:

– Eddie, ja...

Wtedy runął cały mój świat.

Ogłuszyła mnie eksplozja. Jakbym nagle zanurkował w gęstej mazi. Wrażenie, jakiego doznaje ktoś nagle wyrzucony i zawieszony w powietrzu. Nawet nie wiedziałem, kiedy moje stopy straciły kontakt z ulicą. Uderzyłem głową o chodnik, ale nie czułem bólu, tylko wewnętrzny, pusty dźwięk uderzeń ciała i czaszki o płyty chodnika. Czułem eksplozję poprzez drżenie ziemi i padające cegły, a potem przez chmurę cuchnących gazów, gdy wtargnęła mi do gardła.

Leżąc na chodniku, widziałem jeszcze przerażającą chmurę czarnego pyłu w miejscu, gdzie wznosił się gmach sądu. Gdy budynek się zapadał, nad miastem rozległ się straszliwy ryk i chociaż nie mogłem go słyszeć, niemal namacalnie czułem, jak wałęsały się tysiące ton skruszonych cegieł. Dławił mnie gęsty smród rozgrzanego metalu i płonącego starego drewna. Utonąłem w brudnej ziemi, rozbitych kamieniach i kłębach dymu. Zanim zemdlałem, wydawało mi się, że poprzez kakofonię dźwięków wydawanych przez szybujące w powietrzu miliony okruchów szkła słyszę, jak woła mnie Harry.

Więcej nie pamiętam.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Poczułem na ustach dotknięcie czegoś mokrego, ciepłego. Miałem suche wargi, a ten pocałunek sprawił mi ogromną ulgę.

Otworzyłem z wysiłkiem oko i kilka centymetrów nad moją twarzą zobaczyłem twarz Christine.

Chwilę później zorientowałem się, że leżę na łóżku w szpitalu.

Żona odsunęła się. Miała zaczerwienione oczy, zapłakaną twarz. Gdy łyzy znowu zaczęły jej płynąć, zakryła usta dłonią. Palce drżały. Płacząc, uderzała mnie na oślep w piersi i ramiona i gdy łagodnie uniosłem ręce, przestała, poddała się i odchodząc od łóżka, potrząsnęła głową i zaczęła jeszcze gwałtowniej szlochać.

Kiedy Christine się odsunęła, ujrzałem za nią małą postać śpiącą w fotelu dla gości. Nigdy jeszcze nie widziałem tak pięknych promieni popołudniowego słońca jak tego dnia, gdy połyskiwały we włosach mojej córeczki. Długo na nią patrzyłem, nie wiedząc, czy to promienie słońca, czy światło promieniujące od mojej dziewczynki. Miała na sobie dzinsową kurteczkę z przypiętymi do niej znaczkami, T-shirt, zielone dzinsy i za duże kozaczki.

Sprawiała wrażenie takiej spokojnej...

– Ty sukinsynie – rzuciła łagodnie w moim kierunku Christine, nie chcąc budzić naszej córki. – Ona jest taka szczęśliwa. Mogła zginąć. Naraziłeś jej życie na niebezpieczeństwo – ty i ta firma.

– Nigdy jej nie narażałem. Ona jest dla mnie najważniejsza...

– A jednak zrobiłeś to. Kiedy o tym pomyślę, wiem, że mogli ją zabić!

– Christie, ja kocham cię, kocham Amy.

– To nie wystarczy, Eddie. Całe to twoje życie, ci klienci... to zbyt niebezpieczne. Mam tego dość. To nie fair w stosunku do Amy.

Stała, w milczeniu potrząsając głową.

– Oni nie byli moimi klientami...

– Nieważne. Uprawdzili moją córkę. Tego ci nigdy nie wybaczę.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Muszę iść i komuś powiedzieć, że się obudziłeś.

Spojrzała na naszą córkę, ciągle śpiącą w fotelu.

– Jest bardzo zmęczona. Obie jesteśmy bardzo zmęczone, Eddie. Możesz ją obudzić. Czekala na spotkanie z tobą. Sprowadzę pielęgniarkę.

Christine osuszyła łyzy chusteczką, odwróciła się i wyszła z pokoju. Czuję, jakby opuszczała nie tylko ten pokój. Odwracała się plecami do naszego małżeństwa. Na zawsze.

– Amy! – zawołałem.

Obudziła się i podbiegła do mnie. Uściskałem ją tak, jak nigdy przedtem. Pocałowałem jej włosy; oboje płakaliśmy. Ból w plecach, ból ramion, to wszystko nie przeszkadzało mi, żeby się unieść i sprawdzić, czy Amy nic się nie stało. W porządku – żadnych siniaków, żadnych ran, żadnych skaleczeń. Nie pozwoliła mi przyglądać się sobie zbyt długo. Objęła mnie za szyję drobną rączką i gdy uściskała tak mocno, jak tylko mogła, owionął mnie jej cudowny zapach – mieszanka sprayu do włosów, džinsu i gumy do żucia.

– Mam ciebie, mam... – powtarzałem.

W końcu puściła mnie, usiadła na brzegu łóżka i chwyciła za rękę.

– Tato, to może zabrzmieć trochę dziwnie, ale chcę ci podarować nowe pióro – stwierdziła.

Ponownie wziąłem ją w ramiona i powiedziałem, że pióro jest nieważne. Nieważne, co chce na nim wygrawerować – że czasem byłem zwykłym dupkiem – ale ważne jest i było to, że kocham ją bezgranicznie i nie chcę jej nigdy stracić.

Powiedziałem też, że już nie musi się martwić, że jest już bezpieczna.

Tej nocy nie miałem dręczących mnie poprzednio snów z Hanną Tublowską przywiązaną do łóżka Berkleya. Po raz pierwszy od znalezienia jej w domu Berkleya nie zobaczyłem Hanny we śnie.

Po tygodniu poczułem się na tyle dobrze, żeby porozmawiać z Kennedym. Leżał w sąsiednim pokoju, długo odzyskiwał siły i zdrowie po ciężkich ranach. Biorąc pod uwagę to wszystko, co się wydarzyło, mnie udało się przejść przez to w miarę dobrze; doznałem wstrząśnienia mózgu, miałem cztery pęknięte żebra, kilka ran ciętych i paskudne siniaki. Opowiedziałem Kennedy'emu o moich przygodach – ale nie wszystko. Harry poparł mnie, jak zawsze. Kennedy usprawiedliwiał się i potem nawet mi pomógł, gdy federalni przyszli mnie przesłuchać. Jimmy za pośrednictwem swojego adwokata zwrócił ten oznaczony szyfrowanym sprayem milion, zatrzymując dla siebie dwa miliony, a jeden dla mnie.

Harry odwiedzał mnie, potajemnie częstując alkoholem, który piłem bez szczególnego upodobania, i wieczorami grywaliśmy w karty. Ale najważniejsze, że odzyskałem to, co było dla mnie najdroższe na świecie.

Moje dziecko.

Kilka dni później Harry przyjechał po mnie do Nowojorskiego Szpitala Centralnego, a później zawiózł mnie do mojego mieszkania. Zmienił w nim zamki i posprzątał. Niósł mój bagaż, gdy ostrożnie stąpałem po chodniku w kierunku jego poobijanego kabrioletu. Kiedy otwierał auto, usłyszałem klakson jakiegoś samochodu. Po drugiej stronie ulicy zobaczyłem białą limuzynę. W drzwiach pasażera stał Oleg Wołczek i kiwał na mnie.

– Eddie, nie zwracaj na niego uwagi – powiedział Harry.

Szybko przechodząc na drugą stronę ulicy, czułem w całym ciele ostry ból promieniujący od żeber.

– Czego chcesz? – zapytałem.

Wółczek uniósł ręce i odparł:

– Chcę tylko wiedzieć, co powiedziałaś FBI.

– Nie martw się. Powiedziałem im, że to wszystko zaplanował Arturas, że byłeś taką samą ofiarą jak ja. Jesteś czysty; chociaż z chęcią posłałbym cię na dno. Ale nie jestem głupi. Wiem, że jeśli powiem wszystko FBI, ty im powiesz, że to ja zorganizowałem napad na Severn Towers.

Uśmiechnął się – ale tylko na sekundę.

– Dobrze. Cieszę się, że się rozumiemy. I nie próbuj mnie znowu oszukać. Zostawmy to tak jak jest, pamiętaj, że wiem, gdzie mieszka twoja córka.

Mężczyzna siedzący na miejscu kierowcy, zapewne Rosjanin, w czarnych dżinsach i czarnej skórzanej kurtce, wyszedł z samochodu, obszedł limuzynę dookoła i otworzył Wółczekowi drzwi. Kierowca był masywnie zbudowanym olbrzymem, z nosem boksera i małymi, czarnymi oczkami. Patrzył na mnie jak doberman na dupę włamywacza. Najwyraźniej pracował nie tylko jako kierowca. Wółczek reaktywuje Bractwo. Tym pokazem służalczości kierowcy dał mi do zrozumienia, że ciągle się liczy, jest bossem.

Już odchodziłem, ale zatrzymałem się, odwróciłem i zawołałem:

– Hej! Jeszcze coś!...

Wółczek, z jedną nogą w limuzynie, odwrócił się do mnie w półobrocie. Kierowca przytrzymał drzwi.

Ignorując ból, niemal zwalający mnie z nóg przy każdym oddechu, złapałem równowagę i z całej siły kopnąłem kierowcę w gołe nogi, zmuszając go, żeby ukląkł. Opierając się obiema nogami na chodniku, skorygowałem pozycję, unieruchomiłem biodro i zadałem cios prawym hakiem. Cios pięścią odrzucił głowę Wółczeka, przebijając szybko od strony pasażera. Chwyciłem drzwi i trzasnąłem nimi w napuchniętą od alkoholu głowę kierowcy.

Boss tego, co kiedyś nazywało się Bractwem, zasłaniając się rękami, leżał na mokrym asfalcie, pokryty kostkami rozbitej szyby.

– To za Amy, za Jacka i jego siostrę. Nie musisz się martwić o FBI. Martw się o Jimmy’ego „Kapelusznika”. On ciągle chce krwi za siostrzeńca. Na twoim miejscu zapakowałbym swoją dupę i dupę tej tu mały, wsiadł do samolotu i spieprzał. A musisz wiedzieć, że teraz ja i Jimmy to jedno. Moja córka jest teraz bezpieczniejsza niż burmistrz. Postaraliśmy się o to ja i Jimmy. Ma ochronę, żebyś już nigdy nie miał okazji jej przestraszyć, dupku. Jeżeli kiedyś jeszcze cię zobaczę, albo któryś z twoich żołnierzy podejdzie blisko mnie lub mojej rodziny, będę miał okazję dobrze się przyjrzeć jego śmierci, powolnej śmierci.

Auta z piskiem hamowały, gdy przebiegałem przez jezdnię. Dobiegając do auta sędziego, zobaczyłem, jak Harry drapie się po głowie, patrząc na mnie z oburzeniem i rozczarowaniem.

– To było głupie – powiedział z łagodną naganą w głosie.

I tak jak zawsze – miał rację.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

Minął miesiąc od dnia, w którym opuściłem szpital. Amy powoli zapominała o przejściach, chociaż ciągle była strachliwa i jeszcze nie doszła do siebie. Mieliśmy nadzieję, że wkrótce zacznie chodzić do szkoły. Chłopcy Jimmy'ego nie odstępowali na krok małej i Christine. Odkąd skopałem Wołczeka na William Street, nikt o nim nie słyszał. Co wieczór o siódmej rozmawiałem przez telefon z Amy, ale Christine nie chciała ze mną rozmawiać. Nie miałem do niej o to pretensji. Nie mogłem. Ona też nie spuszczała Amy z oczu. Składałem wizyty – dwie godziny raz na dwa tygodnie – w moim byłym domu.

Pewnego razu zaparkowałem mojego używanego mustanga na rogu, wysiadłem i zabrałem z siedzenia dla pasażera worek marynarski.

Miałem przed sobą niewielki, dwukondygnacyjny dom. Stał w biedniejszej części Bronksu. Miał zmurszałe parapety i nawet z zewnątrz wyczuwałem panującą w środku wilgoć.

Wiele razy mijalem ten dom, ale za każdym razem brakowało mi odwagi, żeby zatrzymać samochód.

Lecz nie dzisiaj!

Pięć po siódmej rano. Ulica była spokojna.

Postawiłem worek na stopniu przed frontowymi drzwiami i zadzwoniłem.

Kroki w holu.

Gdy otwierałem drzwi mustanga, usłyszałem za sobą zgrzyt zamków i łańcucha u drzwi. Już odjeżdżałem, gdy Hanna Tublowska otwierała drzwi. Podniosła worek i list, który na nim położyłem.

Nie żądałem przebaczenia i nie chciałem jej przekonywać, że to nie była moja wina, że to nie był mój błąd.

Wiedziałem, co zrobiłem; wiedziałem, że już nigdy nie popełnię takiej pomyłki; wiedziałem, że po tym świecie chodzą naprawdę źli ludzie i dopóki odgrywam jakąkolwiek rolę w igrzyskach sprawiedliwości, muszę pamiętać, kim naprawdę jestem, i że ci źli ludzie nie mogą dostać drugiej szansy zrobienia komuś krzywdy.

We wstecznym lusterku zobaczyłem, jak Hanna Tublowska rzuca list, otwiera worek i wysypuje część z dziewięciuset tysięcy dolarów na chodnik. Patrzyła za moim autem, gdy skręcałem za róg.

Wrzuciłem trójkę i dodałem gazu.

PODZIĘKOWANIA

Bez ogromnego zaangażowania, wiedzy i błyskotliwości mojego agenta Euana Thorneycrofta z Agencji Literackiej AM Heath ta książka w ogóle by nie powstała. Był moim redaktorem, mentorem i przyjacielem. Chcę też podziękować wszystkim w AM Heath, którzy przyczynili się do publikacji mojej powieści. Szczególne podziękowania należą się Jennifer, Helene, Pippie i Vickie.

Dziękuję też mojemu wydawcy, Orion Books – Jemimie Forrester, za całą jej ciężką pracę, wnikliwość i bezgraniczny entuzjazm. Poza tym Jemima okazała się ekspertem w prawie karnym. Orion Books zawsze czerpało radość z pracy, dziękuję więc Graeme Williamsowi, Angeli McMahan i całemu zespołowi. Specjalne podziękowania składam na ręce Jona Wooda, który jest niezłym spryciarzem – w każdym razie jeśli chodzi o bilard.

Jestem wielkim szczęściarzem, że reprezentują mnie i wydają tak wspaniali ludzie.

Całej mojej rodzinie, przyjaciołom, kolegom pisarzom i wszystkim krytycznym czytelnikom, a szczególnie Simonowi Thomsonowi, Ace, MeKee i Johnowi „fiasko” Mckellowi, dziękuję za Waszą zachętę – naprawdę dużo dla mnie znaczyła.

Największe podziękowania składam mojej fantastycznej małżonce Tracy za wspieranie mnie, za wiarę we mnie i za te wszystkie drobiazgi, jakimi obdarowywała mnie i moje dzieci każdego dnia.



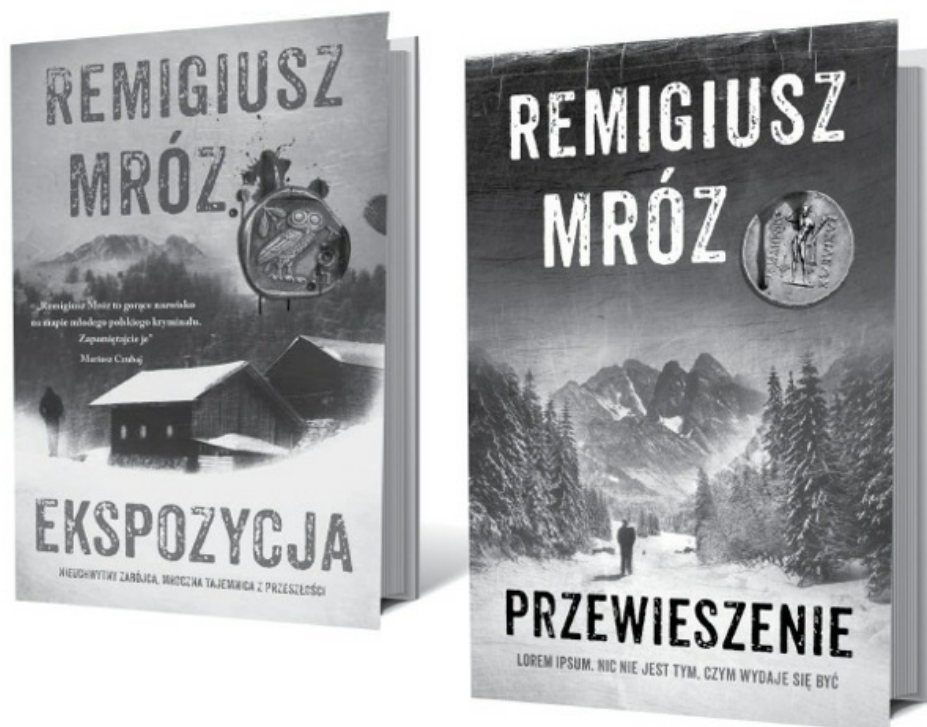
Steve Cavanagh

urodził się i wychował w Belfaście,
stolicy Irlandii Północnej.

W wieku 18 lat przeniósł się do Dublina i przez pomyłkę zaczął studiować prawo – jak sam twierdzi, stanął w niewłaściwej kolejce i zapisał się tam zamiast na Marketing i Zarządzanie. Po studiach przeniósł się do Cardiff, gdzie ukończył studia podyplomowe i już wtedy zaczął pisać scenariusze, jednak wkrótce zarzucił pisanie i skupił się na prawie. Jego debiut,

„Obrona”, jest pierwszym thrillerem z serii powieści o Eddiem Flynnie, byłym oszuście, który z czasem zaczyna pracować jako adwokat.

Autor mieszka w Irlandii Północnej ze swoją żoną Tracy, dwójką dzieci i psem ratownikiem, który dotrzymuje mu towarzystwa w długie noce, w czasie gdy Steve pracuje.



REMIGIUSZ MRÓZ

TRYLOGIA Z KOMISARZEM FORSTEM

FILIA

W SERII *MROczNA STRONA*
JUŻ WKRÓTCE UKAZĄ SIĘ:

Obce dziecko

Jeden mroczny sekret. Jeden potworny akt zemsty.
Mówią, że nie należy ufać obcym. I może mają rację.

Dziewczyna z Summit Lake

Zero podejrzanych. Zero osób zamieszanych.
Jest tylko dziewczyna –
– jednego dnia żywa, kolejnego już martwa.

Cudowne dni

Młody student medycyny porywa dziewczynę swoich marzeń,
pakuje ją do walizki i wyrusza w mroczną i deliryczną podróż,
konsekwentnie dążąc do tego,
by nic ich nie rozdzieliło.
Już nigdy.



SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

Cytat

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY](#)
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY](#)
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY](#)
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY](#)
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI](#)
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI](#)
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY](#)
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY](#)
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY](#)
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY](#)
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY](#)
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY](#)
[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY](#)
[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY](#)
[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI](#)
[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI](#)
[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY](#)
[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY](#)
[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY](#)
[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY](#)
[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY](#)
[ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY](#)
[ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY](#)
[ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIERWSZY](#)
[ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY DRUGI](#)
[ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY TRZECI](#)
[ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY CZWARTY](#)
[ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIĄTY](#)
[ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SZÓSTY](#)
[ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SIÓDMY](#)
[ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY ÓSMY](#)
[ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY DZIEWIĄTY](#)
[ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY](#)
[ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY PIERWSZY](#)
[ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY DRUGI](#)
[ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY TRZECI](#)
[ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY CZWARTY](#)
[ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY PIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY](#)

[ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY](#)

[ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY](#)

[ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

[Steve Cavanagh](#)

[Reklama](#)

[Zapowiedzi](#)

[Karta tytułowa](#)

Tytuł oryginału: The Defence

Copyright © Steve Cavanagh 2015

Copyright for the Polish edition © 2016 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2016

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Ilustracja na okładce: © Rawpixel/Shutterstock

Redakcja, korekta, skład i łamanie:
CAŁA JASKRAWOŚĆ, www.calajaskrawosc.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-096-8

FILIA

Wydawnictwo Filia
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

EDDIE FLYNN MA 48 GODZIN, ABY WYGRAĆ TĘ SPRAWĘ.
W PRZECIWNYM RAZIE JEGO CÓRKA STRACI ŻYCIE.

„Ta powieść to gotowy
scenariusz kasowego hiciora
z gwiazdorską obsadą.
Dawno nie czytałem
tak dobrej sensacji”.
Mariusz Zielke

„Akcja gna, czas goni,
rozprawa trwa, a ty
prawdopodobnie zarwiesz noc”.
Remigiusz Mróz

STEVE
CAVANAGH

OBRONA

FILIA
MROCNIA
STRONA

